



MICHAEL WHITE

Sztuka

MORDERSTWA



REBIS

White Michael

Sztuka morderstwa

Proces twórczy jest koktajlem instynktu, umiejętności, kultury i wielce kreatywnej gorączki. Nie przypomina narkotyku; jest raczej swoistym stanem, w którym wszystko dzieje się niezwykle szybko, mieszaniną świadomości i nieświadomości, strachu i rozkoszy...

Francis Bacon (1909-1992)

ROZDZIAŁ 1

Stepney, środa, 21 stycznia, 8.00

Biegła ulicą, wrzeszcząc ile sił w płucach. Przechodnie zmierzający w kierunku stacji metra Whitechapel schodzili jej z drogi, przekonani, że jest szalona. Lecz ona nie była szalona, a po prostu przerażona. Właśnie ujrzała coś, czego nie zniósłby nawet najmocniejszy żołądek.

Nazywała się Helena Łuczenko i była imigrantką z Ukrainy. Mieszkała w Anglii zaledwie od nieco ponad sześciu tygodni i jej znajomość angielskiego ograniczała się do kilkuset słów. Choć i w jej ojczystej mowie zapewne niewiele było słów zdolnych opisać ten straszliwy widok, przed którym w panice uciekała.

Była ósma rano, mniej więcej połowa porannego szczytu. Mile End Road we wschodnim Londynie tonęła w szarym bloku. W nocy spadł śnieg i - jak zawsze w tym mieście - przetrwał na ulicy może z dziesięć minut, zanim zmienił się w breję, nieznaną człowiekowi ery preindustrialnej: mieszaninę wody, oleju napędowego i miejskich nieczystości. Chodniki nie wyglądały lepiej. Poszarzały śnieg rozgarnięto na boki, tworząc wąską ścieżkę dla pieszych, lecz choć służby miejskie pracowały od szóstej rano, nie żałując piasku i soli, wędrówka szlakiem pokrytym war-

stewką lodu nie należała do bezpiecznych.

7

Helena pośliznęła się, ale nie upadła: w ostatniej chwili chwyciła się ulicznej latarni. Wstrząs sprawił, że uspokoiła się nieco. W takim stanie nic nie zdziałam, powiedziała sobie w duchu. Musiała przecież coś wyjaśnić, coś straszego, coś trudnego do wyobrażenia. Wyjaśnić komuś, kto zechce jej wysłuchać. Odepchnęła się od słupa i ruszyła równym krokiem, oddychając głęboko. Zbliżywszy się do młodego mężczyzny w garniturze z aktówką w ręku, zaczęła popieszczać mówić, ale on tylko instynktownie przyspieszył. Helena podeszła do kobiety w średnim wieku, rozmawiającej przez telefon. Ta spojrzała na nią jak na wariatkę i odepchnęła ją. Jeszcze jedna żebraczka z Europy Wschodniej, pomyślała kobieta i westchnęła. I wtedy zza rogu ulicy wyszła para młodych ludzi. Byli dobrze ubrani, ale wyglądali na luzaków - może byli artystami, a może pracowali w reklamie, ale na pewno nie w banku czy firmie ubezpieczeniowej. Kobieta miała na sobie płaszcz Comme des Garçons sięgający kostek, a mężczyzna niósł torbę od Louisa Vuittona przewieszoną przez lewe ramię.

-Pomocy - powiedziała Helena najwyraźniej, jak umiała. Stanęła przed parą i przycisnęła otwartą dłoń do ręka-

wa mężczyzny. Spojrzał na jej rękę, a potem na swoją towarzyszkę. Młoda kobieta była gotowa odejść, ale on miał nieco więcej cierpliwości. - Proszę, pomocy - odezwała się znowu Helena.

Mężczyzna wcisnął dłoń do kieszeni i wyjął garść drobnych.

-Nie - zaproponowała, kręcąc głową. - Nie pieniądze.

Chodź. Pokazać.

-Co takiego? - odezwała się młoda kobieta, spoglądając na swego towarzysza. - Czego ona chce, Tom?

Tom Seymour wzruszył ramionami.

-A bo ja wiem?

8

-Proszę, chodź. Pokazać.

-Nie podoba mi się to - powiedziała kobieta, chwytając Toma pod ramię.

Było coś poruszającego w rozpaczliwym spojrzeniu nieznajomej. Instynkt podpowiadał mu, że to szczere błaganie, że rzeczywiście jest potrzebny. Nieznajoma naprawdę była przerażona.

-Trish, ona chyba rzeczywiście potrzebuje pomocy - powiedział, spoglądając na swoją partnerkę.

-Tak, pomocy - zawtórowała mu Ukrainka.

-Tom, przecież jej nie znasz. Może pracuje dla gangu?
Nie bądź frajerem.

Westchnął ciężko.

-No, masz rację - przyznał i spróbował łagodnym ruchem odsunąć Helenę na bok. - Musimy iść - powiedział, patrząc jej w oczy.

Wydawało się, że w jednej chwili uszło z niej powietrze.

Rozplakała się. Trish zdążyła już oddalić się o krok, ale Tom nie ruszył się z miejsca.

-Co się stało? - spytał.

Helena nie zrozumiała.

Tom rozłożył otwarte dłonie.

-O co chodzi?

-Człowiek... martwy - powiedziała, nie mogąc powstrzymać łez.

Rozdział 2

Helena chwyciła Toma pod ramię. Trish nie ruszyła się z miejsca; stała kręcąc głową i nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. W końcu rzekła po prostu:

-Zobaczymy się w biurze - i odeszła.

Tom obejrzał się za nią, a potem obrócił w samą porę, by uniknąć zderzenia z przechodniem. Razem z Heleną

uskoczyli w prawo. Po chwili wyrwał ramię z jej uścisku.

-Dokąd idziemy? - spytał.

Spojrzała na niego bez słowa.

Skręcili w prawo, z Mile End Road w Vallance Road.

Przeszli jeszcze czterdzieści pięć metrów, nim znowu odbili w prawo, w wąski zaułek zwany Durrell Place. Teraz dopiero Tom naprawdę zaczął się martwić i zastanawiać, czy aby na pewno słusznie postąpił. Wreszcie ujrzał przed sobą szyld: Galeria sztuk pięknych Berrick i Price. Znał tę nazwę z artykułu w „GQ”.

Helena przyspieszyła. Dogonił ją dopiero u drzwi galerii.

Witryna miała osiem metrów szerokości i w całości zakryta była od wewnątrz zasłonami. Na szkle widniały srebrne litery osobliwych kształtów - będących jakby krzyżówką czcionek Bank Gothic i Marlett, o masywnych sylwetach i wąskich szeryfach - układające się w nazwę galerii. Drzwi

10

były uchylone, a z wnętrza dolatywała ledwie wyczuwalna woń nieświeżego alkoholu oraz kadzidła.

-O co chodzi? - Tom rzucił torbę na podłogę przy wejściu.

Helena wskazała na wnętrze.

-Kim jesteś? - spytał.

Przez chwilę wyglądała na dezorientowaną, a potem dotknęła palcem piersi.

-Ja? Sprzątaczką. - Po chwili znowu wskazała na wnętrze galerii. - Człowiek, martwy.

-Martwy? Jesteś pewna?

Skinęła głową.

Przyszło mu do głowy, że powinien zadzwonić na policję, ale zwyciężyła ciekawość. Skoro przyszedłem za nią aż tutaj, pomyślał, to dlaczego miałbym się teraz wycofać? Jakąś cząstkę jego duszy ogarnęło nagłe podniecenie.

-Gdzie?

Helena skinęła głową w stronę drzwi.

Tom odetchnął głęboko.

-W porządku. Zaczekaj tu.

W korytarzu panował mrok, ale łukowate przejście po prawej stronie prowadziło do niewielkiego, dobrze oświetlonego pomieszczenia tuż za szybami wystawy. Kiść mocnych halogenowych reflektorków wisiała pod sufitem.

Ściany salki zdobiły wielkie płótna, będące w istocie jednokolorowymi plamami ciemnej zieleni i ciemnej purpury.

Pod każdym z nich ustawiono błyszczącą chromem i skórą kanapę projektu George'a Nelsona. W przeciwległej ścianie widać było kolejne łukowato sklepione przejście, a za nim

większą salę wystawową.

Tom ruszył w jej stronę, zawahał się lekko na progu, a potem wszedł do środka. I tu źródłem światła były mocne halogeny, umieszczone rzędem pod sufitem. Pośrodku sali

11

ulożono osobliwą instalację: plątaninę plastiku i stali, utworzoną przez metalową matrycę przebitą licznymi, kanciastymi wyrostkami. Tom odwrócił się w lewo, by przyjrzeć się temu, co w pierwszej chwili wziął za inne dzieło artysty. Zrobił krok w stronę drugiej instalacji i zamarł, czując, że jeżą mu się włosy na karku. W ustach mu wyschło, a strach ścisnął mu żołądek.

Przez kilka długich chwil Tom Seymour nie potrafił dopasować tego, co widzi, do swojej wizji wszechświata. To po prostu nie miało sensu, było zbitką niedorzeczności, nijak nie mieściło się w modelu „normalnego życia”. Akceptacja przyszła nagle, a wraz z nią nagły skurcz w brzuchu. Wybiegł z sali, wymiociny rozbryznęły się po drogim parkiecie i połach jego pięknego płaszcza projektu Yohjiiego Yamamoto.

Rozdział 3

Stepney, posterunek policji przy Brick Lane

Detektyw główny inspektor Jack Pendragon właśnie włączał ekspres do kawy, stojący na komodzie w głębi jego gabinetu, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Jedno spojrzenie na matową szybę pozwoliło mu rozpoznać sylwetkę Jeza Turnera, jednego z podległych mu sierżantów. Powróciwszy do napełniania wodą naczynia ekspresu, zawołał:

-Proszę wejść, sierżancie.

Wcisnął guzik i maszyna rozpoczęła swój koncert - najpierw rozległ się głośny pisk, a potem odgłos miażdżenia ziaren. Pendragon odwrócił się i ujrzał wyraz podniecenia malujący się na twarzy Jeza.

-No, Turner, cóż to za wielkie nowiny?

Sierżant był wysokim i szczupłym dwudziestotrzylatką. Gustował w garniturach znanych projektantów, które z wielką wprawą wynajdował na wyprzedazach i kupował za pieniądze zarobione w pobliskim klubie, gdzie nocami pracował jako DJ. Tego dnia miał na sobie granatowy dwurzędowy garnitur Emporio Armani, błękitną koszulę oraz żółty krawat ozdobiony wąską, złotą spinką. Z włosami zaczesanymi do tyłu z wydatną pomocą brylantyny, ze swymi wysokimi kośćmi policzkowymi i wielkimi, ciemnymi

oczami wyglądał na gangstera z lat dwudziestych.

13

-Sir, właśnie dostałem meldunek z centrum zgłoszeniowego. Morderstwo w naszym rejonie. Galeria sztuki przy Durrell Place.

-Berrick i Price?

-Jeszcze nie wiem, szefie.

-Na pewno. To jedyna galeria w tej okolicy - powiedział Pendragon, jakby do siebie.

Zdjął z haczyka wbitego obok drzwi płaszcz i szalik, po czym bez słowa przecisnął się obok Turnera i wyszedł na korytarz.

Przy biurku w holu panował rozgardiasz: dyżurny sierżant Jimmy Thatcher właśnie starał się skuć młodzieńca w skórzanej kurtce i martensach, a od strony najbliższego pokoju nadbiegał z pomocą inny sierżant, Terry Vickers. Młodzieniec wił się energicznie, ale Thatcher, potężnie zbudowany gliniarz, który cztery wieczory w tygodniu spędzał na przerzucaniu żelastwa w pobliskiej siłowni, nie zamierzał wypuścić go z rąk. Po chwili obrócił go, ukazując Pendragonowi osobliwy tatuaż: twarz zatrzymanego pokrywała pajęczna sieć, a skronie szpecił wizerunek dwóch niebieskich pajaków. Mężczyzna warczał wściekle, raz po

raz klnąc z pasją.

Wydał z siebie pełen furii okrzyk, gdy sekundę później Vickers stanął za jego plecami i z całej siły wykręcił mu prawą

rękę do góry. Dwaj policjanci ujęli skutego młodzieńca pod ramiona i wspólnymi siłami poprowadzili w stronę aresztu.

- Witamy w środowy poranek - mruknął Pendragon w stronę Jeza, gdy ustępowali z drogi dwóm sierżantom i ich podopiecznemu. Na jego ponurej dotychczas twarzy pojawił się na chwilę cyniczny uśmiech.

Gdy minęli próg posterunku, uderzył w nich podmuch lodowatego wiatru.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął sierżant Turner.

14

Pendragon zignorował ten wybuch i szczerze osłoniwszy policzki kołnierzem, ruszył energicznym krokiem w stronę najbliższego wozu. Chwilę później usłyszeli za sobą jeszcze jedno trzaśnięcie drzwiami: inspektor Rob Grant i sierżant Rosalind Mackleby także zbiegali po schodach w kierunku parkingu.

Pendragon usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Rozległ się głos spikerki czytającej wiadomości na kanale Radio Four:

-W ciągu nocy nastąpiło gwałtowne pogorszenie pogody w całym kraju. W niektórych regionach na południowym wschodzie spadło dziesięć centymetrów śniegu; bardzo trudne warunki panują w Londynie, który nawiedziła nad ranem burza śnieżna. Załamanie pogody wywołało liczne zakłócenia w komunikacji. Zamknięto wszystkie większe porty lotnicze oraz...

Pendragon wyłączył radio w chwili, gdy Turner dopinał pas bezpieczeństwa. Wrzucił wsteczny i ostrożnie wycofał po mokrym śniegu. Czując, że oponom brakuje przyczepności, zaczął jeszcze delikatniej operować pedałem gazu. Brick Lane zmieniła się nie do poznania. Brudną szarość i odcienie brązu przesłoniła biel.

-Pozytywnie dickensowski pejzaż - rzekł Pendragon do swego sierżanta, z nutą sarkazmu w głosie.

Jakby w zwolnionym tempie mijali inne samochody, sunące niepewnie z włączonymi reflektorami i niezmodernizowanymi pracującymi wycieraczkami. Chodnikami maszerowały postacie w grubych płaszczach i czapkach, z rękami w kieszeniach, pochylając głowy, by choć trochę osłonić twarze przed wiatrem. Potężne podmuchy niosły śnieg niemal poziomo.

Pendragon znalazł lukę w strumieniu pojazdów jadą-

cych przecznicą i włączył policyjny wóz do ich ślimaczego

15

pochołu. Ogrzewanie pracowało pełną parą, a wycieraczki pracowicie żłobiły półkoliste prześwity w śniegu zasypującym przednią szybę. Samochód jadący przed nimi zahamował nagle i w białym тумanie rozbłysły jego czerwone światła. Pendragon wcisnął pedał w podłogę, ale wóz toczył się dalej, praktycznie niezmiennym tempem. Skręcił kierownicę i zaczęli ślizgać się bokiem, by zatrzymać się kilkanaście centymetrów przed krawężnikiem. Silnik umilkł. Pendragon zaciągnął ręczny hamulec i bez przekonania spróbował uruchomić rozrusznik. Bezskutecznie.

-Dobra, idziemy - mruknął zrezygnowany i wyszarpanął kluczyk ze stacyjki.

-Niby dokąd?

-Do galerii, to chyba jasne?

Mieli do przejścia niedużą odległość, lecz mimo to, nim dotarli do Durrell Place, Pendragon zdążył stracić czucie w palcach rąk i nóg. W chwili, gdy wraz z Turnerem mijął próg galerii, w wąskiej bocznej uliczce wyhamował - z długim poślizgiem na świeżym śniegu - wóz inspektora Granta i sierżant Mackleby.

Pendragon otrzepał buty i na drewnianej podłodze wy-

lądowała porcja zmrożonego błota. Rozpiął kołnierz płaszcza i rozejrzawszy się, spostrzegł bladego młodzieńca, wysokiego i żyłastego, przyciskającego do ciała skórzaną torbę, która wisiała na jego lewym ramieniu. Mężczyzna siedział na metalowym krześle. Mimo chłodu na jego twarzy perliły się krople potu. Miał na sobie garnitur i koszulę z odpiętym kołnierzem. Na podłodze u jego stóp leżał zwinięty płaszcz. Obok mężczyzny stała niewysoka, ciemnowłosa kobieta. Pewnie ma dwadzieścia parę lat, pomyślał Pendragon, ale wygląda na dziesięć lat starszą. Wschodnioeuropejskie rysy. Miała na sobie tanie dzinsy i burą kurtkę, zdecydowanie zbyt cienką na taką pogodę. Mężczyzna wstał.

16

-Detektyw główny inspektor Pendragon - przedstawił się policjant, a potem skinął, głową w stronę Jeza. -I sierżant Turner.

Młody mężczyzna wyciągnął rękę na powitanie.

-Tom Seymour.

Pendragon popatrzył na kobietę. Stała ze wzrokiem wbitym w podłogę, z rzadka tylko nerwowo zerkając na policjantów.

-Helena Łuczenko - powiedziała.

-To pan do nas dzwonił? - spytał Pendragon, przeno-

sząc spojrzenie na Seymoura.

Mężczyzna skinął głową.

-Szedłem właśnie w stronę stacji metra, kiedy ta pani...

Helena... zatrzymała mnie i poprosiła o pomoc. - Urwał, by otrzeć pot z czoła i odetchnąć głośno. - A potem... przyprowadziła mnie tutaj.

-Ja sprzątaczką - wtrąciła Helena. - Znaleźć martwy człowiek.

-Świetnie - mruknął Pendragon i spojrzał na Turnera, by się upewnić, czy spisuje zeznania. Sierżant notował z zapalem, trzymając w dłoniach notes i ołówek. - Gdzie zwłoki?

Tom Seymour łypnął oczami w stronę łukowato sklepionego przejścia.

-Tam, w głównej sali.

Pendragon odwrócił się i ujrzał w drzwiach galerii Roberta Mackleby i Roberta Granta.

-O - ucieszył się. - Sierżant Mackleby, mam wrażenie, że tym państwu dobrze by zrobiła filiżanka herbaty - powiedział, ruchem głowy wskazując na korytarzyk, na którego końcu widać było sprzęty wypełniające niewielką kuchnię. - Inspektorze Grant, proszę z nami.

Trzej policjanci przemierzyli hol, ignorując ogromne

płótna na ścianach oraz kosztowne meble. Pendragon jako pierwszy minął drugi łuk i wkroczył do głównej sali. Zmierzył wzrokiem przeciwległą ścianę, a potem obrócił się w lewo i niespiesznie ruszył po drewnianej podłodze. Na krześle, ku któremu się kierował, siedział martwy mężczyzna. Dłonie trzymał na kolanach, a za jego plecami umieszczono tyczkę, która utrzymywała korpus w pionie. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę, czerwony krawat oraz czarny melonik, pod którym widać było cieniutką linkę mocującą głowę do tyczki, by nie opadła pod własnym ciężarem. W twarzy mężczyzny wycięto otwór o średnicy kilkunastu centymetrów, tworzący tunel przez całą głębokość głowy. Spoczywało w nim błyszczące zielone jabłko.

Rozdział 4

Pendragon odwrócił się i zobaczył trupio blade oblicze Turnera oraz wykrzywioną twarz Granta, który robił wszystko, by zapanować nad odruchem wymiotnym.

-W porządku, panowie - rzekł z kamienną twarzą i tylko w jego ciemnoniebieskich oczach można było dostrzec ślad emocji. - Zamykamy budynek. I nie chcę, żeby... Sierżancie? Jest pan tu?

Jez Turner jak urzeczony wpatrywał się w miejsce zbrodni, jakby zupełnie nie pojmował tego, co tu zaszło, a jednocześnie czuł przemożne obrzydzenie.

-Sierzancie! - powtórzył głośniejszym głosem Pendragon i pomachał dłonią tuż przed oczami Jeza.

-Przepraszam. Przepraszam, szefie, ja tylko...

-Proszę zawiadomić posterunek o sytuacji, zwłaszcza superintendent Hughes. No już! Na świeże powietrze. Trzeba zamknąć całą uliczkę. Niech mi tu nikt nie wchodzi, zwłaszcza dziennikarze. Media będziemy trzymać z dala od tej sprawy tak długo, jak długo się da, jasne?

Turner skinął głową i ruszył w stronę wyjścia. Pendragon spojrzął na inspektora Granta, gładząc dłonią czoło i krótkie, szpakowate włosy.

-Trzeba natychmiast sprowadzić techników krymina-

19

listycznych. Proszę zadzwonić do doktor Newman. I niech sierżant Mackleby zawiezie na posterunek Seymoura i Łuczenko. Mają jak najszybciej złożyć oficjalne zeznania.

Inspektor Grant jeszcze przez moment wpatrywał się w niego, a potem bez słowa odwrócił się i wyszedł. Pendragon odprowadził go wzrokiem i już miał powrócić do makabrycznej scenerii morderstwa, gdy z korytarza wychynął

medyk sądowy, doktor Neil Jones. Niski, brzuchaty i brodaty, ubrany w zielony plastikowy kombinezon ochronny, niósł w dłoni - zabezpieczonej lateksową rękawiczką - szarą plastikową walizeczkę. Gdy sześć miesięcy wcześniej spotkali się po raz pierwszy, po tym jak Pendragon objął posadę przy Brick Lane, Jones wydał mu się uderzająco podobny do krasnoluda Gimlego z Władcy Pierścieni. Pendragon naturalnie zachował to spostrzeżenie dla siebie.

Jones kiwnął głową na powitanie i delikatnym ruchem odsunął detektywa na bok, by móc się dokładnie przyjrzeć okaleczonym zwłokom.

-A niech to - mruknął mniej więcej tak przejęty, jakby przeglądał wyniki meczów piłkarskich w niedzielnej gazecie. - Nadzwyczajne - dodał, wodząc palcem wzdłuż krawędzi otworu, który niegdyś był ludzką twarzą. - Moim zdaniem, Pendragon, ofiara zdecydowanie nie żyje - oznajmił po chwili, nie przerywając oględzin.

Główny inspektor nie zareagował. Zdążył już przywyknąć do niekonwencjonalnego poczucia humoru Jonesa i wie-

dział doskonale, że najlepiej będzie zignorować żart i pozwolić specjalistom w spokoju pracować.

-Proponuję, żeby zostawił nas pan samych. Musimy

się lepiej poznać - dodał Jones, ruchem głowy wskazując na zwłoki.

Pendragon wycofał się wyrozumiale i ruszył w stronę holu. Gdy wychodził z sali, spostrzegł inspektora Granta,

który starał się zatrzymać wysokiego czarnoskórego mężczyznę w sięgającym kostek kaszmirowym płaszczu koloru ostrygi. Nieznajomy usiłował wejść do holu.

-Na miłość boską, inspektorze, to moja galeria! - rzucił wreszcie. Akcent zdradzał jego staranne wykształcenie i klasę. Mężczyzna górował nad Grantem o dobrych piętnaście centymetrów.

-Inspektorze - odezwał się Pendragon. Grant odwrócił się i, widząc minę przełożonego, przepuścił rosłego przybysza. - Główny inspektor Pendragon - przedstawił się Jack. - Pan jest właścicielem galerii?

Mężczyzna stanął przed nim i przez chwilę z natężeniem patrzył mu prosto w oczy.

-Jackson Price - odpowiedział wreszcie. - Jestem współwłaścicielem, do spółki z Kingsleyem Berrickiem. Co się tu dzieje, u diabła?

-Zechce pan spocząć?

-Nie. Niby po co?

-Obawiam się, że mam złe...

-Co się stało? - wtrącił Price, a potem, nim Pendragon zdążył go zatrzymać, ruszył w stronę łukowatego przejścia i wkroczył do głównej sali.

-Gdyby zechciał pan jednak...

Price zrobił trzy kroki w głąb galerii, a potem znieruchomiał, wpatrzony w straszliwą scenę. Po chwili opadł na kolana, ukrył twarz w dłoniach i zaczął kołysać się miarowo w przód i w tył.

Rozdział 5

Pięć minut później Jackson Price siedział już na jednej ze skórzanych kanap w holu, ściskając w dłoniach kubek parującej herbaty miętowej. Nie wypowiedział nawet jednego słowa, odkąd wszedł do głównej sali; teraz siedział nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń. Pendragon zajął miejsce na drugim końcu długiej kanapy i w milczeniu studiował profil Price'a. Był to przystojny mężczyzna: jego starannie wygolona głowa lśniła, hebanowa skóra wyglądała na jędrną, kości policzkowe były mocno, acz proporcjonalnie zarysowane, a rzęsy - nadzwyczaj długie. Bez trudu mógł uchodzić za gwiazdę kina lub impresaria. Byli sami w holu, ale z sali raz po raz dobiegały odgłosy towarzyszące pracy

Jonesa, który kontynuował badanie zwłok.

-Zdaję sobie sprawę, że to niezmiernie trudny moment - zaczął wreszcie Pendragon - ale... czy zmarły był pańskim znajomym?

Price wolno odwrócił ku niemu twarz bez wyrazu, jakby pytanie dopiero zaczęło do niego docierać.

-To Kingsley Berrick - odpowiedział w końcu, cichym, monotonnym głosem. - Mój partner w interesach. Ma charakterystyczną bliznę na brodzie, o, tutaj. - Wskazał na

22

miejsce tuż pod dolną wargą, po czym skierował wzrok ku obrazom wiszącym na przeciwległej ścianie.

Pendragon skinął głową.

-Kiedy po raz ostatni widział go pan żywego?

Tym razem mężczyzna spojrzał na niego nieco przytomniej. Odetchnął głęboko i wziął mały łyk gorącego napoju.

-Ostatniej nocy, podczas prywatnego wernisażu.

-Opowie mi pan więcej o tej imprezie?

-Przygotowaliśmy retrospekcję Luke'a Martina. Widzi pan te wielkie płótna? - Ruchem głowy wskazał na turkusową płachtę przesłaniającą większą część ściany. - Co bardziej prostacy pismacy nazywają go „angielskim Markiem Rothko”. To absurd, ma się rozumieć. - Właściciel galerii

zaciągnął się miętowym aromatem i upił kolejny łyk herbaty. - Tak czy inaczej, odnieśliśmy sukces. Dziennikarze byli zachwyceni. Gościliśmy nawet członków rodziny królewskiej, choć przyznaję, że z niewłaściwej strony drzewa genealogicznego - dodał i machnął ręką. - Do tego parę gwiazd rocka, starszych i młodszych. Wpadł też Casper Hammond, w drodze do hotelu, prosto z samolotu z Hollywood. .. podobno. Ale najlepsze było to, że przed dwudziestą pierwszą sprzedaliśmy wszystkie prace.

-A pan Berrick?

Jackson Price wbił wzrok w swą herbatę. Milczał. Wcześniej przez kilka chwil wydawało się, że przeniósł się do alternatywnej rzeczywistości, w której nie wydarzyło się nic tragicznego. Teraz jednak znowu musiał stawić czoło ponurym faktom.

-O, Kingsley był w fantastycznym humorze - odrzekł cicho. - Wcześniej strasznie się denerwował. Taki już był: wiecznie się o coś martwił. A ja mówiłem mu nieraz, mówiłem tysiąc razy, że te nerwy kiedyś go zabiją...

23

-Panie Price, czy Kingsley Berrick miał jakichś wrogów?

-Wrogów? - powtórzył Price i potrząsnął głową. - To kompletnie niedorzeczna myśl, inspektorze. Wszyscy ko-

chali Kingsleya.

Pendragon postanowił zmienić taktykę.

-Widział pan ostatniej nocy, jak pan Berrick wychodził?

-Owszem, widziałem. Było późno... niech pomyślę...

pewnie koło pierwszej. Niewielu nas pozostało. Wyszedł z Normanem.

-Z Normanem?

-Z Normanem Hedridge'em, swoim partnerem. No, byłem partnerem. Nadal się przyjaźnili, ale nie byli już parą.

-Rozumiem. Czy pan Berrick mówił, dokąd się wybierali?

-Do domu.

-Kto został z panem w galerii?

Price znowu spojrział w głąb swego kubka i napił się herbaty, zanim odpowiedział.

-Chester i Selina. Tak, tylko oni. Było nas troje.

-Co było potem?

-Zostaliśmy, żeby trochę pogawędzić. Selina wyszła pierwsza, potem Chester. A ja uruchomiłem alarm i poszedłem do domu.

-Czy ktoś był świadkiem tego, co pan robił po opuszczeniu galerii?

Przez moment Price wyglądał na wystraszonego.

-Moja matka jeszcze nie spała. Mieszkamy razem.

-O tej porze była jeszcze na nogach?

-Ona też lubi się martwić.

Pendragon zrobił krótką pauzę przed kolejnym pytaniem.

-W jaki sposób weszła tu sprzątaczką?

-Sprzątaczką?

24

-Ta kobieta z Europy Wschodniej - wyjaśnił inspektor i umilkł, szukając w pamięci nazwiska. - Helena Łuczenko.

-Ach, tak. - Price umoczył usta w herbacie. - Nad galerią mieszka para studentów. Płacimy im za wpuszczenie i wypuszczenie sprzątaczką dwa razy w tygodniu. Ja zwykle nie pojawiają się tu przed dziesiątą. - Uśmiechnął się po raz pierwszy, błyskając białymi zębami. - Ale chyba nie sądzi pan, że sprzątaczką...?

Pendragon zignorował pytanie.

-Dziękuję. Domyślałam się, że jest pan zszokowany tym, co się wydarzyło. Później jednak będziemy musieli odbyć dłuższą rozmowę... Rozumie pan, prawda?

Price odpowiedział mu pustym spojrzeniem. Wydawało się, że jeszcze coś powie, ale zmienił zdanie. Skinął głową i znowu skupił uwagę na kubku miętowej herbaty.

Rozdział 6

Pendragon ruszył korytarzykiem w stronę kuchni, gdzie Mackleby i Grant towarzyszyli Tomowi Seymourowi i Helenie Łuczenko.

-Będą państwo musieli odwiedzić posterunek i złożyć szczegółowe zeznania - oznajmił, zwracając się do świadków.

Helena była wyraźnie zaniepokojona; Tom Seymour tylko skinął głową.

-Dzwoniłem już do pracy, żeby uprzedzić, że nie przyjdę - powiedział.

-To dobrze. Inspektor Grant i sierżant Mackleby odwiozą państwa na posterunek...

-Ale proszę pana, ja nic zrobić! - wykrzyknęła Helena Łuczenko. Z jej szeroko otwartych oczu wycierał strach.

Pendragon zdobył się na przelotny uśmiech.

-Spokojnie - rzekł łagodnie. - O nic pani nie oskarżamy.

-Ale... - wyjąkała w panice - moja praca... muszę skończyć...

Zanim Pendragon zareagował, Roz Mackleby zbliżyła się do Heleny i delikatnie ujęła ją pod łokieć.

-My naprawdę nie gryziemy - oznajmiła z emfazą.

26

Główny inspektor odwrócił się w chwili, gdy na progu kuchni stanął sierżant Turner.

-Uliczka zamknięta, szefie - powiedział. - A technicy właśnie zameldowali, że są o parę minut stąd.

-Świetnie. Sierżancie, niech pan sporządzi z pomocą pana Price'a pełną listę gości wczorajszego wieczoru. Oczekuję szczegółowego zeznania, obszernych wyjaśnień na temat charakteru imprezy oraz nazwisk osób, które się pojawiły... i które się nie pojawiły. Proszę się dowiedzieć, czy wydarzyło się coś nieoczekiwanego; interesuje mnie każdy detal, który uda się wycisnąć z pana Price'a. Spotkamy się na posterunku.

-Wraca pan pieszo?

-Przewietrzę mózg.

Nim wyszedł z galerii, Pendragon minął jeszcze Jacksona Price'a, wciąż siedzącego w holu, a potem skinął głową, przechodząc obok mundurowego, który trzymał straż przy wejściu do głównej sali. Policyjny fotograf właśnie rozstawiał statyw, by uwiecznić ofiarę morderstwa za pomocą cyfrowego aparatu fotograficznego. Jones klęczał przed zmarłym, z uwagą przyglądając się jabłku umiesz-

czonemu w makabrycznym tunelu w samym środku głowy Kingsleya Berricka.

-Pierwsze wrażenia? - zagadnął Pendragon.

Elektroniczne trzaski, które dobiegły z za jego pleców, oznaczały, że fotograf wykonał próbną serię zdjęć.

Jones wstał.

-To odmiana Granny Smith, inspektorze.

-Doktorze Jones...

-Dobrze już, dobrze - przerwał mu Jones, unosząc rękę. - Cóż mogę powiedzieć? Mężczyzna, po pięćdziesiątce, przeciętnego wzrostu, przy kości. Odgadywanie przyczyny zgonu nie ma najmniejszego sensu. Muszę przewieźć

27

ciało do laboratorium; w tej chwili mogę tylko powiedzieć, że śmierć nastąpiła nie więcej niż osiem godzin temu. Zwłoki są tak sztywne, że już nie potrzebują tej tyczki. Choć oczywiście umieszczono je w tej pozycji, gdy były całkiem wiotkie.

-W porządku. Technicy kryminalistyczni są już w drodze. Postaram się, żeby wydano panu ciało, gdy tylko będzie to możliwe.

Pendragon wyszedł na Durrell Place w chwili, gdy doktor Colette Newman, szefowa Działu Kryminalistyki Policji

Metropolitalnej, wysiadła z białej furgonetki stojącej tuż za wozem Granta i Mackleby. Ruszyła ku niemu, dźwigając okazałą plastikową walizę, podobną do tej, którą przywiózł Jones.

-Pan inspektor - powiedziała na powitanie, ze swym charakterystycznym, nieco staromodnym akcentem. Pendragon poznał ją latem, gdy razem pracowali nad sprawą kilku tajemniczych otruc, które, jak się okazało, były dziełem szalonego seryjnego mordercy. Doktor Newman odegrała ważną rolę w zebraniu poszlak, dzięki którym udało się ustalić tożsamość sprawcy. Pendragon miał dość czasu, by się przekonać, że blondynka po trzydziestce błyszczy nie tylko urodą, ale i byстрыm intelektem oraz dowcipem. Szanował ją i lubił.

-Doktor Newman - odpowiedział. - Przykro mi, że wyciągam panią z ciepłego laboratorium, ale... cóż... - Ruchem głowy wskazał za siebie, na galerię sztuki. - Jestem pewny, że z zawodowego punktu widzenia będzie pani żywo zainteresowana.

-Fantastycznie - odrzekła z uśmiechem i minąwszy policjanta, ruszyła pospiesznie ku drzwiom galerii.

28

Pendragon nie był do końca szczery gdy informował Tur-

nera, że zamierza przewietrzyć mózg. Rzeczywiście, chciał otrząsnąć się nieco po porannym horrorze, ale także przeanalizować i uporządkować fakty, by spróbować dostrzec w nich jakiś trop.

Wiedział, że to nigdy nie jest łatwe. Widywał już trupy dzieciaków wyciągane z dna jeziora, widywał poćwiartowanych staruszków leżących na kwiecistych dywanach w swych małych mieszkanekach. I nie, nigdy nie było łatwo. Znalazł jednak sposób, by jakoś sobie z tym radzić: amerykańscy psychoterapeuci zapewne nazwaliby ten proces „kompartmentalizacją”. Jednakże piękne słowa nie znacząłyby nic, gdyby naprawdę nie umiał rozbić problemu na części. Czasem było to trudne, a wtedy tylko wielkim wysiłkiem woli udawało mu się zachować kamienny spokój w obliczu podwładnych.

Pendragon miał za sobą ćwierć wieku służby policyjnej, ale przypadek Kingsleya Berricka był niewątpliwie najbardziej dziwnym, z jakim miał do czynienia. Zwłoki znalezione w galerii zasługiwały na miano, które kiedyś zasłyszał: trup na pokaz. Ktoś nie tylko zabił człowieka, ale także zapragnął przedstawić go jako coś innego, zaskakującego. Pendragon natychmiast odgadł, że miejsce zbrodni zaaranżowano na podobieństwo słynnego obrazu

René Magritte'a zatytułowanego Syn człowieczy - jednego z bardziej znanych dzieł surrealistycznych, przedstawiającego mężczyznę w meloniku, z zielonym jabłkiem lewitującym na wysokości twarzy. Ale jaka myśl powodowała mordercę? I jak dokonał swego dzieła? Na razie Pendragon wiedział tylko tyle, że nieprędko uda mu się sformułować odpowiedzi na te pytania.

Śnieg wreszcie przestał padać, a niedawno zamiecione chodniki były pokryte jego cienką warstewką, szybko

29

zamieniającą się w błoto. Pendragon zbliżał się do końca uliczki: do ruchliwej zazwyczaj Vallance Road, która teraz była osobliwie pusta.

Zatrzymał się na światłach przy skrzyżowaniu z Mile End Road. Otaczał go gęstszy niż zwykle tłum przechodniów; najwyraźniej tego ranka wiele samochodów pozostało w garażach. Po drugiej stronie ulicy widać było rozległą, monolityczną bryłę wiktoriańskiego Royal London Hospital. Śnieg osiadł na parapetach okiennych i gzymsach nad łukami, za którymi zaczynał się labirynt połączonych budynków. Białe akcenty nie wystarczały jednak, by złagodzić surowy zarys bryły szpitalnego kompleksu.

Pendragon skręcił w prawo i włączył się w strumień lu-

dzi ubranych w puchowe kurtki, anoraki, imitacje rosyjskich uszanek oraz szaliki w stylu doktora Who. Zauważył, że służbowy wóz Granta i Mackleby skręca z Vallance Road, hamuje przed przejściem dla pieszych, a potem wolno przyspiesza w kierunku zachodnim - ku Brick Lane, odległej może o pół kilometra. Nad oparciem tylnego siedzenia z trudem dostrzegł zarys głów niecodziennej pary: Heleny Łuczenko i Toma Seymoura.

Rozdział 7

Były partner Kingsleya Berricka, Norman Hedridge, okazał się wyjątkowo trudny do namierzenia. Jackson Price wprawdzie przekazał Turnerowi numer jego telefonu, ale uprzedził, że niełatwo będzie sprowadzić go na posterunek i przesłuchać. Dopiero gdy Turner zadzwonił pod wskazany numer i uzyskał połączenie z sekretarką Hedridge'a, zrozumiał, na czym polega trudność.

-Hedridge jest deputowanym Europarlamentu - oznajmił, wchodząc do gabinetu Pendragona. - W tej chwili przebywa w Brukseli; odleciał dziś wczesnym rankiem.

-W takim razie trzeba będzie go zmusić, żeby wrócił pierwszym pociągiem, nieprawdaż, sierżancie?

-Jakiś problem? Usłyszałam coś o deputowanym - po-

wiedziała Jill Hughes, zagładając do pokoju. Spojrzała pytająco na Pendragona siedzącego przy komputerze i na Turnera, który przysiadł na krawędzi biurka.

-Dzień dobry pani - odpowiedział uprzejmie główny inspektor. - Rozmawiamy o kimś, kogo musimy czym prędzej przesłuchać. Być może była to ostatnia osoba, która widziała ofiarę przy życiu.

Hughes знаła sprawę od półgodziny, kiedy to Mackleby i Grant wrócili na posterunek.

31

-Mówi pan o Normanie Hedridge'u, jak sądzę? - spytała, patrząc spokojnie w oczy Pendragona.

Była twardym szefem, a także - w wieku lat trzydziestu trzech - jednym z najmłodszych superintendentów w kraju.

Pełna rezerwy, niekiedy trochę wyniosła, była jednocześnie wystarczająco doświadczona, by pewną ręką kierować solidną i lojalną ekipą policjantów z Brick Lane.

Inspektor skinął głową.

-Rozmawiałam już z komisarzem na ten temat.

-Naprawdę? - Pendragon spojrzał na Hughes, a potem na Jeza. - Złaż z mojego biurka - warknął i całkiem spokojnie zwrócił się do szefowej: - To chyba dobrze, prawda?

-W pewnym sensie. Otóż pan Hedridge jest przyjacielem komisarza Ramptona i...

-To ciekawe, że VIP-y prawie zawsze z kimś się przyjaźnią - wpadł jej w słowo Pendragon.

Turner parsknął śmiechem.

Hughes spojrzała na nich z urazą i sierżantowi natychmiast zrzędała mina.

-Możliwe, że tak właśnie jest - powiedziała. - Ja tylko mówię, a nawet proszę: niech pan działa ostrożnie. - Z tymi słowy zniknęła w korytarzu.

Pendragon pokręcił głową.

-Sieć znajomości nigdy nie zawodzi. No dobra, Turner, zatem dostał pan od Price'a listę gości?

-Tak jest. Zjawiło się ponad dwieście osób. Stary Kingsley Berrick miał cholernie dobre kontakty.

-Nie wątpię. Dwustu gości? Wszystkich nie przesłuchamy, to pewne, ale Berrick musiał mieć jakąś węższą grupę przyjaciół.

-Siatkę gejowskich artystów?

32

-Być może, sierżancie, skoro nie ma lepszego określenia.

-I wypada zacząć od Normana Hedridge'a?

-W rzeczy samej.

Deputowany Parlamentu Europejskiego Norman Hedridge dotarł na posterunek policji przy Brick Lane dopiero o piętnastej trzydzieści. Kierowca przywiózł go-w towarzystwie adwokata - pod same schody przed głównym wejściem. Konstabl, który na nich czekał, poprowadził ich korytarzem wprost do pokoju przesłuchań numer 2. Pendragon wstał, gdy weszli. Hedridge miał około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu; był masywny i opalony, a białe włosy utrzymywał w jakże modnym, pozornym nieładzie. Marynarkę prążkowanego garnituru ukrywał pod kurtką marki Barbour. Jego adwokat przedstawił się jako Maurice Strinner z kancelarii Faversham, Strinner & Wrench. Pendragon znał tę firmę, bo nazwiska trzech wspólników często pojawiały się w serwisach informacyjnych - zwykle bywali prawnymi przedstawicielami tak zwanego „establishmentu”. Strinner był niewysokim jego-nością po czterdziestce. Miał bulwiasty nos pijaka, oczy w kolorze wodnistego błękitu oraz słabo zarysowane usta. Zwróciwszy się w uprzejmej pozie ku swemu klientowi, przedstawił go jako członka Europarlamentu Normana Hedridge'a. Pendragon podał rękę obu przybyłym, a potem usiedli przy stole. Po chwili wszedł Turner i zajął miejsce na krześle, które postawił obok swego szefa.

Atmosfera była raczej napięta. Inspektor spojrział na Hedridge'a, który wbijał nieruchome spojrzenie w ścianę pomiędzy dwoma policjantami, i dopiero w tym momencie jego umysł dokonał połączenia wizerunku i nazwiska.

33

Norman Hedridge. Ależ tak, pomyślał. Pamiętam pana eurodeputowanego z Oksfordu. Znałem go, a raczej słyszałem o nim. Jednakże Hedridge wcale nie był świadom istnienia Pendragona, każdy z nich studiował bowiem w zgoła innym Oksfordzie. Pendragon korzystał ze stypendium, co oznaczało, że znajdował się na najniższym stopniu społecznej piramidy - nawet jeśli studenckie życie na początku lat osiemdziesiątych miało uchodzić za przyjemnie egalitarne. Inspektor urodził się niespełna kilometr od posterunku, na którym teraz pracował, a następnie spędził osiemnaście lat życia, włócząc się po okolicznych ulicach. Gdy odkryto w nim nadzwyczajne zdolności do nauki, dyrektor szkoły Stepney High przekonał jego rodziców, by pozwolili mu spróbować sił na egzaminie wstępnym na Oxbridge. Hedridge zaś pochodził z jednej z najbogatszych rodzin w Wielkiej Brytanii. Jego ojciec posiadał rozległe połacie ziemi w Devon i w Kornwalii, a cała rodzina wywodziła się, jak ustalono, od pewnego trzynastowiecznego barona,

który stał u boku syna króla Henryka III, księcia Edwarda, w bitwie pod Evesham. Młody Norman słynął na uczelni z urządzania wyjątkowo efektownych imprez; był liderem studenckiej elity, do której każdy pragnął należeć. Podobno któregoś razu, po letnim balu w Christ Church, znaleziono go nagiego w dmuchanej łódce dryfującego po ozdobnej sadzawce wokół pomnika Merkurego w Tom Quad. Jeden z Buldogów, jak nazywano uniwersytecką „policję”, sprowadził go na brzeg i wręczył mu mandat na kwotę 50 funtów. Ten odparł ponoć: „Dobry człowieku, zapłacę nawet stówę. To było warte każdego pensa!” Teraz jednak, siedząc naprzeciwko Pendragona, Norman Hedridge nie był w tak szampańskim humorze.

- Główny inspektor Jack Pendragon oraz sierżant Jez Turner. Piętnasta czterdzieści dwie. Środa, dwudziesty 34

pierwszy stycznia - zaczął Pendragon, podając dane na użytek cyfrowego rejestratora dźwięku stojącego na końcu stołu. - Deputowany Parlamentu Europejskiego Norman Hedridge z własnej woli postanowił poświęcić swój czas, by odpowiedzieć na pytania dotyczące niedawnego zgonu Kingsleya Berricka. - Umilkł, czekając na reakcję polityka. Po długiej pauzie Hedridge wreszcie oderwał wzrok

od wyimaginowanej plamki na ścianie i omiół detektywa władcym spojrzeniem. - Panie Hedridge - zaczął wolno Pendragon - czy znał pan zmarłego?

-Tak, znałem.

-Jak opisałby pan wasz związek?

-Byliśmy przyjaciółmi - odparł Hedridge, spoglądając twardo na policjanta.

-Przyjaciółmi? Niezwykle bliskimi przyjaciółmi?

Hedridge bez namysłu zwrócił się do Strinnera:

-Nie mam na to czasu.

-Panie inspektorze - zaczął Strinner - mój klient przyjechał, żeby pomóc panom w śledztwie. O ile nam wiadomo, nie został oskarżony, ba, nie jest nawet podejrzany o popełnienie żadnego przestępstwa. Zadawanie takiego pytania jest więc bezzasadne.

-Obaj panowie zdają sobie sprawę z tego, że prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa. Pan Hedridge jest, wedle powszechnego mniemania, bliskim znajomym Kingsleya Berricka. Zdaniem jednego ze świadków, opuścił galerię w towarzystwie ofiary, na krótko przed morderstwem. Niewykluczone, że pan Hedridge jest jedną z ostatnich osób, które widziały ofiarę za życia.

-Sprzeciwiam się takim sugestiom - wycodził chłod-

no Hedridge.

-Ależ ja niczego nie sugeruję.

Przez kilka chwil panowała cisza.

35

-Panie Hedridge - rzekł wreszcie Pendragon - interesuje mnie wyłącznie rozwiązanie tej sprawy Nie interesuje mnie pańskie życie prywatne. Czuję jednak, że pański związek z panem Berrickiem ma związek z tą sprawą. Dlatego też wyrażę się bardzo jasno: czy byli panowie kochankami? Strinner natychmiast zaczął protestować, lecz Hedridge uciszył go, unosząc dłoń, a potem spojrzał Pendragonowi w oczy.

-Nie, nie byliśmy. I jeśli podobne oskarżenia zostaną rzucone publicznie, panie inspektorze, to...

Tym razem to Pendragon uniósł rękę.

-To zaszczuje mnie pan i wylecę z policji? Bla, bla, bla.

Zdaje się panu, że nigdy w życiu nie słyszałem takich pogroźek?

Hedridge zamarł, a Pendragon posłał mu najtwardsze ze swoich spojrzeń, obserwując jednocześnie, jak na twarzy oponenta malują się kolejno zmienne emocje. Po chwili poseł zaprezentował typowo polityczny uśmiech, który zaczynał się i kończył na kącikach ust.

-Doskonale, inspektorze. Doskonale. - W jego głosie pojawił się ledwie wyczuwalny ton akceptacji, jak gdyby Pendragon pomyślnie przeszedł próbę. - Umówmy się, że będziemy unikać aluzji natury seksualnej, a ja zgodzę się odpowiedzieć na wszystkie rozsądnie sformułowane pytania. - Mówiąc to, Hedridge spoglądał na Pendragona tak, jakby chciał mu zasugerować, że nigdy w życiu nie otrzyma korzystniejszej oferty.

-Proszę mi opowiedzieć o wydarzeniach ostatniego wieczoru.

Hedridge przez chwilę wpatrywał się w blat stołu, zbierając myśli.

-Przyjechałem późno, mniej więcej o dziesiątej. Wcześniej byłem w Westminsterze. W galerii było już dość tłoczno. Pogawędziłem trochę ze znajomymi; wypilem kieliszek szampana, może dwa. Kingsley przedstawił mnie paru znajomym artystom. Impreza była dość wesoła i szybko straciłem rachubę czasu. Około pierwszej zostało nas może pół tuzina. Przyznaję, że byłem odrobinę wstawiony.

-I wtedy wyszedł pan z Kingsleyem Berrickiem?

-Tak. Mniej więcej godzinę wcześniej odesłałem do domu kierowcę. Zadzwoniliśmy z galerii po taksówkę.

Kingsley mieszka... mieszkał w Bethnal Green. Podrzuciłem go tam, a potem wróciłem taksówką do domu.

-Rozumiem. I wtedy po raz ostatni widział pan pana Berricka?

-Tak jest.

-Przypomina pan sobie nazwę korporacji taksówkowej?

Hedridge zastanawiał się przez moment.

-Silver Cabs.

Pendragon spojrział na siedzącego obok sierżanta. Jez Turner zdążył już zanotować informację.

-Jak długo znał pan zmarłego?

Hedridge wziął głęboki wdech, oparł łokcie o blat i złożył dłonie.

-Niech pomyślę... chyba z dziesięć lat. Poznaliśmy się przypadkiem, jeszcze w dawnej siedzibie galerii w Shoreditch. Kupiłem tam obraz Gary'ego Heathcote'a. Byłem bardzo wdzięczny Kingsleyowi, że doradził mi tę inwestycję, bo wkrótce płótno bardzo zyskało na wartości.

-Czy pan Kingsley był popularny?

-Nie jestem pewny, czy rozumiem pytanie.

-Towarzyski? Miał spory krąg przyjaciół?

-Tak mi się wydaje. To typowe w tym fachu.

-A czy miał jakichś szczególnych przyjaciół?

-Nie mam pojęcia, inspektorze.

37

-A czy samego siebie nazwałby pan jego szczególnym przyjacielem?

-Do czego pan zmierza? - wtrącił Strinner.

-Staram się odtworzyć obraz kręgu towarzyskiego, w którym obracał się zmarły Czy pański klient ma coś przeciwko temu?

Strinner zerknął na Hedridge'a, który przypatrywał się Pendragonowi lodowatym wzrokiem.

Inspektor odwzajemnił spojrzenie.

-Zacznijmy od innej strony, panie Hedridge. Czy King-sley Berrick miał wrogów?

Przez krótką chwilę polityk wyglądał na wystraszonego.

-Z tego co słyszałem, nie miał, inspektorze. Przyjaźni-liśmy się, ale niewiele mi wiadomo o tym, w jaki sposób prowadził interesy. Szczerze mówiąc, rzadko rozmawiali-śmy o komercyjnym wymiarze świata sztuki.

W pokoju przesłuchań zapadło ciężkie milczenie. Pen-dragon zerknął na Turnera, który coś pilnie notował.

-Mój informator sugerował, że pańskie... stosunki ze zmarłym nieco się ostatnio popsuły. Zechciałby pan to sko-

mentować?

-Nie.

-Panie Hedridge, proszę nie obrażać mojej inteligencji. Mój informator nazwał pana wprost „byłym” pana Berricka.

Hedridge spojrział na niego wściekle, a Strinner już zaczął podnosić rękę.

-To jego słowa, nie moje - dorzucił Pendragon.

-Jackson Price, albo też „pański informator”, skoro tak chce go pan nazywać, nie ma pojęcia, o czym mówi, inspektorze.

-Być może, ale ja muszę przyjąć założenie, że jednak wie. A jeśli się nie myli i rzeczywiście łączył pana z King-38

sleyem Berrickiem intymny związek, który niedawno się rozpadł, to z pewnością będzie to miało wpływ na przebieg mojego śledztwa. Nie przyzna mi pan racji, panie Hedridge?

-To kompletne bzdury - zawołał Strinner. - Przykro mi, ale pański tok myślenia jest wręcz niedorzeczny. Mój klient przyjechał tu, żeby pomóc w rozwiązaniu sprawy...

-Zgadza się - przytaknął Pendragon.

-.. .lecz szczegóły związku mojego klienta z ofiarą mor-

derstwa. ..

-Są ściśle związane ze sprawą, panie Strinner. Niech pan już da spokój; wie pan o tym równie dobrze jak ja. Hedridge położył dłoń na ramieniu adwokata i spojrzał na Pendragona zbolalym wzrokiem.

-Wydawało mi się, że zawarliśmy układ, inspektorze.

-Należy z góry ściśle definiować zasady gry, panie Hedridge. Pan zadeklarował swoje intencje. Ja nie.

Hedridge zaśmiał się krótko i spojrzał na prawnika.

-Maurice, chyba czas na nas.

Rozdział 8

-Pięknie poszło - stwierdził sardonicznie sierżant Turner, gdy za Hedridge'em i Strinnerem zamknęły się drzwi. Pendragon powoli pokręcił głową.

-Turner, kiedy wyrośnie pan na porządnego glinę, przy sporej dozie szczęścia zrozumie pan, że czasem najgorsze przesłuchania przynoszą najbardziej przydatne informacje. Brwi sierżanta uniosły się nieco.

-Przepraszam, że się odezwałem.

-I słusznie.

-Ale przecież Hedridge łgał jak najęty - dodał Turner.

-W jakiej sprawie?

-Swojego związku z Berrickiem.

-Jasne, że łągał. Z drugiej jednak strony, Strinner miał rację: ta kwestia nie ma ścisłego związku z dochodzeniem.

-Czy aby na pewno, szefie? Może Hedridge zabił Berricka w afekcie, po typowej kłótni kochanków?

-Bez żartów, sierżancie. Jak często „kłótnia kochanków” kończy się tym, że jeden z nich wierci wielką dziurę w głowie drugiego i ustawia trupa w galerii sztuki, jako rekwizyt przypominający pracę René Magritte'a?

-Chyba nie za często.

-A raczej nigdy. A może Berrick popełnił samobój-

40

stwo? - Pendragon spojrzał drwiąco na swego sierżanta. - Sądzę, że Hedridge kłamał tylko i wyłącznie w kwestii natury związku, który łączył go z Berrickiem. Próbował się bronić, to całkiem zrozumiałe. Jeśli wierzyć danym z jego teczki, ma żonę i dwoje dzieci oraz karierę polityczną, o której rozwój należy się troszczyć. Wiedziałem, że nie piśnie ani słowa o związku z Berrickiem; chciałem tylko wytrącić go z równowagi na tyle, żeby wymknęło mu się co nieco.

-I co? Bo jakoś nie zauważyłem.

Pendragon wpatrywał się w ścianę, pogrążony w myślach.

-I nic - mruknął, jakby nieobecny. - Nic mu się nie wymknęło. Jest politykiem, do tego całkiem sprytnym... A teraz niech pan się bierze do roboty, Turner - dodał po chwili, powracając do rzeczywistości. - Niech pan sprawdzi w Silver Cabs, czy pan Hedridge nie kłamał na temat swoich nocnych podróży. Proszę też przejrzeć listę wczorajszych gości i poszukać wszelkich związków tych osób z Kingsleyem Berrickiem oraz z Hedridge'em. Interesują mnie nawet najwątlejsze tropy.

-Jedno jest pewne: już żałuję, że skrytykowałem pańską technikę prowadzenia przesłuchań - wymamrotał do siebie Turner, maszerując korytarzem.

Zanim Pendragon opuścił posterunek, zapadł zmrok i wydawało się, że temperatura spadła o kolejnych pięć stopni. Odpalanie samochodu nie miało sensu: ulice pokryte kolejną warstwą śniegu stały się jeszcze bardziej zdradliwe. Pendragon postawił kołnierz, wcisnął ręce w kieszenie płaszcza i zszedł na chodnik Brick Lane.

Fala ulicznego przypływu zmieniła kierunek: ci, którzy rankiem zmierzali na zachód, do pracy w centrum, te-

41

raz wracali do domów, do swych mężów i żon, do curry, ryb z frytkami, telewizji Sky Sports, do lokalnych pubów,

butelek schłodzonego Pinot Grigio w lodówce, rozmów telefonicznych z mamą i tatą, drzemek przed telewizorem, lektury dziesięciu stron książki przed snem i wreszcie do rekordowo szybkich numerków w lodowatych sypialniach - a wszystko po to, by nazajutrz być gotowym do powtórki niezmiennego scenariusza.

Od siedziby Zakładu Medycyny Sądowej przy Milward Street dzieliło Pendragona ledwie dwieście metrów. Był to jednopiętrowy budynek z czerwonej cegły, bez krzty charakteru. Wzniesiony w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku, był pamiątką powojennej surowości i tylko jego wnętrze budziło miłsze uczucia. Ściany w holu pomalowano na przyjemny, kremowy kolor. Wyposażenie stanowiły krzesła, stół, na którym zgromadzono kilka czasopism sprzed dwóch lat, oraz plastikowa palma stojąca w kącie. Pendragon minął proste sprzęty, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Bywał tu już dziesiątki razy i niemal za każdym razem większość czasu poświęcał na przypatrywanie się zwłokom oraz wysłuchiwanie nader nieprzyjemnych meldunków o tym, w jaki sposób żywa osoba stała się nieboszczykiem.

Jones zauważył go, gdy stanął na progu laboratorium.

Skinął głową na powitanie i powrócił do najnowszego „pa-

cjenta", leżącego na stole sekcyjnym. Laboratorium było umiarkowanie przyjemnym miejscem: lśniło bielą ścian i blaskiem starannie wyszorowanych blatów, a przy tym nieodmiennie zalatywało padliną. Za otwartymi drzwiami widać było sąsiednią salę, a w niej ścianę szuflad chłodniczych, w których przechowywano zwłoki, a które personel laboratorium nazywał „solariami”.

Jones uniósł głowę znad ciała ofiary.

42

-Pan jest zmęczony, Pendragon - zauważył.

Inspektor wzruszył ramionami i spojrzął na nieomalże surrealistyczne zwłoki Kingsleya Berricka. Mężczyzna był nagi. Jego korpus otwarto już i zszyto; szaro-czerwone ciało było teraz równie martwe jak tusza wisząca w oknie zakładu rzeźniczego. I zapewne nie różniłby się znacząco od tysiąca innych trupów, gdyby nie pustka, którą niegdyś wypełniała jego twarz i w której teraz widać było krąg nierdzewnej stali - blat stołu sekcyjnego, na którym spoczywał.

-Bez wątpienia osobliwy przypadek - skomentował doktor Jones. - Domyślam się, że chciałby pan wiedzieć, jak, gdzie i kiedy?

-Przydałoby się też „kto” i „dlaczego”.

-Cóż, to już pańskie zmartwienie. Ja tymczasem znalazłem odpowiedzi na kilka bardziej oczywistych pytań. - Jones wskazał skalpelem na wnętrze głowy Kingsleya. - To powstało po śmierci. Zabójstwa dokonano za pomocą igły wprowadzonej w kark, o tutaj. - Patolog odwrócił ciało Kingsleya Berricka na lewy bok i wskazał czerwoną kropkę na skórze. Następnie ułożył zwłoki z powrotem na plecach i jak gdyby nigdy nic uniósł górną część jego czaszki, by odsłonić i wyjąć mózg. - Dobrze się tu rozejrzałem - ciągnął. - Masa i stan mózgu są typowe dla mężczyzny w wieku Berricka, ale proszę spojrzeć tutaj. - Jones uniósł szarą masę w lewej dłoni i trącił palcem fragment tkanki i podstawy mózgu. - Dziura - obwieścił. Odłożył organ na tacę i rozchylił kilka fałd. Widać było wyraźnie świeżą ranę, ciągnącą się od zewnętrznych warstw tkanki aż do samego środka. - Bardzo cienka i bardzo długa igła - kontynuował. - Wbita na co najmniej piętnaście centymetrów. Przeszła przez mózdzek, do samego środka, i zatrzymała się w pobliżu wzgórza. Śmierć wskutek takiego urazu

43

następuje bardzo szybko, bo dochodzi do masywnego krwotoku. Jak widać tutaj.

Pendragon nie umiał przywyknąć do oficjalnego stylu

używanego przez patologów, a zwłaszcza przez Jonesa. Jednak już wkrótce po zawarciu z nim znajomości zrozumiał, że powinien zaakceptować jego z pozoru lodowaty profesjonalizm. W nabraniu dystansu pomogło mu to, że Jones wyśmiał jego „nadwrażliwość”, gdy razem pracowali nad pierwszą sprawą.

-W porządku. A co z tą wielką dziurą? - spytał.

Jones umieścił mózg na właściwym miejscu i domknął czaszkę. Zaraz potem powiódł końcówką skalpela wzdłuż krawędzi okrągłego otworu w głowie Berricka.

-Świetna robota. Ma 12,1 centymetra średnicy; odrobi-
nę więcej niż płyta kompaktowa. W tylnej części otwór jest bardziej nierówny niż z przodu, co moim zdaniem oznacza, że sprawca użył czegoś w rodzaju prasy przemysłowej. Głowę musiał oczywiście unieruchomić. Tu, na skroniach, widać prostokątne ślady imadła. Brak siniaków wskazuje, że głowę unieruchomiono pośmiertnie.

-Zgoda, ale czy tak potężne urządzenie nie roztrzaska-
łoby czaszki na kawałki?

-Też o tym pomyślałem. Odkryłem jednak dwa cieka-
we fakty dotyczące metody wykorzystanej przez mordercę. Po pierwsze, wokół krawędzi otworu dostrzegłem drobiny metalu. - Jones podszedł do blatu ustawionego równole-

gle do stołu sekcyjnego. Gdy wrócił, trzymał w dłoni dwa preparaty mikroskopowe, złożone razem. Pod światło wi-
dać było, że zawierają po kilka cząstek srebrzystego mate-
riału. - To odkrycie zdezorientowało mnie na jakiś czas -
ciągnął patolog. - Aż wreszcie, gdy oczyszczałem wnętrze
otworu, zauważyłem kilka kropel płynu sączącego się ze
skóry. Większa część ścian rany, o tutaj - Jones wskazał na

44

krawędź otworu - została skauteryzowana, ale kilka miejsc
pominięto. Zbadałem ten płyn.

-I?

-I ze zdziwieniem stwierdziłem, że to kwas fluorowo-
dorowy.

-Niesamowicie żrący, prawda?

-Jeszcze jak, Pendragon. Ale to ma sens.

-Jak to? W jaki sposób go użyto?

-Oczywiście nie jestem pewny, ale wyobraziłem sobie
taki oto scenariusz: zabójca przycisnął metalowy cylinder
do twarzy ofiary i wlał doń trochę kwasu. - Jones otoczył
dłońmi twarz zmarłego, by zilustrować swoje słowa. - Kwas
zmiękczył tkankę i, co ważniejsze, sprawił, że kości twarzy
stały się plastyczne. Teraz mógł wybić otwór na wylot, nie
obawiając się roztrzaskania pozostałych kości. Kwas fluoro-

wodorowy, którego ślady znalazłem, wysączył się ze skóry w miejscach, które nie zostały dokładnie skanteryzowane.

-Dobry Boże! - wykrzyknął Pendragon, potrząsając głową.

-Zabójca wykonał tym sposobem surowy otwór, który następnie oczyścił. Widać kilka śladów tego procesu... tutaj i tutaj. - Jones postukał skalpelem w wewnętrzną ścianę rany, wskazując na ślady ostrza. - Ostatnim etapem była kauteryzacja.

Pendragon poczuł dreszcz odraży.

-Mamy do czynienia z wyjątkowo bezdusznym mordercą - dorzucił Jones, całkiem niepotrzebnie.

Inspektor tylko skinął głową.

-Trudno mi nawet sobie wyobrazić, z kim mamy tu do czynienia. - Westchnął głęboko. - Zna pan już dokładniejszą godzinę śmierci?

-O precyzji oczywiście nie ma mowy, ale najprawdopodobniej zgon nastąpił między pierwszą a drugą nad

45

ranem. Nie sposób też ustalić, ile czasu minęło między śmiercią a okaleczeniem.

Pendragon chciał zadać kolejne pytanie, lecz w tym momencie zadzwonił jego telefon. Wyjął aparat z kieszeni i na-

tychmiast rozpoznał numer widoczny na ekranie.

-Doktor Newman? - powiedział pogodnie.

-Panie inspektorze, właśnie kończymy robotę w galerii. Poświęci mi pan dziesięć minut?

-Jasne. Znaleźliście coś?

-Najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy na miejscu.

-Zgoda. - Pendragon umilkł na chwilę. - Proszę mi dać piętnaście minut.

-Do zobaczenia.

Wejście do galerii przy Durrell Place nadal było ogrodzone taśmą policyjną. Konstabl w płaszczu stał przed drzwiami, przestępując z nogi na nogę. Pendragon uśmiechnął się doń współczująco, mijając przeszkodę. Doktor Newman była w galerii sama i właśnie zdejmowała zielony plastikowy kombinezon. Pod spodem miała czarną spódnicę do kolan oraz białą bluzkę. Na ziemi leżała otwarta walizeczka, a obok niej arkusz folii, na którym rozłożono torebki na dowody rzeczowe oraz - w dwóch schludnych rzędach - buteleczki na próbki.

-Została pani sama - zauważył Pendragon.

-Moi ludzie właśnie wyszli. Wrócą z samego rana, żeby dokończyć pracę. Za nami długi dzień.

-To prawda. A zatem czego się dowiedzieliście?

Doktor Newman podniosła jedną z torebek na dowody, zawierającą jabłko.

-Ach, Granny Smith - mruknął bez emocji Pendragon.

46

Colette Newman przekrzywiła głowę, posyłając mu pytające spojrzenie.

-Nasz przyjaciel, doktor Jones, pozwolił sobie na mały żarcik. Zanim jeszcze dowiedziałem się odeń czegoś na temat zwłok, uznał za stosowne zdradzić mi, jakiej odmiany jest to jabłko.

Doktor Newman uśmiechnęła się półgębkiem.

-Znaleźliśmy na nim kilka odcisków palców, ale daję głowę, że należą do miejscowego sprzedawcy owoców. Ktoś, kto jest w stanie dokonać takiej zbrodni i tak spreparować ciało, z pewnością nie popełniłby takiego elementarnego błędu.

Pendragon skinął głową.

-Potwierdza to fakt, iż brakuje jakichkolwiek odcisków palców na krześle i na ciele ofiary. Udało nam się zbadać je dokładnie, zanim zostało zabrane do laboratorium doktora Jonesa. A skoro już o nim mowa, ustalił coś?

-Berrick został zabity długą igłą, którą wbito w jego

mózg. Jones uważa, że dopiero później okaleczono głowę, używając do tego czegoś w rodzaju prasy.

-Tak, ja także zauważyłam ślad na szyi, zanim zabrano ciało. - Schyliła się po jedną z buteleczek stojących na foliowej płachcie. Na jej dnie widać było maleńką, szarą drobinę. - Teoria o prasie brzmi sensownie. Znaleźliśmy taki oto okruch stali. Może pochodzić z noża, którym oczyszczono ranę, albo z ostrza umocowanego do prasy. Zanim pan zada pytanie: jest chyba za mały, by nam pomóc, ale w laboratorium przyjrzymy mu się jeszcze dokładniej.

-Domyślam się, że zabójca nie zostawił po sobie żadnych materialnych śladów? - spytał inspektor bez wielkiej nadziei.

-Niestety, ma pan rację. Przypuszczam, że nosił plastikowy kombinezon ochronny. - Schyliła się raz jeszcze,

47

by odstawić butelkę na podłogę. - Ale przynajmniej jedno mogę panu pokazać po ośmiu godzinach pracy. - Odwróciła się i ruszyła ku łukowatemu przejściu do holu.

Pendragon teraz dopiero zauważył, że w pobliżu środka sali rozmieszczono w na pozór chaotyczny sposób grupę chorągiewek. Poszedł za szefową działu kryminalistyki i po chwili dotarł do pierwszej z nich. Przykucnęli razem,

a wtedy dostrzegł na drewnianej podłodze niewielkie, czarne ślady.

-Guma - powiedziała Newman, nie podnosząc głowy. - Trop złożony z takich znaków prowadzi przez cały hol i kończy się tutaj.

-Czyżby ślad opony?

-Zgadza się. Ściślej mówiąc: opony wózka inwalidzkiego.

Rozdział 9

Stepney, czwartek, 22 stycznia

Sally Burnside lubiła wcześniej kłaść się do łóżka, a na dodatek miała ściśle ustalony rozkład zajęć. Wstawała punktualnie o 6.30, a dziesięć minut później wychodziła z domu i wyruszała na uliczki Stepney. Rzadko zmieniała trasę, którą przemierzała: przez Stepney Green, potem High Street, przez trawnik obok kościoła Świętego Dunstana, następnie wzdłuż Stepney Way i wreszcie z powrotem na wschód, przez Mile End Road.

Ten ranek nie różnił się od innych, choć Sally była wyjątkowo zła na siebie: wyszła z mieszkania pięć minut później niż zwykle, a to oznaczało, że albo będzie musiała skrócić trasę biegu, albo spóźni się na metro. Chodnik na Stepney

Green był już czysty; nocny deszcz spłukał większość starego śniegu, a nowy nie napadał. Ulice też były odśnieżone i już nasilał się poranny ruch.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej kościół Świętego Dunstana wyglądał wyjątkowo pięknie - śnieżna okrywa doskonale współgrała z urodą starego kamienia. Teraz zaś mury były nasiąknięte deszczem, a na ścieżce wiodącej od furtki stały kałuże. Sally omijała je bez trudu; nawykła do biegania w każdych warunkach pogodowych.

Przyspieszyła, mijając świątynię. Przed sobą miała krótką

49

aleję wysadzaną drzewami, oddaloną o dziesięć metrów od ulicy. Początkowo biegła z pochyloną głową, mijając pnie i rozmieszczone pomiędzy nimi stare kamienie nagrobne, lecz po dziesięciu krokach, gdy zbliżała się do pierwszego zakrętu, spojrzała w górę. I wtedy dostrzegła coś osobliwego.

Wciąż biegła równym tempem, ale coś nie dawało jej spokoju; nie mogła odzyskać koncentracji. Co to jest, tam, na najbliższym drzewie? Jeszcze pięć kroków i poczuła, że musi się zatrzymać, bo przestała patrzeć przed siebie i dalszy bieg był po prostu niebezpieczny. Zaczęła iść z rękami na biodrach, starając się wyrównać oddech. Od drzewa

dzieliło ją już tylko dziesięć metrów i kształt przedmiotu, który przykuł jej uwagę, był teraz lepiej widoczny.

Kilka chwil później stała już pod konarami. Zastygła w bezruchu, zadzierając głowę, wpatrzona w bezkształtny, płaski przedmiot. Przez moment zdawało jej się, że z najniższej gałęzi, mniej więcej trzy metry nad jej głową, zwisa płachta szarego brezentu. Potem przyszło jej do głowy, że to gigantyczna pizza. Zauważyła też, że powierzchnia płachty nie jest jednolita: szarą połąć znaczyły czerwone i białe smugi, a także przypadkowe placki czerni. Podeszła jeszcze bliżej i powiodła wzrokiem wzdłuż krawędzi tajemniczego przedmiotu, aż do miejsca, które zwisało najniżej - zaledwie półtora metra nad trawą. I wtedy zobaczyła coś tak zaskakującego, że nagły skurcz ścisnął jej żołądek i na sekundę unieruchomił całe ciało. Z samego brzegu płachty, z szaro-czerwonej połąci spoglądało na nią oko.

Rozdział 10

Do pani Soni Thomson

12 października 1888 r.

Czy kiedykolwiek wolny byłem od zła? Może cię to zaskoczy, pani, ale do niedawna w ogóle nie roztrząsałem tego dylematu. Teraz jednak, gdy sporządzam dla ciebie

to świadectwo, po prostu muszę zadać sobie to pytanie. I zdaje mi się, że odpowiedź brzmi: nie. Zawsze byłem przewrotny.

To szczerą prawdą; ja nigdy nie kłamię. Powiem to jeszcze wyraźniej: relacja z moich doświadczeń zawierać będzie całą prawdę i tylko prawdę. Nie zamierzam konfabulować. Opiszę rzeczywistość taką, jaką ją postrzegałem. I niczego więcej nie mogę obiecać.

Na początek jednak zaakceptujmy prosty fakt, iż wiele jest rodzajów występku — czyż nie? Weźmy choćby te prozaiczne postacie włóczęgów, wykolejonych albo zwyczajnie tępych indywidualiów bez krzty finezji, działających bez żadnego planu. Ja sam nie zaliczam się do tej kategorii, jestem bowiem mieszaniną występku i talentu... wielkiego talentu. Dopiero gdy w pełni zdałem sobie sprawę z rozmiarów i głębi owego talentu, nauczyłem się panować nad wypełniającym mnie złem i tym sposobem osiągać Prawdziwą wielkość - ale o tym później. Pozwól, pani, że najpierw opowiem ci o tym, w jaki sposób doszedłem do

51

mych wielkich objawień i jak to się stało, że zapewniły mi one miejsce w historii ludzkości.

Hemel Hempstead, gdzie w dziesiątym dniu sierpnia

1867 roku przyszedłem na świat jako William Sandler, jest skromnym, spokojnym i urodziwym miasteczkiem. Dom moich rodziców, otoczony polami, a wzniesiony tuż poza granicami wpływu władz miejskich, był dobrym miejscem dla małego chłopca.

Zgrzeszyłbym, uskarżając się na położenie mego domu rodzinnego, ale wszystko inne, co się z nim wiązało, było złe.

Nazywano go Fellwick Manor. Wzniesiony przez mego dziadka w latach dwudziestych naszego wieku, był w istocie wielkim, kanciastym pudłem ze zbyt wieloma oknami, przy czym każde z nich różniło się od pozostałych kształtem i rozmiarami, jakby architekt uparł się, by wzgardzić georgiańskim kultem symetrii i proporcji. Szczyty były niezgrabne i przytłaczające, a taras nieproporcjonalnie niski i rozległy. Cegły zbyt ciemne, stolarka zbyt jasna, a do tego jeszcze komin sterczał niczym wielki fallus, górując nad kuchnią w tylnej części budynku. Przyległe trzy akry świetnej ziemi Home Counties były jedyną bodaj zaletą tej nieruchomości. Pod każdym innym względem mój dom rodzinny był potworkiem, wzniesionym po to, by robić wrażenie; próżnym trofeum kupca, któremu udało się odnieść sukces.

A trzeba powiedzieć, że dziadek mój niewątpliwie odniósł sukces. Był dziesiątym z jedenaściorga dzieci wyplutych przez łono jego matki. Wszystkie żyły w nędzy, umierały młodo i niczym nie zapisały się na kartach historii. Mój ojciec nigdy nawet nie wspominał o krewnych ze strony swego rodziciela; wyrzekł się ich kompletnie, podobnie jak wcześniej uczynił to dziadek.

52

A skoro już wspomniałem o ojcu, to Gordon Sandler był wprost książkowym przykładem zepsutego syna z nowobogackiej rodziny. Dziadek pracował ciężko, by zgromadzić majątek, jego jedyny potomek zaś, mój szanowny ojciec, żył z kapitału przez całe swoje życie. Był ledwie cieniem człowieka, wysokim i chudym jak szczapa; jego twarz przypominała oblicze kościotrupa. Nawet dla mnie, jego jedyne go syna, był postacią przerażającą. Odkąd pamiętam, był zupełnie łysy. Miał czarne oczy o przenikliwym spojrzeniu, ukryte głęboko w kościstej czaszce, a także długie, czarne, zakręcone ku górze wąsy. Był to chyba jedyny jego ukłon w stronę mody, wobec której pozostawał kompletnie obojętny. Moja matka, Mary, miała bujny biust oraz włosy wiecznie upięte w ciasny kok. W młodości być może była przeciętnej urody, ale w mojej pamięci utrwalił

się przede wszystkim obraz jej mięsistych policzków oraz falbaniastych, czarnych sukien. Przerażała mnie jeszcze bardziej niż ojciec.

Dom nasz był niezmiernie religijny, choć ja sam nigdy nie umiałem pojąć, cóż takiego moi rodzice podziwiają w Bogu. Ojciec był świeckim kaznodzieją - nie musiał wiele zarabiać, mając we władaniu fortunę ojca; i tak nigdy nie brakowało nam chleba. Może właśnie dlatego oddał się na służbę Bogu. Matka była równie pobożna: poświęcała się pracy charytatywnej, pomagając najbiedniejszym z całej okolicy - zapewne wyobrażasz to sobie bez trudu, moja pani.

W domu nie było ani jednego obrazu o tematyce religijnej. Rodzice byli kalwinistami-metodystami, a w owym czasie był to względnie nowy odłam. Wyjątkiem w dziedzinie artystycznego wyrazu ich religijnego zapału był małeńki wizerunek Chrystusa wiszący w saloniku. W holu, opodal drzwi frontowych, wisiał oprawiony w ramę list od

53

wielebnego Griffitha Jonesa, twórcy tego odłamu chrześcijaństwa. Wedle rodzinnej legendy mój prapradziadek był prawą ręką Jonesa. Moim zaś zdaniem Jones nieźle narozrabiał.

Moi rodzice dość wcześnie odkryli, że nie jestem natchniony Duchem Świętym tak jak oni. Istotnie, pod niemal każdym względem byłem raczej trudnym dzieckiem, a sytuacja pogarszała się z każdym rokiem. Działo się tak po części ze względu na mą osobliwą naturę, ale sprawę komplikowała reakcja rodziców, którzy próbowali temperować mój krnąbrny, bezkompromisowy charakter w jeden, jedyny, pozbawiony wyobraźni sposób: bili mnie regularnie i z zapalem.

Stało się to czymś w rodzaju rytuału. Gdy popełniłem wykroczenie - choćby i najmniejsze - wzywano mnie do gabinetu ojca. Był to bardzo ciemny pokój na parterze, przylegający do holu, z oknami wychodzącymi na południową część ogrodu i drogę do Hemel Hempstead. Fakt ten był mi jednak znany wyłącznie dzięki temu, że dobrze się orientowałem w geografii naszego domostwa, zasłony bowiem w gabinecie ojca zawsze były zaciągnięte.

Ściany wyłożono w nim dębina, a jedynym źródłem światła w całym pokoju były dwie lampy gazowe: jedna przy drzwiach, a druga, nieco większa, nad biurkiem ojca. Latem panował tu nieznośny upał, a zimą przenikliwy chłód. Często się zastanawiałem, jakim sposobem ten lajdak potrafi cokolwiek robić w tym swoim „gabinecie”;

zaraz potem zadawałem sobie pytanie: „Po co w ogóle potrzebny mu gabinet?” Niczego się przecież nie uczył, naprawdę nie pracował. Wiecznie tylko czytał tę przeklętą książkę - wiesz, pani, którą mam na myśli, nieprawdaż? Tę w dwóch częściach, Starą i Nową.

Tak czy owak, gdy mi kazano, maszerowałem do ga-

54

binetu. Matka wchodziła za mną i stawała oparta plecami o drzwi, ojciec zaś zaczynał przesłuchanie. Gdy byłem bardzo mały - miałem cztery, może pięć lat - próbowałem się bronić na swój dziecinny sposób. Twierdziłem, że jestem niewinny, szukałem okoliczności łagodzących. Z czasem jednak zdałem sobie sprawę, że były to próby całkowicie daremne, cokolwiek bowiem rzekłem, wynik był zawsze taki sam. Matka prowadziła mnie do biurka, zmuszała, bym się pochylił, i ściągała mi spodnie. Potem przyciskała moją głowę do blatu lewą ręką, a ramiona przytrzymywała prawą. W rękawie zawsze nosiła karmazynową chustkę - był to jedyny kolorowy akcent jej stroju. Odziana w czerń od stóp do głów, nawet ten czerwony drobiazg ukrywała w rękawie, ale wtedy, gdy przyciskała mnie do blatu, zawsze widziałem z bliska i bardzo wyraźnie rąbek chustki. Mój ojciec wyjmował z kredensu sto-

jącego przy drzwiach trzcinę, potem słyszałem świst powietrza, gdy sprawdzał, czy wszystko z nią w porządku. I wreszcie ból uderzał we mnie z mocą parowego młota. Gdy było po wszystkim, modliliśmy się razem, przytulali mnie i wyprowadzali z gabinetu. „Widzisz, Williamie”, mówiła moja matka, gdy szliśmy przez hol, „teraz twoja dusza poczuje się lepiej”.

Bardzo dużo czasu spędzałem w samotności. Rodzice nie chcieli, bym zadawał się z dziećmi z miasteczka, więc kiedy nie byłem w szkole, zwykle siedziałem w swoim pokoju, gapiąc się przez okno, albo spacerowałem po okolicznych polach i lasach. Lubiałem zwłaszcza siadywać nad rzeką, tuż za granicą naszego wielkiego ogrodu. Spacerując, rzadko spotykałem kogokolwiek, a jeśli już pojawiła się grupa dzieciaków z naszej szkoły, zawsze mnie ignorowano.

Miałem jedenaście lat, gdy popełniłem prawdziwie

55

zły uczynek. Aż do tej chwili wystarczało mi zabawianie się z małymi gryzoniami i gadami. Lubiałem zabijać je niespiesznie, wymyślając nowe, coraz ciekawsze sposoby pozbawiania życia. Szczytem moich osiągnięć było ukrzyżowanie szczura, którego złapałem pod mostem.

Sam zbudowałem i z wielką ostrożnością zastawiłem nań pułapkę. Zwierzak walczył, próbując uwolnić się z siatki, która spadła nań, gdy wszedł do malutkiej szczeliny w ścianie, tuż ponad linią wody. Starannie unikając jego ostrych zębów, zdołałem jakoś owiązać sznurkiem jego szyję. Następnie wyrwałem mu zęby, używając szczypiec skradzionych z warsztatu ojca. Krzyż przygotowałem już wcześniej. Napisałem nawet INRI na malutkim kawałku drewna umocowanym na szczycie.

Trzeba jednak wspomnieć, że zabijania zwierząt - w jakiegokolwiek formie - wcale nie uważałem za zło. Ten termin rezerwuję dla zdarzenia, do którego doszło w pewien upiornie gorący sierpniowy dzień roku 1878. Pamiętam go doskonale. Był to jedenasty dzień miesiąca; poprzedniego dnia świętowałem jedenaste urodziny. Poszedłem nad rzekę. Teraz wolno mi było włóczyć się znacznie swobodniej niż dawniej. Nadal rzadko spotykałem ludzi i nigdy z nikim nie rozmawiałem, ale wyczuwałem, że moi pobożni rodzice dają mi nieco więcej wolności.

Owego dnia bawiłem się zabawkowym jachtem, który dostałem na urodziny. Ciągnąłem go po rzece na długim sznurku. Pojedynczy biały żagiel w końcu złapał trochę wiatru i sunął niespiesznie przez mętne, brązo-

wawe wody.

Wystraszyłem się, gdy u mego boku stanął nagle jakiś chłopiec. Najpierw zresztą usłyszałem jego głos:

- Śliczny jacht.

Odwróciłem się gwałtownie, spoglądając nań szeroko

56

otwartymi oczami, a on odskoczył instynktownie, równie wystraszony moją reakcją. Zmierzyłem go wzrokiem. Był wysoki - co najmniej o głowę wyższy ode mnie. Przypuszczałem, że ma czternaście lat. Miał długie włosy koloru piasku, które nieustannie wpadały mu do oczu. Wąska twarz przywodziła na myśl pyszczek fretki; wyglądał na niedożywionego. Był jednym z tych nędzarzy z biedniejszej części miasta, zapewne jednym z beneficjentów dobroczynnych działań mojej matki.

Odwróciłem się ku wodzie i skupiłem na kierowaniu jachtem w stronę brzegu.

-Mogę spróbować? — spytał chłopak.

Zignorowałem go.

-Mogę? - powtórzył i zrobił krok naprzód, by poklepać mnie po ramieniu.

Poczułem jego smród, mieszaninę potu i sadzy. Ogarnęły mnie gniew i odraza; nienawidziłem, gdy ktoś mnie

dotykał.

Odwróciłem się z wymuszonym uśmiechem na ustach, a potem - do dziś nie wiem dlaczego - podałem mu końcówkę sznurka. Zacisnął na niej brudne paluchy i radośnie wyszczerzył zęby.

-Dzięki.

-Jak masz na imię? — spytałem.

-Fred.

-Zatem: wiesz, co robić, Fred?

-Jasne. Myślisz, że jestem głupi? Nic trudnego. Starczy trzymać sznurek, a prąd poniesie łódkę.

Fred zrobił kilka kroków w stronę brzegu i przez chwilę patrzyliśmy, jak mały jacht sunie po wodzie. Wreszcie razem ruszyliśmy truchtem po wąskiej nadbrzeżnej ścieżce> by nadążyć za łódką.

Po kilku minutach Fred chyba miał dość. Zatrzymał

57

się, pochylił i oddychał ciężko. Gdy otarł dłonią czoło, zobaczyłem, że jest mocno spocony.

-Cholera, jak gorąco - powiedział i usiadł na ziemi tuż obok ścieżki. Wyjął z kieszeni małą szklaną butelkę i pociągnął solidny łyk. Podał mi ją, gdy przysiadłem obok. - Sok jeżynowy. Sam robiłem.

Pokręciłem głową.

-Nie, dziękuję.

-Jak chcesz - mruknął i znowu przytknął butelkę do ust, a potem schował na powrót do kieszeni. - Skąd jesteś? - spytał, spoglądając na mnie pod słońce, spod w półprzymkniętych powiek.

-Mieszkam tam - odrzekłem, wskazując w kierunku Fellwick Manor, którego ciemna sylweta majaczyła w oddali.

-Co? W tym cholernym chlewie?

-Tak.

-O kurwa, to chyba masz bogatych starych.

Pierwszy raz usłyszałem słowo „kurwa” i nie miałem pojęcia, co znaczy, ale skinąłem głową.

-Raczej tak - odpowiedziałem.

-Ja przyjechałem tylko na dzień. Jestem z Hackney.

Znasz?

Skinąłem głową.

-Parszywe miejsce. Za to tu jest pięknie.

Spojrzałem na drugi brzeg rzeki, a gdy się odwróciłem, chłopak zdążył już wstać i biegł w stronę mostu, przyciskając do piersi mój jacht.

-Tam go nie puszczaj! - zawołałem. - Prąd wciągnie

go pod most.

-Więc chodźmy pod most! - odkrzyknął, nie zatrzymując się.

-Nie, kamienie są zbyt śliskie. Zostań z łódką z tej

58

strony. Puść ją tam - dodałem, wskazując na brzeg daleko po prawej stronie.

Fred zignorował moje życzenie. W nagłym przyplywie energii skoczył ze ścieżki na kamienistą łachę ciągnącą się aż pod most. Przystanął i spuścił łódkę na wodę. Prąd porwał ją natychmiast na sam środek rzeki.

-Stój! - krzyknąłem. - To zbyt niebezpieczne...

Zobaczyłem, że chłopak znika w ciemności pod mostem, i skoczyłem za nim. Jego samolubne zachowanie rozbudziło we mnie wściekłość, a nawet nienawiść, która dodała mi sił. Nie myślałem już o śliskich kamieniach, które miałem pod nogami.

Oczy szybko przywykły do mroku. Pod kamiennym łukiem mostu każdy dźwięk rozbrzmiewał znacznie głośniej, powielany przez echo. Czulem smród gnijących roślin i pleśni.

-Stój! - zawołałem znowu. Natychmiast odpowiedziało mi echo. - Wracaj.

I wtedy usłyszałem przenikliwy pisk, pisk kogoś, kto daremnie próbował utrzymać równowagę... i głośny plusk. Pobiegnęłam w stronę źródła dźwięku i natychmiast dostrzegłam chłopaka w wodzie. Rzeka była głęboka w miejscu, w którym dziesięciolecia wcześniej wkopano słupy. Twarz Freda mignęła w plamie światła wpadającego pomiędzy dwóch metalowych wsporników po drugiej stronie mostu. Jego oczy były szeroko otwarte, gdy tak w panice miotał się w wodzie. Zabawkowy jacht kołysał się tuż obok Jego ramienia, a sznurek, jeszcze przed chwilą zaciśnięty w jego dłoni, teraz swobodnie pływał po wodzie, tuż obok nadbrzeżnych kamieni. Zbliżyłem się ostrożnie, chwyciłem sznurek i wyciągnąłem łódkę na brzeg.

-Pomocy! - wrzasnął chłopak. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że z trudem utrzymuje głowę ponad wodą.

59

Zniknął na sekundę, a potem znowu wynurzył się na powierzchnię i zaczerpnął tchu. - Nie umiem... nie umiem pływać!

Troskliwie ustawiłem moją zabawkę na jednym z kamieni i zrobiłem dwa kroki w stronę wody. Od głazu, na którym się zatrzymałem, wiodła w głąb nurtu linia trzech podobnych, leżących w odległości może sześćdziesięciu

centymetrów. Wiedziałem, że mogę po nich przejść, bo robiłem to już wcześniej.

Fred wrzeszczał teraz jak opętany, owładnięty paniką, a jego głos niósł się echem pod łukowatym sklepieniem. Wciąż jeszcze rzucał się w wodzie, wierzgając rękami i nogami, ale szybko opadał z sił.

Stałem na trzecim kamieniu. Od chłopca dzieliło mnie tylko kilkadziesiąt centymetrów. Ukucnąłem i pochyliłem się. Teraz widziałem jego twarz znacznie wyraźniej. Zlepione włosy zasłaniały mu oczy. Potrząsał gwałtownie głową, oddychając szybko i płytko. W końcu dostrzegł mnie i wyciągnął jedną rękę nad powierzchnię wody. Spojrzałem najpierw na jego twarz, a potem na dłoń. Chyba zaczynał rozumieć moje intencje. Przez sekundę w jego oczach widziałem nienawiść, wciągnął policzki, jakby chciał zdradzić mnie krzykiem, lecz nagle wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Patrzył na mnie błagalnie, z rozpaczą.

Patrzyłem, kucając nieruchomo tuż nad wodą. Byłem jak zahipnotyzowany, a jednocześnie bardziej podniecony niż kiedykolwiek wcześniej. Mogłem wyciągnąć rękę, chwycić go, ale postanowiłem tego nie robić. Patrzyłem tylko, jak opuszczają go resztki sił i jak znika pod po-

wierzchnią wody.

Rozdział 11

Stepney, czwartek, 22 stycznia, 7.38

Wóz Pendragona i Turnera zatrzymał się przy krawężniku na High Street w Stepney. Główny inspektor włączył światła awaryjne, wyskoczył zza kierownicy i ruszył ścieżką przed siebie w chwili, gdy nad ulicą pojawiło się słońce, rzucając ognistoczerwoną poświatę na stare nagrobki. Na wschodnich witrażach kościoła Świętego Dunstana także błysnęły promienie. Obszedłszy budynek, ujrzeli dwóch mężczyzn stojących pod dębem. Zadarli głowy, by przyrzec się przedmiotowi zwisającemu z jednej z niższych gałęzi potężnego drzewa.

- O kurwa! - jęknął z cicha Turner, gdy podeszli bliżej. - Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył na własne oczy.

Pendragon oderwał wzrok od przerażającego znaleziska i ze spuszczoną głową pomaszerował dalej. Inspektor Ken Towers rozstawiał właśnie drabinę, co wcale nie było łatwe, zważywszy na nierówny grunt wokół drzewa. Towarzyszył mu mężczyzna - po sześćdziesiątce, zdaniem Pendragona - ubrany w długą, czarną sutannę z koloratką. Miał pociętą

zmarszczkami twarz i schludnie przystrzyżone, białe włosy, a także krzaczaste siwe brwi, w których pozostało jeszcze kilka czarnych włosów. Pendragon i Turner zatrzymali się

61

przy nim i przez kilka chwil w milczeniu oglądali płachtę zwisającą nad ich głowami.

-Sir, to miejscowy wikary, wielbny Partridge - odezwał się Towers, ruchem głowy wskazując na stojącego obok mężczyznę.

Pendragon zmusił się do oderwania oczu od dziwnie fascynującego widoku i uściśnął dłoń duchownego.

-Nie pojmuję tego - rzekł Partridge, a jego twarz pomarszczyła się jak oblicze szmacianej laleczki.

-Ja też nie - odpowiedział łagodnie Pendragon i spojrział na stojącego obok funkcjonariusza. - Towers, kto znalazł ciało?

-Kobieta uprawiająca jogging - odparł inspektor, wskazując palcem na lewo.

Na ścieżce, tuż przy granicy cmentarza, stała karetka, a w otwartych tylnych drzwiach jej budy siedziały dwie kobiety. Jedną z nich była wysoka blondynka w sięgających kolan spodniach z lycry i adidasach, uczesana w koński ogon. Piła jakiś gorący napój z białego porcelanowe-

go kubka, okryta kocem, którego rogi zwisały z przodu. Siedząca obok sierżant Roz Mackleby mówiła coś półgłosem.

Pendragon spojrział znowu na scenę rozgrywającą się pod drzewem.

-Co pan tu właściwie robi, Towers?

-To ja przyniosłem drabinę, panie inspektorze - wtrącił wielebny Partridge. - Pomyślałem, że trzeba ściągnąć na ziemię tę nieszczęsną duszę.

Pendragon położył dłoń na jego ramieniu.

-Bardzo to miłe ze strony ojca, ale wkrótce będzie tu policyjny patolog. Niech on się tym zajmie. - To powiedziawszy, delikatnym ruchem skłonił księdza do odwrotu.

62

-Całkiem słusznie - zmitygował się wikary - Rozumiem - dodał i ruszył sztywnym krokiem. Pendragon towarzyszył mu, wciąż trzymając dłoń na ramieniu wyraźnie zszokowanego księdza. - Ja... będę na plebanii. Proszę się nie wahać...

-Dziękuję - przerwał mu inspektor i odprowadził go wzrokiem, gdy wielebny Partridge odszedł wolnym krokiem ku swojej świątyni.

Po drugiej stronie barierki otaczającej parcelę należącą do kościoła zgromadził się już mały tłumek. Pendragon właśnie spoglądał na ludzi stojących ledwie o dwadzieścia metrów od miejsca zbrodni, gdy obok ambulansu zatrzymał się wóz patrolowy policji, a tuż za nim szara terenówka doktora Jonesa.

Pendragon przywołał Turnera i razem wyszli na spotkanie nowo przybyłych. Inspektor pomachał ręką patologowi, który właśnie wygramolił się zza kierownicy i lawirując między nagrobkami, ruszył w kierunku drzewa. Z wozu patrolowego wysiedli dwaj mundurowi oraz inspektor Grant.

-Wy dwaj przegońcie stąd tych gapiów - polecił Pendragon, dyskretnym ruchem głowy wskazując na tłumek za ogrodzeniem. - Grant, trzeba zamknąć najbliższą okolicę. I rozstawić wysoki parawan wokół drzewa. Niech nikt, kto nie ma ważnego powodu, nie zbliża się na odległość mniejszą niż sto metrów. Turner, idziemy.

Gdy zbliżali się do karetki, sierżant Mackleby uniosła głowę i zeskoczyła na ziemię, by stanąć prawie na baczność.

-Trochę luzu, sierżancie - powiedział jej Pendragon, a potem spojrzał na młodą kobietę zaciskającą dłonie na kubku.

Wpatrywała się milcząco w ziemię, ale teraz zerknęła na Roz Mackleby, która nieznacznie uniosła brwi.

63

-Sally Burnside - powiedziała cicho policjantka. - Znalazła. .. hmm... ciało podczas porannego joggingu.

Pendragon usiadł obok kobiety.

-Panno Burnside... - zaczął.

-Sally - wpadła mu w słowo, niespodziewanie unosząc głowę. Odgarnęła kosmyk jasnych włosów opadający na twarz i odetchnęła głęboko. - Już mi lepiej.

-A moim zdaniem każdy, kto...

-Nie, naprawdę czuję się nieźle.

Pendragon umilkł na chwilę, po czym spojrzał na Turnera, który już czekał z notesem w dłoni.

-Główny inspektor Jack Pendragon - rzekł w końcu. - Prowadzę tę sprawę. A to sierżant Turner.

Kobieta spojrzała przelotnie na Jeza i wzięła łyk napoju.

-Sally, czy czuje się pani na siłach opowiedzieć jeszcze raz o tym, co zaszło?

-Już mówiłam, inspektorze, że dobrze się czuję - odpowiedziała i zalała się łzami.

Policjanci czekali w milczeniu, aż się wypłacze. Wreszcie Roz Mackleby podsunęła jej chusteczkę.

-Przepraszam... - zaczęła Sally Burnside, wydmuchawszy nos.

-Absolutnie nie ma powodu - odparł Pendragon i znowu dał jej czas na zebranie myśli.

-Biegałam, jak co rano. Prawie zawsze wybieram tę trasę, ścieżką obok kościoła.

-Która była godzina?

-Tuż przed siódmą. Dziś akurat trochę się spóźniłam.

Przybiegłam stamtąd - dodała, wskazując na zakręt ścieżki biegnącej wokół narożnika świątyni. - Zauważyłam, że coś dziwnego wisi na drzewie, ale nie wiedziałam, co to takiego. Zbliżałam się coraz bardziej i wciąż nie miałam pojęcia. .. Zdawało mi się, że to kawałek brezentu. - Umilkła

64

na chwilę i kilkakrotnie głęboko odetchnęła. - Aż wreszcie zrozumiałam.

-I od razu zadzwoniła pani na policję?

-Tak, miałam przy sobie komórkę.

-Połączenie zarejestrowano cztery po siódmej, sir - wtrącił Turner.

-Czy widziała pani kogoś w pobliżu?

-Nie, absolutnie nikogo.

-Od samego początku, gdy tylko wbiegła pani na teren

wokół kościoła? Proszę się dobrze zastanowić, Sally.

Pokręciła głową.

-Nikogo. Wcześniej, na Stepney Way - dodała, kiwając głową w kierunku głównej ulicy - minęłam kilka samochodów, ale nie pamiętam żadnych szczegółów.

-Nic nie szkodzi.

-Ale tu, przy kościele, nie było nikogo. Gdy zadzwoniłam na policję, podeszłam do tamtej ławki i usiadłam. Stamtąd już nie widziałam... drzewa. Pewnie byłam w szoku, bo pamiętam tylko, że nagle przy ławce zjawili się dwóch policjantów.

-Bardzo pani dziękuję, panno Burnside. - Pendragon wstał i spojrzał porozumiewawczo na sierżant Mackleby, która natychmiast zajęła jego miejsce.

Pendragon i Turner wrócili do wielkiego dębu, wokół którego rozstawiano parawan. Grant i dwaj konstable właśnie zbliżali się do grupy gapiów.

Jones stał pod drzewem i potrząsał głową, spoglądając na ohydnie zniekształcone zwłoki.

-Teraz mogę powiedzieć, że widziałem już wszystko, Pendragon - rzekł wreszcie, nie odrywając wzroku od dziwnego przedmiotu. - Bóg jeden wie, co mogę zrobić z takim ciałem. - Jones rozejrzał się, jakby sobie coś przy-

pomniął. - Zna pan piosenkę Strange Fruit?

65

Inspektor zadarł głowę ku konarom dębu.

-Jasne, że znam. To Billie Holliday na podstawie wiersza Abła Meeropola poświęconego dwóm Murzynom zlinczowanym przez Ku-Klux-Klan.

Jones pokiwał głową z miną mędrca.

-Otóż wydaje się, że ktoś rozwinął tę koncepcję o kilka dobrych kroków - rzekł z nadzwyczajną powagą.

Rozdział 12

Cyfry na wyświetlaczu ściennego zegara zmieniły się z 15.59 na 16.00 dokładnie w chwili, gdy Jack Pendragon wkroczył do sali odpraw posterunku policji przy Brick Lane. Cały zespół już na niego czekał, podobnie jak superintendent Jill Hughes, która zajęła miejsce w fotelu w pierwszym

szym rzędzie. Inspektor Ken Towers siedział tuż za nią, na rogu biurka należącego do Mackleby. Trzej sierżanci - Jez Turner, Jimmy Thatcher i Terry Vickers - stali w nierównym szeregu, oparci o ścianę w głębi pokoju. Pendragon przecisnął się wąskim przejściem między biurkami oraz między Towersem a Hughes, by zatrzymać się przy tablicy, do któ-

rej przyczepiono rząd zdjęć. Pierwsze z nich przedstawiało zwłoki Kingsleya Berricka na tle obrazów w krzykliwych kolorach. Obok umieszczono całą serię fotek ciała znalezionego tego ranka, zawieszzonego na konarze drzewa opodal kościoła Świętego Dunstana. Pod zdjęciem zwłok Berricka zmieścił się jeszcze jego kolorowy portret (25 x 20 centymetrów) opublikowany przez miejscową gazetę, która dwa lata wcześniej poświęciła jego galerii obszerny artykuł.

- Zapewne wszyscy znają już podstawowe fakty tej sprawy - zaczął Pendragon bez zbędnych wstępów. - Dwa ciała w dwa dni. Pierwsze znaleziono w galerii Berricka

67

i Price'a na Durrell Place. Ofiarą jest Kingsley Berrick, jeden z właścicieli galerii, postać dobrze znana w światku londyńskich artystów. Zabito go, wbijając igłę w mózg. - Pendragon sięgnął po pilota leżącego na tacy umocowanej pod tablicą i nacisnął guzik. Na ekranie ukazało się zdjęcie dostarczone z laboratorium przy Milward Street: zbliżenie karku Berricka, z doskonale widocznym, czerwonym miejscem nakłucia. - Zabójca jednak nie poprzestał na tym. - Pendragon ponownie nacisnął guzik, wywołując zdjęcie o powierzchni pół metra kwadratowego, przedstawiające ciało Berricka na miejscu zbrodni. W sali zapadła

nienaturalna cisza. Wszyscy już widzieli tę scenę, lecz mimo to prezentacja robiła mocne wrażenie. - Drugiego morderstwa dokonano dziś rano - ciągnął inspektor. Na ekranie pojawiła się fotografia spłaszczzonego ciała przewieszonego przez konar drzewa. Zaprezentował jeszcze sześć różnych ujęć tego samego obiektu. - Nie mamy pojęcia, jaka była przyczyna śmierci w tym przypadku; naturalnie nie znamy też tożsamości ofiary. Technicy będą nad tym pracować aż do skutku.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, aż wreszcie Terry Vickers przerwał ciszę. Siedząc z ramionami skrzyżowanymi na piersi i głową przechyloną nieznacznie w bok, od dłuższego czasu wpatrywał się w zdjęcia wiszące na tablicy.

-Nie mam bladego pojęcia, w jaki sposób można było dokonać takich morderstw, szefie. Pierwszy raz widzę coś takiego.

-Zgadzam się, sierzancie. Aż trudno uwierzyć.

-A jednak popełniono te zbrodnie, nieprawdaż? - wtrąciła rzeczowo Hughes. - Czy Jones zdołał już coś ustalić?

I nasi spece od kryminalistyki?

Pendragon odwrócił się ku tablicy.

-Zajmijmy się najpierw śmiercią Berricka. - Przywołał ponownie zdjęcie właściciela galerii. - Otwór w głowie wykonano z całą pewnością pośmiertnie. Jones uważa, że wykorzystano coś w rodzaju prasy mechanicznej.

-Milutko - mruknął Towers.

-Doktor Newman potwierdziła, że mężczyzna został zamordowany co najmniej godzinę przed tym, jak umieszczono jego zwłoki w głównej sali galerii. Nie znalazła natomiast żadnych godnych uwagi odcisków palców i podejrzewa, że morderca miał na sobie ubranie ochronne.

-Starannie przygotowana robota - skomentowała Hughes, pochyliwszy się nieco w fotelu. - Czy dział kryminalistyki ma już teorię na temat tego, czy sprawca działał sam?

-Jeszcze nie ma pewności. Doktor Newman odkryła natomiast to. - Na ekranie pojawiło się zdjęcie śladu opony na podłodze galerii. - Zastanawiałem się, czy ktoś pomagał mordercy, ale wydaje się, że raczej nie. To ślad opony wózka inwalidzkiego.

-Sugeruje pan, że nasz morderca załatwił Berricka, wbijając mu igłę w kark, następnie wykroił kilkunastocentymetrową dziurę w jego głowie, przebrał go, po czym przetransportował do galerii na wózku i wreszcie umieścił

w pożądanej pozycji? - odezwał się Jimmy Thatcher. - Sporo jak na jedną osobę, nieprawdaż, sir?

-To prawda, sierżancie - odparł Pendragon. - Jednak efekt końcowy widać na zdjęciach. Gdybym nie widział na własne oczy tego, co tam uczyniono, sam podejrzewałbym, że to jakaś mistyfikacja.

Hughes wpatrywała się w monitor, mimowolnie pocierając podbródek palcami prawej dłoni.

-W porządku, Pendragon - powiedziała. - Przyjmijmy, że to robocza teoria. Przynajmniej do czasu, aż wymyśli-

69

my lepszą, będziemy zakładać, że tak właśnie potoczyły się wypadki. Jakie działania proponuje pan podjąć? - spytała, obracając się w fotelu.

-Po pierwsze, sprawdzić zapisy z kamer przemysłowych w całej okolicy. Może uda się odczytać numer rejestracyjny samochodu, może znajdziemy inny trop. Dla mnie to jasne, że sprawca korzysta ze specjalistycznego sprzętu. Musi mieć warsztat i dostęp do maszyn. Praca będzie możliwa, ale musimy zbadać wszelkie ślady w tym kierunku. Turner, ile udało się wyciągnąć od Jacksona Price'a? Jez odepchnął się od ściany i wyjął notes z kieszeni marynarki.

-Listę gości mógłbym zatytułować: „Kto jest kim w Brygadzie Londyńskich Osobowości” - zaczął. - Supermodelki, gwiazdy rocka. Impreza była duża, a ofiara miała rozliczne znajomości. Rozmawiałem z panem Price'em i rzeczywiście starał się pomóc, ale nie powiedziałbym, że udało się pozyskać szczególnie cenne informacje. Według niego całe towarzystwo świetnie się bawiło w galerii, a on sam był najlepszym kumplem Berricka.

-No tak, w to nie wątpię! - wtrącił Towers.

Thatcher i Vickers zarechotali, a gdy Pendragon zmierzył ich karcącym spojrzeniem, wbili wzrok w podłogę.

-Proszę mówić dalej, Turner.

-Podobno impreza przebiegła gładko, co szczerze mówiąc, mocno mnie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę, jak wielu skrajnych egocentryków zgromadziło się pod jednym dachem.

-A co z korporacją taksówkową? - spytał Pendragon, a potem przybliżył pozostałym zeznanie Normana Hedridge'a, który twierdził, że podrzucił Berricka do mieszkania, ale nie wszedł do niego.

-Udało się znaleźć kierowcę. Rozmawiałem z nim

70

przez telefon i potwierdził wersję Hedridge'a. Według re-

jeźdźcy samochodu rzeczywiście o pierwszej siedemnaście nad ranem wysadził Berricka pod jego domem przy Bexley Road w Bethnal Green. Następnie pojechał z Hedridge'em w okolice Barbicanu. Hedridge zapłacił za Berricka i za siebie, używając karty kredytowej. Transakcja została dokonana o pierwszej dwadzieścia dziewięć.

-W porządku, niech pan jeszcze podraży ten wątek.

Wiemy, że Berrick i nasz przeuroczy eurodeputowany Hedridge byli swego czasu... bardzo sobie bliscy. Niech pan jeszcze raz odwiedzi Price'a i może spróbuje dotrzeć nieco głębiej.

-Sądzi pan, że zabójstwo ma związek ze środowiskiem gejów, Pendragon? - spytała Hughes.

-Biorę pod uwagę taką możliwość.

Skinęła głową.

-A co z drugim morderstwem? Wiemy coś?

Na ekran powrócił wizerunek drugiej ofiary.

-Ciało zostało kompletnie spłaszczone. Doktor Jones przesłał mi e-mailem wstępne informacje. - Pendragon sięgnął po teczkę leżącą na biurku tuż obok tablicy i zerknął na pierwszą stronę wydruku. - Zwłoki mają kształt nieregularnego prostokąta o długości 3,5 metra i szerokości prawie 2,25 metra w najszerszym miejscu. Spłaszczono

je do zaskakująco stałej grubości, wahającej się od 2,3 do 2,4 centymetra. Udało się wyróżnić kilka struktur anatomicznych - dodał, wskazując na ekran. - Tutaj widać rząd żeber, tu fragment jelita. No i oko... o, tutaj. Wydaje się, że to morderstwo było jeszcze trudniejszą sztuką niż pierwsze. Spędziłem pół dnia, usiłując rozpracować sposób działania sprawcy. I wreszcie, na krótko przed tym spotkaniem, odebrałem dwa telefony, dzięki którym udało się odpowiedzieć na parę pytań.

71

W sali dały się słyszeć podniecone szepty.

-Najpierw zadzwoniła doktor Newman. Jej ludzie znaleźli pewne tropy w pobliżu drzewa oraz błotniste ślady prowadzące wokół cmentarzyka i dalej, przez Stepney Green Park, aż do ścieżki. Niestety, zostały częściowo zatar-
te i trudno odczytać z nich szczegóły. Na szczęście chwilę później zadzwonił do mnie oficer dyżurny z posterunku Leytonstone z meldunkiem, że jeden z mieszkańców miasta zgłosił informację związaną z porannym incydem przy kościele Świętego Dunstana.

-Informację? - powtórzył Grant.

-Świadek pracuje jako robotnik na nocną zmianę.

Twierdzi, że przechodził obok cmentarzyka mniej więcej

o piątej rano i widział tam pracujący żuraw wysięgnikowy. Brezentowa płachta przesłaniała przynajmniej pół drzewa. Świadek uznał, że to służby miejskie przycinają zagrażający bezpieczeństwu konar... czemu chyba nie należałoby się dziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę ostatnie opady śniegu. Nie zastanawiał się nad tym więcej, póki żona nie powiedziała mu, że coś się wydarzyło w pobliżu kościoła. Przepuszczała, że może ktoś się tam powiesił.

-Żuraw wysięgnikowy? - odezwała się sierżant Mackleby. -I stąd te ślady błota na trawie?

Pendragon skinął głową i spojrzał na Towersa.

-Inspektorze, niech pan weźmie Vickersa do pomocy. Sprawdzicie zapisy z kamer monitoringu, które pracowały w tamtej okolicy. Na pewno są jakieś na Stepney Way. Każde zdjęcie tego żurawia będzie na wagę złota.

Towers skinął głową.

-Coś jeszcze z działu kryminalistyki? - spytała Hughes.

-Doktor Newman obiecała, że w trybie pilnym przeprowadzą badanie DNA. Mam nadzieję, że odezwie się w ciągu godziny - odrzekł Pendragon, a potem wyłączył ekran,

72

przysiadł na stoliku obok i założył ręce. - Moim zdaniem między dwoma morderstwami istnieje absolutnie oczywi-

sty związek.

-Naprawdę? - spytał sierżant Vickers.

-Słynne obrazy - powiedziała cicho superintendent Hughes.

Vickers spojrział na siedzącego obok Thatchera i wzruszył ramionami.

-Oba miejsca zbrodni są w istocie inscenizacjami - rzekł Pendragon, patrząc na nich.

-René Magritte, ciolki - oznajmił triumfalnie Turner, spoglądając na swych kolegów-sierżantów.

-Pierwsze morderstwo jest odbiciem słynnego obrazu Syn człowieczy belgijskiego surrealisty René Magritte'a - wy-

jaśnił Pendragon. - Obraz przedstawia człowieka w czarnym garniturze i meloniku, z jabłkiem na wysokości twarzy. Drugie morderstwo powielił ten schemat: To Uporczywość pamięci Salvadora Dalego.

-To ten obraz z obwisłymi zegarami? - upewnił się Towers. - Lata temu moja siostra miała na ścianie taki poster. Nie znośłem go.

-Jeśli chcecie znać moje zdanie, wszystko to jest strasznie pokręcone - skomentował sierżant Vickers, podchodząc nieco bliżej, by przysiąc na tym samym biurku, na którym

usadowił się Towers.

-To fakt - zgodził się Pendragon i rozejrzał się po sali. -

Cholernie pokręcone, ale jednak prawdziwe, a związek między oboma morderstwami jest bezsprzeczny.

-Zatem mamy do czynienia ze świrem? - spytał Rob Grant.

-To zależy od tego, jak zdefiniujemy pojęcie „świr”, inspektorze - odparł Pendragon, lekko zirytowany. - Ważne jest to, że sprawca działa według planu. Nie ma mowy

73

o zbiegu okoliczności. Takie zbrodnie planuje się w najdrobniejszych szczegółach i realizuje z ogromną starannością. Najważniejsze jednak jest to, że stanowią one pewne oświadczenie, są demonstracją. Nasz zabójca nie pozbywa się przypadkowych ludzi. Raczej dąży do czegoś, chce nam powiedzieć coś ważnego i jeśli chcemy mieć nadzieję na schwytanie go, powinniśmy zrozumieć jego intencje, i to cholernie szybko.

- Zanim znowu zaatakuje - dodała Hughes i w sali zapadła lodowata cisza.

Rozdział 13

Sygnal telefonu odezwał się w chwili, gdy Pendragon

podchodził do drzwi swojego gabinetu.

Przycisnął słuchawkę do ucha i usłyszał głos doktor Newman.

-Panie inspektorze, mam nowiny.

-Dobre, mam nadzieję.

-Zidentyfikowaliśmy drugą ofiarę przez badanie DNA.

Pendragon sięgnął po notatnik leżący na stercie papierów na skraju biurka.

-Słucham.

-Mężczyzna, niejaki Noel Thursk. Był notowany, pięć lat temu podejrzany o oszustwo. Sprawa trafiła do sądu, gdzie został uniewinniony. Według akt mieszkał przy Trummety Street 17 w Whitechapel.

-Jestem niezmiernie wdzięczny. Świetna robota, pani doktor.

-Cieszę się, że mogłam pomóc.

Pendragon w zamyśleniu przyglądał się ścianie swojego gabinetu, gdy Jez Turner zapukał do drzwi i zajrzał do środka. Dopiero dyskretnym chrząknięciem udało mu się

75

wyrwać szefa z zadumy. Wszedł do pokoju i opadł ciężko na krzesło naprzeciwko biurka.

-Dział kryminalistyki zidentyfikował drugą ofiarę

dzięki badaniu DNA - poinformował go Pendragon.

-Ooo! Szybko poszło.

-Facet nazywał się Noel Thursk. To nazwisko coś panu mówi?

Turner milczał przez chwilę, wpatrując się nieobecnym wzrokiem w bałagan na biurku głównego inspektora.

-Owszem - rzekł wreszcie. - Nie mogę sobie przypomnieć, chociaż... zaraz. - Obszedł biurko i postukał w klawiaturę komputera. Na ekranie pojawiła się lista nazwisk. - Przysłałem ją panu e-mailem - oznajmił. - To lista gości prywatnego wernisazu w galerii Berricka.

Turner zaczął przesuwając kursor w dół ekranu i zatrzymał go mniej więcej w trzech czwartych drogi, na nazwisku Noel Thursk.

-Kto by pomyślał - mruknął Pendragon. - Chyba czas najwyższy poprosić pana Jacksona Price'a, by złożył nam wizytę, nieprawdaż, Turner?

Jackson Price siedział sztywno na krześle w pokoju przesłuchań numer 1, z dłońmi złożonymi na kolanach.

-Niech pan posłucha, inspektorze - rzekł z powagą. - Ja naprawdę chcę panu pomóc, ale nie wiem jak.

-Przyjrzyjmy się faktom, panie Price. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin dokonano dwóch morderstw.

Obie ofiary miały związek z panem oraz z galerią. Obie były na imprezie, którą urządził pan dwie noce temu. Staramy się więc ustalić tyle zbieżności, ile się da. Dobrze pan znał Noela Thurska?

-Poznaliśmy się dawno temu, ale nie powiedział-

76

bym, że dobrze go znałem. I nie wiem, czy ktokolwiek go znał.

-Dlaczego pan tak uważa?

-Był typem samotnika. Raczej skrytym człowiekiem.

-Pisarzem, prawda?

-Zaczynał od malarstwa. I chyba nadal bawi się farbami, o ile mi wiadomo, ale podjął decyzję... nie wiem, co najmniej dziesięć lat temu... że nie będzie się parał sztuką, ale pisał o niej. Przez długi czas miał swoją szpaltę w „Evening Standard”, to już przeszłość. Jeśli dobrze pamiętam, doszło do jakiejś awantury i pokazano mu drzwi.

-Kiedy to się stało?

-Parę lat temu. Teraz jest wolnym strzelcem. A przy najmniej był - dodał ponuro Price. - Słyszałem też, że pisał książkę.

Pendragon uniósł głowę znad pustego notatnika, którego urodę kontemplował od dłuższej chwili.

-Książkę?

Price wzruszył ramionami.

-Czyż nie tym zajmują się dziennikarze, gdy tracą robotę?

-Nie orientuje się pan, o czym miała traktować?

-Ani trochę, panie inspektorze. Jak mówiłem, Noel był raczej skrytym osobnikiem i nie znałem go zbyt dobrze.

-Mówił pan też, że był typem samotnika. Czy zatem miał jakichkolwiek przyjaciół?

-Nie słyszałem o takich.

-A Kingsley Berrick? Nie był jego przyjacielem?

-Znali się, naturalnie. Thursk był mocno zadomowiony w środowisku artystów. To niejako wpisane w jego zawód, nieprawdaż? - Price spojrzał na policjanta pustym wzrokiem.

Pendragon właśnie miał odpowiedzieć, gdy odezwał się sygnał jego komórki. Rozpoznał numer na wyświetlaczu.

77

-Turner?

-Szefie, Jackson Price jest u pana?

-Tak.

-Właśnie przesłuchałem Selinę Carthage, jedną z osób, które jako ostatnie wyszły z imprezy w nocy z wtorku na

środe. Pamięta pan? To ona została najdłużej z Berrickiem, Price'em i Hedridge'em.

-Tak.

-Potwierdza, że Hedridge i Berrick wyszli razem. Sama też wróciła do domu. Mieszka w jednym z tych eleganckich budynków w Moorgate, z portierami przy wejściu... Twierdzi, że wróciła mniej więcej o pierwszej czterdzieści pięć. Ale najciekawsze jest to, że według panny Carthage podczas wernisazu rozegrała się ciekawa scena.

-Może pan mówić nieco jaśniej, sierzancie?

-Pojawił się nieproszony gość, niejaki Francis Arcade.

Co za nazwisko! - Turner parsknął z cicha. - Podobno niezły numer; nie pierwszy raz narozrabiał.

-Dzięki, sierzancie. Gdzie pan teraz jest?

-Jadę na spotkanie z ostatnim facetem, który został w galerii do końca, niejaki ehesterem Gerachim. Nie wie pan czasem, dlaczego ci wszyscy artyści mają takie durne nazwiska?

Pendragon zignorował pytanie i zamknął telefon.

-Dzwonił mój sierżant - powiedział, spoglądając twar-
do na Jacksona Price'a. - Twierdzi, że na imprezie pojawił się nieproszony gość. Pan jakoś o tym nie wspomniał.
Price zareagował ledwie widocznym wzruszeniem ra-

mionami.

-Bo nie uważam, żeby to było ważne - odrzekł gładko. - To był tylko Arcade. On nigdy nie jest zaproszony, a zjawia się regularnie, panie inspektorze. Cóż by to był za wernisaż, gdybyśmy nie zobaczyli jego ciekawskiej gęby?

78

Pendragon spojrział na niego ze zdziwieniem.

-Francis Arcade to pajac - ciągnął właściciel galerii. - Dziwię się, że nie najmuje się jako klaun na przyjęcia albo nieco ambitniej: jako performer.

-Co zatem zaszło?

-Co zaszło? Pan Arcade pojawił się mniej więcej o dwudziestej drugiej trzydziści. Nieproszony, rzecz jasna. Odmówiono mu wstępu, ale on nie zważa na odmowy. I tym razem wszedł do sali. Było to nieprzyzwoicie nudne; Arcade naprawdę mógłby już nieco zmienić scenariusz.

-Co było dalej?

-Wziął sobie drinka, oblał nim kogoś... Standardowy numer. Byłem gotów pozwolić mu zostać, bo jakoś tak jest, że on właśnie tej jednej reakcji nie znosi. Popsułbym mu zabawę. Ale...

-Ale?

-Kingsley nie chciał o tym słyszeć. - Price ściszył głos

niemal do szeptu.

-Pan Berrick interweniował?

-Cóż...

-Tak czy nie, panie Price?

-Interweniował. Przez chwilę obrzucali się obelgami, a potem Kingsley chwycił Arcade'a za ramię. Wydawało się, że sytuacja lada moment wymknie się spod kontroli, ale wtedy ktoś jeszcze przytrzymał Arcade'a i głupi smarkacz przestał stawiać opór... Poddał się po prostu. I tak zrobił to, co sobie zaplanował, jak sądzę. Wyprowadzono go i na tym się skończyło.

-Kim była osoba, która pomogła panu Berrickowi?

Price wpatrywał się w podłogę pokoju przesłuchań, nie mogąc spojrzeć Pendragonowi w oczy.

-Sądzę, że pan wie, inspektorze.

Rozdział 14

Do pani Soni Thomson

13 października 1888 r.

Moja matka zmarła po zachwycająco długiej chorobie.

Miałem wtedy trzynaście lat. Pamiętam, jak siedziałem z nią w ciemnym pokoju na piętrze, naprzeciwko schodów, we wschodnim skrzydle domu. Fascynowała mnie jej fi-

zyczna degeneracja. Na poziomie emocjonalnym nie odczuwałem absolutnie nic, za to starannie rejestrowałem każdy jej krok w stronę piekła. Byłem bowiem pewny, że jeśli istnieje takie miejsce, to właśnie tam trafi moja matka. Szczerze mówiąc, z prawdziwą rozkoszą podsyciałem w niej przerażenie, gdy byliśmy sami w pokoju. Snulem niekończące się rozważania o jej grzechach, wyolbrzymiając każdy zły uczynek i utwierdzając matkę w przekonaniu, że jej przeznaczeniem jest ogień piekielny, którego płomienie ogarną ją już wkrótce. Pamiętam też, jak stawałem pod drzwiami, przysłuchując się żalnym próbom ojca, który starał się jakoś ją uspokoić i przekonać, że z pewnością trafi do nieba, a Pan odpuści jej grzechy. Naturalnie nigdy nie wspomniała mu o tym, co jej opowiadałem, zdołałem bowiem utwierdzić ją w przekonaniu, że jeśli to zrobi, tylko pogłębi swą winę.

Bodaj najbardziej satysfakcjonująca chwila nadeszła wtedy, gdy udało mi się skraść jej ulubioną karmazynową

80

chustkę. Ścisnęła ją w dłoni, zwieszanej bezwładnie nad podłogą. Siedzieliśmy z ojcem po przeciwnych stronach łóżka, przy szczelnie zaciągniętych zasłonach. Po mojej stronie pokoju tliła się jedna jedyna wątpa lampka stoją-

ca na komodzie. W powietrzu czuć było woń choroby. Pamiętam, jak wpatrywałem się w tę chustkę, czekając na właściwy moment, by zrealizować swój plan. Wiedziałem, że moja niekochana matka jest już bliska śmierci. Chciałem wyrwać ten strzęp karmazynu z jej ręki jeszcze za życia.

I doczekałem się. Ojciec wyszedł na chwilę, a ja wstałem i podszedłem do matki z drugiej strony. Wysunąłem skrawek materii z jej słabych palców, wcisnąłem go do kieszeni i usiadłam na swoim krześle w chwili, gdy ojciec powrócił. Straszna kobieta umarła tej nocy. Uczciłem ten fakt, zabierając chustkę nad rzekę, gdzie spaliłem ją w srebrzystym blasku księżyca.

Za umożliwienie mi ucieczki z Hemel Hempstead winien jestem podziękowanie niejakiemu doktorowi Egbertowi Farmerowi, dyrektorowi mojej szkoły. To on jako pierwszy dostrzegł dojrzewający we mnie talent artystyczny. Był śmiesznym, otyłym mężczyzną obdarzonym absurdalnym poczuciem własnej ważności, ale zarazem jednym z tych, którzy gotowi są wspierać każdego, w kim dostrzegą ślad talentu.

Istotnie, zrodziłem w sobie wielką miłość do rysowania, a później i malowania - twórczość ta była dla mnie

jedynym wytchnieniem w latach nieszczęśliwego dzieciństwa. Moje spacery i przygody nad rzeką, a także sporadyczne „zabawy” z futerkowymi czy pierzastymi dziełami naszego Pana były wszak rozrywkami dobrymi na krótką

81

chwile i szybko z nich wyrosłem. Jak się, pani, zapewne domyślasz, wielki ślad w mojej pamięci pozostawił incydent z chłopcem z Londynu. Przeżywałem go w pamięci wciąż na nowo, dlatego wspomnienie pozostało żywe i potężne. Pamiętałem każdy, najdrobniejszy nawet detal z owej godziny nad rzeką. Dowiedziałem się też, że cuchnące zwłoki chłopaka znaleziono dwa dni później w dole rzeki. Oddałbym wszystko, żeby je wtedy zobaczyć, ale to, rzecz jasna, nie było możliwe.

Często szkicowałem Freda, małego topielca. Spędzałem długie godziny, próbując uchwycić na papierze to przerażone spojrzenie, błagalne światło w jego oczach, które tliło się, póki nie osunął się w głębinę. Fantazjowałem o tym, jak musiał wyglądać, gdy dryfował pod wodą, niesiony prądem, gdy jego głowa obijała się o kamienie, gdy trzciny rozcinały mu twarz. Usiłowałem też wyobrazić sobie jego obrzmiałe, zielonkawe zwłoki, które zapewne ujrzeli rodzice, gdy wreszcie wyłowiono je z rzeki.

Tych rysunków nie oglądał oczywiście doktor Farmer. Zanim skończyłem szesnaście lat, miałem już przyzwoite portfolio całkiem konwencjonalnych obrazków i dałem się już poznać jako uczestnik szkolnych konkursów artystycznych. Gdy zdobyłem nagrodę, miałem wrażenie, że po raz pierwszy zostałem dostrzeżony. Wcześniej znały mnie dla wszystkich w szkole niewiele więcej niż cień. Nawet ojciec zauważył mój sukces, a przecież wcześniej zupełnie nie interesował się moimi wysiłkami i reagował wyłącznie drwiną na jakiegokolwiek sugestie, iż jego syn mógłby interesować się czymś tak nieistotnym jak sztuka.

Był mocno zdeprimowany, gdy doktor Farmer przysłał nam obu zaproszenie na rozmowę. Udaliśmy się jednak posłusznie na herbatkę do domu pryncypała, opodal szkoły. Doktor wyjaśnił memu ojcu, iż jego zdaniem je-

82

stem najbardziej obiecującym młodym artystą, jakiego zdarzyło mu się spotkać. Wierzył nawet, że mam szansę na stypendium w Oksfordzie, gdybym zdecydował się studiować sztuki piękne. Mój ojciec wprost zdębiał.

Nie miał akademickich doświadczeń, ale doktora Farmera darzył wielką estymą. Dyrektor mojej szkoły sam był oksfordczykiem i przed laty miał ponoć wielkie ambi-

cje; niestety został ranny na Krymie i nigdy w pełni nie odzyskał zdrowia. Pochodził z zamożnej rodziny z koneksjami, która załatwiła mu posadę nauczyciela w Hemel Hempstead, a gdy w końcu lat sześćdziesiątych zmarł poprzedni dyrektor, pan Bathurst, zastąpił go poczyty doktor. I cieszę się, że tak właśnie się stało, w innym przypadku bowiem nigdy nie dokonałbym wielkich dzieł, które przyniosły mi (nie)sławę.

Oksford tonął w deszczu, gdy ujrzałem go po raz pierwszy. Koła powozu, którym jechałem ze stacji kolejowej, terkotały na bruku i rozbryzgiwały na boki błotniste kałuże, których pełno było na Botley Road. Minęliśmy Northgate, wjechaliśmy na Turl Street i zatrzymaliśmy się przed moim nowym domem, którym miał być Exeter College. Byłem w refleksyjnym nastroju i niespecjalnie zwracałem uwagę na otoczenie. Dopiero następnego ranka, gdy jasne promienie słońca rozświetliły me skromne lokum, poczułem, że wreszcie dotarłem na miejsce.

Moja droga pani, której obiecałem pisać prawdę i tylko prawdę oraz zajmować się wyłącznie istotnymi faktami, nie będę zanudzał cię szczegółami historii o tym, jak wkroczyłem w studenckie życie. Wszak każdy z nas nasłuchał się już dość takich banalnych opowieści, czyż

nie? Nie traćmy więc czasu, ale przejdźmy wprost do naj-

83

bardziej soczystych kąsków mojej relacji, jeśli wybaczysz mi to sformułowanie.

Jak wiesz, od najwcześniejszego dzieciństwa wiodłem samotny żywot, toteż szokiem było dla mnie nagłe wejście w tak ludną społeczność, jaką jest uniwersytet. Szybko pojąłem, że mogę spędzić najbliższe trzy lata życia na dwa sposoby. Albo pozostanę mizantropem żyjącym w odosobnieniu, albo uczynię z mojej egzystencji wielkie przedstawienie. Pierwsza z dróg bardziej pasowała do mej prawdziwej natury i mocno mnie pociągała, lecz wiedziałem, że znacznie więcej pożytku przyniosą mi studia w oksfordzkim Exeter College, jeśli... jak by to powiedzieć... pójdę na całość.

Przekonałem się, że całkiem dobry ze mnie aktor; przypuszczam, że mam wrodzony talent mimiczny. Nauczyłem się zmieniać głos i udawać przeróżnych ludzi. Eksperymentowałem z ekscentrycznymi ubiorami, zarostem na twarzy, farbowaniem włosów, różnymi postawami... I sprawiało mi to przyjemność. Muszę też wyznać nieskromnie, że jestem dość przystojny. Mam modne dziś, długie włosy w odcieniu ciemny blond, a także inteligen-

tną twarz o mocnych rysach i wielkich, błękitnych oczach. Najmniej atrakcyjnym elementem mojej aparycji są usta, nieco zbyt cienkie, za to nic nie można zarzucić mojej silnie zarysowanej szczęki, mocnemu karkowi i szerokim barkom. Jestem o ładnych kilka centymetrów wyższy od przeciętnego mężczyzny i raczej masywnie zbudowany. Być może jednak ważniejsze od wyglądu zewnętrznego jest to, że umiem perfekcyjnie grać rolę człowieka pozbawionego jakichkolwiek anomalii charakteru, a to pozwoliło mi z łatwością zawierać znajomości z rówieśnikami. Wiedziałem przy tym, że nie są to prawdziwe przyjaźnie; wszyscy ci ludzie byli dla mnie jedynie rekwizytami. A kto wie, może niektórzy z nich byli aktorami, jak ja?

Jednym z nich był Winston Merryfield, student medycyny z Lincoln College. Doprawdy nie pamiętam już, jak się poznaliśmy, ale w istocie nie ma to żadnego znaczenia. Lubiłem bystrość jego umysłu. Był trochę jak intelektualista starej daty, wiecznie zaczytany w opasłych niemieckich powieściach (w oryginale, rzecz jasna) i nieustannie wychwalający cnoty swych ulubionych kompozytorów. Ja zaś od urodzenia nienawidzę muzyki, toteż

Merryfield testował granice mego aktorskiego talentu, namawiając mnie ciągle, bym chodził z nim na koncerty, które tak kochał. Podejmowałem jednak ten trud, żywiłem bowiem przekonanie, iż młody Winston, przyszły lekarz, jeszcze mi się przyda.

Dość wcześnie w mojej karierze studenckiej przekonałem się, że istnieje pewien ważny związek między sztuką a medycyną, niestety ignorowany przez wielu ludzi. Jako student wydziału Sztuk Pięknych poznałem podstawy anatomii; wpojono mi je, abym potrafił w bardziej realistyczny sposób przedstawiać na obrazie kształty ludzkie czy zwierzęce. Dla artysty istotnie jest to niezwykle ważna wiedza - pisał o tym choćby mistrz doby renesansu Leonardo da Vinci. Trzeba jednak stwierdzić, że uczy się malarzy anatomii w sposób - mówiąc delikatnie - nieco powierzchowny. Ty zaś, droga pani, znasz mnie już na tyle dobrze, by wiedzieć, jak bardzo jestem dociekliwy, jeśli chodzi o badanie ciał, czy to żywych czy martwych.

Merryfield był zachwycony, gdy się dowiedział, że z przyjemnością znoszę jego nudne intelektualne wywody, a jeszcze bardziej się ucieszył, gdy pewnego wieczoru, po szczególnie męczącym mozartowskim rzępoleniu w Shel-

donian oświadczyłem mu, iż pragnę poznać lepiej ludzką anatomię, dziedzinę ważną dla przyszłego malarza.

-Mój drogi Sandlerze - odpowiedział z typowym dla siebie entuzjazmem — mogę cię wybawić z kłopotu nadzwyczaj prostym sposobem.

-Co konkretnie masz na myśli? - spytałem zachęcająco.

-Jesteś zmęczony?

-Nie.

-W takim razie nie traćmy ani chwili. Chodź ze mną. Szliśmy przez Broad Street, ale Merryfield pochwycił mnie za ramię i zawrócił w miejscu.

-Nasze laboratorium mieści się niedaleko stąd, za Wadham, przy Parks Road. I zawsze ktoś tam pracuje do późna.

Tym sposobem drugi raz w życiu ujrzałem ludzkie zwłoki. Jako słuchacz trzeciego roku, Merryfield dysponował własnym kluczem do laboratorium. Nie mylił się jednak: mimo późnej pory w lodowatym chłódzie sali pracowało jeszcze dwóch studentów. Była to zimna listopadowa noc, ale nie miałem wątpliwości, że temperatura w laboratorium jest jeszcze niższa niż na zewnątrz, dzie-

ki jakimś sprytnym urządzeniom.

Merryfield pokazał mi trupa starego człowieka, obłożonego lodem w stalowej szafie. Uchylił jej drzwi i wysunął ciało na wąskiej tacy. Spojrzałem na żalospną pozostałość człowieka: skóra mężczyzny była pożółkła i pomarszczona jak suszona śliwka.

-W chwili śmierci miał siedemdziesiąt siedem lat -
oznajmił Merryfield.

-Skąd bierzecie takie pomoce naukowe? - spytałem. -
Czyżby rabowanie grobów nadal było intratnym interesem?

86

Merryfield wyglądał na głęboko urażonego.

-Ależ skąd, Sandler! - warknął. - Podobnie jak ty,
kierujemy się nakazami moralnymi. Zwłoki, które tu badamy, pochodzą z legalnych źródeł, z przytułków, więzień i szpitali, a pozyskanie ich za każdym razem dokumentowane jest po trzykroć.

-Przepraszam, ja...

-Burke i Hare już dawno zamknęli interes - dorzucił.

Uniosłem ręce, bardzo się starając udobruchać mojego „przyjaciela”. W duszy jednak szczerze ubawiłem się jego reakcją, choć przecież nie mogłem dać tego po sobie

poznać.

-Powiedz no, jak, u licha, udaje wam się zakonserwować ciała? - spytałem, czym prędzej otwierając przed Merryfieldem możliwość popisania się wiedzą.

-O, to znakomite pytanie - odpowiedział i poczułem, że jego gniew już się ulotnił. - Wcale nie jest to łatwe. Słyszałeś może o schładzaniu?

-Tak.

-Otóż właśnie tu dokonujemy tej sztuki. Na tyłach budynku mamy generator gazowy, który pozwala utrzymać niską temperaturę. Pewnie poczułeś?

-Owszem - odpowiedziałem i wzdrygnąłem się demonstracyjnie.

-Poza tym ciało namaszcza się specjalną substancją, zwaną glutaraldehydem, i dodatkowo okłada lodem w szafie takiej jak ta - wyjaśnił, wskazując na stalowy grobowiec. - To glutaraldehyd zabarwił skórę Franklina na żółto.

-Franklina?

-Tak miał na imię. Podobno był mordercą; zabił dwoje małych dzieci.

Spoglądałem na żylaste, nagie ciało, ale w żaden spo-

sób nie mogłem sobie wyobrazić, by kiedykolwiek należało do żywej istoty, a tym bardziej do osobnika ogarniętego pasją zabijania.

Nieco później ruszyliśmy z Merryfieldem ku Broad Street, ustalając po drodze datę i godzinę mojej dodatkowej lekcji anatomii, a potem rozstaliśmy się w zgodzie.

On ruszył ku swojej izbie w Lincoln College, ja zaś wolno oddaliłem się przez Turl Street w stronę Exeter. Wiedziałem jednak, że nie zasnę tej nocy, jeśli nie spędzę z Franklinem nieco więcej czasu.

Odczekałem pełne trzy godziny, obserwując zegar stojący na kominku, aż wskazówki sięgnęły jedynki. W moim college'u ściśle przestrzegano „godziny policyjnej” - po dwudziestej drugiej mieliśmy wszyscy udać się na spoczynek. Zapewne spostrzegłaś już jednak, moja pani, że ja nigdy nie byłem całkiem zwyczajnym obywatelem. W ciągu dwudziestu czterech godzin od przybycia do Exeter znalazłem co najmniej trzy dobre metody uniknięcia spotkania z Buldogami. Dyskretne przemknięcie obok głównego portiera, pana Coopera, nie stanowiło problemu, gdyż zwykle z wielkim zainteresowaniem zaczytywał się „Oxford Timesem”, siedząc w swej przytulnej kanciapie i sącząc herbatę. Na wszelki wypadek włożyłem jednak

czarne ubranie, usmarowałem twarz farbą i mocno naciągnąłem czapkę.

Od lat byłem biegły w otwieraniu zamków i do dziś nie trafił się taki, któremu nie dałbym rady... A możesz mi wierzyć, dobra pani, że rozbroiłem ich wiele.

Mam niemal doskonałą pamięć, toteż oczami wyobraźni widziałem każdy detal laboratorium. Ot, kolejna przydatna umiejętność. Musisz przyznać, że jestem nie w ciemną bitą. W sali panował mrok, ale tuż przy drzwiach wisiała lampa gazowa. Przywołałem w pamięci obraz la-

88

laboratorium: drewniane i metalowe ławy, krzesła, zlewy oraz metalowe „grobowce”. W ciemności udałem się wprost do tej części sali, w której wieczorem toczyłem rozmowę z Merryfieldem. Teraz dopiero zapaliłem lampę, regulując ją tak, by dała jak najniklejszy płomień.

Do dziś pamiętam każdy, najdrobniejszy nawet szczegół tamtej nocy. Większość ludzi zapewne czułaby się nieswojo w takim miejscu. Panował dokuczliwy chłód, policzki szczypały, a palce sztywniały. W powietrzu raz po raz pojawiał się obłok mojego oddechu. Jeśli jednak nie liczyć tego drobnego dyskomfortu, czułem się zdumiewająco swobodnie. Martwi nigdy nie wzbudzali we mnie

lęku, a w tym ciemnym i zimnym pomieszczeniu doprawdy czułem się jak w domu. Zaraz też zabrałem się do pracy.

Nie opiszę dokładnie, co uczyniłem. Powiedzmy tylko, że czegoś szukałem. Jak zawsze zresztą. W tamtych bo-wiem dniach wierzyłem jeszcze, że w ludzkim ciele można to znaleźć. Później dopiero przekonałem się, że niczego w nim nie ma. Poznałem prawdę.

Mam wrażenie, że chyba jeszcze ci tego nie objaśniłem, nieprawdaż, moja pani? A być może powinienem. Religijny zapał moich rodziców budził we mnie odrazę, to pewne. Nie miałem czasu na mity i legendy, a już na pewno nie na wiarę w dobrotliwego Boga. Lecz jednocześnie nie umiałem pogodzić się z myślą, iż ten nasz smutny żywot na Ziemi jest wszystkim i nie ma niczego więcej. Dziś rozumiem, że tylko moje ego popychało mnie do tego buntu. Co więcej, to ludzkie ego jest motorem wszelkich wierzeń religijnych, zatem i ja, jak większość ludzi, potrzebowałem wiary w istnienie duszy. Już na samym początku drogi, gdy dokonywałem wiwisekcji szczurów czy żab, szukałem fizycznego dowodu jej istnienia. Wiedziałem, że gdzieś tam musi być. I to samo próbowałem osiągnąć owej nocy

mniejszego znaku, który potwierdziłby, że w martwym ciele mordercy mieszkała niegdyś dusza. Wierzyłem, że został po niej ślad. Dziś, droga pani, zdaję sobie sprawę z daremności tych prób. Wtedy jednak byłem młody. Ale porzućmy te dygresje. Przypuszczałem, że w lokalnej gazecie pojawi się wzmianka o mojej nocnej przygodzie, lecz ku memu rozczarowaniu nic takiego nie nastąpiło. Wyglądało na to, że uniwersytet wyciszył sprawę. Nikt nie winił też Merryfielda, dostęp do zwłok miało bowiem jeszcze z tuzin innych studentów. Usłyszałem od niego, że przeprowadzono dyskretne śledztwo w sprawie włamania i że poddano go długiemu przesłuchaniu. Wspaniale udałem szok i niesmak, gdy - po tym, jak przysięgłem, że nie puszcę pary z ust - wyjawiał mi, co właściwie zaśzło. Nikt spośród studentów medycyny i ich nauczycieli nie rozumiał do końca, dlaczego tak trudne do zdobycia zwłoki, służące poważnym badaniom, zostały ręką nieznanego sprawcy tak metodycznie i tak całkowicie zmasakrowane, że nie ostał się w całości ani jeden organ, ani kawałek martwej tkanki.

Przyznaję, że nie mam pojęcia, dlaczego Merryfield nigdy nie okazał choćby najmniejszego śladu podejrzliwości, jakby nie przyszło mu do głowy, że zniszczenie ciała

Franklina mogło mieć jakiś związek z naszą wieczorną wizytą w laboratorium i, co oczywiste, z moją skromną osobą. Albo był osobnikiem wybitnie naiwnym, albo ja jestem lepszym aktorem, niż mi się wydaje.

Rozdział 15

Stepney, piątek, 23 stycznia, 8.30

Gdy Pendragon i Turner jechali szarymi ulicami Londynu, poranne słońce próbowało przebić się przez warstwę ciężkich, ciemnych chmur. Pendragon sączył kawę, a sierżant siedział za kierownicą.

-Dowiedział się pan czegoś nowego od Chestera Gerachiego?

-Nie, potwierdził tylko to, co mówiła ta Selina.

-Na temat Arcade'a?

-Tak. I tego, że Berrick wyszedł razem z Hedridge'em.

-A dokąd udał się Gerachi, kiedy wernisaż dobiegł końca?

-Taksówką do domu. Mieszka w Bermondsey. Sprawdziłem w korporacji: rzeczywiście, jeden z ich wozów zawiózł go tam tuż po pierwszej trzydziści.

Pendragon skinął głową i wziął mały łyk kawy.

-Co wcale nie wyklucza go jako sprawcy. Mógł wrócić do Stepney i załatwić Berricka.

-Przyszło mi to do głowy, szefie. Ale on jest czysty. Czekala na niego dziewczyna.

Zatrzymali się przed linią przestronnych wiktoriańskich szeregowców przy Glynnis Road opodal stacji metra

91

Whitechapel. Dzwonili do drzwi sześciokrotnie - bez skutku - i dopiero gdy Turner na dłuższą chwilę oparł się o przy-

cisk dzwonka, wreszcie uchyliły się nieco. W szczelinie ukazała się twarz mężczyzny o półprzymkniętych oczach.

Jego długie, nastroszone włosy wyglądały wręcz komicznie - wyglądał jak nieszczęsny kot z kreskówki Tom i Jerry,

tuż po tym, jak wsadził łapę do kontaktu. Pendragon przysunął do szpary w drzwiach swoją odznakę policyjną.

Przyjrząwszy się jej, młody mężczyzna spróbował je domknąć, ale Turner zdążył wsunąć stopę za próg. Z holu

dało się słyszeć krótkie westchnienie, a po chwili drzwi otworzyły się nieco szerzej.

Francis Arcade mieszkał w sporym wynajętym pokoju

na pierwszym piętrze. Tuż obok znajdowały się maleńka

łazienka i kuchnia. Za oknami widać było szarą ulicę, par-

kujące przy niej samochody, bezlistne drzewa oraz typowy dla Stepney brud. Pomieszczenie było dość wysokie, a jego sufit bogato zdobiony. Nagie deski podłogowe pomalowano na czarno, ściany zaś na ciemnoszary kolor. Pośrodku sufitu zwisała naga żarówka, rzucająca mocne, surowe światło na ciemne powierzchnie ścian i podłogi. W rogu stało wąskie łóżko - jedyny mebel w całym pokoju.

Resztę przestrzeni wypełniały płótna leżące na podłodze i oparte o ściany, a także sztalugi, pudełka z farbami oraz garnki pełne pędzli wszelkich rozmiarów. Jedną ze ścian pokrywały reklamy z czasopism i gazet. Wszystkie płótna - a było ich ponad tuzin - były identyczne: matowoczarne, bez śladu koloru. Arcade zauważył, że Turner przypatruje im się kolejno.

-Nowa seria - wyjaśnił. - „Odcienie bieli”.

Turner zamierzał odpowiedzieć, ale się powstrzymał, widząc spojrzenie Pendragona.

-Panie Arcade, jesteśmy z posterunku policji przy Brick

92

Lane. Jestem główny inspektor Pendragon, a to sierżant Tur-

ner. Czy możemy zadać panu kilka pytań?

Arcade był wysoki - miał ze sto dziewięćdziesiąt centy-

metrów wzrostu - i niewiarygodnie szczupły. Nie ważył więcej niż siedemdziesiąt kilogramów. Widać było, że dopiero wstał z łóżka: był bosy, miał na sobie czarne, workowate i zdecydowanie za długie spodnie oraz podarty T-shirt; przez dziurę widać było jeden z jego bladych sutków. Na szyi nosił poplamioną czerwoną chustkę. Miał duże dłonie, długie palce i brudne paznokcie. Szopa kruczoczarnych włosów była w fatalnym stanie, a w pionie utrzymywała ją gruba warstwa żelu. Wokół wielkich oczu mężczyzny widać było ślady tuszu do rzęs. Miał długi, kształtny nos i zmysłowe, szerokie usta. Gdyby się wykąpał, ostrzygł i choć kilka razy porządnie najadł, zapewne byłby przystojnym młodzieńcem.

Pendragon przypomniał sobie dane, które zebrał o nim wcześniej. Francis Arcade był notowany za dwa niezbyt poważne wykroczenia: zakłócanie porządku oraz drobną kradzież. Żadna ze spraw nie skończyła się postawieniem zarzutów. Studiował w St Martin's i swego czasu był uważany za obiecującego malarza. W czasopiśmie „Paint” pojawił się nawet artykuł o nim, w którym napisano, że Arcade to „młody twórca, którego należy bacznie obserwować”. Lecz jego kariera nie potoczyła się szczęśliwie. Wyrzucono go z college'u, co zaiste było niemałym osiągnięciem. We-

dług oficjalnej wersji wydarzeń naraził się szkalowaniem dobrego imienia uczelni w wywiadzie dla „Big Issue”, ale sam Arcade twierdził, że był prześladowany, a artykuł stał się jedynie pretekstem. Trudno było stwierdzić, kto miał rację w tym sporze; tak czy owak, był to początek upadku. Wkrótce Arcade został poddany ostracyzmowi malarzkiej braci, opuścili go nawet nieliczni przyjaciele, których

93

miał. Od tamtej pory zajmował się głównie atakowaniem środowiska londyńskich artystów, i to przy każdej okazji. Ta strategia przyniosła jednak opłakane skutki: dla ludzi z branży nie był już nawet buntownikiem, a jedynie żalosaną, śmieszoną postacią.

-Domyślam się, że chodzi o truposzy?

-Jeśli ma pan na myśli dwóch mężczyzn, w sprawie śmierci których prowadzimy śledztwo, to odpowiedź brzmi: tak.

-Super. Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć o tych skurwielach. Nienawidziłem nawet powietrza, którym oddychali. Dobrze, że już po nich, jeśli chcecie znać moje zdanie.

-To dość osobliwe oświadczenie w pańskiej sytuacji, panie Arcade.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

-Niewinny, póki nie udowodni się winy. Tak mi zawsze mówiono. Czyżby coś się ostatnio zmieniło?

Pendragon spojrział na niego przeciągle.

-Może nam pan opowiedzieć, co pan robił w środę nad ranem?

-Mogę. Byłem w Lemonie.

-W Lemonie?

-To taki klub, sir - podpowiedział Turner.

Pendragon skrzywił się nieco i skinął głową.

-A o której godzinie wyszedł pan z... tego klubu?

-Zdaje się, że o czwartej. Może pan spytać bramkarzy.

Widzieli, że przyjechałem koło północy. Myślę, że sporo osób, które były wtedy w lokalu, potwierdzi moją obecność. Tańczyłem prawie cały czas. Bez przerwy. Chociaż nie: parę razy musiałem się odlać.

-A wczorajszej nocy?

-Czy to wtedy mój nieodżałowanej pamięci przyjaciel Noel Thursk odwalił kitę? Podobno się powiesił.

94

-Proszę odpowiedzieć na pytanie.

-Czyżbym nagle został podejrzanym?

-Na razie pomaga pan w śledztwie, Arcade. Ale jeśli woli pan to robić na posterunku, to oczywiście mamy tam

bardzo przytulne pokoje przesłuchań.

Mężczyzna zacisnął zęby na brudnym paznokciu.

-Wtedy też byłem w Lemonie.

-Dwie noce z rzędu?

-Ostatnio jakoś wzięło mnie na tańce.

Pendragon rozejrzał się niespiesznie po pokoju, zanim znowu wbił wzrok w oczy Arcade'a.

-Dobrze pan znał Kingsleya Berricka i Noela Thurska?

-Lepiej, niżbym sobie tego życzył. Berrick był pazernym draniem, w ogóle niezainteresowanym sztuką. Gdy patrzył na obraz czy rzeźbę, widział symbol funta. A Thursk? Drobny oszust. Bawiło go głównie obrzucanie bliźnich błotem. Gówniany był z niego malarz i gówniany pisarz. Szczerze mówiąc, żadna strata - zakończył Arcade, wykrzywiając twarz w drwiącym uśmiechu.

-Zgaduję, że obwinia pan tych ludzi o swoje obecne problemy - rzekł Pendragon.

Arcade przestał się uśmiechać i posłał mu spojrzenie tak mroczne jak jego najnowsze obrazy.

-Niby jakie problemy, inspektorze?

Pendragon poczuł, że Turner patrzy na niego z ukosa.

Arcade parsknął śmiechem.

-Pan nic nie rozumie, prawda? - odezwał się. - W świe-

cie sztuki, szanowny panie główny inspektorze, istnieją dwa rodzaje ludzi: twórcy oraz pasożyty. Berrick i Thursk są... przepraszam: byli... pasożytami. Żywili się duszami artystów. Ja nie mam żadnych, jak pan to nazwał, „problemów”. Dla mnie istnieją tylko okazje. Okazje do tworzenia. Czerpię wiedzę ze wszystkiego, co mnie spotyka. Każde

95

nowe doświadczenie w moim życiu staje się pożywką dla mojej pracy. I dlatego, inspektorze, ja nie mam problemów. Jestem na nie odporny.

Pendragon spojrział przelotnie na Turnera, a potem znowu na Arcade'a. Powstrzymał się, choć miał ochotę pociągnąć dalej ten spór, udowodnić młodzikowi, że sam sobie przeczy, bo skoro w jego życiu nie było problemów, to Berrick i Thursk nie powinni być dlań problemem. Gdyby byli wyłącznie pożywką dla jego twórczości, wyświadczyłoby mu tym przysługę i nie byłoby powodu, by ich nienawidzić.

-Proszę mi opowiedzieć o wtorkowym wieczorze -
rzekł po chwili.

-To znaczy? O tym obrzydliwym pokazie nadęcia i li-
zusostwa w galerii Kingsleya?

-O imprezie, na którą nie był pan zaproszony.

-Gdybym był, tobym nie poszedł.

-Zatem wejście bez zaproszenia było tylko przejawem frustracji? Czy może formą performance'u?

Francis Arcade obrócił się na pięcie, by spojrzeć na sierżanta.

-O, chłopie, niezły komediant z twojego szefa. - Ponieważ Turner nie zareagował, Arcade znowu zwrócił się do Pendragona. - No, jak tam? Łyknęliśmy nowe słówko, panie glino? „Performance”. Otóż nie. To, co zrobiłem, nie miało nic wspólnego ze sztuką. Wlazłem na tę imprezę, ponieważ mnie to bawiło.

Pendragon popatrzył na niego z powątpiewaniem, a potem zerknął na sierżanta. Na chwilę zapadła martwa cisza, a potem Arcade bez słowa minął obu policjantów i stanął przed sztalugą. Sięgnął po paletę z czarną farbą i zaczął malować nią płótno. Pendragon nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ktoś pstryknął przełącznikiem i od tej chwili Arcade'a już z nimi nie było.

96

Rozdział 16

- Trzeba przyznać, szefie, że ci artyści to cholernie dziwna banda - powiedział Turner, gdy szli w stronę samochodu.

Pendragon, pogrążony w myślach, nie odpowiedział.

-Przecież ten facet autentycznie nienawidził Berricka i Thurska, a teraz wcale się z tym nie kryje. Nie obchodzi go, co pomyślimy?

-Najwyraźniej nie, sierżancie. Co moim zdaniem tylko wzmacnia wrażenie, że nie miał nic wspólnego z morderstwami.

-Albo wymyślił podwójny bluff.

Pendragon westchnął i pokręcił głową.

-Zdaje się, że ogląda pan za dużo amerykańskich seriali kryminalnych, Turner. Gdy tylko wrócimy na posterunek, proszę sprawdzić alibi Arcade'a na obie noce. Założę się, że będą solidne. A przy okazji, niech pan sprawdzi, jak Grant i Vickers radzą sobie z nagraniami z monitoringu. Proszę mnie zawiadomić, jeśli odkryli coś ciekawego.

-A gdzie pan będzie?

-Muszę odwiedzić pewnego faceta w sprawie książki.

97

O dziesiątej trzydzieści w piątkowe przedpołudnie jedynymi ludźmi w okolicy Soho Square byli klienci sklepów, opatuleni w grube kurtki i obładowani łupami ze styczniowych wyprzedaży. Pendragon skręcił w boczną uliczkę, ku budynkowi o zdobionym frontonie. U szczytu

schodów zabezpieczonych czarnymi poręczami znajdowały się czarne drzwi. Inspektor wcisnął guzik i po chwili z głośnika domofonu dobiegł głos zniekształcony elektronicznymi trzaskami.

-Czym mogę służyć?

-Główny inspektor Jack Pendragon. Przyszedłem do pana Lewisa Fanshawa - odparł policjant.

Po krótkiej pauzie szczęknął mechanizm zamka.

Wąski korytarzyk z półokrągłym sklepieniem prowadził do przestronnego holu. Pendragon przedstawił się ponownie, a sekretarka wskazała mu rząd skórzanych foteli wokół niskiego stolika, na którym leżały czasopisma literackie i katalogi wydawnicze. Pendragon właśnie starał się dostrzec coś ciekawego w artykule o kolejnej hinduskiej sadze, którą wkrótce miał się zachwycić świat, gdy w holu zjawił się pulchny mężczyzna po czterdziestce. Zbliżał się z wyciągniętą ręką i uśmiechem na twarzy. Miał na sobie wymiętą granatową marynarkę i szare spodnie oraz białą koszulę i nader krzykliwą kamizelkę.

-Inspektorze Pendragon - rzekł - bardzo przepraszam, że kazałem panu czekać. Proszę ze mną.

Jedną rękę położył na ramieniu detektywa, a drugą skinął w stronę swego pokoju.

Gabinet Lewisa Fanshawa był duży i kwadratowy. Za dwoma otwieranymi pionowo oknami rozciągał się widok na wąskie podwórze, otoczone ciemnymi murami z cegły. Na parapetach stały skrzynki z dawno umarłymi roślinami; na ich pomarszczonych liściach lśnił szron. Fanshaw 98

zasiadł za pięknym, starym mahoniowym biurkiem. Na obu końcach piętrzyły się sterty rękopisów, niektóre były spięte gumką, inne rozsypywały się w dość przypadkowy sposób. Umościwszy się wygodnie na nowoczesnym, krytym płótnem krześle obrotowym, Fanshaw odchylił się do tyłu i zarzucił prawą nogę na lewą, odsłaniając jedną skarpetkę z Hush Puppy i jedną z Kaczorem Donaldem oraz kawałek bladego ciała. Zaplótłszy palce wokół kolana, rzekł: -A zatem, panie inspektorze, sprowadza pana zapewne sprawa nieszczęsnego Noela, czyż nie? Czy Margaret zaproponowała panu kawę lub herbatę?

-Nie, ale dziękuję - odparł Pendragon. -I tak, właśnie dlatego przyszedłem. Sprawę śmierci pana Thurska traktujemy jako morderstwo.

Fanshaw zbladł.

-Morderstwo? Powiedziano mi...

-Że to samobójstwo? Otóż wygląda na to, że nie.

-Rozumiem. Cóż, panie inspektorze, tak czy inaczej zrobię wszystko, żeby panu pomóc...

-Zaczynamy podejrzewać, że sprawa Noela Thurska może mieć bliski związek ze śmiercią Kingsleya Berricka. Ci dwaj znali się, a ponadto są w obu morderstwach pewne cechy wspólne, o których nie mogę teraz mówić.

Fanshaw słuchał, kiwając głową.

-Nie, oczywiście, że nie. Jak mogę pomóc, inspektorze?

-O ile wiem, miał pan być wydawcą książki, którą pisał Noel Thursk.

Fanshaw uniósł brwi i westchnął.

-No cóż, tak to wygląda w teorii - przyznał. Pendragon spojrział na niego ze zdziwieniem. - Umowę na tę książkę podpisaliśmy ponad cztery lata temu. Termin oddania był przekładany kilkakrotnie. Zacząłem już tracić wiarę. A teraz naturalnie... Przepraszam, nie chciałem, żeby to

99

zabrzmiało gruboskórnie. Lubiłem Noela. W ostatnich latach stał się jednak dziwnym, bardzo skrytym człowiekiem. Dawniej był inny. Studiowaliśmy razem, wie pan... W tamtych czasach był świetnym kompanem. A potem jakby zeszło z niego powietrze. Palec przeznaczenia, czy jakoś tak.

-Co dokładnie chce pan przez to powiedzieć, panie Fanshaw?

-Niestety, tak się złożyło, że Noel był jednym z tych ludzi, których ambicja znacząco przerasta wrodzony talent. Proszę mnie źle nie zrozumieć, był dobrym artystą, ale na pewno nie wyjątkowym. Do tego jego styl był już bardzo, bardzo niemodny. Noel nie umiał się przystosować. Dlatego już dawno temu przestano go traktować poważnie jako artystę. W końcu się z tym pogodził i postanowił przejść na drugą stronę barykady: zamiast malarzem, został dziennikarzem piszącym o malarstwie. Ale sam wyrządził tym sobie krzywdę. Dokonując tej wolty, wyrzekł się sporej części swojej tożsamości.

-O czym miała traktować jego książka?

Fanshaw opuścił nogę i wyprostował się na krześle.

-Nosila tymczasowy tytuł Zaginiona dziewczyna. Opowiadała dzieje Juliette Kinnear.

Pendragon spojrzal na wydawcę pustym wzrokiem.

-Przykro mi, ale...

Fanshaw uśmiechnął się i oparł łokcie o blat.

-Nic nie szkodzi, inspektorze. Nie dziwię się, że nie panu nie mówi to nazwisko. Dopiero ta książka mogłaby sprawić, że stałoby się powszechnie znane. Juliette Kinnear

była artystką. Pochodziła z rodziny Herbatnikowych Kin-
nearów, wie pan, o kim mówię?

Pendragon skinął głową.

-Słyszałem o nich. Nadzwyczaj bogata rodzina.

100

-Miała ogromny talent. Powiedziałbym nawet, że była
najzdolniejszą artystką swojego pokolenia. Gdyby żyła, bez
wątpienia byłaby dziś sławna na cały świat.

-Co się z nią stało?

-Cierpiała na tajemniczą chorobę psychiczną. Popeł-
niła samobójstwo w połowie lat dziewięćdziesiątych. Cóż
za strata.

-Thursk pracował nad jej biografią?

-Tak naprawdę pisał coś znacznie poważniejszego, ra-
czej coś w rodzaju exposé, którego kamieniem węgielnym
miała być historia Juliette. Kopał w związku z tym bardzo
głęboko, penetrując na wskroś całe środowisko londyńskich
artystów. Miał fantastyczne znajomości. Znał praktycznie
wszystkich... i wszystkie brudne sekrety.

-Ach tak - mruknął Pendragon.

-Oto więc ma pan, jak mi się wydaje, motyw morder-
stwa, inspektorze.

Inspektor skinął głową.

-Tyle że nie całkiem pasuje on do sprawy Kingsleya Berricka.

-Może więc związek między tymi morderstwami był pozorny.

-Nie sądzę, panie Fanshaw. Tak czy inaczej, bardzo dziękuję za informacje. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy mógłbym dostać kopię rękopisu Thurska? A raczej tej części, którą zdążył skończyć.

Fanshaw odetchnął głęboko i skrzywił się z lekka.

-Obawiam się, że to niemożliwe, panie inspektorze.

Noel nie dostarczył mi ani jednego słowa.

Rozdział 17

Brick Lane, Stepney, piątek, 13.00

Pendragon był w fatalnym humorze, gdy otwierał drzwi posterunku. Szedł ze spuszczoną głową, prawie nie patrząc przed siebie. Oficer dyżurny uniósł brwi i spojrzał wymownie na stojącego obok konstabla, gdy inspektor mijał ich naburmuszony. Tuż za jego biurkiem Pendragon omal nie zwałił z nóg Jimmy'ego Thatchera. Połowa papierów, które niósł młody sierżant, pofrunęła w głąb korytarza.

-Szlag by to! - wykrzyknął główny inspektor i przykucnął, by pomóc w zbieraniu. Po chwili wstał, podał Tha-

tcherowi plik kartek i przeprosił. - Dużo ma pan tej papierkowej roboty, sierżancie?

-Dużo - przytaknął smętnie Thatcher.

-W takim razie niech pan sobie zrobi przerwę. Proszę pojechać do mieszkania Noela Thurska. Technicy kryminalistyczni już skończyli swoją robotę. Chcę, żeby pan przywiózł tu komputer Thurska i wszystkie dyski, czy jak je tam nazywają... pendrive'y? Proszę je przekazać Turnrowi. Potem może pan wrócić do papierów - zakończył, ruchem głowy wskazując na pęk wymiętych kartek, które Thatcher tulił do piersi.

102

-Coś nowego u Granta i Vickersa w sprawie kamer? - spytał Pendragon, wkraczając do pokoju operacyjnego i w marszu zdejmując płaszcz.

Turner siedział przy jednym z ustawionych półkoliście biur.

-Nic, sir. Za to ja natknąłem się na coś, co może pana bardzo zainteresować.

-Alibi Arcade'a?

Pendragon podszedł bliżej. Turner wpatrywał się intensywnie w płaski ekran, pisząc coś jednocześnie na klawiaturze.

-Nie. Podcast - odpowiedział i zadarłszy głowę, dostrzegł pytające spojrzenie szefa. - Nie ma pan pojęcia, o czym mówię, prawda?

-Najbledszego.

-Podcast to taka internetowa transmisja. Można ją oglądać w odtwarzaczu MP4 albo w komputerze, jeśli tylko ma dostęp do Internetu. Jest obraz, jest dźwięk... trochę jak w telewizji czy radiu, ale dane odbiera komputer.

-Zatem jaki to podcast udało się panu znaleźć? - spytał Pendragon. Wypowiedział to słowo w taki sposób, jakby za żadne skarby świata nie potrafił pojąć, po co światu taki wynalazek.

-Wpisałem do wyszukiwarki hasło Francis Arcade.

Wyrzuciło oczywiście standardowe informacje z Wikipedii i adresy paru stron o sztuce, na których są o nim wzmianki. A zaraz potem to. - Turner kliknął przyciskiem myszy i obraz na ekranie się zmienił. Pojawiły się dwie fotografie twarzy: Kingsleya Berricka i Noela Thurska. Przecinał je napis: Dwa trupy: podcast pośmiertny. Sierżant kliknął raz jeszcze, by odtworzyć dwuipółminutowe nagranie wideo, zarejestrowane jedną kamerą. Sądząc po tym, jak niestabilny był obraz, filmowano z wolnej ręki. Akcja toczyła

się we wtorkowy wieczór w galerii Berrick i Price. I rzeczywiście w nagraniu występowali obaj mężczyźni, zajęci rozmową z innymi uczestnikami imprezy. Kamera poruszała się zresztą po całej sali, raz po raz rejestrując strzępy rozmów - Berrick deliberował o pewnych aspektach sztuki komercyjnej, Thursk zaś kiwał głową, słuchając kobiety, która opowiadała jakąś anegdotę. Uśmiechnął się nawet i odpowiedział, ale nie dało się zrozumieć słów.

Podcast zakończył się nagle i ekran znowu stał się czarny.

-Zanim pan spyta, szefie, powiem od razu, że ktoś zamieścił to w sieci zaledwie parę godzin temu.

-Szkoda - odparł Pendragon.

-I co pan o tym sądzi?

Inspektor pokręcił głową i usiadł na krześle.

-Nic z tego nie rozumiem. Wygląda to tak, jakby facet chciał, żebyśmy przypisali mu te morderstwa.

-Chce pan złożyć mu drugą wizytę?

-Nie, sierżancie. Myślę, że już pora zaprosić pana Arcade'a do nas.

Gdy Pendragon przemawiał do mikrofonu cyfrowego rejestratora dźwięku, Arcade siedział absolutnie nieruchomo na metalowym krzeselku przysuniętym bardzo blisko stołu w pokoju przesłuchań numer 1. Główny inspektor

zakończył wstęp oświadczeniem, że podejrzany, pan Francis Arcade, nie skorzystał z prawa do pomocy adwokata. Potem na ponad dwie minuty zastygł w bezruchu, patrząc na siedzącego młodzieńca. Jedynym dźwiękiem, który dał się słyszeć w pokoju przesłuchań, było elektroniczne cykanie ściennego zegara. Wreszcie Pendragon przyciągnął ku sobie plastikową teczkę po lśniącej metalowej tafli stołu.

104

-Oglądałem pańskie wspaniałe dzieło sztuki - zaczął.

Arcade ani drgnął. - Kto filmował?

Teraz malarz odpowiedział detektywowi równie intensywnym spojrzeniem.

-Michael Spillman, przyjaciel.

-Myślę, że będziemy musieli z nim porozmawiać.

-Szkoda zachodu. W środę wczesnym wieczorem odleciał do Nowego Jorku. Poza tym on tylko wyświadczył mi przysługę. Wysłał mi e-mailem kopię nagrania. To Berwick i Price zamówili nagranie z imprezy, całkiem jawnie.

Proszę spytać pańskiego kumpla Jacksona.

-Przesłanie wydaje się całkiem jasne, nieprawdaż?

-Parę dni temu ci dwaj byli żywi i w doskonałym zdrowiu. Dziś nie mogą się już poruszyć czy przemówić,

a wkrótce zostanie z nich tylko popiół. Zastanawiał się pan kiedy, jak to jest z nagraniami osób, które już nie żyją? A może dzięki nim żyją? A może nigdy nie żyły? Czasem zachodzę w głowę, czy ludzie z tych dzikich plemion, którzy nie pojmują, w jaki sposób działa kamera, nie mają racji, obawiając się jej. Może ona rzeczywiście wysysa z nas dusze? A może tak jest nawet lepiej? Bo jak inaczej mielibyśmy pozostać przy życiu, gdyby zawiodła ludzka pamięć?

-Bardzo głębokie. Istny Damien Hirst - odparł Pen-dragon beznamiętnym tonem. - A co z oceną artystyczną?

-Zdawało mi się, że prowadzi pan śledztwo w sprawie morderstwa. Dlaczego to pana obchodzi?

Inspektor wzruszył ramionami.

-Niech pan mi zrobi przyjemność.

Arcade uśmiechnął się blado.

-Nie marnuję ani chwili na oceny artystyczne i pan też nie powinien tego robić, inspektorze. Ale skoro mam panu zrobić przyjemność... - Arcade umilkł na chwilę z głową

105

przechyloną na bok. - Chodzi o intencje. Mój przyjaciel przysłał mi ten materiał, tak jak sklep z akcesoriami malarskimi dostarcza płótno i farby. Ja zmontowałem film.

Ale znacznie ważniejsza jest intencja, która stoi za pracą. Konceptualizacja, jeśli pan woli. W tym przypadku tajemnica pośmiertnego wizerunku. Jedyna możliwa forma Życia Po Śmierci.

-Dlaczego?

-Jestem malarzem. Tym się zajmuję.

-Niech pan da wreszcie spokój, Francis! To tylko puste słowa. - Pendragon pozwolił sobie na ledwie zauważalny grymas rozczarowania.

-Taka jest prawda.

-Nuda.

Arcade nie umiał ukryć zaskoczenia.

-Prowokuje nas pan - ciągnął inspektor - celowo stawiając się na pozycji głównego podejrzanego. Dlaczego? Młody mężczyzna wzruszył ramionami, wpatrzony w jakiś punkt na ścianie za plecami detektywa.

-Ja chyba wiem, o co panu chodzi - ciągnął Pendragon. - O sławę, prawda?

-Ha! Teraz gada pan całkiem jak Berrick! - wykrzyknął Arcade. - Właśnie takim gównem przejmował się najbar dziej. „Tlenem sławy” - zacytował pompatycznie.

-A jednak to ma sens, prawda? - Pendragon machnął dłonią w przestrzeni dzielącej ich twarze. - „Niespełniony

malarz korzysta z okazji, by zostać dostrzeżony". Idealnie.

-Zaskakuje mnie pan, inspektorze. A już zaczynałem sądzić, że nie jest pan aż tak tępy jak cała reszta psów.

Pendragon milczał przez pół minuty, pozwalając, by cisza stała się krępująca. Potem położył plastikową teczkę na kolanach i otworzył tak, by Arcade mógł zobaczyć jej zawartość.

106

-Wyobrażam sobie, że jako malarz jest pan przyzwyczajony do szokujących obrazów - powiedział, spoglądając w oczy malarza. - Oto pan Berrick, choć nie wydaje mi się, by mógł go pan rozpoznać. - Pendragon wyjął z teki błyszczącą odbitkę i rzucił ją na stół. Obróciła się i zatrzymała o kilka centymetrów przed podejrzanym. Było to zbliżenie okaleczonej głowy Kingsleya Berricka, wykonane w galerii przez policyjnego fotografa.

Pendragon miał wrażenie, że dostrzegł błysk w oczach Arcade'a, ale nie był pewny, co miał on oznaczać.

-Pewnie nie takiego go pan zapamiętał.

Arcade odsunął fotografię.

-Ma pan rację, inspektorze Pendragon. Jestem przyzwyczajony do szokujących obrazów.

Inspektor podniósł zdjęcie ze stołu i włożył z powrotem

do teczki. Następnie wyjął kolejne dwie odbitki na błyszczącym papierze, obrócił je w stronę Arcade'a i popchnął w jego stronę. Pierwsza przedstawiała spłaszczone zwłoki Noela Thurska zwisające z konaru drzewa na przykościelnym cmentarzu. Drugie zdjęcie wykonano w laboratorium, aparatem zawieszonym wysoko nad stołem. Brakowało na nim punktu odniesienia, toteż ciało wyglądało jak ameba widziana pod mikroskopem.

-Poznaje pan?

Arcade w milczeniu wpatrywał się w zdjęcie.

-Przyznaję, wygląda dość marnie... ale czy naprawdę nie wie pan, kim jest ten biedaczek? To pański stary kumpel, Noel Thursk.

Arcade uniósł głowę. Poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Po chwili uśmiechnął się lekko.

-Nieżle, Pendragon. Powiedziałbym, że szuka pan kogoś z obsesją na punkcie martwych surrealistów.

107

Tym razem inspektor nie dostrzegł już niczego pod jego maską, ale przynajmniej miał pewność, że to maska.

- W porządku - rzekł spokojnie. - Skoro tak chce pan to rozegrać, to nie mam wyboru. Jest pan aresztowany. Zoba-

czy, czy równie wyluzowany będzie pan po dwudziestu czterech godzinach w celi. Bo właśnie na tyle mogę pana zatrzymać, nie formułując zarzutów. A tymczasem postaram się o nakaz; to raczej nie potrwa długo. Potem zaś bardzo starannie przyjrzymy się pańskiej pracowni.

Arcade nawet nie drgnął.

Rozdział 18

Piątek, 7.30

Telefon komórkowy odezwał się dokładnie w chwili, gdy Pendragon szukał w kieszeni klucza do mieszkania.

Dzwonił Turner.

-Towers i Mackleby właśnie wrócili z pracowni Arcade'a - oznajmił.

-I?

-I nic, sir. Lokal jest czysty... Znaleźli parę skrętów, dość typową pornografię, ale nic ważnego.

-Żadnych taśm?

-Dziś większość kamer nagrywa na kartach pamięci...

-Dobra, Turner... Żadnych kart pamięci?

-Nie, szefie. Zero.

-Zatem Towers i Mackleby nic nie wskórali?

-Tego nie powiedziałem, sir.

Pendragon tylko westchnął.

-Nie znalazłszy nic w pracowni Arcade'a, pojechali prosto do galerii, żeby się spotkać z Jacksonem Price'em i zapytać o oryginał nagrania z prywatnego wernisażu.

-Proszę, cóż za samodzielność. I co?

-Dostali oryginał, a Price był ponoć nadzwyczajnie skłonny do współpracy.

-To dobrze - orzekł inspektor. - Obejrzymy całe na-

109

granie jutro z samego rana. Niech pan przyjdzie wcześniej, sierżancie.

Wyłączył telefon, wsunął klucz do zamka i pchnął drzwi. Wprowadził się do tego dwupokojowego mieszkania sześć miesięcy wcześniej, w głębokim przekonaniu, że to tylko chwilowe lokum i że wkrótce znajdzie sobie coś lepszego. Z czasem jednak polubił to miejsce i coraz mniej ciągnęło go do przeprowadzki.

Przybył do Londynu po prawie dwudziestu latach pracy w oksfordzkiej policji. Jean, jego żona, rzuciła go dla innej kobiety i wtedy na krótko wycofał się ze służby. Do podjęcia pracy na nowo skusiła go szansa powrotu do miejsca, w którym dorastał i które od czasów studenckich odwiedzał jedynie sporadycznie. Oxford stał się jego domem,

ale teraz nie chciał już tam mieszkać: to był skażony teren, i to już od pięciu lat, czyli od dnia, w którym zniknęła jego córka Amanda. Miała wówczas dziewięć lat i po prostu przepadła w drodze ze szkoły do domu. Jack cierpiał nie tylko z powodu straszliwej traumy, jaką była utrata dziecka, ale także za sprawą poczucia zawodowej impotencji - był przecież gliną, który pozwolił, by porwano mu jedyną córkę. Zniknięcie Amandy było jedną z ważniejszych przyczyn rozpadu jego małżeństwa. Simon, jego dwudziestoletni syn, był matematycznym geniuszem na uniwersytecie, gdzie robił już studia podyplomowe. Pendragon rzadko go widywał, choć przecież dzieliło ich ledwie osiemdziesiąt kilometrów - godzina jazdy drogą M40.

Mieszkanie było zaniedbane - najpierw przez właścicielkę, a ostatnio przez lokatora. Od tygodnia jednak Pendragon starał się przywrócić mu dawny blask i kupić porządniejsze meble. W pewien sposób był to wyraz akceptacji, potwierdzenie faktu, że na dobre opuścił Oksford i że to miejsce, Stepney we wschodnim Londynie, gdzie czterdzieści sie-

110

dem lat wcześniej przyszedł na świat, na powrót stało się jego domem.

W tej chwili naprawdę czuł się jak w domu. Początki

nie były łatwe, ale koledzy i podwładni zaakceptowali go w końcu i od razu poczuł się pewniej. Startował na nowo ze swoim życiem i całkiem przyzwoicie wyszedł z bloków. Zdążył się nawet nacieszyć krótkim romanssem, odkąd przybył na Brick Lane. Doktor Sue Latimer, psycholog, była jego sąsiadką - wynajmowała mieszkanie na parterze. Dobrze się dogadywali i przez krótki czas Pendragon wyobrażał sobie nawet, że ten związek ma przed sobą przyszłość. Lecz wtedy Sue niespodziewanie oświadczyła, że przyjęła propozycję pracy w Toronto. Nie było jej już od sześciu tygodni, a Jack wciąż czuł ból rozstania.

Drzwi mieszkania otworzyły się do środka i Pendragon stanął na gazecie przyklejonej do podłogi. Gdy włączył światło, cały pokój ożył - białe sufit, białe listwy i na wpół pomalowane ściany. Podeszedł do kuchennego blatu we wnęce na końcu pokoju, rzucił nań teczkę i płaszcz, po czym się cofnął, by dokładnie przyjrzeć się odcieniowi farby, którą sam wybrał. Na próbniku widniała niedorzeczna nazwa w rodzaju „brąz wiązowej kory”, a teraz kolor ten pokrywał już górną połowę dwóch ścian. Pendragon zamierzał zaraz wziąć się do malowania, ale właśnie dopadł go głód. Otworzył lodówkę i westchnął: znalazł jedynie puszkę piwa i kawałek starego sera. Wsparty o drzwi, przez chwilę

zastanawiał się, co zrobić z tym fantem.

Wreszcie włożył płaszcz i ruszył w stronę holu, sprawdzając po drodze, czy zostało mu w portfelu jeszcze trochę gotówki. Tuż za rogiem miał całkiem przyzwoite delikatesy, a parę metrów dalej - monopolowy. Podczas gdy właściciel delikatesów grzał dlań panino, Pendragon wybrał się po flaszkę. Trafił jednak na kolejkę i był zmuszony spędzić

111

dziesięć nudnych minut na czytaniu etykietek na butelkach z winem oraz reklam o korzyściach płynących z hurtowych zakupów za pół ceny. Wyszedłszy z butelką południowo-australijskiego wina Shiraz, odebrał panino z delikatesów i wrócił do mieszkania.

Postawił kieliszek na blacie, napełnił go szczerze i raz jeszcze spojrzął na pomalowane już ściany. Piętnaście minut później torebka z delikatesów była już w koszu, kieliszek napełniony ponownie, a Pendragon zdążył już się przebrać w stare dżinsy i T-shirt, nastawić ulubioną płytę Smokin' at the HalfNote Wesa Montgomery'ego oraz wziąć wałek do ręki.

Malowanie ścian uważał za łagodny środek znieczulający. Wykonując tę czynność, był w stanie wprowadzić umysł w przyjemny stan, w którym rozprowadzając farbę, mógł

jednocześnie myśleć o... w zasadzie o czymkolwiek, co przyszło mu do głowy. Większość popołudnia spędził na przeglądaniu książek o sztuce. Miejskowa biblioteka miała ich zaskakująco dużą kolekcję. Podczas gdy Turner korzystał z serwisu Google, odwiedzając niezliczone blogi i strony internetowe, Pendragon skupił się na tym, co wychodziło mu najlepiej: jak za studenckich czasów w Oksfordzie i jak przez większą część swojej kariery, wpatrywał się w rzędy liter na najprawdziwszym papierze. Wiedział bowiem, że papier i farba drukarska mogą odkryć przed nim wszystkie sekrety tego świata. Wierzył w to od zawsze, niezachwianie. Zdążył stracić wiarę w wiele innych rzeczy, ale ta zasada nigdy nie budziła w nim wątpliwości.

- Zatem na czym stoimy? - powiedział na głos w pustym pokoju, otwierając nową puszkę farby. - René Magritte,

malarz surrealista, urodzony w Lessines w Belgii w roku 1898. Zyskał znaczenie pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych. Twórca stylu nazywanego realizmem

112

magicznym; wykorzystywał w swej twórczości zwyczajne przedmioty umieszczone w nadzwyczajnych sytuacjach i zaskakujących zestawieniach. Jego prace cechuje świetne

poczucie humoru oraz poczucie celowego oderwania od rzeczywistości.

Do tego Salvador Dali: prawie rówieśnik Magritte'a, zaledwie sześć lat młodszy. Urodzony w Figueres w Katalonii w maju 1904 roku. Imię dostał po bracie, który zmarł dziewięć miesięcy przed jego narodzeniem - od rodziców usłyszał, że jest jego kolejnym wcieleniem. Sławę zdobył mniej więcej w tym samym czasie co Magritte. Znali się zresztą i spędzali razem czas, najpierw w Paryżu pod koniec lat dwudziestych, a potem, w latach trzydziestych, w domu w ojczyźnie Dalego.

Pendragon umilkł na chwilę i zanurzył wałek w korytku, obserwując, jak nasiąka farbą.

-Dodatkowe związki? Obaj w młodości stracili matkę.

Magritte miał czternaście, a Dali siedemnaście lat. Czy coś może ich łączyć z dwoma morderstwami, oczywiście poza faktem, że w obu przypadkach ciała ofiar spreparowano tak, by budziły skojarzenia z najbardziej znanymi dziełami dwóch surrealistów? - Pendragon uniósł wałek. - Nie - rzekł zdecydowanie. - Nie widać innych przesłanek.

Może Francis Arcade miał rację, twierdząc, że należy poszukiwać kogoś z obsesją na punkcie martwych surrealistów? Wydawało się, że morderstw nie łączy absolutnie

nic poza stylem malarskim dwóch artystów, których prace były natchnieniem dla sprawcy.

-No dobra - mruknął Pendragon, ponownie zanurzając wałek w korytku. Wes Montgomery właśnie wygrywał uroczy riff w tonacji h-moll. - To jasne, że zabójca próbuje nam coś powiedzieć. Ale co? Czy jest sfrustrowanym artystą, ignorowanym i pełnym gniewu? Innymi słowy, czy jest

113

kimś takim jak Arcade? A może tylko kreuje sceny morderstw w taki sposób, abyśmy sądzili, że jest sfrustrowanym artystą? Czy należy do środowiska ludzi sztuki? A może chce, żebyśmy tak myśleli, i podsuwa nam fałszywy trop?

Rozległo się brzęczenie dzwonka. Pendragon starannie oparł wałek o skraj korytka z farbą, podszedł do drzwi i wcisnął klawisz domofonu.

-Tak?

-To ja, Turner, sir. Mogę wejść na chwilę?

Zaskoczony Pendragon wcisnął sąsiedni guzik, by otworzyć frontowe drzwi budynku. Trzydzieści sekund później sierżant, nieco zdyszany, był już na górze.

-Dobry wieczór, szefie. Przepraszam, że przeszkadzam. Turner nie mógł powstrzymać półuśmiechu, widząc

głównego inspektora Pendragona w dzinsach.

-No dalej, Turner. I lepiej niech to będzie coś bardzo ciekawego.

-Robótki domowe, sir? Ładnie to wygląda - powiedział Turner, a potem wszedł do aneksu kuchennego, zdjął z ramienia torbę i ostrożnie położył ją na blacie. - Chodzi o Noela Thurska - dodał, otwierając zamek i wyjmując laptopa.

-A konkretnie?

-Thatcher wrócił zaraz po pańskim wyjściu. - Sierżant skinął głową w stronę komputera. - To własność Thurska. Nie trzeba było wiele czasu, żeby dostać się do danych - ciągnął, spoglądając na Pendragona tak, jakby spodziewał się akceptacji. - Hasło to żaden problem. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent użytkowników wybiera cholernie oczywiste kombinacje znaków, choć zawsze się ich poucza, żeby tego nie robili.

-Oczywiste?

114

-NT0658.

-Inicjały oraz miesiąc i rok urodzenia?

-Tak jest. Zgadłem za drugą próbą; na pierwszy ogień zawsze idzie dzień urodzin. Nieważne... Przejrzałem za-

wartość komputera. I nic. Sprawdziłem wszystkie dyski i karty pamięci znalezione w mieszkaniu Thurska. I nic. Żadnych notatek, żadnych szkiców. Nic poza dziesięciostronicowym konspektem, tym samym, który dostał kiedyś wydawca, a zawierającym jedynie, że się tak wyrażę, szkielet książki. - Przywołał dokument na ekran laptopa. Pendragon przeczytał i przewinął tekst dalej. Naprawdę niewiele było w nim treści; opowiadał głównie o rozległych kontaktach Thurska z największymi graczami londyńskiego świata sztuki. Jako że wydawca, Lewis Fanshaw, był jego starym przyjacielem, nie trzeba go było zbytnio przekonywać do całego przedsięwzięcia.

-Wiele z tego nie wynika.

-Nie, sir. Ale ja miałem przeczucie, że coś tu nie gra.

Chyba instynkt zadziałał, czy co. Uruchomiłem więc programik zwany Re-Search. Przeszukuje on komputer w poszukiwaniu śladów plików, które dawniej znajdowały się na twardym dysku, a następnie zostały skasowane. Chodzi o pewne znaczniki binarne, które...

-W porządku, sierżancie. Do rzeczy.

-Chodzi o to, że całkiem niedawno Thursk skasował całe mnóstwo plików. Proszę spojrzeć. - Wskazał na ekran, na którym pojawiła się lista dokumentów. Sześć z nich wy-

różnione było na szaro. - Sprawdziłem tym programem wszystkie dyski wewnętrzne i zewnętrzne. Na jednej z kart pamięci znalazłem ślady tych samych dokumentów.

-Zdumiewające. I można je odzyskać?

-Obawiam się, że nie, szefie.

Pendragon się zamyślił.

115

Turner tymczasem rozejrzał się po ciasnym mieszkanku.

Bywał już tutaj, ale nigdy nie wkroczył tak daleko za próg.

- No cóż, zawsze to jakiś postęp. Trzy nowe ważne informacje - rzekł Pendragon i zaczął odliczać na palcach prawej dłoni. - Po pierwsze: Thursk wiedział, że ma w ręku niebezpieczny materiał, bo jeśli nie, to dlaczego próbowałby go ukryć? Po drugie: musiał się obawiać o swoje życie, bo jeśli nie, to dlaczego wykasował te dane na krótko przed śmiercią? I po trzecie: na pewno nie zniszczył bezpowrotnie całej swojej pracy. Musiał wykonać kopię zapasową, którą gdzieś ukrył.

Rozdział 19

Stepney, piątek, 22.00

Zabójca cytował na głos, pakując sprzęt do torby:

- „Zanim zacznę malować, dopada mnie niejednoznacz-

ne uczucie... szczęście jest szczególną podniętą, chwilę później bowiem możliwe jest nieszczęście". Mmm, jeden z lepszych komentarzy Francisa Bacona, i jakże stosowny - powiedział zabójca. - A dziś... dziś właśnie będę panem Baconem.

Ośloniwszy twarz kapturem bluzy oraz okularami przeciwsłonecznymi, pan Bacon wyszedł z budynku i zagłębił się w mrok i mgłę. Czekał go długi marsz do kościoła, ale przecież ostatnią rzeczą, której pragnął, było podsuniecie jakiemuś bystremu gliniarzowi łakomego kąska, jakim niewątpliwie byłby numer rejestracyjny samochodu, uwieczniony przez którąś z kamer miejskiego monitoringu. O nie. Pan Bacon miał przecież ważną robotę do wykonania.

Kościół był oczywiście otwarty: Pan obroni, nie potrzeba zamków. Wieczorna msza dawno się skończyła i w środku panowała ciemność. Pan Bacon podszedł wolnym krokiem do ołtarza, który oświetlał jedynie daleki blask ulicznych latarni, przefiltrowany przez witraże świątyni. W słabym świetle rysował się jednak wyraźny złoty kształt wielkiego krucyfiksu stojącego pośrodku ołtarza, a także fałdy obrusa

117

sięgającego kamiennej posadzki oraz fragment obrazu przedstawiającego wykrzywioną bólem twarz Chrystusa.

U wejścia do zakrystii pan Bacon zatrzymał się na moment, kilkakrotnie głęboko odetchnął i opuścił torbę na podłogę. Tuż obok drzwi stało ozdobne krzesło, wręcz tron z ciemnego drewna inkrustowanego złotem i masą perłową. Był to prezent dla parafii, ofiarowany przed laty przez zamożnego dobroczyńcę. Pan Bacon uśmiechnął się i odwrócił głowę, a potem w nagłej eksplozji gniewu z hukiem otworzył drzwi i wdarł się do zakrystii, trzymając w dłoni puszkę gazu. Wiekowy ksiądz, ojciec Michael O'Leary, właśnie składał szatę liturgiczną, gdy dosięgnął go duszący, oślepiający opar. W strachu i bólu cofnął się instynktownie, potknął o stółek i runął na podłogę. Pan Bacon dopadł go w sekundę i z taką mocą wbił kolano w jego krocze, że jądra przemieściły się do jamy brzusznej. O'Leary wrzasnął dziko.

Pan Bacon pochylił się i obrócił ku sobie twarz duchownego, bladą jak płótno i wykrzywioną cierpieniem. Z oczu O'Leary'ego płynęły strumienie łez.

-Poznajesz mnie, klecho? - spytał pan Bacon.

O'Leary próbował się skoncentrować, ale nie pojmował jeszcze sytuacji; strach i ból były zbyt potężne.

-Przyjrzyj się bliżej - warknął pan Bacon, patrząc mu w twarz. - O tak, widzę, że zaczynasz sobie przypominać...

Ojciec O'Leary nagle jakby sflaczał, jego białe policzki obwisły i tylko oczy czerniały jak węgle rzucone w śnieg. Daremnie usiłując ogarnąć to, co się z nim dzieje, spróbował po chwili podnieść się z podłogi - instynkt przetrwania nareszcie zwyciężył nad bólem. Lecz napastnik czym prędzej chwycił go za gardło i mocno ścisnął. O'Leary dostrzegł błysk dwudziestocentymetrowej igły umocowanej do strzykawki. Zaczął wierzgać nogami i wić się, ale pan

118

Bacon był sprawny i silny, on zaś stary i schorowany Czubek igły dotknął jego karku. O'Leary spróbował poruszyć głową, ale strach, gaz i ból przenikający jego starcze ciało sprawiały, że nie był godnym przeciwnikiem dla pana Bacona.

Igła zaczęła wnikać w miękką tkankę u podstawy czaszki.

- Teraz będzie ciekawostka historyczna - zaanonso-
wał pan Bacon. - Według niektórych badaczy powiedzenie „wisieć na haczyku”, które w naszej pięknej mowie znaczy tyle, co „trwać w niepewności”, pochodzi od pewnego ciekawego sposobu wymierzania kary śmierci, popularnego w czternastym wieku. Skazańca wieszano mianowicie na metalowym haku wbijanym w kark. Ponoć było to bardzo

bolesne.

Pan Bacon wcisnął całą igłę w czaszkę księdza. Ten drgnął nagle, a potem, gdy tłok wepchnął do jego mózgu potężną dawkę heroiny, zaczął się gwałtownie trząść. Wreszcie znieruchomiał i skonał.

Pan Bacon zostawił ciało na podłodze i wyszedł z pokoju. Pochwycił stojące pod ścianą ozdobne krzesło za podłokietniki i przeciągnął po kamiennej posadzce. Przytrzymując drzwi nogą, z niemałym trudem zdołał wtaszczyć potężny mebel do zakrystii.

Z torby wyjął zwinięte w rulon ubranie. Była to szata papieska: biała komża, purpurowy płaszcz oraz mitra tej samej barwy. Ułożył je starannie na oparciu krzesła, a potem rozebrał trupa do bielizny, rzucił w kąt jego rzeczy i ubrał go w strój papieża. Tak przygotowane zwłoki dźwignął w górę i posadził na tronie. Nie było to łatwe zadanie, ale sił dodał panu Baconowi niewiarygodny dreszcz emocji, wywołany przesłodkim nektarem zimnej, zimnej zemsty - Schadenfreude, jak mawiają Niemcy.

119

W torbie zabójcy znalazła się też mocna składana tyczka. Pan Bacon rozłożył ją i wsunął za papieską szatę, by nadać kręgosłupowi ojca O'Leary'ego pożądaną sztywność

i utrzymać całe ciało w pionie. Teraz sięgnął po linkę, którą obwiązał talię i pierś ofiary, na dobre mocując zwłoki do oparcia krzesła. Kolejny kawałek sznurka posłużył do unieruchomienia rąk, ułożonych starannie na podłokietnikach. Nadszedł czas, by zająć się twarzą. Pan Bacon wyjął z torby dwa kawałki przezroczystej taśmy chirurgicznej. Odciągnął powieki księdza i przykleił do nich taśmę, drugi koniec mocując do czoła tak, aby martwe oczy spoglądały na wprost. I wreszcie sięgnął do kieszeni bluzy, by wyjąć kulę z przezroczystego plastiku, wielkości piłki tenisowej. Z mocą wcisnął ją głęboko w usta zmarłego, by maksymalnie rozchylić jego szczęki. Odwinął też wargi, by odsłonić zęby. O'Leary wyglądał teraz tak, jakby zaciskał dłonie na oparciach tronu i wrzeszczał wniebogłosy, niczym skazaniec na krześle elektrycznym.

Pan Bacon cofnął się nieco, by zlustrować wzrokiem dzieło tego wieczoru, i z uznaniem pokiwał głową, a potem wyszedł z zakrystii, zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni.

Rozdział 20

Do pani Soni Thomson

13 października 1888 r.

Kiedy więc nastąpił ten moment, w którym przestałem szukać tego, co nie istnieje, a co chrześcijanie nazywają „duszą”? Kiedy zacząłem traktować ludzkie istoty jak zabawki lub też tworzywo dla moich dzieł? Sądzę, że za to objawienie powinienem podziękować zwłaszcza jednemu człowiekowi i to jest właściwy moment, droga pani, abym ci wyjaśnił, w jaki sposób skrzyżowały się nasze ścieżki. Mały eksperyment aktorski, którym było w istocie całe moje studenckie życie, okazał się niesłychanym sukcesem. Ludzie obojga płci garnęli się do mnie. Wydawało się, że nie są w stanie oprzeć się mojemu urokowi; wkrótce więc moja uczelniana egzystencja stała się wirem bujnego życia towarzyskiego. I to do tego stopnia, że do dziś nie wiem, jakim cudem udawało mi się przy tym wszystkim spełniać oczekiwania profesorów.

Szybko się nauczyłem, że najprzyjemniej jest spędzać czas z tymi, którzy trzy lata w Oksfordzie traktują jako najwłaściwszą porę na spełnianie każdej, ale to każdej swojej zachcianki. Dwa typy ludzi pasowały do tej kategorii: mniej interesujący byli autentyczni artyści - poeci, malarze i filozofowie, którzy gardzili konwencjami, nie przestrzegali zasad i wierzyli, że realizują misję „do-

świadczenia pełni życia" celem wypełnienia swych artystycznych ambicji. Owszem, bywali zabawni, ale też osobliwie przewidywalni. Trzeba jednak przyznać, że to dzięki nim zbliżyłem się do dwóch oksfordzkich legend: Williama Morrisa i Edwarda Burne- Jonesa. Obaj byli po pięćdziesiątce, gdy mi ich przedstawiono, i w środowisku artystów już mieli status bogów. Niewiele czasu spędzali w Oksfordzie - zawsze jednak pojawiali się na specjalnym dorocznym wykładzie na Wydziale Sztuk. Obaj wydali mi się zaskakująco otwarci na idee młodości i — zapewne dzięki mojemu talentowi aktorsko-naśladowczemu - bardzo mnie polubili.

Drugą ciekawą grupę stanowili nieprzyzwoicie zamożni synowie arystokratów, członków Izby Lordów, przyszli włodarze kraju. Zajmowali się głównie ganianiem za dziwkami, hazardem, piciem oraz przyjmowaniem wszelkich dostępnych używek bez opamiętania, jakby samo bogactwo czyniło ich nieśmiertelnymi, odpornymi na każdą formę słabości... Głupcy! Zachowywali się tak nie dlatego, że kierowały nimi wysokie ideały czy imperatywy artystyczne, ale dlatego, że pragnęli solidnie się zabawić, nim zostaną zmuszeni do bardziej konwencjonalnej egzystencji. Dotrzymanie im kroku wymagało jednak prze-

zwyciężenia pewnej trudności natury technicznej: trzeba było mieć pieniądze.

Początkowo radziłem sobie z tym problemem, nadużywając hojności innych. Wykorzystywałem swój urok osobisty oraz talent aktorski, by wkręcać się w towarzystwo tych najbogatszych. Jednakże nawet moje możliwości miały swoje granice i w końcu zostałem zmuszony do szukania pieniędzy w innym źródle. Ojciec zaopatrzył mnie w roczną rentę, która, jak sobie zapewne wyobrażasz, pani, była żałośnie niska. Chcąc więc finansować wszystkie eskapa-

122

dy, zostałem nadwornym malarzem miejscowej socjety. Był to ostatni rok moich studiów w Oksfordzie i zdążyłem już zdobyć pewną reputację, jako wschodząca gwiazda malarstwa. Udało mi się nawet zdobyć list polecający od samego Morrisa. Który z zamożnych biznesmenów i która z ich znudzonych dam mogłaby się oprzeć pokusie?

Wyznam, że nie znosiłem tego zajęcia. Kobiety, które spotykałem, były bez wyjątku rozpieszczonymi snobkami. Najgorszy jednak był ich seksualny oportunizm, który musiałem tolerować. Bodaj jedna na trzy szacowne damy składała mi w pewnym momencie propozycję zajęć dodatkowych, przy których z największym trudem powstrzy-

mywałem się, by nie zwymiotować. Nie muszę chyba dodawać, że każde takie doświadczenie jedynie potęgowało moją nienawiść do wszystkiego, co żyje.

Jak na ironię, to właśnie przez prawdziwych artystów, a nie przez rozpustnych pajaców poznałem człowieka, który skierował mnie na właściwą drogę. Był nim Magnus Oglebee. Nie, oczywiście, że nigdy o nim nie słyszałaś, moja droga pani, ale też niewielu miało taką okazję. Celowo pozostawał zagadkową postacią. Strzegł zazdrośnie swojej prywatności i ufał tylko nielicznym wybrańcom. Kto jednak wreszcie dostał się do wąskiego kręgu jego zauszników, ten mógł naprawdę czuć się wyróżniony. To Burne-Jones zaprosił mnie do niego na wieczorek, a było to w maju 1888 roku. Spotkania takie odbywały się nieregularnie, a ich gośćmi byli wyłącznie członkowie oksfordzkiej elity. Jak sobie zapewne wyobrażasz, moja pani, byłem wniebowzięty. Przyjęcie miało się odbyć w rezydencji Magnusa Oglebee opodal Boars Hill, za miastem. Wybrałem się tam dorożką i przybyłem na miejsce w chwili, gdy słońce zachodziło za neogotyckie wieże Clancy Hall, wspaniałego domostwa człowieka-enigmy.

123

Był to zaiste wspaniały gmach, otoczony przepysznyymi

ogrodami. W głównym holu dominowały mahoniowe schody prowadzące na pierwsze piętro, gdzie rozdzielały się na dwoje i wiodły dalej dwoma pięknymi łukami. Główną jadalnię oświetlały dosłownie setki świec w kryształowych żyrandolach. Powiedziano mi, że właściciel pałacu gardzi światłem gazowym i woli korzystać z naturalnego blasku świec. Przyznaję, że piękno tej scenerii zapierało dech w piersi.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób Oglebee dorobił się fortuny. Nikt nie miał nawet pojęcia, czym się ów człowiek zajmuje i jak spędza dni. Naturalnie niewiedza ta była źródłem nadzwyczajnych plotek w wąskim kręgu osób, które w ogóle słyszały o jego istnieniu. Pamiętam gorączkowe spekulacje o tym, jakoby był wampirem, który wychodzi na świat jedynie nocą. Był to, ma się rozumieć, kompletny absurd, zapewne spłodzony przy wydatnym udziale hojnych dawek opium. Choć z drugiej strony - była to z pewnością pogłoska nader pochlebna.

Tamtej nocy zjawiono się tylko dwunastu gości. Szczęśliwą trzynastkę dopełnił sam Oglebee. Morris i Burne-Jones także przybyli, podobnie jak spóźniony i komicznie nerwowy pisarz Charles Dodgson. Widziałem też co najmniej dwóch doskonale znanych polityków (w tym jed-

nego z Izby Wyższej), których twarze często widywało się na stronicach „The Times”. Zjedliśmy dość wcześnie znakomitą kolację - ostrygi, łososia i dziczyznę, a następnie najwspanialsze danie, jakiego kiedykolwiek dane mi było spróbować, zwane crème brûlée, a pierwotnie znane jako „przypalony krem z Cambridge”, przysmak z konkurencyjnej uczelni. Przyślę ci kiedyś przepis, moja pani.

Po posiłku zaproszono nas do przestronnej biblioteki.

124

Służba podała cygara i brandy. Przeglądając zgromadzone tam tomy, natknąłem się na takie rarytasy, jak pierwsze wydania de Sade'a, Rochester'a, Byrona, Keatsa i całych zastępów innych luminarzy literatury. Znalazłem też dzieła poświęcone alchemii i nekromancji, których tytułów nigdy wcześniej nie słyszałem. Wszystkie były pięknie oprawione w miękką cielejącą skórę.

Wciąż jeszcze nie byłem oficjalnie przedstawiony panu Oglebee, gdy nagle poczułem na ramieniu delikatne dotknięcie. Odwróciłem się i zobaczyłem go. Stał wręcz nie stosownie blisko mnie. Podczas całego wieczoru miałem okazję się przekonać, jak świetnym był gospodarzem. Miał nieco piskliwy głos i mówił z lekkim obcym akcentem, za

to poruszał podczas kolacji wyłącznie interesujące tematy, okraszając je, ku uciechu gości, wybornymi anegdotami. Był niewysoki, sięgał mi może do ramienia, i miał jakby ptasią twarz: wąski nos i małe, czarne oczka, które nieustannie wędrowały w prawo i w lewo, gdy mówił. Lecz kiedy już patrzyły na wprost, rozmówca czuł się nieswojo, wzrok Magnusa Oglebee zdawał się bowiem przenikać człowieka na wskroś. Emanowała zeń niezwykła, niemal niepokojąca pewność siebie. Z radością wyznaję, że przy nim musiałem włożyć więcej wysiłku w moją grę. Talent aktorski, który tak dobrze służył mi pośród przeciętników, a nawet wśród oksfordzkich profesorów i artystów, nagle wydał mi się niewystarczający. Zdałem sobie sprawę, że Oglebee to nadzwyczajna osobowość.

- Chodźmy - rzekł. - Pora się rozerwać.

Skinął też na pozostałych i wszyscy podążyliśmy za nim do wielkiej sali sąsiadującej z biblioteką. Odrobinę wstawieni, gawędziliśmy swobodnie. Wcześniej, podczas kolacji, starałem się zachować trzeźwość i większość podawanych mi trunków dyskretnie wylewałem na dywan.

125

Instynkt podpowiadał mi, że mój umysł winien pozostać jasny.

W sali panował już półmrok, lecz pojawili się służący, by dogasić ostatnie świece. Tak oto znaleźliśmy się w całkowitej ciemności. Z ukrytego źródła popłynęły dźwięki muzyki, jakiej nigdy dotąd nie słyszałem. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób Oglebee zdołał nas nią uraczyć, nie wprowadzając do sali muzyków, ale szybko zapomniałem i o tej zagadce, nagle bowiem pojawiło się sześć małych światełek. Przesuwały się jakby w powietrzu, a gdy się zbliżyły, zrozumiałem, że to świece w złotych świecznikach, trzymany przez młode kobiety. Ich nagie ciała pomalowano na złoto, a każda z nich miała jasne włosy sięgające talii. Rozpoczęły niezwykły taniec.

Poczułem, że ktoś wciska mi do ręki jakiś drewniany przedmiot. W półmroku prawie nic nie widziałem, ale pochyliwszy się, spostrzegłem, że to fajka. Spróbowałem ją odepchnąć, ale zauważyłem, że to sam Oglebee siedzi obok mnie. Skinął głową i raz jeszcze podał mi fajkę. Nie mogłem odmówić. Ostrożnie jak dziecko pociągnąłem nieco dymu z hebanowego ustnika. Oglebee roześmiał się i szturchnął mnie łokciem w żebra.

- Och, przestań już udawać, młody człowieku - powiedział. - Sądziłem, że jesteś... artystą!

W mojej pamięci ziele nieprzyjemna pustka. Rozciąga

się ona od chwili, gdy zaciągnąłem się mocno fajkowym dymem, aż po ten moment, w którym, jak mi się zdawało, ktoś rozsunął kurtynę i z wolna powróciłem do stanu względnej świadomości. Nienawidzę tracić kontroli nad sobą albo, co gorsza, być zmuszanym do jej utraty. To jednak musiało się wtedy zdarzyć, kolejną bowiem sceną, którą pamiętam, była para kobiecych piersi kołyszących się przede mną oraz palące uczucie w kroczu. Pamiętam

126

też, że wyciągnąłem ramiona i wcisnąłem dłonie w miękkie ciało. Byłem nagi. Wstałem po chwili dość chwiejnie i odetchnąłem głęboko.

Było ciemno i minęło trochę czasu, zanim moje oczy przywykły do tego stanu. Znalazłem coś na kształt szlafroka i ignorując krzyki dziewczyny, którą odepchnąłem, powlokłem się w stronę źródła światła. Omal nie zderzyłem się z krawędzią drzwi, gdy je otwierałem. Wyszedłem na obszerny korytarz. Spod drzwi ciągnących się rzędami po obu stronach przebijały się promienie światła. Słyszałem dziwne, jakby zwierzęce odgłosy: stękanie, krzyki, dźwięki upadających przedmiotów - coś ciężkiego roztrzaskało się o podłogę.

Dotarłem do końca korytarza. Miałem wrażenie, że

ściany rozjeżdżają się na boki. Wiedziałem, że wciąż jestem odurzony, ale coś pchało mnie naprzód. Stałem przed drzwiami z wielką mosiężną gałką. Zacisnąłem w dłoni, przekręciłem zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pchnąłem drzwi i upadłem na twarz.

Zdawało mi się, że cały wiek leżę rozciągnięty na podłodze. Wreszcie wolno stanąłem na nogi. Czułem kłujący ból w boku, ale ze wszystkich sił starałem się go zignorować. Rozejrzałem się. Od strony zasłoniętego okna w dalekiej ścianie sączyły się do pomieszczenia wątłe promienie światła. Na ich tle ujrzałem kształt fotela i siedzącego na nim mężczyzny. Zrobiłem krok w jego stronę, potem drugi. To był Oglebee. Siedział twarzą ku mnie na ogromnym tronie. Miał na sobie białą szatę umazaną czerwienią. Na jego kolanach leżała głowa młodej kobiety; jej jasne włosy sięgały aż do podłogi. Gładził je delikatnie. Spoglądała na mnie niewidzącymi oczami. Zupełnie martwa, rzecz jasna. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie zszokował mnie ten widok. Nie trwało to jednak długo, a zaraz po-

127

tem poczułem potężną falę podniecenia; dreszcz, którego do tej pory doświadczałem w życiu niezwykle rzadko. Uśmiechnąłem się.

-Wiedziałem, że ci się to spodoba, Williamie - rzekł. -
Zrozumiałem, czym jesteś, gdy tylko na ciebie spojrzałem.

-Naprawdę? - spytałem, szczerze zdziwiony.

Niewidzące oczy dziewczyny wciąż przykuwały moją uwagę. Po chwili Oglebee uniósł jej głowę, nadal ociekającą krwią, i ostrożnie ułożył ją na podłodze obok swego tronu.

-Oczywiście, młodzieńcze. Nie jesteś pierwszy i nie będziesz ostatni.

-A ja sądziłem, że jestem wyjątkowy - odrzekłem cicho, wpatrując się w jego małe czarne oczka.

Zachichotał.

-Co cię pcha do działania?

-Mógłbym zadać panu to samo pytanie, panie Oglebee.

-Mógłbyś, ale ja byłem pierwszy. Bądź tak miły i odpowiedz.

Przez chwilę milczałem, przyglądając mu się i usiłując odczytać cokolwiek z jego twarzy. Bez rezultatu.

-Jakiś czas temu uświadomiłem sobie, że prowadzę poszukiwania - zacząłem. — Szukam czegoś, co bardzo trudno znaleźć.

-W pewien sposób wszyscy jesteśmy poszukiwaczami,

czyż nie? Nawet te bezmózgie masy pragną coś odnaleźć.
Tyle że nie bardzo są tego świadome.

-Czy to znaczy, że i pan poszukuje?

Znowu się zaśmiał.

-Och, możesz mi wierzyć, Williamie, że poszukiwa-
łem nader pilnie. Lecz w końcu zrozumiałem, że to, co tak
bardzo chciałem odnaleźć, po prostu nie istnieje.

128

-I przestał pan?

Oglebee spojrział w dół, na głowę leżącą na podłodze
i skinął lekko w jej stronę.

-Przestałem szukać, jeśli o to pytasz. Teraz zadowa-
lam się sprawianiem sobie przyjemności. Widzisz, mój
drogi, jesteś wyjątkowo szczęśliwym młodzieńcem.

-Naprawdę?

-Tak, a to dlatego, że masz wielki talent. Przyjaciele
bardzo wysoko cię cenią.

Spojrzałem na niego obojętnie.

-Nie rozumiesz jeszcze, o czym mówię, prawda?

Bardzo się starałem przejrzeć jego bluff, ale bez skut-
ku. Przywołałem na pomoc wszystkie umiejętności, które
posiadałem, ale żadna z nich nie miała w tej chwili więk-
szej wartości. Oglebee mnie przejrział, po prostu znał mnie

na wylot. Miałem wrażenie, że wie absolutnie wszystko.

-Już pora, Williamie, żebyś zrobił krok naprzód. To, czego szukasz, nie istnieje. Czas, żebyś zaczął się bawić... w pełni rozwinął swój talent. Nie mogę ci powiedzieć, co masz robić. Mogę tylko służyć ci radą. Pomyśl, jak możesz połączyć swój wrodzony instynkt z wrodzonym talentem. Wciąż byłem zdezorientowany, ale uświadomiłem sobie, że powinienem przynajmniej udawać, że wiem, o co mu chodzi, w nadziei, że z czasem naprawdę zrozumie jego słowa. Pomyślałem też, że zapewne nie uda mi się go oszukać, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

-Jak mam... - zacząłem, lecz Oglebee dał mi ręką znak, abym milczał.

-Nie mogę ci powiedzieć, co masz robić, przecież już to mówiłem, Williamie. Sam musisz rozpracować to, co przed chwilą usłyszałeś. Jednakże na początek mogę udzielić ci jednej prostej rady. - Umilkł na chwilę. W pokoju panowała nienaturalna cisza i miałem wrażenie, że lewituję

129

w pustej przestrzeni. — Jeśli chcesz zacząć — rzekł wreszcie - musisz wymazać swoją przeszłość. Musisz zacząć całkiem od nowa. Zrzucić skórę. Stać się kimś innym. Wciąż nie byłem do końca przekonany. W końcu tak

długo trwały moje poszukiwania; praktycznie od dzieciństwa zgłębiałem zagadnienie duszy. Wiedziałem jednak, że w co najmniej dwóch sprawach Oglebee ma rację: nadszedł czas, by się zabawić i by zerwać z przeszłością. Pod pretekstem rzekomej choroby ojca zwoleń się na jakiś czas z zajęć na uczelni i powróciłem na kilka dni do domu. Nikt się tym zbytnio nie przejął. Złapałem pociąg wczesnym popołudniem i praktycznie cały wagon miałem dla siebie. Przesiadłem się w Londynie i przybyłem do Hemel Hempstead tuż przed zmrokiem. Nie miałem wielkiego bagażu — ledwie jedną torbę - więc bez trudu przebyłem spacerem półtora kilometra dzielące stację kolejową od Fellwick Manor. Noc była bezchmurna, niezwykle ciepła, a niebo rozbłyskiwało chaosem gwiazd, których, nawiasem mówiąc, nigdy nie lubiłem.

W gabinecie ojca, położonym od frontu, paliło się światło. Widziałem je, rzecz jasna, tylko przez maleńką szparkę w zaciągniętych jak zwykle zasłonach. Żwir zachrząścił pod podeszwami moich butów. Pociągnąłem za sznurek dzwonka i czekałem, słuchając, jak gdzieś w głębi domu ojciec podnosi się z krzesła i idzie w stronę holu. Na powrót do domu wybrałem dzień, w którym służba pracowała tylko do południa. Po chwili rozległo się znajome skrzy-

pienie luźnej deski tuż za drzwiami. Ojciec zapalił lampę i w głębi pojawiła się nowa, nieregularna plama żółtawego światła. Przez witrażowe okienko w drzwiach patrzyłem, jak przesuwa się korytarzem w kierunku drzwi.

130

-Kto tam o takiej porze? - zawołał ojciec.

-To ja, ojczu. William.

-William? A cóż, u diabła...

Usłyszałem, jak odstawia lampę na stolik przy drzwiach, a potem zgrzytnęły zamki i zasuwki. Wreszcie otworzył mi i stanęliśmy twarzą w twarz.

Rzadko tam bywałem, odkąd rozpocząłem studia w Oksfordzie. Nienawidziłem tego miejsca i nie chciałem odświeżać wspomnień o tych ponurych latach, które musiałem przeżyć w Fellwick Manor. Pisałem do ojca tylko raz na jakiś czas, a i listy moje pełne były bzdur i kłamstw, które z pewnością chętnie czytał - nie chciałem bowiem, by wstrzymał moją rentę. Odkąd sięgam pamięcią, doskonale czułem, że ojciec mną gardzi. Zawsze tak było i wiedziałem, że to się nie zmieni. Co więcej, nigdy nie zdołał pojąć, dlaczego postanowiłem zmarnować trzy lata na studiowanie sztuk pięknych. To powiedziawszy, muszę jednak przyznać, że widząc mnie wtedy na progu, zach-

wał się uprzejmie. A przynajmniej nie odesłał do miasta, żeby sobie poszukał noclegu. zaproponował nawet coś do jedzenia. Kucharka zostawiła w spizarni tacę wędlin. Tak naprawdę pragnąłem przede wszystkim szklaneczki mocnej whisky, lecz wiedziałem, że to całkiem wykluczone. Zadowolilem się porcją kakao - nalegałem, że sam je przygotuję dla nas obu - podczas gdy ojciec siedział obok i zadawał mi niedorzeczne pytania na temat życia w Oksfordzie.

Minęło kilka minut, zanim narkotyk zaczął działać. Pierwszą oznaką była bełkotliwa, jakby pijacka mowa. Potem ojciec zaczął przyglądać mi się nieco szklistym wzrokiem.

-Dobry Panie - rzekł wreszcie, gładząc palcami łysinę. - Przedziwnie się czuję.

131

-To pewnie morfina, ojczu.

Spojrzał na mnie niepewnie. Nie mógł już skupić wzroku; był coraz bardziej zdezorientowany.

-Dodałem morfiny do twojego kubka - wyjaśniłem.

Brakowało mu siły, by się poruszyć czy choćby zmienić wyraz twarzy. Było to doprawdy arcyzabawne, droga pani.

Ja zaś nie traciłem czasu. Wiedziałem, że muszę działać

szybko, małeńka bowiem dawka narkotyku mogła lada chwila przestać działać. Chciałem wszak, by jego działanie wkrótce ustąpiło - ale jeszcze nie byłem całkiem gotowy.

Podszedłem do ojca od tyłu i postawiłem go na nogi. Ledwie szedł, ale jakoś udało mi się zaprowadzić go do gabinetu. Gdy tam dotarliśmy, czułem, że zaczyna wracać do siebie, ale trzymałem go dostatecznie mocno. Wyjąłem z kieszeni dwa krótkie kawałki sznura i sprawnie związałem mu nadgarstki i kostki. Potem ustawiłem krzesło przed biurkiem, obróciłem ojca i pchnąłem tak, że upadł twarzą na drewniany blat. Kolana wciągnąłem mu na siedzisko krzesła.

-Czyś... ty... całkiem.... oszalał? - wybełkotał z wysiłkiem.

-Najprawdopodobniej, ojcie — odrzekłem.

Rozwiązałem apaszkę, którą miałem na szyi, i obwiązałem nią jego głowę, wciskając materiał tak głęboko w usta, by nie był w stanie poruszać szczękami. Mógł co najwyżej stękać, co również setnie mnie bawiło. Cofnąłem się, aby zlustrować swoje dzieło, ale zaraz wróciłem, zadarłem mu koszulę i ściągnąłem spodnie aż do kostek, odsłaniając wychudłe pośladki. Odwróciłem się i sięgną-

łem do kredensu po trzcinę. Była tam, jak zawsze.

Obszedłem biurko i przykucnąwszy, uniosłem głowę ojca, tak by spojrzał mi w twarz. W jego oczach widzia-

132

łem strach i wściekłość. Ślina ciekła mu po brodzie, bo w tej pozycji nie mógł nawet przełykać.

- Cóż - rzekłem - powieściopisarze nazywają to nagłym zwrotem akcji, ojcze. Przez lata fantazjowałem, że kiedyś to zrobię. Śniłem o tym w nader przyjemny sposób. Żałuję tylko, że ta suka, twoja żona, nie może się temu przyglądać. To dopiero byłaby dla mnie uczta.

Stęknął, próbując ześlizgnąć się z krzesła, ale nie miał już takiej siły jak dawniej, a ja nie byłem już małym chłopcem, nad którym bez trudu dominował.

Powróciłem za biurko, uniosłem rękę i z tak dobrze znanym mi świstem spuściłem trzcinę w dół.

Nie umiem ci powiedzieć, pani, jak długo biłem mojego ojca, wiem tylko, że w każde kolejne uderzenie wkładałem więcej energii. Straciłem poczucie czasu. Ramię zaczęło mnie boleć od intensywnego wysiłku, ale to mnie nie zniechęciło. Dyszałem ciężko i byłem zlany potem; w końcu ból w piersi stał się nie do zniesienia i omal nie zemdląłem. Dopiero wtedy przestałem.

Wolno opuściłem rękę. Zakrwawiona trzcina upadła bezdźwięcznie na dywan. Nie wiem doprawdy, w którym momencie ojciec przestał wydawać z siebie jakiegokolwiek dźwięki. Niewiele pozostało z jego skóry. Poszarzałe strzępy mięsa zalane były krwią. Widziałem też kilka odartych z ciała kręgów.

Ten widok mnie otrzeźwił. Rozwiązałem sznury, schowałem do kieszeni i pozwoliłem, by zwłoki ojca stoczyły się na podłogę. Nie zapomniałem o wyjęciu apaszki z jego wykrzywionych ust. Twarz miał pociemniałą i siną w miejscu, w którym uderzyła w blat biurka. Ohydny wąs także pokrywała krzepnąca już krew. Oczy miał zamknięte.

133

Odwróciłem się, sięgnąłem po trzcinę, złamałem ją na kolanie i cisnąłem kawałki w przeciwległe kąty pokoju. W szopie znalazłem bańkę nafty. Wyjąłem korek i powąchałem. Zakaszlałem, czując ostrą woń. A potem przechyliłem naczynie i przemierzyłem cały parter mego rodzinnego domu, rozlewając naftę po parkiecie. Ogień wzniciłem w gabinecie, rzucając lampę na podłogę tuż obok ciała ojca. Zostałem w murach domu tylko tak długo, aż moje ubranie przesiąkło dymem, a potem uczerniłem sadzą koszulę i twarz. Gdy wybiegałem na drogę za

domem, płomienie sięgały już wysoko. Usłyszałem głosy sąsiadów pędzących mi na spotkanie. Odegrawszy scenę, z której dumna byłaby nawet Sarah Bernhardt, zataczyłem się i padłem na ścieżkę, szlochając i wzywając pomocy. W głębi swego jestestwa czułem zaś, że oto stary William Sandler, syn Gordona i Mary Sandlerów, odparowuje bez śladu, jak krew mojego ojca, która wsiąkła w dywan gabinetu.

ROZDZIAŁ 21

Brick Lane, sobota, 24 stycznia, 6.30

Na posterunku panowała cisza - jak zwykle w weekend o tej porze, czyli po chaosie piątkowego wieczoru, a przed gwarem sobotniego poranka, kiedy to opróżniano cele i wyrzucano pijaków na bruk. Jack Pendragon skinął głową w stronę dyżurnego sierżanta siedzącego za biurkiem i skręcił w korytarz wiodący do jego biura. Zajrzawszy po drodze do pokoju operacyjnego, zobaczył Turnera siedzącego przy terminalu. Zaspany sierżant uniósł głowę.

-Fatalnie pan wygląda - zauważył Pendragon, wchodząc do sali.

Jez ziewnął głośno, zakrywając dłonią usta.

-Dzięki, szefie. Ale przynajmniej nie tak fatalnie jak

niektórzy z nich - zauważył, wskazując na ekran.

-Co to jest? - spytał inspektor i obszedł biurko, by stanąć za oparciem krzesła Turnera.

-Film Jacksona Price'a z imprezy we wtorkowy wieczór. Widzę tu paru niezłych dziadków.

-A coś ciekawego?

-Nie. Obejrzałem całość i były to chyba najnudniejsze dwie godziny mojego życia. W tej chwili oglądam po raz drugi.

135

Pendragon przyciągnął sobie krzesło, usiadł i wpatrzył się w ekran. Był to film w modnym stylu Gonzo: kamerzysta, Michael Spillman, swobodnie przemieszczał się po sali, zagadując gości. Czasem pytał jedynie, jak się czują; innych traktował bardziej poważnie, zadając im pseudofilozoficzne pytania.

-Sądzi pan, że twórca pracy w pełni kontroluje jej ostateczny kształt? - spytał jednego z obecnych. Odpowiedź była niesłyszalna. Niemal natychmiast zbliżył się do kobiety w ogrodniczkach. - Jeśli istnieje życie po życiu, to na czym polega rola Boga?

-Poszukałem w Internecie informacji o niektórych gościach tej imprezy i dopasowałem je do tego, co tu widać -

wyjaśnił Turner, po czym wskazał na ekran. - A oto i Ber-
rick.

Mocno zbudowany mężczyzna pojawił się w kadrze, nio-
sąc w dłoni smukły kieliszek szampana. Był po pięćdzie-
siątce, raczej pulchny, farbował włosy na czarno i zdawał
się roztaczać aurę pewności i dostatku.

-Ta kobieta, z którą rozmawia, to Meg Lancaster, ak-
torka. - Pendragon skinął głową. - A to Noel Thursk - do-
dał Turner, pukając palcem w ekran. Szczupły, siwowłosy
mężczyzna pojawił się w kadrze z prawej strony. Miał na
sobie czarny garnitur, koszulę bez kołnierzyka oraz szarą
kamizelkę.

-A ta kobieta?

Pendragon wskazał na wysoką brunetkę w stylowej,
czarnej sukni wieczorowej. Wyglądała na trzydziestoparo-
latkę; miała oszałamiającą figurę, która mogła być jedynie
wypadkową wybitnych genów oraz długich godzin ćwi-
czeń w siłowni. Suknia bez ramiączek przywierała do jej
ciała jak druga skóra. Włosy upięła w elegancki kok, z pro-
stą grzywką wysoko nad czołem. Uśmiechała się seksow-

136

nie znad kieliszka do dwóch mężczyzn, którzy najwyraź-
niej przymilali się do niej.

Turner zerknął do notatek.

-To Gemma Locke. Ponoć malarka. W życiu o niej nie słyszałem, ale wygląda całkiem nieźle, prawda, szefie?

Pendragon wciąż wpatrywał się w ekran.

-To jest Gemma Locke? - odezwał się w końcu, zafascynowany. - Widziałem jej prace. A ci faceci, z którymi rozmawia?

-Nie mam pojęcia - odparł Turner. - Nie znalazłem żadnych informacji na ich temat.

-Ile minut nagrania za nami?

Sierżant spojrział na licznik.

-Mniej więcej dwadzieścia.

-Cofnij. Chcę zobaczyć od początku.

Turner zrobił kwaśną minę.

-W porządku, sierżancie, nie jestem aż tak okrutny. Niech pan znajdzie inspektora Granta. Miał przejrzeć wszystkie nagrania z kamer monitoringu w okolicy kościoła Świętego Dunstana z tego ranka, kiedy zginął Thursk. Niech pan sprawdzi, czy coś znalazł. Cokolwiek. A potem proszę przejrzeć nasze archiwa i znaleźć mi zdjęcie Juliette Kinnear.

-Kogo?

-Nie pamięta pan? Mówiłem przecież, że to dziewczyna-

na, o której pisał Noel Thursk w swojej książce. Ta młoda artystka.

-Ach tak.

Pendragon zdjął płaszcz, przewiesił go przez oparcie krzesła i zajął miejsce Turnera. Spojrzawszy na ekran, wcisnął klawisz odtwarzania. Turner miał rację: nagranie było niewiarygodnie nudne. Przypomniały mu się czasy studenckie, kiedy oglądał jeden z filmów Andy'ego Warhola -

137

Empire albo Sleep. Projekcja ciągnęła się wówczas w nieskoń-

czoność, a wytrzymał na niej tylko dlatego, że interesowała go dziewczyna, która zaciągnęła go wtedy do kina. Relacja z imprezy w galerii działała równie usypiająco i Pendragon musiał się pilnować, by nie zapaść w sen. Gdy dwugodzinne nagranie przedstawiające ludzi gawędzących ze sobą i spacerujących wśród obrazów, z krótkim interludium w postaci raczej anemicznego wtargnięcia Francisa Arcade'a w siedemdziesiątej siódmej minucie, wreszcie dobiegło końca, czuł się nie tylko znudzony, ale i rozczarowany. Nacisnął klawisz STOP, podniósł się z krzesła, przeciągnął się i pochylił nad biurkiem, złożony obie dłonie na blacie.

W tym momencie Turner zajrzał z korytarza, a potem

wszedł do pokoju, machając wydrukiem na wysokości twarzy.

-Oto Juliette Kinnear. Trochę się naszukałem.

Pozowane zdjęcie było dziełem zawodowca. Mniej więcej siedemnastoletnia dziewczyna była ubrana w kwiecistą sukienkę. Miała blond włosy sięgające ramion, zaczesane na bok, a także okrągłą, nieco pulchną twarz i wąskie usta. Wyglądała całkiem zwyczajnie. Najciekawsze były jej mocno błękitne oczy, lecz nawet ich urodę psuła gruba linia brwi. Sprawiała wrażenie całkiem niewinnej istoty i dopiero gdy Pendragon przyjrzał się fotografii z bliska, spostrzegł tatuaż przedstawiający różę na boku jej szyi, tuż nad ramieniem.

-Dziwne - orzekł.

-Co takiego? Tatuaż?

-Tak. Kompletnie niedorzeczny. Dziewczyna wygląda jak klasyczny przykład córeczki bogatego biznesmena uwiecznionej na rodzinnym portrecie... i nagle ten tatuaż.

-Zgoda, ale skoro wiemy o małej Juliette to, co wiemy, chyba nie wygląda to aż tak bezsensownie? Z pewnością miała buntowniczą naturę. Założę się, że kiedy rodzice zo-

138

baczyli, że włożyła do zdjęcia sukienkę odsłaniającą tę różyczkę, urządzili jej niezłą awanturę! - powiedział Turner

i zaśmiał się.

-Tak - odrzekł cicho Pendragon, wciąż przypatrując się zdjęciu. - Możliwe - mruknął, po czym uniósł głowę. - Coś ciekawego z kamer?

-A, tak - przypomniał sobie nagle sierżant. - Grant coś znalazł - dodał, wyjmując z kieszeni płytę DVD. Wsunął ją do odtwarzacza i usiadł na krześle obok Pendragona.

Na ekranie pojawił się szarawy pejzaż przedświt.

U góry widać było linię drzew, pomiędzy którymi wiła się ścieżka, schodząca następnie pionową linią w dół ekranu.

-To przecież ten park przy kościele - zauważył Pendragon. - Co tam robi kamera?

-Należy do Departamentu Parków. Właśnie skończyli tam prace remontowe i zamontowali kamerę, żeby odstraszyć wandal.

Ledwie Turner zdążył wyjaśnić szefowi sytuację, pomiędzy drzewami w górnej części ekranu pojawił się samochód, jadący w kierunku kamery. Miał wyłączone reflektory i prawie zlewał się z krajobrazem. Był to kanciasty pojazd na czterech małych kółkach - niewielki żuraw wysięgnikowy. W przedniej jego części rzucał się w oczy prostopadłościenny, stalowy kosz umocowany do złożonego kratownicowego ramienia. W tylnej części pojazdu widać

było małą kabinę o niskim dachu. Ktoś siedział w środku, kierując pojazdem, ale z powodu ciemności nie można było dostrzec żadnych szczegółów.

-Da się rozjaśnić obraz? - spytał Pendragon.

-Spróbuję.

Turner przebiegł palcami po panelu kontrolnym z prawej strony biurka. Obraz zniknął na chwilę, a kiedy pojawił się ponownie, był nieco wyraźniejszy.

139

-Dobrze. Niech pan da zbliżenie kabiny.

Sierżant odczekał jeszcze kilka sekund, cofnął nieco nagranie i wreszcie wybrał najlepszy moment. Znowu wcisnął pauzę i przekręcił gałkę na panelu kontrolnym. Obraz kabiny pojazdu rósł stopniowo, ale też stał się mniej wyraźny. Turner popracował chwilę suwakami i część zakłóceń zniknęła. Powiększył jeszcze bardziej.

-To chyba wszystko, co da się zrobić - rzekł po chwili.

Obraz nie był zbyt wyraźny. Widać było postać w kabine, ale nie dało się określić precyzyjnie żadnych jej cech - była tylko szarą plamą.

W tym momencie zadzwonił telefon Pendragona.

-Doktor Jones? - odezwał się. - Tak. O jakiej porze?

Doskonale. Do zobaczenia. - Inspektor wstał i sięgnął po

płaszcz. - Chodźmy - rzekł.

-Dokąd jedziemy? - spytał Turner.

-Do laboratorium kryminalistycznego w Lambeth. Jones i Newman połączyli siły. Podobno mają dla nas interesujące nowiny.

ROZDZIAŁ 22

Na ulicach panował straszny ruch, a najbliższe wolne miejsce parkingowe, które udało im się znaleźć, znajdowało się o sto metrów od siedziby laboratorium przy Lambeth Road. Choć biegli sprintem w marznącym deszczu, zanim dotarli do bramy nowoczesnego trzypiętrowego budynku, byli mokrzy i wychłodzeni do szpiku kości.

-A wie pan, sir - odezwał się Turner, ocierając czoło i maszerując za szefem w stronę kontuaru recepcji - że w teorii bieganie w deszczu sprawia, że mokniemy bardziej, niż idąc?

-Naprawdę, Turner? Niewiarygodnie fascynujące.

Pendragon odwrócił się ku recepcjonistce i pokazał jej odznakę. Dziewczyna wydrukowała dwie przepustki i zamknęła je w przezroczystych oprawkach, które przypięli do marynarek.

-Doktor Newman pracuje w Laboratorium B103 - oznajmiła. - Chyba najłatwiej będzie pójść schodami - dodała,

wskazując na lewo, w stronę rzędu wind i szerokiej klatki schodowej.

Zeszli na dół, do miejsca, w którym schody rozszerzały się w zaskakująco szeroki korytarz o ścianach pomalowanych na uspokajająco zielony kolor. Na jednej z nich wisiały

141

blade podobizny kwiatów i ptaków, a drugą zajmował długi szereg podwójnych drzwi, rozlokowanych mniej więcej co sześć metrów. Wszystkie pomalowano ciemnozieloną farbą i opatrzone numerem na wysokości ludzkiej twarzy. Pokój 103 znaleźli za pierwszym zakretem korytarza. Pendragon wcisnął guzik po prawej i rozległ się dźwięk brzęczyka. Kilka chwil później Colette Newman zaprosiła ich do laboratorium.

Sala była wielka, jaskrawo oświetlona i zdominowana przez wielki stół laboratoryjny ulokowany dokładnie pośrodku. Pendragon skinął głową na powitanie doktorowi Jonesowi, który pochylał się nad szczątkami Noela Thurska.

- Korzystamy z tego laboratorium tylko podczas pracy nad szczególnymi przypadkami - powiedziała doktor Newman. - A chyba zgodzi się pan, inspektorze, że ta sprawa zasługuje na takie miano.

Pendragon przyglądał się rozpląszczonym zwłokom.

Widział je już na gałęzi przy kościele i później, gdy zdjęto je z drzewa i złożono na ziemi, jednak w surowym neonowym świetle, na kwadratowym blacie z nierdzewnej stali, jakoś zatraciły resztkę ludzkich cech. I dobrze, pomyślał inspektor. Turner stał w milczeniu obok niego, nie mogąc oderwać oczu od ponurego widoku.

-Zatem co udało się wam ustalić? - Pendragon zwrócił się do ekspertów.

-Jak pan widzi, ciało zostało zmienione w amorficzną płachtę, co oznacza, że nasze normalne procedury badawcze nie mają tu zastosowania - zaczął Jones, gładząc brodę. - Na szczęście doktor Newman dysponuje bardzo zaawansowanym technicznie sprzętem, który doskonale nadaje się do badania rozplaszczonych ciał - dokończył.

-Wykonaliśmy serię zdjęć rentgenowskich wysokiej rozdzielczości - wyjaśniła Newman. - Potem przeprowa-

142

dziliśmy obrazowanie metodą rezonansu magnetycznego, bardzo podobne do tego, które stosuje się w szpitalach, na oddziałach neurologicznych.

To powiedziawszy, poprowadziła ich w stronę ściany.

Za naciśnięciem klawisza rozjarzył się na niej panel długi na dwa metry i wysoki na metr. Newman wyjęła z szufla-

dy zdjęcia i przyczepiła do ekranu. - Oto wyniki owego szczegółowego prześwietlenia. - Wskazała kolekcję zdjęć po lewej stronie. - A to klatki z rezonansu magnetycznego - dodała, wskazując na prawo.

Cofnęła się nieco, ustępując miejsca Jonesowi, który przesunął palcami po zdjęciach.

-Proszę zauważyć, że choć ciało zostało spłaszczone do grubości paru centymetrów, układ narządów wewnętrznych pozostał niezmienny - zaczął patolog i wskazał na obraz przedstawiający całe zwłoki. - Tu mamy ramiona, tu nogi, a tu korpus.

Części ciała rzeczywiście dało się rozpoznać, choć kości były potrzaskane na setki kawałków, a miejscami wręcz starte na proch. Organy wewnętrzne były spłaszczone i obscenicznie rozciągnięte.

-Co zatem można powiedzieć o metodzie działania sprawcy? - spytał Pendragon, spoglądając najpierw na Newman, a potem na Jonesa.

-Ze zdjęć jasno wynika, że spłaszczenia zwłok nie dokonano za pomocą młota ani prasy.

-Skąd to wiadomo?

Doktor Newman wskazała na skrajną część zdjęcia, które uprzednio pokazywał Jones.

-Nie ma zachodzących na siebie krawędzi - wyjaśniła- - Proszę sobie wyobrazić, że ktoś kładzie ciało w maszynie uderzającej z ogromną siłą, na przykład takiej, która formuje blachę stalową w rozmaite kształty. Za każdym

143
tłoczeniem powstawałaby nowa krawędź. Widzielibyśmy więc nieregularny układ krawędzi na obrzeżach zwłok, o tutaj. - Newman wskazała palcem miejsca. - Przypominałoby to ugniatanie ciasta; na brzegu powstałby powtarzalny wzór. Tymczasem to ciało zostało spłaszczone albo przez serię potężnych rolek dociskowych, albo przez kilkakrotne przejechanie walcem.

Poprowadziła policjantów do innej części laboratorium, do stołu zastawionego próbkami pełnymi kolorowych płynów oraz kolekcją sprzętu elektronicznego.

-Przeprowadziliśmy też serię badań chemicznych - dodał Jones, podchodząc do stołu. - Uzyskaliśmy próbki, które mogą być dla panów cennym tropem.

Na stole leżały trzy szklane podstawki: na pierwszych dwóch widać było drobiny kolorowego materiału, a na trzeciej jakieś włókna.

-Znaleźliśmy ślady farby w dwóch kolorach. Badając zieloną, ustaliliśmy, że według naszego uniwersalnego

katalogu jest to „cydrowa zieleń jabłka”. Biała jest trudna do zidentyfikowania, ale z całą pewnością pochodzi z metalowej powierzchni. Wyizolowaliśmy też fragmenty walcowanej stali. Jesteśmy praktycznie pewni, że mamy do czynienia z lakierami stosowanymi do pojazdów mechanicznych.

-Te szare włókna w sąsiednim naczyniu to preparowana bawełna. Pod mikroskopem widać na nich cząstki wodoodpornego wosku. Najprawdopodobniej pochodzą z brezentu.

Pendragon spojrział z podziwem na doktor Newman.

-Bardzo sprytnie - powiedział.

Zarumieniła się lekko.

Jones odchrząknął.

-To nie wszystko, Pendragon. - Sięgnął po arkusz pa-

144

pieru leżący na stole i podał go inspektorowi i pochylił się nad serią wykresów. - Układ tych linii wskazuje na obecność potężnej dawki heroiny.

-Heroiny?! - wykrzyknął Pendragon, spoglądając z niedowierzaniem na patologa.

-Jeszcze bardziej intrygujące jest to - ciągnął Jones, podając mu kolejną kartkę pokrytą kolorowymi liniami.

-To, czyli co?

-Wynik badania krwi Kingsleya Berricka. Te same krzywe. Niemal identyczne stężenie heroiny.

-Sądzi pan, że obie ofiary były ćpunami? - wtrącił Turner.

-Rozsądne przypuszczenie, sierżancie, ale jednak nie. Takie stężenie heroiny musiało wywołać natychmiastową śmierć.

-Zatem to ich zabiło? - skomentował Pendragon, przyglądając się wykresom.

-Pamięta pan ten ślad nakłucia w mózgu Berricka? - spytał Jones. - Powiedziałem wtedy, że przyczyną śmierci mógł być potężny krwotok w mózgu. Gdyby zachował się mózg Thurska albo chociaż coś na kształt głowy, którą mógłbym zbadać, pewnie znaleźlibyśmy coś podobnego. Ale to jeszcze nie wszystko - dodał po chwili Jones.

-Nie? - Zdziwiony Pendragon popatrzył pytająco na dwoje ekspertów.

-Doktor Newman sugerowała, abyśmy zbadali zwłoki Berricka pod kątem śladów gwałtu.

-Gwałtu?

-Nie pomyślałem o tym, badając ciało w moim laboratorium, ale...

-Uznałam, że w świetle... hmm... orientacji seksualnej pana Berricka będzie to całkiem istotne badanie.

-Okay - mruknął z powątpiewaniem Pendragon.

145

-Na krótko przed śmiercią Berrick odbył stosunek.

Przeprowadziliśmy już badanie próbek.

-I?

-Znaleźliśmy ślady DNA Noela Thurska.

Turner roześmiał się niespodziewanie, ale zaraz przycisnął dłoń do ust i tylko przewrócił oczami. Pendragon spojrział na niego ze złością i zwrócił się do doktor Newman:

-Kręgi w kręgach - powiedział, zataczając palcami kółka na wysokości czoła.

ROZDZIAŁ 23

Deszcz zdążył ustać, zanim opuścili laboratorium kryminalistyczne.

-Pan prowadzi. - Pendragon rzucił Turnerowi kluczyki.

Włączyli się w nieprzerwany strumień samochodów i niemal natychmiast musieli wyhamować do zera.

-Aż trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób ktoś w ogóle mógł dokonać tych morderstw - stwierdził Turner, patrząc na szefa. - No bo jak można niepostrzeżenie posłużyć się walcem? A w przypadku Berricka przecież trzeba

było skądś wytrzasnąć sterowaną elektronicznie prasę,
prawda?

-Ma pan rację, Turner. Ja też się nad tym zastanawiałem i chyba nawet wiem, kto mógłby mi dostarczyć odpowiedzi. Turner wysadził Pendragona przed pubem Blind Beggar przy Whitechapel Road. Deszcz powrócił ze zdwojoną siłą i inspektor musiał się puścić biegiem między stoiskami pełnymi sari sprzedawanych za pół ceny oraz spiratowanych hollywoodzkich filmów na płytach DVD. Wnętrze lokalu jak zwykle przypominało mu jaskinię. Światło tandetnych plastikowych żyrandoli z zielonymi żarówkami było raczej

147

marne, panele wokół baru dość ciemne, tapeta mocno wżorzysta, a w wykładzinę wtarto z biegiem lat tyle piwa, że nie sposób było odgadnąć, jaki miała niegdyś kolor. Cały pub zalatywał alkoholem i detergentami.

O tak wczesnej porze Pendragon był jednym z ledwie trzech klientów. Dwaj pozostali siedzieli przy osobnych stolikach, ściskając w rękach szklanki z piwem i patrząc w zadumie na Whitechapel Road, widoczną za oknami. Pendragon zamówił pintę bittera i przysiadł w kącie sali, jak najdalej od pozostałych klientów i zdecydowanie poza zasięgiem ich słuchu. Ostatnimi czasy Blind Beggar był czymś

w rodzaju atrakcji turystycznej. Dawniej bywali tu chętnie niesławni bliźniacy Kray, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych szefowie najpotężniejszej organizacji kryminalnej w tej części miasta. I właśnie w tym pubie, w 1966 roku, Ronnie Kray zastrzelił George'a Cornella, współpracującego z konkurencyjnym gangiem Richardsonów.

Pendragon zauważył Sammy'ego Samsona za oknem, zanim jeszcze dotarł do drzwi lokalu. Dyskretnie skinął mu dłonią na powitanie. Sammy uśmiechnął się i podszedł do stolika, wyciągając rękę ku wstającemu Pendragonowi. Miał na sobie prastary i stosownie poplamiony dwurzędowy garnitur, aż lśniący na wytartych ramionach i łokciach. Koszula dawno przestała być biała, a wystrzępiony niebieski krawat był rozluźniony. Widać było, że Sammy próbował się ogolić, ale z umiarkowanym powodzeniem: na jego twarzy zostały smugi zarostu oraz całe szeregi drobniutkich, krwawych śladów.

- Pendragon, stary druhu - powiedział. - Dawnośmy się nie widzieli.

Jego głos był chropawy od brandy, tytoniu i Bóg jeden wie czego jeszcze, ale Sammy wciąż posługiwał się królewską angielszczyzną, jak przystało na absolwenta Eton.

Inspektor wskazał mu miejsce obok siebie i zamówił dlań drinka, zanim przyjrzał mu się badawczo.

Czcigodny Sammy Samson, bohater legend, o których Pendragon wiedział tyle, że tylko drobny ich ułamek można traktować poważnie. Przez prywatny filtr Pendragona przedostały się tylko nieliczne fakty: choćby ten, że Sammy był najprawdziwszym arystokratą, synem hrabiego, i że od dziesięcioleci był w niełasce u swej rodziny, co oznaczało chroniczny brak pieniędzy. W latach sześćdziesiątych trafił w środowisko wielbicieli narkotyków, potem dorabiał sobie jako menadżer kilku zespołów, aż wreszcie został najprawdziwszym ćpunem. Ojciec skreślił go wtedy z rodziny; nawet rodzeństwo nie chciało z nim rozmawiać.

Sammy jednak był już wtedy zakochany w tym, co stało się dlań uroczą, alternatywną rzeczywistością: w East Endzie, w zwyczajnych żywotach zwyczajnych ludzi. Jako dwudziestoparolatek bardziej swojsko czuł się przy piwie czy na tańcach w lokalnej knajpie niż na boiskach Eton czy na Royal Ascot. Odrzucenie przez rodzinę tylko wzmocniło te uczucia, toteż Sammy z zaskakującą łatwością stał się częścią pejzażu Stepney. Później nawiązał kontakt z półświatkiem i został księgowym Krayów. Kosztowało go to pięć lat więzienia, a po wyroku zostało mu już

tylko jedno: włóczęga po ulicach East Endu, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku.

Jako młody chłopak Pendragon widywał Sammy'ego Samsona w Stepney. Już wtedy upadły arystokrata cieszył się w okolicy swoistą sławą. Być może nie było więc nic dziwnego w tym, że objąwszy posadę przy Brick Lane, Jack przede wszystkim postarał się nawiązać kontakt z Sammym. Gdy odkrył, że stary ma się doskonale i aktywnie działa jako policyjny informator, czym prędzej wyciągnął do niego rękę. Sammy zawsze był na bieżąco, a jeśli nie wiedział o jakichś nielegalnych działaniach w East Endzie, był to znak, że są to sprawy niewarte uwagi. W sześćdziesiątym piątym roku życia Sammy wyglądał na siedemdziesięcioletka. Pod wieloma względami był człowiekiem nieodwracalnie zniszczonym i wiódł niełatwe życie z dnia na dzień. Pendragon bardzo go lubił.

-Czym mogę służyć, Pendragon? - spytał Sammy, jednym haustem wychylając całą szklaneczkę trunku. - Czyżby moje światłe spostrzeżenia na temat niedawnych nie-szczęśnych wydarzeń miały dla ciebie jakąś wartość?

-Trafiłeś w samo sedno, Sammy. Zawsze byłeś bystry.

-Och, mój drogi chłopcze, pochlebstwo zaprowadzi cię, dokąd zechcesz.

Inspektor skinął na barmana i kilka chwil później pod ręką Sammy'ego Samsona zjawiała się kolejna brandy.

-Bardzo hojnie z twojej strony - pochwalił go stary, a potem uniósł szklaneczkę do ust. Tym razem opróżnił ją tylko do połowy.

Pendragon rozejrzał się czujnie. Tej rozmowy nikt nie powinien był słyszeć.

-Jeśli chodzi o szczegóły - zaczął, pochylając się ku wpatrzonemu w brandy Sammy'emu - to w tej chwili próbujemy ustalić, jaki jest modus operandi naszego zabójcy.

Nie

będę ci o tym opowiadał z detalami, ale wiemy, że morderstwa nie są dokonywane w tych miejscach, w których znajdujemy zwłoki. Dlatego poszukuję przestronnego lokalu, z którego korzysta zabójca. Nie sądzę, by był to jego dom. Na tym etapie zakładam, że wynajmuje coś w tej okolicy. Sammy spojrział na Pendragona inteligentnymi oczami.

-Biuro? Coś w tym rodzaju?

-Nie. Coś większego. Bardziej... przemysłowego.

-Opuszczona fabryka czy szkoła?

-Być może. Albo magazyn.

150

-Rozumiem - odpowiedział wolno Sammy, a potem

rozparł się wygodnie na krześle i założył nogę na nogę. Pendragon dostrzegł dziury w jego kilkudziesięcioletnich, ręcznie szytych butach. - Będę musiał to przemyśleć. Poprobać. O jakim... hmm... wynagrodzeniu rozmawiamy, Pendragon? Bo z pewnością rozumiesz, że ponoszę pewne wydatki.

Inspektor uśmiechnął się przelotnie.

-Nie martw się, Sammy. Zawsze o ciebie dbałem, nieprawdaż?

-W rzeczy samej, drogi chłopcze. W rzeczy samej.

A skoro już o mamonie... być może od razu mógłbym ci podrzucić małe skrawki informacji na temat sprawy, nad którą pracujesz.

-Skrawki informacji? - powtórzył Pendragon, uśmiechając się krzywo.

Sammy skinął głową, a w jego oczach pojawił się błysk.

-Chyba powinienem ci przypomnieć, że obdarzono mnie niegdyś przydomkiem „oczy i uszy Stepney”.

Pendragon zaśmiał się i pokręcił głową.

-Daję słowo, Sammy, z czysto rozrywkowego punktu widzenia jesteś wart każdego pensa, którego ode mnie dostajesz.

Zniszczona twarz mężczyzny przybrała wyraz szczerzego oburzenia.

-Cóż, chyba będę musiał uznać to za komplement.

-Pochwal się, co słyszałeś?

-To zależy. Jak bardzo cię rozbawiłem?

Pendragon westchnął, wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni i wyjął banknot dwudziestofuntowy. Sammy przyjął go i przesunął szklanekę o trzy centymetry do przodu. Pendragon odepchnął ją z powrotem.

151

-Najpierw posłuchajmy, co masz do powiedzenia, Sammy.

-Cóż, jak by to ująć? Twoja pierwsza ofiara, właściciel galerii... bardzo się przyjaźnił z potomkami moich dawnych wspólników.

Pendragon spojrzał na niego z zainteresowaniem.

-Kingsley Berrick miał kontakty z gangami?

Sammy Samson skinął głową.

-Jakiego rodzaju kontakty?

-W tej chwili moja wiedza na ten temat nie sięga dalej, inspektorze.

-Daj spokój, Sammy.

-Bóg mi świadkiem... jak mawiają moi tutejsi przyja-

ciele. - Sammy uniósł w górę otwarte dłonie.

Pendragon spojrział na niego sceptycznie.

-Zatem słyszałeś tylko plotki? Żadnych szczegółów?

-W tej chwili wiesz dokładnie tyle samo co ja.

ROZDZIAŁ 24

Brick Lane, Stepney, sobota

-No dobrze, Jack. Co nowego w sprawie?

Siedzieli w gabinecie szefowej - Jill Hughes na jednym końcu skórzanej kanapy, a Pendragon na drugim. Hughes trzymała filiżankę herbaty. Zza zamkniętych drzwi nie dobiegały prawie żadne odgłosy pracy posterunku. Jeśli wierzyć zegarowi stojącemu na biurku, właśnie minęło południe.

-Jak dotąd udało nam się zebrać dość zróżnicowaną kolekcję faktów. Wszystkie się przydadzą, chociaż nie bardzo do siebie pasują.

-Proszę jaśniej.

-Po pierwsze, mamy raporty patologiczne i kryminalistyczne. Dziś rano byliśmy z Turnerem w Lambeth; Jones i Newman opowiedzieli nam szczegółowo o swoich odkryciach. Wygląda na to, że w obu przypadkach przyczyną śmierci było potężne przedawkowanie heroiny. Nie - dodał czym prędzej, widząc wyraz twarzy szefowej - nie

uważam, żeby ktoś z zabitych był narkomanem. Heroinę wstrzyknięto im prosto do mózgu. I to ich zabiło. Poza tym w zwłokach Berricka znaleźliśmy DNA Thurska.

Hughes po raz drugi wyglądała na zaskoczoną.

-A zatem poznali się bliżej - stwierdziła ironicznie. -

153

A partner biznesowy Berricka, pan Price, twierdził zdaje się, że Berrick i Norman Hedridge byli kiedyś parą?

-Tak.

-Zatem skłania się pan ku hipotezie o seksualnym motywie tych morderstw? Czyżby zazdrosny były partner?

-Wcale tak nie uważam. Moim zdaniem w ogóle nie ma tu takiego podtekstu.

-A to dlaczego?

-To zbyt wymyślne morderstwa, pani superintendent.

Zbyt starannie zaaranżowane. Moim zdaniem zabójca jest szaleńcem, ale przeczucie mówi mi, że to nie seks jest jego obsesją.

-Przekonuje pana motyw surrealistów?

-Tak.

-A jeśli to tylko, że się tak wyrażę, środowiskowy żart?

Przejaw bardzo czarnego humoru? Może motyw był w istocie czysto seksualny, ale obie ofiary skończyły tak, a nie ina-

czej, ponieważ należały do świątka artystów?

-Jest to możliwe, ale ja głęboko wierzę w brzytwę Ockhama.

-W to, że najbardziej prawdziwą odpowiedzią jest zawsze ta, która opiera się na najmniejszej liczbie założeń? Pendragon skinął głową.

-W porządku. Co jeszcze mamy? I jakie założenia jednak wolno nam poczynić?

-Newman i Jones odkryli włókna brezentu i drobiny farby w dwóch kolorach, zielonym i białym. Przypuszczamy, że biały pochodzi z furgonetki lub podobnego samochodu, natomiast zielony...

-Z żurawia. Widać to było na nagraniu z monitoringu. A w brezent z pewnością owinięto spłaszczone zwłoki Thurska. To ten cylindryczny przedmiot, który widać w koszu wysięgnika.

154

-Też tak sędzę - zgodził się Pendragon. - Zabójca musiał zabić Thurska zastrzykiem heroiny, przetworzyć zwłoki, a następnie pod osłoną nocy wykorzystać żuraw wysięgnikowy do umieszczenia ich na drzewie w odpowiedniej pozycji. Jeden człowiek był w stanie tego dokonać.

-Moim zdaniem doktor Newman miała rację, zgadu-

jąc, że zbrodni nie dokonano w miejscu, w którym zostały znalezione ciała. W przypadku Berricka sprawca wykorzystał wózek inwalidzki, by przewieźć zwłoki. W przypadku Thurska żuraw wysięgnikowy. Nie znaleźliście żadnych nagrań, na których widać jakikolwiek pojazd zbliżający się do galerii w środowy poranek?

-Niestety, nie. W okolicy w ogóle nie ma kamer. Ktośkolwiek popełnił tę zbrodnię, musiał oczywiście w jakiś sposób dostarczyć zwłoki do galerii, ale nie wydaje mi się, żeby nagranie wiele nam pomogło. Numer rejestracyjny wozu pewnie byłby zasłonięty, a sprawca zamaskowany.

-A Francis Arcade? Co pan o nim sądzi?

-O właśnie. Jestem prawie pewny, że wie bardzo wiele o tym, co się tu dzieje, ale nie przejawia chęci podzielenia się z nami tą wiedzą.

-A może jest naszym zabójcą?

-Nie sądzę, pani superintendent, choć jest dla mnie całkiem oczywiste, że nienawidził obu zamordowanych.

Wcale się z tym nie kryje. Widziała pani podcast?

-Tak. Jak dla mnie to mocny dowód przeciwko niemu.

-Arcade ma alibi.

-Sprawdzone?

-Niestety, tak.

-W takim razie trzeba będzie go puścić.

-Wiem, ale poczekam z tym do ostatniej chwili. Aha, jeszcze jedno: pogawędziłem sobie z Sammym Samsonem.

155

-Z tym starym wrakiem? Nie pojmuję, po co traci pan czas.

-W przeszłości Sammy bywał bardzo pomocny - zaproponował Pendragon.

-W porządku, Jack, wierzę panu na słowo. Jakie więc bezcenne informacje przekazał panu tym razem?

Pendragon uśmiechnął się krzywo.

-Twierdzi, że pan Kingsley Berrick miał związki z miejscowymi gangami.

-I wierzy mu pan?

Pendragon milczał przez chwilę, a potem odetchnął głęboko.

-Myślę, że warto sprawdzić ten trop.

Potrzebowała czasu, by przyznać mu rację.

-Słusznie, Jack. Nie możemy pominąć żadnego szczegółu. .. - Urwała, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Wyraźnie podniecony Turner zajrzał do gabinetu.

-Przepraszam, że przeszkadzam, pani superintendent -

powiedział, patrząc na szefową. - Właśnie odebrałem telefon. Mamy kolejnego.

ROZDZIAŁ 25

Do pani Soni Thomson

14 października 1888 r.

Czerwiec był dla mnie nader pracowitym miesiącem. Musiałem zająć się sprawami rodzinnymi w Hemel Hempstead, pogrzebać ojca i pomóc władzom w śledztwie w sprawie pożaru w Fellwick Manor. Byłem świadom nielicznych podejrzliwych głosów dookoła, ale nikt nigdy nie wystąpił przeciwko mnie z otwartym oskarżeniem; nie było też dowodów, które mogłyby pogrążyć niżej podpisanego. Rolę pogrążonego w żałobie syna odegrałem, ma się rozumieć, wspaniale. Ojciec miał niewielu przyjaciół; nie było także rodziny, z którą utrzymywalibyśmy jakieś kontakty. Jego starszy brat, stary kawaler, umarł na cholerę dziesięć lat wcześniej, moja matka zaś, podobnie jak ja, była jedynym dzieckiem. Tym sposobem odziedziczyłem wszystko.

Po stosownie długim czasie mogłem wreszcie uciec do Oksfordu, gdzie czekała mnie jeszcze przeprawa z profesorami - musiałem im wszak dowieść, że godzien jestem dobrej oceny końcowej. Być może zastanawiasz się, pani,

po cóż, u licha, było mi to wszystko - otóż tak się składa, że należę do ludzi, którzy, gdy już coś rozpoczną, lubią zakończyć przedsięwzięcie w należyтым stylu. Tak było i tym razem. W czerwcu byłem gotów pożegnać miasto uniwersyteckie, które otworzyło przede mną tak wiele nowych możliwości.

A jednak z jakiejś przyczyny nie mogłem zmusić się do wyjazdu. Zwlekałem całe dwa dni. Większość studentów opuściła już Oxford i wyczuwało się nienaturalny spokój. Przed świtem trzeciego dnia, gdy leżałem w łóżku, uzmysłowiłem sobie wreszcie, co mnie zatrzymuje. Wpakowałem do torby chleb i butelkę piwa, po czym wyruszyłem na południe, mijając Christ Church i Folly Bridge.

Słońce przygrzewało już od godziny, zanim dotarłem do Boars Hill. Zrobiło się całkiem ciepło. Za miastem zboczyłem ze ścieżki i ruszyłem przez pola. Nie spotkałem ani nie usłyszałem głosu choćby jednego człowieka - towarzyszyło mi wyłącznie brzęczenie owadów. Rezydencja Clancy Hall była z trzech stron ogrodzona płotem, a z jednej murem. Brama prowadząca na podjazd była zamknięta, ale na wschód od niej, opodal kępy drzew, udało mi się sforsować mur. Przebrnąwszy przez połąć wybujałych traw sięgających mi do kolan, dotarłem na skraj staran-

nie utrzymanego ogrodu otaczającego budynek.

Zanim jeszcze stanąłem u podwójnych frontowych drzwi rezydencji i sięgnąłem do dzwonka, czułem, że miejsce to od dawna jest opuszczone. Okiennice przesłaniały okna, podjazd był pusty i starannie zagrabiony. Dzwoniłem kilkakrotnie, sam nie wiem dlaczego, a potem cofnąłem się nieco, na skraj podjazdu, by popatrzeć na głuche mury i szczelnie zamknięte okiennice.

Po raz drugi przemierzałem zaniedbany trawnik, idąc w stronę wyjścia, gdy w odległości może pięćdziesięciu metrów dostrzegłem samotną postać: ogrodnika pochłoniętego pracą na grządce kwiatów. Miał na sobie buty ze stalowymi okuciami i za pomocą szpadla rozrzucał ziemię przywiezioną na wózku. W końcu przeciągnął się,

158

zsunął czapkę na tył głowy, otarł czoło szmatką i patrzył, jak się zbliżam.

-Dzień dobry - powiedziałem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, marszcząc gęste siwe brwi.

-Sir - odpowiedział, dotykając daszka czapki.

-Jestem przyjacielem właściciela - oznajmiłem, ruchem głowy wskazując na budynek. - Moje nazwisko San-

dlar.

-Miło mi pana poznać.

-Zdziwiłem się, widząc pozamykane okiennice.

-To pewnie dawno tu pana nie było - odpowiedział łagodnie ogrodnik. - Nie od dziś tak to wygląda.

Chciałem jakoś na to odpowiedzieć, ale ugryzłem się w język. Teraz i ja otarłem pot z czoła, rękawem marynarki.

-Nie wiecie czasem, dokąd wybrał się pan Oglebee? - spytałem, patrząc ogrodnikowi prosto w oczy.

-Pan Oglebee?

-Tak, człowieku - warknąłem, tracąc cierpliwość. - Pan Oglebee.

Ogrodnik wolno pokręcił głową, a ja poczułem, jak narasta we mnie gniew. Po długim namyśle wreszcie cmoknął i rzekł:

-Nic nie wiem o żadnym panu Oglebee, proszę pana.

Clancy Hall należy do lorda i lady Broadbent. A przynajmniej należało, nim umarli parę lat temu. Ich syn, Charles, jest teraz właścicielem, ale on mieszka w Afryce Południowej i nie było go tu od... och, co najmniej od trzech lat. Spojrzałem w oczy starego, szukając śladu podstępu, ale go nie znalazłem. Podziękowałem mu więc, odwróci-

łem się i pomaszerowałem w stronę Oksfordu.

Idąc za tragarzami przez bramę Exeter College i wy-

159

chodząc na Turl, nie mogłem się otrząsnąć z osobliwej zadumy, w której trwałem, odkąd opuściłem Clancy Hall.

Z nikim w całym Oksfordzie nie mogłem się podzielić tą zagadką, a zresztą czułem w duchu, że gdybym nawet wspomniał komuś o swoim odkryciu, nie otrzymałbym satysfakcjonującej odpowiedzi. Dopiero później, gdy siedziałem samotnie w wagonie, usiłując zapaść w sen, zacząłem dostrzegać humorystyczną stronę całej tej historii, to, jakie zabawne divertimento stanowiła. Pojąłem, że Oglebee jest postacią znacznie bardziej zagadkową, niż podejrzewałem.

Gdy w przeszłości kilkakrotnie odwiedzałem Londyn, zawsze towarzyszył mi ojciec. Były to poważne wyprawy: w milczeniu jechaliśmy pociągiem, a potem posłusznie chodziłem z ojcem, gdy załatwiał swoje sprawy. Bywaliśmy wtedy wyłącznie w porządnym dzielnicy miasta, składając wizyty prawnikom albo spotykając się ze współwyznawcami religii ojca. Tym razem miałem zgoła odmienne plany.

Pociąg zatrzymał się na dworcu Paddington, z nieod-

łącznym piskiem hamulców i w potężnych kłębach pary. Powierzyłem dobytek bagażowemu i ruszyłem za nim przez wczesnowieczorny tłum podróżnych. Zatrzymaliśmy się przy przechowalni i tam wręczyłem mu solidny napiwek. Uchylił czapki i oddalił się ze swym wózkiem, by poszukać kolejnego klienta. Przebrałem się w męskiej toalecie, wymieniając mój pięknie skrojony strój na proste robotnicze spodnie, starą koszulę bez kołnierza oraz płaską czapkę i buty ze stalowymi noskami. Eleganckie ubranie złożyłem i schowałem do jednej z walizek, a wyjąłem z niej poszarpaną, płócienną torbę, którą następnie

160

nappełniłem kilkoma najbardziej niezbędnymi przedmiotami. Z drugiej walizki wyjąłem z kolei skórzaną torbę z przyborami do malowania i płótnem oraz kolekcję noży i świeżo naostrzoną piłę. Następnie obie walizki złożyłem w przechowalni i wzięwszy torby, ruszyłem ku głównej bramie dworca i dalej, na ruchliwą ulicę.

Powietrze było ciężkie, nieruchome i jakby lepkie — zbierało się na burzę. Spróbowałem zatrzymać dorożkę i zdębiałem. Powóz zwolnił bieg, ale gdy woźnica tylko spojrzał na mnie uważniej, zaraz popędził konia batem. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu: moje przebranie było

doprawdy wyborne. Odwróciłem się, odszedłem niewiele metrów i zaraz spostrzegłem kolejną jednokonkę czekającą na pasażerów opuszczających dworzec. Gdy zbliżyłem się do woźnicy i powiedziałem mu, dokąd chcę się dostać, spojrzał na mnie ze zdumieniem i już miał odjechać bez słowa, gdy czym prędzej dodałem, że zapłacę podwójnie i z góry.

— Zatem pokaż forszę, chłopcze — odpowiedział.

Wyjąłem z kieszeni i wręczyłem mu pół korony.

-Robi się, łaskawco - obwieścił. - Wskakuj.

Strzelił z bata i ruszyliśmy w drogę.

Siedziałem wygodnie, chłonąc atmosferę tego niezwykłego miejsca, a dorożka kluczyła ruchliwymi ulicami.

Londyn... zdecydowanie najwspanialsze miasto świata.

Cesarze rzymscy mogliby go nam pozazdrościć. Wiem, moja droga pani, że sama wielokrotnie bywałaś w Londynie. Powiedział mi o tym twój mąż. Z drugiej jednak strony świadom jestem i tego, że na wsi w Berkshire wiodłaś niemal klasztorne życie, zatem pewnie bez trudu zrozumiesz, dlaczego tak czule wspominam zachwyty chwilą, kiedy znalazłem się tam nareszcie jako wolny człowiek. Byłem młody, ukończyłem studia w Oksfordzie i tak do-

skonale zdawałem sobie sprawę z tego, co będę tam robił.

Nic dziwnego, przyznaj, że byłem podniecony.

Burza się zaczęła, gdy koła mojej dorożki turkotały na bruku Tottenham Court Road. Z jej wnętrza patrzyłem, jak piesi pierzchają na wszystkie strony, szukając schronienia, wystraszeni hukiem grzmotu i potężnym błyskiem, który rozpruł niebo. Słyszałem, jak woźnica wrzeszczy na konia i bez litości okłada go batem po zadzie. Zdawało mi się, że podróż trwa w nieskończoność, i nawet mój entuzjazm wywołany przyjazdem do stolicy jakby osłabł. Wcześniej już zapewniłem sobie nocleg, nawiązawszy kontakt z właścicielem poprzez ogłoszenie w „Oxford Timesie”. Potrzebowałem miejsca w samym sercu Whitechapel i nic a nic nie przeszkadzało mi to, w jak fatalnym stanie była większość tamtejszych domostw. Powiem szczerze: im ohydniejsze miało być miejsce mojego pobytu, tym lepiej. Nie miałem wątpliwości, że potrafię o siebie zadbać. Gdy zbliżaliśmy się do celu, poprosiłem woźnicę, żeby zatrzymał wóz przy krawężniku. Nie chciałem, by sąsiedzi widzieli, że podjeżdżam dorożką. Wskoczyłem na chodnik przy Whitechapel Road, zarzuciłem torbę na ramię i osłoniwszy twarz daszkiem czapki, ruszyłem w strugach deszczu po nierównym, usianym śmieciami

bruku. Pogoda mi sprzyja, pomyślałem.

Moje nowe mieszkanie mieściło się przy Wentworth Street. Wynająłem tam pokój, tuż nad sklepem z ziarnem. Sklepikarz, niejaki pan Girthwright, był właścicielem całego budynku. Sam sklepik pełen był nie tylko ziarna, ale także klatek z ptakami, kur niosek oraz koszy pełnych jaj. W istocie bardziej przypominał wiejskie gospodarstwo niż sklep, a smród ptasich odchodów i gnijącej słomy bez trudu sączył się przez stropy na górne piętra budynku. Mój pokój był cudownie nędzny - dokładnie taki, ja-

162

kiego poszukiwałem. Chciałem czym prędzej wchłonąć tę atmosferę, wmieszać się w tłum, stać się częścią miejscowego pejzażu. Szykowałem się do realizacji mojego projektu, dzieła życia, mającego zapewnić mi nieśmiertelność. Sufit mojego mieszkania wisiał nisko nad zbrązowiałymi ścianami, którym ostatnie tapetowanie przytrafiło się w czasach, gdy królowa Wiktoria była jeszcze młodką. Podłogę stanowiły nagie deski. Do swojej dyspozycji miałem wąskie łóżko i zardzewiałą lampę gazową; ogrzewania nie było. Jedyłą ozdobą w całej izbie był krucyfiks wiszący nad posłaniem. Lecz choć tak mizernie prezentował się mój pokój, wiedziałem doskonale — bo wcześ-

niej zasięgnąłem informacji o tej dzielnicy — że to jeden z najlepszych lokali w tej okolicy, gdzie często w pomieszczeniach podobnej wielkości gnieździły się nawet cztery rodziny. Szalony czynsz, którego ode mnie żądano - trzy szylingi tygodniowo — nie był niczym dziwnym, skoro żyłem sobie prywatności. Prywatność zaś była ostatnią rzeczą, z której mogłem zrezygnować. Rzuciłem torbę na podłogę i przysiadłem na skraju łóżka, rozglądając się po moim nowym domu. Byłem z siebie bardzo zadowolony. Gdy wychodziłem z budynku, niebo miało już rudą barwę i takim właśnie światłem zalewało mury oraz mokre jeszcze ulice. Deszcz ustał i dawny smród szybko powracał. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem zmysłami takiej mieszaniny woni: sadza, smoła, gnijące odpadki oraz ludzkie odchody, wszystko naraz! W powietrzu dawał się także wyczuć fetor rzeki, niesiony wiatrem z południa. Wszystko to było dla mnie zupełnie nowe i chłonałem tę nowość bez opamiętania. Znałem wszystkie historie na temat tej części Londynu. O tym, jak biedaków wygnano z tak zwanej Kolonii opodal St Giles, w zachodniej części miasta, gdzie następnie zrównano z ziemią ich dawne

163

slumsy. O tym, jak niezliczone, bezimienne hordy upodlo-

nych ludzi popłynęły kilka kilometrów na wschód i zmieniły londyński East End w tę ponurą otchłań, którą był teraz. Było to, droga pani, piekło na ziemi, zwane przez londyńczyków Gulaszem. A ja pokochałem je natychmiast. Jakże mam choćby zacząć opisywać ci, pani, niezwykłą atmosferę tego miejsca, kiedy jesteś osobą tak dobrze urodzoną i wiesz tak spokojne życie? Próbowałem opisać ci woń, ale tak naprawdę jest ona tylko jednym z wielu elementów większej całości. Sam proces wyjścia z mieszkania na ulicę mógłbym scharakteryzować jako doświadczenie przytłaczające wszystkie zmysły — cokolwiek widziałem, słyszałem czy czułem, było dla nich wyzwaniem. Tuż za progiem kamienicy ulokował się sprzedawca placków. Na krótkich metalowych nóżkach ustawił wprost na bruku mały, kanciasty pojemnik, w którym płonął niewielki ogień, utrzymujący w cieple leżące na wierzchu placki. Mężczyzna miał na sobie krótką marynarkę, a na szyi brudną chustę. Znoszony cylinder odchylił do tyłu pod dziwnym kątem, a wokół pasa zawiązał taśmę usmarowanego na brązowo fartucha. Tuż przy nim stała kobieta - wyglądała na chorą, miała zapadnięte policzki i głębokie cienie pod oczami. Mały chłopiec w płóciennej czapce stał przed blaszanym pudłem i wołaniem starał

się zachęcić klientów. Co jakiś czas przykładał na jedno kolano i wyciągniętą ręką podrzucał w górę dwie monety. „Rzuć i kup!”, wołał, zachęcając chętnych, by czekając na placek, spróbowali zgadnąć, którą stroną upadnie moneta. Tak naprawdę dopiero wieczorem ulice wypełniały się ludźmi. Nieliczni mający stałe zajęcie właśnie wracali z pracy, inni zaś — głównie prostytutki, zwane w tych stronach „pannami młodymi” - właśnie rozpoczynali wieczorną zmianę.

164

Robotnicy wyglądali najgorzej. Widziałem młodzieńca o twarzy bladej jak śmierć, rzednących już włosach i beznadziejnie pustych oczach. Na wpół pijany, kołysał się w marszu po wąskim chodniku, tak że omal mnie nie potrafił. Poczulem bijący od niego smród ryb oraz solanki - od razu wiedziałem, że to jeden z wodników: ludzi, którzy wyciągają trupy z Tamizy w nadziei, że znajdą przy nich coś cennego, może ćwierćpensówkę zaszytą w ubra- niu albo złoty ząb.

Przechodząc alejką prowadzącą ku Whitechapel Road, minąłem grupę czterech wycieńczonych postaci. Nie- szczęśnicy, niemogący znaleźć żadnej godnej pracy, naj- mowali się na dwanaście godzin dziennie do kruszenia

kamieni - za nędzną stawkę kilku pensów. Zaraz potem znacznie bardziej barwny widok: papużkarz. Był to chudy jegomość w niegdyś białym cylindrze, stojący przed byle jak skleconym stolikiem okrytym wystrzępionym obrusem. Na jego wyprostowanym ramieniu przysiadły cztery papużki faliste, na stoliku zaś spoczywały cztery karty.

— Odgadnij kartę i wygraj wieczór w lokalu! — zawołał mężczyzna, widząc, że się zbliżam. Zignorowałem go, ale z fascynacją przyglądałem się młodej parze, która zatrzymała się przy nim.

Dziewczyna chichotała, gdy jej przyjaciel wręczał papużkarzowi ćwierćpensówkę.

-Którą panienka zechce wybrać? - spytał mężczyzna za stolikiem, mierząc ją pożądliwym wzrokiem. - Kto wie, może to dla panienki szczęśliwa noc!

Zachichotała jeszcze bardziej idiotycznie, tuląc się przy tym do swego wybranka. Młodzieniec wybrał więc za nią, drugą kartę od lewej. Papużkarz schował monetę do kieszeni i opuścił ramię, by jeden z ptaków mógł zeskoczyć na stolik. Papużka przez chwilę przechadzała się z godnością

165

wokół kart, nim zatrzymała się, by wybrać jedną- drugą od lewej. Młoda kobieta pisnęła i zasłoniła usta dłonią.

Odszedłem wtedy, zastanawiając się, ile razy papużkarz pozwoli tej parce wygrać, zanim uzna, że pora wyciągnąć od niej większe pieniądze.

Droga pani, nie sądź, proszę, że jestem kompletnym nierobem i włóczęgą - ta wieczorna wyprawa miała bowiem swój cel. Zmierzałem mianowicie do pewnego miejsca zwanego Pawilonem - albo po prostu Pawem, jak mawiali miejscowi. Był to, w teorii, przybytek muzyki, a w rzeczywistości nora najgorszego autoramentu; jakże odpowiednie miejsce rozrywki dla mieszkańców piekła. Od czegoż mogę zacząć wierny portret Pawu? Znacznie łatwiej byłoby go namalować. A jednak spróbuję. Chcę, abyś poznała każdy szczegół.

Fronton budynku ani trochę nie zdradza tego, co dzieje się w jego wnętrzu. Gdy go ujrzałem, obudził we mnie skojarzenie z prostym, przyzwoitym teatrem. A jednak za bramą tego przybytku zaspokajany jest głód rozrywki znacznie niższego rzędu. Wzdłuż całej sali głównej ciągną się rzędy wielkich stołów z surowego drewna, a po ich obu stronach - długie ławy. O dziewiątej każdego wieczoru nie widuje się tam wolnych miejsc; Pawilon tętni życiem, a tłumy bywalców wznoszą nieustannie dopełniane kufle z rozwodnionym piwem pośledniego gatunku.

Zapewne domyślasz się, że odwiedziłem to miejsce wielokrotnie. Przyznam nawet, że za ni mniej, ni więcej, tylko pięć gwinei, nająłem tam izbę. Od pierwszego dnia nowego życia w Londynie zachwyciłem się tym, co tam zastałem. I zanim jeszcze choć raz spędziłem noc w Gulaszu, zadowoliłem się na dobre w Nowym Królewskim Pawilonie Teatralnym - bo tak brzmi jego pełna nazwa. Co tak mnie w nim ujęło, pewnie zapytasz. Sądzę, że przede wszystkim

166

poczucie z trudem maskowanej beznadziei; niedorzecznie intensywne wysiłki ludzi, którzy starali się choć na chwilę zapomnieć o bólu codziennego życia. Thomas Hobbes napisał kiedyś: „Życie jest samotne, nędzne, podłe, brutalne oraz krótkie”, jednakże każdy człowiek jest w stanie oddalić od siebie tę prawdę, jeśli tylko wleje w swe gardło dość piwa, ogłuszy się żwawą muzyką, doceni sprytną aluzję oraz spędzi dość czasu z dziwką na kolanach. A przecież wszystko to fałsz i udawanie - wielką miałem uciechę, obserwując, jak bydło tłoczy się u tego wodopoju, próbując odepchnąć od siebie całe zło tego świata. Jedno bowiem może tylko sprawić, by owo zło dobiegło końca, lecz nie znajdzie się tego w brudnej tancbudzie. Przynajmniej do czasu, aż niżej podpisany pojawił się w okolicy.

Wybacz mi, droga pani, te dygresje - wydaje się, że mam do nich nadzwyczajną smykałkę, czyż nie? Ale wróćmy do sedna sprawy. Mój pobyt w okolicy Whitechapel Road oraz wycieczka do Pawu miały dwie poważne konsekwencje. Po pierwsze, zbliżyły mnie do kobiet, które planowałem uśmiercić. Po drugie, tam właśnie spotkałem, pani, twojego męża Archibalda, człowieka, który - jak się okazało - odegrał istotną rolę w wydarzeniach późnego lata i jesieni tego roku.

Aż do tej chwili nie wspominałem o Archibaldzie. Oczywiście nie dlatego, że pragnę chronić twoje delikatne uczucia - z pewnością wiesz już, że taki nie jestem. Teraz jednak nadchodzi w mej opowieści moment, w którym pan Thomson pojawia się po raz pierwszy.

Ty, droga pani, znałaś niewątpliwie jedną twarz tego człowieka. Ja poznałem ich kilka. Niechybnie zgodzilibyśmy się, iż Archibald był ciężko pracującym, inteligentnym, przedsiębiorczym oraz nieprzeciętnie ambitnym osobnikiem. Dokładnie tyle usłyszy się na jego pogrzebie.

167

Wielkie nieba, jakże żałuję, że mnie tam nie będzie! Mąż twój, moja pani, był jednak osobowością znacznie bardziej złożoną, a istnienia innych stron jego charakteru zapew-

ne nawet nie podejrzewałaś.

Cudowny przybytek zwany Pawem nie był salą koncertową. Właściciele zgarniali niebagatelne sumy, kasując po cztery pensy za wejście do lokalu oraz po pół pensa za pomyje, które miały udawać piwo, ale, podobnie jak my wszyscy, byli chciwcami i wiedzieli, czego tak naprawdę pragnie szanowna publiczność. Nie wysilając zbytnio wyobraźni, górne piętro teatru zamienili w burdel.

Odkryłem to, z niekłamanym zachwytem, podczas drugiej wizyty w Pawilonie. Spędziłem dwadzieścia cztery godziny w Whitechapel i w wyobraźni już zacząłem szkicować nader szczegółowy plan. Postanowiłem, że zabiję cztery kobiety. Dlaczego właśnie tyle? Może przez wzgląd na symetrię. Jak cztery karty w karecie? Jak cztery boki kwadratu? Jak Czwerej Jeźdźcy Apokalipsy? Nie, żadne z tych porównań nie zaświtało w mojej głowie. O ile wiem, niektórzy - gdy już było po wszystkim - próbowali odnaleźć związki między moim dziełem a poczynaniami masonów, anarchistów, a nawet — do diabła! — członków rodziny królewskiej. A przecież w lipcu wcale nie myślałem o takich sprawach. Wyznaję, troszkę się zabawiłem, zostawiając fałszywe poszlaki, lecz służyło to wyłącznie mojej rozrywce i nie miało absolutnie żadnego związku -

broń panie Szatanie! - z refleksjami natury duchowej. Dlaczego więc cztery? Bo czułem, że to właściwa liczba. Cztery kobiety. Przemyślałem już metodę i procedurę działania, ale pozostała jeszcze kwestia wyboru kandydatek. Czułem potrzebę zastosowania pewnej struktury, zachowania kształtu mojego dzieła. Jest bowiem tak, że wszelka sztuka musi mieć formę, choćby najbardziej swo-

168

bodną. Gdy dowiedziałem się, że na piętrze Pawu działa burdel, elementy mojej układanki automatycznie wskoczyły na swoje miejsce. Miałem do dyspozycji odpowiednie źródło materiału ludzkiego.

Moja droga pani, z pewnością zdążyłaś już dostrzec pewien istotny fakt dotyczący mojej skromnej osoby: ja nie pożądam kobiet. W rzeczy samej, nie odczuwam popędu seksualnego w żadnej postaci. Nie wiem, czym on jest, i wcale mnie to nie martwi. Nie zastanawiam się nawet, dlaczego tak jest. Wiem, że nawet mędrcy przyszłych pokoleń będą analizować i czynić założenia, daremnie starając się rozwikłać zagadkę mojego umysłu. Oni jednak nie poznają mnie tak, jak ja sam znam siebie — choćby byli najbystrzejszymi z bystrych. Będą mi przypisywać przeróżne dewiacje seksualne, ale ty, moja pani, musisz

mi wierzyć: w tych teoriach nie będzie krztyny prawdy. Szczerze mówiąc, bardzo mnie cieszy mój stan, bo cóż za straszliwą stratą energii jest seks! Czemu on służy? Jeśli nie przynosi rozkoszy, jest prymitywnym aktem prokreacji, a ostatnią rzeczą, której potrzeba temu światu, jest więcej dzieci. Nie stałem się więc bywalcem burdelu z konwencjonalnych pobudek. Chodziłem tam, by malować i wybierać.

Wkrótce po tym, jak odkryłem istnienie domu publicznego na piętrze Pawu, przystąpiłem do eksploracji. Eksploracja bowiem jest podstawową sprawą w mojej działalności; to dzięki niej zawsze o krok wyprzedzam policję. Uważając, by nie przyciągać zbytnej uwagi, szybko rozpoznałem układ pomieszczeń i połączeń między nimi. Wkrótce odkryłem też sprytną sieć tajnych przejść i wyjść ewakuacyjnych ukrytych w zewnętrznych murach budynku.

Wróćmy jednak do Archibalda. Poznałem go mniej więcej

169
cej dwa tygodnie po przybyciu do Whitechapel. Co noc odbywałem wtedy wyprawy do Pawu i tamtejszego burdelu. Wśród dziewcząt byłem już znany jako Malarz - zdaje się, że wszystkie mnie lubiły, bo nigdy ich nie dotykałem, a je-

dynie szkicowałem. To był późny piątkowy wieczór. Moja modelka była coraz bardziej zniecierpliwiona, choć płaciłem jej podwójnie i wymagałem tylko tego, by efektownie leżała na szezlongu. I ja czułem znużenie, ale nie pracą, tylko ciągłym wzdychaniem i zdenerwowaniem tej kobiety. Wreszcie rzuciłem ołówek na szkicownik, cisnąłem w nią ubraniem, w którym przyszła, i kazałem jej wynieść się natychmiast. Mocno zirytowany odłożyłem przybory na łóżko i zapaliłem papierosa. Po chwili wstałem z krzesła i, wciąż jeszcze kręcąc głową ze złością, podszedłem do drzwi. Stałem za progiem, na szerokim półpiętrze, wsparty o balustradę. Z dołu dobiegał hałas - słyszałem każdą nutę tandetnej muzyki. Lecz nagle dźwięki umilkły i Mistrz Ceremonii ryknął w stronę słuchaczy:

- Co teraz, panie i panowie? Co teraz?

Naturalnie słyszałem to wszystko niejedyn raz. Potrafiłem wyobrazić sobie scenę rozgrywającą się na dole. Gwiazda Pawu, Marie Lloyd, już czekała za kulisami. Rozległy się dźwięki muzyki towarzyszącej jej wejściu. Oczami wyobraźni widziałem, jak wchodzi na scenę z parasolką. Parasolka się zacina, a Marie woła: „Na Boga! Od wieków nie byłam taka mokra!” Jak na komendę salwa lubieżnego śmiechu. Och, jakże niewiele ludziom potrzeba.

Lecz nagle usłyszałem całkiem nowe dźwięki. Huk, krzyk i przenikliwy dźwięk... policyjnego gwizdka. Wychyliłem się ponad balustradą i dostrzegłem dwóch konstabli, którzy właśnie wbiegali głównym wejściem do teatru. Obróciłem się na pięcie i pognałem w stronę wynajętego pokoju. Tak mi się przynajmniej wydawało, lecz

170

w strachu pomyliłem drzwi i dosłownie wpadłem do sąsiedniego pomieszczenia.

Czym prędzej zerwałem się z podłogi i przeżyłem kolejną niespodziankę, gdy zobaczyłem postacie leżące na łóżku. Tak, moja droga pani, jedną z nich był twój ukochany małżonek. Nie był świadom tego, co się działo na dole, bez reszty owładnięty żądzą. Kiedy jednak wpadłem do pokoju, narobiłem tyle rumoru, że poderwał się jednym skokiem, z wyrazem skrajnego przerażenia na twarzy.

Durna kłępa leżąca obok niego - znałem tę dziewczynę, Catherine Eddowes - podciągnęła kołdrę, by zasłonić swe cherlawe ciało.

-Co, u diabła?! - wybuchnął Archibald.

Zignorowałem tę parę i paroma susami przemierzyłem pokój i zacząłem obmacywać tandetną tapetę na prawo od małego okna. Archibald tymczasem zdążył włożyć spod-

nie i szarpał się z marynarką.

-Co się dzieje?

Nawet się nie odwróciłem.

-Gliny - syknąłem.

-O kurwa!

Kucnąwszy, odnalazłem wreszcie krawędź ukrytych drzwi za nacięciem w listwie przypodłogowej. Przesu-
nąłem palec w górę, na wysokość talii i tam, nieco po le-
wej» wymacałem haczyk. Pociągnąłem go lekko i drzwi
się uchyliły. W okamgnieniu wpełzłem w szczelinę i już
miałem zatrzasać za sobą właz, gdy spostrzegłem, że
Archibald wepchnął się do kryjówki tuż za mną. Omal
nie przygniótł mnie do przeciwległej ściany wąziutkiego
przejścia ukrytego w ścianie. Ledwie zdążył zamknąć za
sobą drzwi, gdy głośny huk uświadomił nam, że policjan-
ci są już na galerii.

W ciemności tajnego korytarza wstrzymaliśmy odde-

171

chy, a potem — wykorzystując hałasy dochodzące zza ścia-
ny, takie jak trzask otwieranych z impetem drzwi czy pisk
prostytutki - zaczęliśmy po omacku przesuwając się w głąb
przejścia. Uczyniwszy trzy kroki, wyczułem opór kamien-
nej ściany, a zaraz potem odnalazłem wbite w nią żelazne

szczeble drabiny. Wspiąłem się nieco, lewą ręką szukając nad głową włazu. Wreszcie poczułem pod palcami surowe drewno. Skuliłem się odruchowo, gdy drzazga wbiła mi się pod paznokiec. Zignorowałem jednak ból, pchnąłem klapę i lekko ją uchyliłem.

Wciągnąłem się na górę przez otwór i poczułem, że jestem na dachu. Chłodne powietrze nocy było miłą odmianą po duchocie ukrytego korytarza. Opadłem na ukośną połąć dachówek, oddychając ciężko. Po chwili u wyjścia z kryjówki pojawiła się krępa postać Archibalda, pięknie podświetlona żółtawym blaskiem połówki księżyca. Zdażyłem już zapomnieć, że szedł za mną. Ociężale stanął na nogi, zrobił dwa kroki ku mnie i oparł się o tę samą połąć dachu co ja. Wyjął z kieszeni spodni srebrną papierośnicę. Wyraźnie widziałem wtedy w świetle księżyca jego twarz: okrągłą i mokrą od potu. Widziałem też jego małe, jakby psie, czarne ślepia.

- Myślę, że jestem ci winien drinka - rzekł.

ROZDZIAŁ 26

Stepney, sobota, 24 stycznia, 14.30

Kościół pod wezwaniem Świętego Alojzego przy Buckhurst Street, na północ od Mile End Road, był nowoczesnym betonowym budynkiem. Pendragon westchnął głę-

boko, wysiadając z samochodu, i popatrzył w górę, na witraże o nieregularnych kształtach, widoczne w oknie nad wejściem. Przechylił nieznacznie głowę, daremnie usiłując rozpoznać, co właściwie mają przedstawiać. Wreszcie poddał się i spojrzał na Turnera:

-Nie całkiem jak w Reims, nieprawdaż, sierżancie?

-Skoro pan tak uważa - odpowiedział Turner.

-Czy to nie dziwne, że nasi przodkowie potrafili wznosić tak piękne gmachy na chwałę Bogu, a dziś budujemy wyłącznie takie potworki? - spytał inspektor, wskazując na kościół.

-Pewnie chodzi o pieniądze, szefie.

-Jasne, Turner. Bo Kościół katolicki jest taaaki biedny.

Pendragon pokręcił głową i wszedł pod niską betonową kopułę wystającą z fasady godnej bunkra, by minawszy podwójne drzwi, wkroczyć do głównej nawy między rzędami ławek. Przy ołtarzu stała grupka zaciekawionych ludzi, zerkających ku otwartym drzwiom zakrystii. Inspek-

173

tor Towers zjawił się w chwili, gdy Pendragon z Turnerem dotarli do ołtarza.

-Kolejny dziwny przypadek, sir - zameldował.

-Kim są ci ludzie?

-To członkowie Rady Parafialnej, sir.

Grupka składała się z dwóch mężczyzn i dwu kobiet. Kobiety szlochały, a jeden z mężczyzn pocieszał starszą z nich. Drugi zauważył Pendragona i wystąpił na przód.

-Jestem kościelnym. Malcolm Connolly - przedstawił się.

Był wysokim jegomościem po pięćdziesiątce, prawie łysem, jeśli nie liczyć kępek siwych włosów po obu stronach głowy. Miał na sobie kraciatą koszulę z brązowym krawatem, ukrytą pod tweedową marynarką ze skórzanymi łaktami na łokciach. Pachniał tytoniem fajkowym. Pendragon przedstawił się, podając mu rękę na powitanie.

-To ja znalazłem ciało, razem ze Starym Ojcem - dodał Connolly.

-Starym ojcem?

-Przepraszam. Z emerytowanym księdzem Lionelem Ahernem. Był proboszczem tej parafii, zanim przybył tu ojciec Michael.

Pendragon skinął głową.

-Rozumiem. Jeśli zechce pan tu zaczekać, za chwilę zamienimy kilka słów, ale najpierw muszę obejrzeć miejsce zbrodni.

Zakrystia była pomieszczeniem w kształcie kwadratu o boku długim na niespełna trzy metry. Ściany były wyłożone drewnem; nie było okien, a jedynym źródłem światła były dwa ozdobne kinkiety. Pachniało tu kadzidłem oraz świeżym trupem. Krzesło, do którego umocowano zabitego księdza, stało pośrodku pomieszczenia. Po jednej stronie

174

zwłok stali Mackleby i Vickers, a po drugiej doktor Jones, który pochylał się właśnie, świecąc małą latarką w martwe oczy kapłana.

- Kolejna udana scenka do kolekcji, Pendragon - rzekł, nie odwracając się. - Studium portretu papieża Innocentego

X

Velazqueza, jak sądzę.

Inspektor przyjrzał się uważnie zwłokom.

- Historia się powtarza - powiedział cicho. - Do listy martwych surrealistów dodajemy więc Francisa Bacona.

Pięknie - mruknął, podchodząc krok bliżej. - Co pan zdążył ustalić?

- W ciągu dziesięciu minut, które tu spędziłem?

- Tak.

Jones wydmuchnął powietrze nosem.

- Ofiarą jest mężczyzna w wieku mniej więcej pięćdzie-

sięciu pięciu... może sześćdziesięciu lat. Widać ślad na kar-
ku, podobnie jak w poprzednich przypadkach.

-Czas zgonu?

-Co najmniej dwanaście godzin temu.

Pendragon zwrócił się do Towersa:

-Jak się nazywała ofiara?

-Ojciec Michael O'Leary.

-I nie żyje od dwunastu godzin... Jak to możliwe? Kie-
dy wszedł do kościoła ten cały Connolly?

-Nie tylko on. Razem z nim ciało znalazł godzinę temu
emerytowany ksiądz, ojciec Lionel Ahern.

-A gdzie jest teraz ojciec Ahern?

Sierżant Mackleby zbliżyła się o krok.

-W szpitalu, szefie.

Pendragon posłał jej puste spojrzenie.

-Jest po osiemdziesiątce. Przyszedł dziś rano, żeby jak
co tydzień napić się kawy z ojcem O'Learym, ale drzwi za-
krystii były zamknięte. Zauważył, że brakuje krzesła - tu

175

Mackleby wskazała ruchem głowy na podobny do tronu
mebel, na którym usadzono zwłoki - ...które zwykle stoi
przed drzwiami. Minęło trochę czasu, zanim wezwał na
pomoc kościelnego, który miał zapasowy klucz. Razem

znaleźli ofiarę.

-Coś mu się stało?

-Zemdlał na miejscu. Atak serca. Został odwieziony do London Hospital.

Pendragon pokręcił głową.

-To wszystko zmienia się w farsę - powiedział i odechnął głośno. - W porządku, sierżancie. Porozmawiam teraz z Connollym.

Turner i Mackleby zajęli się przesłuchaniem pozostałych członków Rady Parafialnej, a Pendragon poprowadził Malcolma Connolly'ego do jednej z ławek.

-Proszę mi opowiedzieć, jak znaleźliście ciało.

Mężczyzna otarł kroplę potu z czoła białą chustką wyjętą z górnej kieszeni tweedowej marynarki.

-Przepraszam - powiedział. - Wciąż jestem w lekkim szoku.

Pendragon skrzywił się współczująco.

-Rozumiem.

-Więc tak... Ojciec Ahern zapukał do mnie mniej więcej w południe. Był bardzo poruszony, biedaczysko. Podobno zjawiał się tu już o dziesiątej. Raz w tygodniu pił kawę z ojcem Michael'em; robili tak od lat, a konkretnie od 2004 roku, kiedy to nowy ksiądz przybył do naszej parafii. Tak

czy owak, drzwi zakrystii zastał zamknięte i zauważył, że brakuje starego krzesła. Uwielbiał je. Dostał je w prezencie jeszcze w latach pięćdziesiątych i przywiózł ze sobą do nowego kościoła.

Pendragon skinął głową.

-Stary Ojciec poszedł wtedy do domu i przez jakiś czas

176

siedział przy kominku, zastanawiając się, co się mogło stać i co należy teraz zrobić. Wreszcie zadzwonił do mnie i razem przyszedliśmy do kościoła.

-Rozumiem. Domyślam się, że ma pan zapasowe klucze?

-Tak. Niech pan mi powie, inspektorze, o co tu chodzi?

Michael O'Leary był dobrym człowiekiem. W życiu nikogo nie skrzywdził. Dlaczego ktoś zgotował mu taki los? I to w taki sposób? Co to oznacza?

-Obawiam się, że jeszcze tego nie wiemy, panie Connolly. Ale zapewniam, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć sprawcę.

Kościelny nie odpowiedział, zapatrzony w krzyż wiszący nad ołtarzem.

-Jak długo znał pan ojca O'Leary'ego? - spytał inspektor.

-Odkąd tu przyjechał. Kościół Świętego Alojzego zbudowano pod koniec lat osiemdziesiątych i wkrótce potem zostałem kościelnym. Przyjechaliśmy tu z żoną z Hongkongu, gdzie pracowałem w służbie cywilnej.

-Czy powiedziałby pan, że dobrze znał ojca O'Leary'ego?

-Chyba tak. Widzieliśmy się niemal codziennie. Jestem emerytem, więc bardzo dużo czasu poświęcam kościołowi. Ojciec O'Leary był bardzo lubiany przez wszystkich. I dlatego tak mnie zdumiewa to, co się stało. Bo chyba nie było to przypadkowe morderstwo, prawda? Ktoś je zaplanował. Wybrał sobie ofiarę, ojca Michaela.

Pendragon skinął głową, ale powstrzymał się od komentarza.

-Dziękuję za pomoc, panie Connolly. Możliwe, że moi ludzie będą mieli do pana jeszcze kilka pytań, kiedy skończą rozmawiać z pozostałymi członkami Rady.

177

-Będziecie nas informować o postępach, dobrze, inspektorze?

-Będziemy - obiecał Pendragon i oddalił się w stronę ołtarza, gdzie przystanął obok Mackleby i Turnera, zajętych rozmową z pozostałymi trzema parafianami. Odwrócił się,

gdy Jones wyszedł z zakrystii.

-Jak zwykle, Pendragon - odezwał się patolog - sprawdź ciało do mnie, gdy tylko uroczą doktor Newman skończy szperać po kątach. - To powiedziawszy, kiwnął głową i oddalił się w stronę wyjścia.

-Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Pendragon, przerywając Turnerowi w pół zdania. Sierżant rozmawiał właśnie z niewysokim, rudowłosym mężczyzną o bladej, usianej piegami twarzy. - Wracam teraz na posterunek, sierżancie. Kiedy skończycie przesłuchania, spotkamy się w moim gabinecie. Mam przeczucie, że czeka nas mnóstwo papierkowej roboty.

Turner skinął głową.

-Zrobi się, szefie - powiedział, a potem zadał rudemu kolejne pytanie.

Pendragon tymczasem wypatrzył inspektora Towersa i przywołał go do siebie.

-Niech pan sprawdzi, czy parking i najbliższe ulice są objęte monitoringiem. Nigdy nic nie wiadomo, może Bóg ześle nam jakiś cud.

Ken Towers uśmiechnął się półgębkiem.

-O czwartej chcę mieć na biurku pełny raport - dodał główny inspektor, a wtedy inspektorowi wyraźnie zrzęd-

ła mina.

Pendragon ruszył niespiesznie w stronę drzwi. Głosy osób stojących przy ołtarzu niosły się echem po przestronnym wnętrzu, ale z każdym krokiem stawały się mniej zrozumiałe. Inspektor wyłączył się po chwili, dumając

178

nad nowymi faktami w sprawie. Tak głęboko pogrążył się w rozmyślaniach, że gdy wyszedł z kościoła na parking, omal nie wpadł na mężczyznę w płaszczu i czapeczce Chelsea FC.

-O matko, toż to sam główny inspektor Jack Pendragon - zawołał mężczyzna.

Jack uniósł głowę, lekko wystraszony, a potem westchnął, rozpoznawszy twarz dziennikarza Freda Taylora, swego stałego prześladowcy z lokalnego szmatławca zwanego „Gazette”. Był to niski, pulchny jegomość o naturalnie czerwonej twarzy, tego dnia dodatkowo zarumienionej chłodem. Miał wielki nos - również czerwiejszy niż zwykle - oraz okulary w rogowej oprawie. Sześć miesięcy wcześniej, gdy Pendragon pracował nad swą pierwszą londyńską sprawą - poszukiwał seryjnego zabójcy grasującego w Stepney - Taylor od pierwszej chwili obdarzył go szczera niechęcią i robił wszystko, by zdyskredytować i ośmie-

szyć nowego głównego inspektora. Wysmażył nawet tekst ocierający się o zniesławienie, w którym opisał okoliczności odejścia żony Pendragona, a także zniknięcia jego córki Amandy. Obok Freda Taylora stał wyższy mężczyzna w kosztownym skórzanym płaszczu - szczelnie zapiętym dla ochrony przed zimnem - z cyfrowym aparatem marki Nikon zawieszonym na szyi.

-Niech nas Bóg ma w opiece, skoro nasz stary kumpel Jack prowadzi sprawę Artystycznego Mordercy - wykrzyknął Taylor, obracając się ku swemu koledze.

-Ha! - parsknął młodszy mężczyzna.

-Co pan powiedział? - warknął Pendragon.

-Niech nas Bóg ma...

-Nie, Taylor, potem.

Reporter wyszczerzył zęby.

-Że co? O Artystycznym...?

179

-Tak.

-No cóż, marny byłby ze mnie dziennikarz, gdybym nie wiedział, co się dzieje w moim rewirze, nieprawdaż, główny inspektorze Pendragon?

-Skąd pan o tym wie?

-O ostatnim horrorze, który rozegrał się u Świętego

Alojzego? - Taylor dotknął palcem nosa. - Mały ptaszek mi wyćwierkał.

Pendragon odetchnął głęboko.

-Rozumiem - mruknął.

-Zatem jeśli nie ma pan nic przeciwko, Pendragon, Mickey i ja chcielibyśmy usłyszeć najświeższe nowiny i pstryknąć parę fotek do jutrzejszego wydania. Szefowa trzymała nas dotąd na krótkim sznurku, jak dwie szkapki w rui, szczerze mówiąc. Ale teraz, po trzecim morderstwie. .. Moim zdaniem nawet ona się zgodzi, że najwyższy czas opublikować materiał o tym, co się dzieje.

Dokładnie w tym momencie sierżant Turner i inspektor Towers pojawili się w podwójnych drzwiach kościoła. Gdy tylko spostrzegli Taylora i jego towarzysza, ruszyli szefowi na pomoc.

-W samą porę - pochwalił ich Pendragon. - Ci dwaj panowie zamierzają wtargnąć do kościoła. Nie sądzicie, że członkom Rady Parafialnej wcale by się to nie podobało?

-Z całą pewnością, sir - odpowiedział natychmiast

Towers.

-Wobec tego poprosimy ich chyba o zamknięcie drzwi?

Turner obrócił się na pięcie.

-Kiepska decyzja, Pendragon - syknął Fred Taylor. -

Sądziłem, że czegoś się pan nauczył po gorzkich doświadczeniach przeszłości: nigdy nie należy wchodzić w paradę legalnie działającym dziennikarzom.

Pendragon uśmiechnął się doń słodko i odszedł.

180

ROZDZIAŁ 27

-Z inspektorem Pendragonem proszę.

Elegancki akcent natychmiast zdradził tożsamość dzwoniącego.

-Sammy - odpowiedział Jack.

-Drogi chłopcze, mam nadzieję, że zastałem cię w dobrym zdrowiu.

Pendragon uśmiechnął się do siebie.

-Jeśli nie liczyć fatalnego przeziębienia.

-Mam dla ciebie trochę informacji. A niech to...

W słuchawce dał się słyszeć brzęk monet.

-Dzwonisz z automatu?

-Już, już... Tak. Jakoś nie wierzę w komórki. O czym to ja mówiłem?

-Że masz dla mnie informacje. - Inspektor spojrział najpierw w lewo, a potem w prawo, przechodząc przez Buckhurst Street w kierunku Mile End Road.

-Możliwe, że znalazłem to, czego szukałeś. Mam tu

adres.

Rozległ się cichy szelest papieru.

-Dzieje się tam coś podejrzanego? - spytał Pendragon, gdy Sammy odczytał adres.

-Mój informator twierdzi, że od lat nikt nie korzystał
181

z tego miejsca, a w zeszłym tygodniu zostało wynajęte...
tylko na tydzień.

-Na tydzień?

-Tak jest.

-Jakieś nazwiska?

-Jak dotąd żadnych nie ustaliłem. Właścicielem lokalu jest Westbrick and Co. Mają przedstawiciela w Docklands... Sunrise... znajdziesz w książce telefonicznej. Lokal wynajęła firma Rembrandt Industries. To wszystko, co mam.

-Dobra. Dzięki, Sammy. Rozumiem, że to jakiś magazyn?

-Tak sędzę. Przy West India Quay.

-W porządku - mruknął Pendragon. - Znam tę okolicę. Sierżant Turner czekał na Pendragona w holu siedziby firmy Sunrise Properties, londyńskiego przedstawicielstwa Westbrick and Co.

-Czołem, szefie. Jestem tu dopiero od paru minut. Kie-

rownik jest w biurze. - Sierżant zajrzał do notesu. - Niejaki pan Derrickson.

-Znalazł pan jakieś dane o Rembrandt Industries?

-Numer telefonu nie odpowiada. Skrzynka e-mailowa także nieczynna.

-A co z bankami? Były jakieś przelewy?

-Przez pośredników: firmy o nazwie Gwasz oraz Cubist and Co.

-Bardzo śmieszne - mruknął Pendragon. - Zdaje się, że nasz morderca zabawia się z nami. Mamy coś na tych cholernych pośredników? - spytał z goryczą.

-Niestety nie, sir. Numery i skrzynki e-mailowe są martwe. Transakcje realizował oddział Lloydsa w Reading. Rachunki już zamknięte, rzecz jasna.

182

-I naturalnie ani śladu człowieka, który je otwierał i zamykał?

W tym momencie w korytarzu przed nimi pojawił się wysoki, łysy mężczyzna po trzydziestce. Sekretarka skinęła głową ku dwóm policjantom, a wtedy mężczyzna podszedł do nich z wyciągniętą ręką i poważnym, choć nie nieprzyjaznym wyrazem twarzy.

Biuro Derricksona było ultranowoczesne i urządzone

w minimalistycznym stylu. Na biurku ze szkła i metalu stał Mac, a obok leżały telefon i notatnik.

-Czym mogę panom służyć?

-Chcielibyśmy uzyskać dostęp do jednej z państwa nieruchomości.

-Rozumiem.

-Knox Lane 17A, West India Quay. Podobno została wynajęta tylko na tydzień. Według naszych informacji wizyta w tym lokalu może pomóc w śledztwie kryminalnym, które prowadzimy.

-W porządku - odpowiedział Derrickson, wyraźnie zadowolony. Nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze i uniósł głowę. - Zgadza się. Rembrandt Industries.

-Chyba nieczęsto się zdarza, by firma wynajmowała magazyn na tak krótki czas?

-To prawda, inspektorze, ale ten klient zaproponował zapłatę za trzy miesiące. Zdumiewające, że pan się tak orientuje - dodał Derrickson, patrząc Pendragonowi prosto w oczy.

Jack zignorował tę uwagę i spojrzał najpierw na Turnera, a potem na kierownika oddziału.

-Wszystkie tropy firmy, która wynajęła ten lokal, zostały zatarte - powiedział. - Nawet konto zostało zamknięte,

gdy tylko dokonano przelewu na wasz rachunek.

Derrickson wyglądał na zaskoczonego.

183

-To dziwne.

-Jak pan widzi, mamy podstawy do podejrzeń.

-Jaką właściwie sprawę pan prowadzi, inspektorze?

-Obawiam się, że jej szczegóły są tajne, ale mogę zdradzić, że chodzi o morderstwo.

Derrickson skinął głową.

-Zatem w jaki sposób możemy pomóc?

-Chcemy odwiedzić ten magazyn.

-To delikatna sprawa, klient zapłacił z góry...

-Ale poinformował, że opuści lokal po tygodniu.

-Mimo to...

-W porządku, panie Derrickson, może wyjaśnię, jakie mamy opcje. Albo zezwoli nam pan na niczym nieograniczony dostęp i załatwimy sprawę po cichu, albo wrócę tu za sześćdziesiąt minut z nakazem przeszukania, włączonymi kogutami i wyciem policyjnych syren, żeby sąsiedzi mieli na co popatrzeć. Decyzja należy do pana.

Derrickson splótł palce i zapatrzył się na lśniący blat swego biurka. Po chwili rozłożył ręce.

-Zgoda - rzekł krótko i sięgnął po telefon.

Wiktoriańska hala przy West India Quay była zwrócona frontem do kanału portowego, a stała w długim rzędzie bardzo podobnych budynków. Każdy z nich służył jako średnioterminowy magazyn dla importerów. W fasadzie, zbudowanej z surowej cegły i całkiem niedawno starannie odrestaurowanej, nie było ani jednego okna. Po jednej stronie znajdowała się szeroka brama roletowa, przez którą swobodnie mógł wjechać autobus. Po drugiej umieszczono znacznie mniejsze drzwi z zamkiem cyfrowym.

Wszedłszy do środka, Pendragon włączył światło. Żarówki zamigotały niepewnie, zanim wypełniły mocnym, 184

żółtawym światłem przestronną, wysoką halę o kwadratowym kształcie. Za posadzkę służył nagi beton, ściany też były zupełnie surowe, bez żadnych ozdób. Budynek był w istocie gigantycznym pudłem na towary i tylko jedno zdawało się nie pasować do tej funkcji: zestaw ciężkich maszyn stojący pośrodku. Pendragon i Turner od razu ruszyli w jego stronę. Każdy ich krok niósł się echem w pustej przestrzeni.

- Fascynujące - skomentował inspektor, gdy zatrzymali się kilkadziesiąt centymetrów przed wielką prasą do metalu. Obok niej stał elektryczny walec. W mocnym blasku

lamp na posadzce widać było ślady krwi i drobiny szarej materii.

Uważnie obejrzeni obie maszyny. Prasa była wysoka na dwa metry i szeroka na metr. Główną jej częścią była stalowa płyta oparta na trzech masywnych metalowych stopach, z kwadratowym otworem o boku długości sześćdziesięciu centymetrów. Mniej więcej trzydzieści centymetrów nad nim zawieszony był stalowy walec o średnicy dobrych dwunastu centymetrów, służący jako punktak. Pendragon przekrzywił głowę, by obejrzeć go od spodu, i zauważył ślady zakrzepłej krwi.

Walec był supernowoczesną maszyną. Miał skrzynię biegów z trzema biegami do przodu oraz jednym wstecznym, potężny stalowy wał w przedniej części oraz dobrze amortyzowane siedzenie dla kierowcy. Tuż obok, między walcem a prasą, stało na podłodze pudło z narzędziami: wiertarką, elektrycznymi nożycami do żywopłotów, kompletem brzeszczotów, zwojami drutu, ściskami stolarskimi oraz taśmą izolacyjną.

Dwaj policjanci przystanęli po drugiej stronie walca, bez słowa wpatrując się w podłogę. Czerwone i szare ślady ciągnęły się na trzy metry - od maszyny w stronę tyl-

nej ściany magazynu. Upiorny trop miał może ze dwa metry szerokości. Pendragon przykucnął przy jego skraju, by przyrzeć się bliżej. Teraz widział dokładnie niewielkie grudki mięsistej materii.

- Istna komnata strachów - zauważył, podnosząc się. - Doktor Newman spędzi dziś dzień w terenie, ale założę się, że nie znajdzie tu ani jednego odcisku palca i ani jednej próbki DNA sprawcy.

ROZDZIAŁ 28

Stepney, poniedziałek, 26 stycznia, 9.05

-Co może mi pan powiedzieć o morderstwie ojca Michaela O'Leary'ego? - spytał Pendragon, spoglądając na wykrzywioną twarz martwego księdza, spoczywającego na stole w laboratorium Neila Jonesa.

-Wierna kopia pierwszych dwóch - odparł patolog. - Przynajmniej jeśli chodzi o przyczynę śmierci. Igła wprowadzona prosto do mózgu i solidna dawka heroiny. Choć oczywiście zabawa, która nastąpiła później, przebiegała inaczej. Powieki umocowane taśmą, plastikowa kula w ustach - ciągnął Jones, unosząc w dłoni przedmiot wyjęty spomiędzy szczęk zmarłego. - Bardzo to wszystko teatralne, jeśli chce pan znać moje zdanie, Pendragon.

-Jakieś inne ślady na ciele?

-Nie. Wydaje się, że na dobry początek sprawca oszołomił O'Leary'ego gazem. Znalazłem wokół oczu ślady podstawowego składnika, trimirystyny.

-Powie nam pan coś o kondycji ofiary? - spytał Turner.

-Poza tym, że jest martwa?

Pendragon westchnął, a Jones uśmiechnął się do niego.

-Jack, wyluzuj - powiedział zaskakująco nieoficjalnie. - Humor nic nie kosztuje.

187

Pendragon spojrział na czubki swoich butów, a potem na Turnera.

-W jakim stanie był O'Leary, zanim został zamordowany?

-Typowy sześćdziesięcioletek. Trochę zużyta wątroba; najwyraźniej lubił się napić. Brak szczególnej nadywagi. Ani śladu poważnych urazów, ani dawnych, ani świeżych. Odrobina reumatyzmu. A skąd to pytanie?

-Próbujemy ustalić, kim naprawdę jest... był ojciec O'Leary. Jakoś nie pasuje do poprzednich dwu ofiar, a jednak musi być między nimi wszystkimi jakiś związek, przez wzgląd na tę teatralność, o której pan mówił.

-Obawiam się, że nie wyjaśnię tej zagadki, Pendragon.

Ale wyślę swój raport do Lambeth i wierzę, że doktor Newman odwdzięczy się tym samym. Współpraca z nią to nader przyjemne doświadczenie.

Pendragon nieznacznie uniósł brwi. Turner właśnie zamykał notes, Jones obchodził dookoła swój laboratoryjny stół.

-Hej, sierżancie - odezwał się niespodziewanie patolog. - Zagadka dla pana.

Turner przekrzywił głowę i spojrzał na niego zaciękwiony.

-Ilu surrealistów potrzeba, żeby wymienić żarówkę? Sierżant wzruszył ramionami.

-Ryba.

-Co takiego? - zdumiał się Turner i spojrzał pytająco na Pendragona, który zmierzał już w stronę drzwi, nie mogąc się powstrzymać od szerokiego uśmiechu.

ROZDZIAŁ 29

Stepney, poniedziałek, 26 stycznia, 12.10

Pendragon słyszał wiele o starej tradycji hucznych pogrzebów w East Endzie, ale nigdy nie był świadkiem żadnego z nich. Gdy jako dziecko mieszkał w Stepney, był zbyt mały, by uczestniczyć w takich wydarzeniach. Jego wuj Stanley zmarł, gdy Jack miał siedem lat - kazano mu wte-

dy zostać w domu, pod opieką dalekiego kuzyna. Wciąż jednak pamiętał swoistą pantomimę towarzyszącą tej okazji; poczucie czegoś wielkiego, czego jeszcze nie rozumiał i przed czym starali się go obronić zrozpaczeni dorośli.

Wuj Stanley był filarem miejscowej społeczności; kochali go dosłownie wszyscy. Był Perłowym Królem roku 1953*.

Ale wszystko to wydarzyło się tyle lat temu, w zupełnie innym East Endzie, myślał Pendragon, idąc na mszę za Kingsleya Berricka. Wielki show przygotowany dla zmarłego handlarza obrazami wydał mu się kompletnie nie na miejscu. Berrick niewątpliwie był barwną postacią - uwielbiał imprezować i zarabiać pieniądze; zdaniem niektórych

* Sięgająca końca XIX wieku tradycja londyńskiego ludu pracują-

cego. Wzorem pierwszego Perłowego Króla, Henry'ego Crofta, osoby

przebrane w stroje ozdobione niezliczonymi perłowymi guzikami -

by zwrócić na siebie uwagę - zbierają pieniądze na cele charytatywne

(przyp. tłum.).

189

był też miłośnikiem sztuki. Przede wszystkim jednak wydawało się, że najbardziej kochał własny wizerunek, a widać

to było jak na dłoni w sposobie, w jaki zaplanował własne pożegnanie ze światem.

Prawdą było jednak to, co wynikało z akt sprawy: Ber-
rick urodził się w Surrey i przyjechał do East Endu, dopiero
gdy otwierał galerię, pod koniec lat osiemdziesiątych - naj-
pierw w Shoreditch, a potem w Whitechapel. Miał w sobie
mniej więcej tyle ducha cockneyu, ile Liberace - a jednak
teraz spoczywał w nedorzecznie ozdobnej trumnie, oto-
czony kwiatami ułożonymi w litery jego imienia. Przed
kościółem czekał już karawan zaprzężony w dwie czarne
szkapy z pióropuszcami na łbach, a także sześciu zawodo-
wych żałobników do niesienia trumny, ubranych jednako-
wo w czarne cylindry i fraki.

Msza była długa, swoje mowy przygotowała bowiem
cała plejada luminarzy brytyjskiej sceny artystycznej. Ostat-
nią elegię wygłosił Jackson Price, zapewniając zebranych
między innymi o tym, że jego zmarły przyjaciel był jednym
z najbardziej wpływowych ludzi w swojej branży.

Pendragon wmieszał się w tłum wychodzący ze świą-
tyni na Clyde Street, opodal Whitechapel Road. Większość
śniegu z poprzedniego tygodnia zmieniła się już w błoto,
ale teraz, w poniedziałkowe popołudnie, znowu zaczęło
padać: wielkie, kosmate płatki opadały z wdziękiem z oło-

wianego nieba, lądując na dachach samochodów i okolicznych domów.

Pendragon właśnie miał zejść po schodkach na chodnik, gdy poczuł dotknięcie na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał wysoką kobietę w sztucznym futrze sięgającym kostek i futrzanej czapce w stylu rosyjskim. Miała pięknie ukształtowane kości policzkowe i wielkie, brązowe oczy. Jej karmazynowe usta były wydatne i lekko rozchylone w delikatnym uśmiechu.

Dłoń okryta rękawiczką wyciągnęła w stronę Pendragona, który najpierw spojrzał na twarz, potem na rękę i wtedy dopiero przypomniał sobie, skąd zna tę kobietę: widział ją na filmie z prywatnego wernisazu u Berricka i Price'a, zarejestrowanym na krótko przed pierwszym morderstwem.

-Główny inspektor Pendragon? - spytała.

-Panna Locke.

Kobieta uśmiechnęła się nieco szerzej.

-Jaki pan uprzejmy. Proszę mi mówić Gemma. Widziałam pańskie zdjęcie w gazecie - dodała tytułem wyjaśnienia, widząc jego pytające spojrzenie. - Spektakularna impreza, nieprawdaż? - spytała po chwili, rozglądając się dokoła. - Oto i cały Kingsley. Wieczny showman. Zawsze

w centrum uwagi, nawet po śmierci.

-Dobrze go znałaś, Gemmo?

-Powiedzmy, że od bardzo dawna, ale nie powiedziała-
bym, że byliśmy najlepszymi kumplami. - Znowu umilkła
i rozejrzała się raz jeszcze. Para w średnim wieku przecis-
nęła się obok nich, by dołączyć do żałobników na chodni-
ku. - Czytałam artykuł w lokalnym szmatławcu, inspekto-
rze. Większość z tego, co tam napisano, przyjął z dużą
rezerwą, lecz mimo to... Mam wrażenie, że pracujecie nad
niebanalną zagadką. To przecież trzy morderstwa, połączo-
ne dziwacznym wątkiem sztuki.

Pendragon znowu spojrzał na jej twarz i nagle uświado-
mił sobie, że Gemma Locke nie jest jedynie urodziwa jak
wiele innych kobiet na pierwszy rzut oka. Była rzadkiego
rodzaju pięknnością, niemal zbyt doskonałą, by ująć to w sło-
wa; jej twarz nie tylko była owocem nader szczęśliwej kom-
binacji genów, ale także promieniała życiem, wewnętrznym
blaskiem i energią. Tylko kilka razy w życiu widział takie
kobiety, niemal zawsze w filmach. Przyszło mu na myśl,

191

że Gemma Locke jest uderzająco podobna do Greta Gar-
bo z jej najlepszych lat. Zaraz potem zdał sobie sprawę, że
milczy już od dłuższej chwili, a Gemma przypatruje mu

się z lekkim uśmieszkiem, jakby jego widok budził w niej niepojętą wesołość.

-Przepraszam - bąknął. - Tak, istotnie pracujemy nad niełatwą zagadką. Nie czytałem artykułu, ale mam wrażenie, że gruba przesada jest w tej gazecie standardowym środkiem wyrazu. Wczoraj wydaliśmy oficjalne oświadczenie, ujawniając tyle szczegółów, ile w tym momencie uważamy za stosowne. „Gazette” najwyraźniej wykorzystła te dane, zwłaszcza na temat ostatniego zgonu. Mówię o morderstwie księdza.

-Z przyjemnością pomogę, jeśli pojawią się jakieś pytania z dziedziny sztuki. Zrobię wszystko, żeby pomóc w schwytaniu mordercy moich przyjaciół.

Pendragon dał się zaskoczyć, ale już po sekundzie zerknął na zegarek.

-Może dziś po południu? - zaproponował. - Powiedzmy o drugiej?

W tym momencie karawan ruszył w kierunku odległego o dwieście metrów cmentarza.

-Zna pan „Alberto's” przy Pandora Lane, niedaleko Stepney Green?

-Znajdę - odpowiedział Pendragon. Jeszcze przez chwilę przyglądał się, jak smukła artystka ostrożnie schodzi po

stopniach ku tłumowi żałobników.

-Byłam w okropnym szoku - powiedziała Gemma, patrząc Pendragonowi prosto w oczy i unosząc do ust filiżankę kawy. Upiła mały łyk i odstawiła ją na spodek. - Jak my wszyscy zresztą. Kingsley bywał świnią... twardym

192

negocjatorem. Czasem żałowałam, że nie jest moim agentem - dodała ze śmiechem. - Ale w głębi duszy był miłym facetem, całkowicie oddanym sprawie sztuki.

-Inni też tak twierdzą - odparł inspektor. - Choć sły-
szałem i przeciwne opinie.

-O nie, chyba nie od Francisa?

Pendragon skinął głową i uniósł do ust swoją filiżankę.

-Przypuszczam, że znalazł się wysoko na liście podej-
rzanych?

-Owszem. Sprowadziliśmy go nawet na dłuższe prze-
słuchanie, ale ma znakomite alibi.

-To jeszcze dzieciak, inspektorze. Tacy ludzie nikogo
nie zabijają, a już na pewno nie w taki sposób.

-Gemmo, czy mogłabyś mi zdradzić kilka bardziej
szczegółowych informacji na temat Berricka i Thurska?

-Spróbuję.

-Czy wiedziałaś, że pan Berrick miał kontakty z pół-

światkiem?

Gemma Locke była wyraźnie zdziwiona i już chciała coś powiedzieć, ale nagle zmieniła zdanie. Przez chwilę milczała, a potem odrzekła:

-Nie wiedziałam, ale teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, chyba nie jest to aż tak zaskakujące.

-Nie jest?

-Nie. Myślę, że na pewnym poziomie świat handlarzy dzieł sztuki i świat gangsterów są sobie dość bliskie. Pewnie zdziwiłby się pan, gdyby wiedział, jakie szemrane historie dzieją się czasem w naszym środowisku.

-Zatem oświeć mnie.

-Ach, nie umiem podać precyzyjnych danych czy liczb, inspektorze - odpowiedziała ze śmiechem Gemma i znowu napiła się kawy. - Jestem malarką. O Boże, ależ to pretensjonalnie brzmi, prawda?

193

Tym razem zaśmiał się Pendragon.

-Nie bardzo. Przecież jesteś malarką - odparł i upił ostatni łyk kawy.

-Po prostu czasem zasłyszę gdzieś jakieś opowieści.

Jak my wszyscy. Mam wrażenie, że trzeba mieć specyficzną osobowość, żeby handlować dziełami sztuki. To trudna

działka; mętne wody pełne rekinów.

-Wyobrażam sobie. - Pendragon ruchem głowy wskazał na jej filiżankę. - Jeszcze jedną? - Przywołał kelnerkę, by zamówić dwie kawy. - A co z Noelem Thurskiem? Czy poza oczywistymi kontaktami między nim a Berrickiem coś jeszcze mogło ich łączyć?

-A cóż to za kontakty nazywa pan oczywistymi, inspektorze?

-Posłuchaj, jeśli mam do ciebie mówić Gemmo...

-To ja do ciebie Jack? - odrzekła ze śmiechem, a Pendragon skinął głową i, ku swemu zdziwieniu, posłał jej z lekka zalotny uśmiech. W tej samej sekundzie poczuł się jak idiota, ale miał wrażenie, że ona niczego nie zauważyła. - Noel i Kingsley znali się od bardzo dawna i od czasu do czasu bywali kochankami. Gdybym jednak próbowała połączyć się w labiryncie gejowskich relacji seksualnych, pewnie szybko straciłabym orientację. Wiem, że często się kłócili, ale przecież nic w tym dziwnego. Gdy widziałam ich po raz ostatni, byli na przyjacielskiej stopie... - Urwała nagle, jakby teraz dopiero przypomniała sobie, że obaj nie żyją.

-A czy kłócili się na temat książki, którą ponoć pisał Thursk?

Gemma spojrzała na Jacka przenikliwie.

-Jakiej książki?

Tym razem Pendragon nieco się zdziwił. Wcześniej przyjął założenie, że wszyscy znajomi Thurska wiedzą o jego pracy.

194

-Tej, którą zamierzał poświęcić historii Juliette Kinnear.

-Ach, tej! - Gemma lekceważąco potrząsnęła głową. -

Całkiem o niej zapomniałam. Chyba podobnie jak Noel, święć, Panie, nad jego duszą. To raczej żart niż poważna praca, nieprawdaż?

Pendragon wzruszył ramionami.

-Ty mi to powiedz.

Kelnerka przyniosła kawę ze śmietanką i Gemma Locke pochyliła się, by delikatnie dmuchnąć na jasną piankę.

-Zaczęło się ładnych parę lat temu - powiedziała. -

Przepytywał każdego. Z pełną powagą. Nie przestawał gadać o tym, jaką fantastyczną umowę podpisał. Ale potem nagle wszyscy stracili zainteresowanie tematem, a zwłaszcza sam Noel. Dlatego pomyślałam, że po cichu wycofał się z projektu. - Zamieszała kawę i uniosła filiżankę kilka centymetrów ponad spodek. - Tak czy inaczej, Jack, spodziewałam się raczej pytań natury technicznej.

-Tak - odrzekł Pendragon - chętnie przepytałbym cię

gruntownie, dowiedział się co nieco o współczesnej sztuce brytyjskiej. Tylko jakoś nie jestem przekonany, czy tym sposobem choć trochę zbliżę się do zabójcy.

-Przecież teraz, po trzecim morderstwie, mocny związek między sprawami wydaje się oczywisty.

-To prawda, ale nie mniej oczywisty był już w chwili, gdy znaleziono zwłoki Thurska. Nie sądzę, byśmy uzyskali informacje na temat tożsamości sprawcy, analizując dobór dzieł sztuki, które go inspirowały, czy osobowości poszczególnych twórców. Wiemy tylko, że to współcześni artyści. I że wszystkich - Magritte'a, Dalego i Bacona - można by dość ogólnie nazwać surrealistami. Czyż nie?

-Owszem, ale z drugiej strony, wszystkie inscenizacje były dość krwawe - nie wszyscy współcześni artyści tworzą tak mocne dzieła. Wiele jest prac znacznie spokojniejszych.

195

-Które nie nadawałyby się na materiał wyjściowy dla naszego mordercy.

-Może to dopiero początki jego działalności?

-Boże! Nawet tak nie mów! - zawołał Pendragon.

-Przepraszam. To było gruboskórne z mojej strony. Ja tylko...

-Co takiego?

-Zastanawia mnie brutalność tego zabójcy. Mam przecucie, że kimkolwiek jest, motywuje go jakaś głęboko zakorzeniona wściekłość. Wykonanie scen opisanych w gazecie wymagało niewątpliwie ogromnego wysiłku. Morderca albo działa niesiony maniakałnym pragnieniem zemsty i nienawiścią, albo chce się pokazać przez swoje dzieła.

-Popisuje się?

-Tak sędzę.

-Sugerujesz więc, że bez względu na to, jaka jest jego motywacja, jeszcze nie zakończył swojego występu - podsumował posepnie Pendragon. Wychylił duszkiem filiżankę kawy i odstawił ją na bok. Skinął na kelnerkę, by poprosić o rachunek, i zaczął szukać pieniędzy po kieszeniach.

-Może ja? - spytała Gemma.

-Absolutnie. Udzielasz policji cennych informacji, więc ja stawiam.

Roześmiała się.

-Skoro tak to ujmujesz... - Umilkła znowu, jakby wzięła w sobie decyzję, czy powinna powiedzieć coś jeszcze.

-No, co tam?

-Może w takim razie mały rewanż?

Pendragon spojrział na nią pytająco.

-Mam dwa bilety na koncert. Dziś wieczorem w Bar-

bicanie.

Pendragon nie był w stanie zamaskować zaskoczenia.

-Cóż... zgoda - wydukał.

196

-A nie chcesz wiedzieć, czego będziemy słuchać? - spytała ze śmiechem Gemma.

-Może i tak.

-To będzie koncert thereminowy.

-Ooo. Brzmi ciekawie.

Spojrzała na niego sceptycznie, przechylając głowę na bok.

-Nie, naprawdę - zapewnił ją czym prędzej Pendragon. - Lubię przeróżne rodzaje muzyki. A theremin to... niezwykle instrument.

Gemma klasnęła w dłoń.

-Nigdy nie wiem, kiedy mogę ci wierzyć - powiedziała. -I bardzo mi się to podoba. W porządku, zatem spotykamy się koło siódmej trzydzieści? Wpadnę po ciebie, jeśli dasz mi adres.

-Dobry pomysł.

ROZDZIAŁ 30

Pendragon patrzył w przestrzeń, balansując na odchylnym do tyłu krześle i trzymając stopy na biurku. Moż-

na było odnieść wrażenie, że wspomina udane wakacje albo przywołuje inne radosne wydarzenia z przeszłości, ale w rzeczywistości analizował fakty dotyczące sprawy, nad którą pracował. Nawet jeśli była pełna nader nieapetycznych detali, dla niego intelektualny wysiłek był przyjemnym ćwiczeniem. Naturalnie pragnął jak najszybciej rozwiązać zagadkę - choćby dlatego, że superintendent Hughes siedziała mu na karku, na nią zaś naciskał z góry komandor Ferguson, ale przede wszystkim dlatego, że uwielbiał to robić; w końcu właśnie z tej przyczyny zdecydował się kiedyś na karierę w policji. Cała przyjemność w jego pracy kryła się właśnie w tym: w ćwiczeniu intelektu, w pościgu za sprytnym przestępcą. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że ta sprawa zaczyna być - delikatnie mówiąc - frustrująca.

Trzy morderstwa, każde niewiarygodnie zorganizowane. .. Jeszcze nigdy nie spotkał się z tak niezwykłymi przypadkami. Wbrew temu, co mówił Gemmie Locke o doborze obrazów, nie mógł odpędzić od siebie myśli, że w układzie martwych ciał zawarte jest jakieś przesłanie. Dlaczego ktoś

198

zadawał sobie tyle trudu? Odpowiedź na to pytanie wydawała się kluczem do rozwiązania sprawy Tymczasem jed-

nak miał tylko strzępy danych, pojedyncze kawałki układanki, której większość pozostawała jeszcze w ukryciu. Wydawało się nawet, że rozwiązanie staje się z każdym dniem coraz bardziej odległe. Pierwsze dwa morderstwa łączyło coś więcej niż niezwykła, krwawa forma. Ofiary znały się dobrze, a nawet bardzo blisko. Wydawało się możliwe, że morderstwa mogą być powiązane z owymi intymnymi relacjami, łączącymi dość wąską grupę artystów i marszandów z East Endu. Ale kolejne fakty były już niczym mocno podkreślone piłki. Po pierwsze, Kingsley Berrick miał kontakty z gangami. Po drugie, trzecią ofiarą został Michael O'Leary, ksiądz najwyraźniej w żaden sposób niezwiązany ze środowiskiem artystów.

Pendragon odsunął krzesło i postawił stopy na podłodze. Pochyliwszy się, wybrał numer miejscowego pubu Duke of Norfolk. Był to ulubiony lokal Sammy'ego Samsona i przez większość dnia właśnie tam można było go zastać. Jack połączył się z właścicielem, Dennyem Western, który zawsze traktował go życzliwie, i już po paru chwilach słuchawka trafiła w ręce Sammy'ego.

-Jack, mój chłopcze, czym mogę ci służyć?

-Mógłbyś jeszcze trochę powęszyć, Sammy. Masz ochotę?

-Zawsze chętnie pomogę.

-To dobrze. Szukam wszelkich informacji na temat firmy zwanej Rembrandt Industries... Tak, pewnie od tego malarza... To ona wynajęła ten magazyn przy West India Quay, pamiętasz? Moi ludzie robią, co mogą, ale pomyślałem, że może ty prędzej usłyszysz coś na temat tej firmy.

-Niestety, dotychczas nie słyszałem, drogi chłopcze.

Ale to się może zmienić... jeśli ktokolwiek będzie miał coś

199

do powiedzenia na jej temat. Co konkretnie chciałbyś wiedzieć?

-Wydaje się, że firma działa w ukryciu. Bardzo mnie ciekawi, czy któryś z twoich znajomych miał z nią do czynienia. Wszystko jedno w jakiej formie.

-W porządku, zajmę się tym.

Pendragon odłożył słuchawkę, ale zaraz sięgnął po nią ponownie, by zadzwonić do Colette Newman w laboratorium kryminalistycznym Lambeth.

-Pan inspektor? - zdziwiła się, słysząc jego głos. - Zdaje się, że utrzymujemy łączność telepatyczną. Właśnie miałam do pana dzwonić.

-Tak?

-Znaleźliśmy coś, co może pana bardzo zainteresować.

-Ślady DNA?

-A mógłby pan przyjechać?

-Jasne. Już wkładam płaszcz.

Pendragon ruszył korytarzem w stronę wyjścia. Otaczała go cisza i teraz dopiero uświadomił sobie, że stracił poczucie czasu. Spojrzawszy na zegarek, zdziwił się, że jest dopiero piąta. Skinął głową Terry'emu Vickersowi, który dyżurował przy drzwiach wejściowych, a potem wyszedł na przedwieczorny chłód. Ruch uliczny był już dość intensywny, ale Pendragon czuł dziwny spokój, prowadząc wóz po zalanych błotem ulicach. Cieszył się samotnością; chwilami miał dość nawet dyskretnej obecności Turnera. Zawsze był raczej skrytym człowiekiem, a czasem wręcz zdeklarowanym samotnikiem. Lubił własne towarzystwo, a przecież w ciągu ostatnich sześciu miesięcy miał tyle pracy, że jedynie w takich chwilach jak ta docierało do niego, jak klaustrofobiczne i intensywne życie prowadzi w londyńskiej metropolii. Czuł wtedy niemal fizyczną presję otaczających go ludzi.

200

W Oksfordzie także nie brakowało ciężkiej pracy, ale nigdy nie była ona aż tak intensywna. Nie był wtedy świadomy, że jest już gotów na wielką zmianę w życiu. Gdy

Jean odeszła, co diametralnie zmieniło jego sytuację, o dziwo potrafił czerpać z tego zdarzenia ogromną energię. To wtedy zdecydował się na krok, który powinien był uczynić znacznie wcześniej.

Wciąż jeszcze nie do końca rozumiał przyczynę powrotu do miejsca urodzenia. W wymiarze intelektualnym odpowiedź była prosta - próbował odzyskać zapamiętane w dzieciństwie poczucie bezpieczeństwa; miał nadzieję na powrót do prostszych, bardziej niewinnych czasów. Lecz w wymiarze emocjonalnym sprawa wydawała się bardziej skomplikowana. Był zbyt wielkim racjonalistą, by zaakceptować tę myśl. Potrafił dostrzec słabość emocjonalną u innych, ale nie był w stanie uwierzyć, że sam może nią być skażony.

Uliczne latarnie przesuwały się za oknami wozu, a błoto pośniegowe szurało i bębniło o podwozie. Z daleka dało się słyszeć wycie syren; gdzieś w bocznej uliczce mignęły błyskające światła karetki. Zanim dojechał do laboratorium przy Lambeth Road, ogarnął go spokój godny mistrza zen, jakiego nie doświadczył od lat.

- Inspektorze - powiedziała doktor Newman, gdy otworzyła drzwi swego gabinetu. Zaprosiła go do środka, wskazała miejsce na krześle i wręczyła wydruk. Siadając, pró-

bował zrozumieć coś z danych, które otrzymał. Colette Newman przysiadła tymczasem na skraju biurka. Miała na sobie rozpięty kitel laboratoryjny, a pod spodem, jak
zawsze,

spódnicę sięgającą kolan oraz jasną bluzkę. - Znaleźliśmy włókna bawełny pokrytej woskiem oraz okruchy farby. Pasują do żurawia wysięgnikowego - obwieściła. - Poza tym próbki krwi i tkanek dwóch ofiar, Berricka i Thurska też
201

mają swoje odpowiedniki. Ale najciekawszy jest ten odczyt. - Newman podała Pendragonowi pojedynczą kartkę, która leżała dotychczas na biurku. - Na podłodze, w pobliżu prasy do metalu, znaleźliśmy pół tuzina włosów - powiedziała, przechodząc od razu do konkretów. - Długie, jasne, z pewnością nie należały do żadnej z trzech ofiar. Nie było łatwo wyodrębnić z nich dobrą próbkę DNA, ale wreszcie się udało.

-Zatem możemy tylko mieć nadzieję, że uda się jeszcze dopasować ją do którejś z próbek z krajowej bazy danych.

-Już to zrobiliśmy.

-Co?! - zdumiał się Pendragon. Po chwili pokręcił głową. - Fantastycznie.

-W pewnym sensie - zgodziła się bez entuzjazmu doktor Newman, po czym napisała coś na klawiaturze i obróciła monitor tak, by oboje go widzieli. - Tutaj - dodała, wskazując palcem punkt na ekranie. - Mamy dziesięć zgodnych markerów łączących próbkę włosa z magazynu z osobą figurującą w bazie danych pod numerem 3464858r.

-To chyba dość precyzyjne dopasowanie, nieprawdaż?

-Nawet bardzo. Nie ma wątpliwości, że włos należał do tej osoby. Problemem jest literka „r” na końcu numeru. Tak oznaczane są dane zastrzeżone.

-Ach tak.

-Właśnie. Oczywiście natychmiast zwróciłam się do administratorów bazy, ale odrzucono moją prośbę. Wydaje się, że istnieją różne poziomy znaczników „r”. Najwyższy poziom przysługuje politykom, urzędnikom najwyższego szczebla oraz generalicji. Zanim jednak doprecyzowano reguły pod koniec lat dziewięćdziesiątych, taki sam poziom prywatności zapewniano co bardziej zamożnym osobom prywatnym.

202

Doktor Newman w porę spostrzegła rozczarowanie malujące się na twarzy Pendragona.

-Jednakże - dodała czym prędzej, unosząc brwi - ja na-

leżę do osób nieustępliwych. Skontaktowałam się z kolegą z Cambridge, który ma uprawnienia przysługujące urzędnikom cywilnym trzeciego stopnia, a na dodatek jest mi winien przysługę. W ciągu półgodziny uzyskał dane osobowe, których potrzebujemy.

Pendragon odetchnął głośno.

-No dobrze. Zatem kto to jest?

-Była pacjentka szpitala psychiatrycznego Riverwell w Essex.

-Była? Zatem kiedy wyszła?

-To zależy, co rozumiemy pod pojęciem „wyszła”, inspektorze. Obywatelka 3464858r zmarła w 1996 roku. Nazywała się... - doktor Newman przerzuciła trzy kartki notatek leżących na biurku - ..Juliette Kinnear.

ROZDZIAŁ 31

Do pani Soni Thomson

14 października 1888 r.

Muszę przyznać, droga pani, że twój mąż Archibald zawsze starał się, jak mógł, by być znakomitym kompanem. Mam też wrażenie, że polubił mnie od pierwszej chwili. Opowiedział mi o sobie wszystko to, co zapewne nie jest dla ciebie nowiną: że wychował się w Shropshire, w rodzinie należącej do klasy średniej, że studiował an-

gielski w Cambridge i że wcześniej rozpoczął flirt ze światem dziennikarstwa. Opisał także to, jak w czterdziestym roku życia został naczelnym redaktorem „Daily Tribune”, a potem - trzy lata temu - podjął brzemienną w skutki decyzję o założeniu własnej gazety, „Clariona”, do spółki z bajecznie zamożnym lordem Melbourne.

- Mam taką wizję, Harry, że wciągam świat gazet codziennych w erę nowoczesności. Zdaje mi się, że dziennikarstwo powinno być mocniejsze, bardziej dosłowne. Cudownie byłoby wykorzystywać fotografie, gdyby tylko nie była tak piekielnie skomplikowanym i kosztownym rzemiosłem - powiedział mi owego pierwszego wieczoru, gdy się spotkaliśmy przy obiecany mi drinku w podrzędym pubie zwanym Duke of Lancaster.

Musisz wiedzieć, pani, że specjalnie dla niego wysmażyłem całkiem ciekawą historyjkę. Powiedziałem miano-

204

wicie, że nazywam się Harry Tumbril — wybacz tę odrobinę czarnego humoru, działałem pod wpływem chwili. Jako Harry byłem artystą z południowego Londynu; rzekomo niedawno powróciłem z Francji, gdzie zauroczyłem Paryż. Chwilowo mieszkalem w Whitechapel, realizując szkic do obrazu zamówionego przez moją angiel-

ską rodzinę, obecnie mieszkającą w Lyonie. Zmyślałem na poczekaniu, a słowa same pojawiały się w mojej głowie. Skoro Archibald nie zakwestionował żadnego z nich, to dlaczego ja miałbym to robić?

-Mógłbym obejrzeć twoje rysunki? - spytał.

Podąłem mu szkicownik pełen rycin przedstawiających skąpo ubrane prostytutki i muzykantów. Przejrzał je uważnie, przerywając tylko na chwilę, by zamówić nową kolejkę drinków.

-Doskonale - rzekł z wolna, nie odrywając oczu od kolejnego obrazka. Wreszcie uniósł głowę i dodał: - Jesteś bardzo utalentowany.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową w podziękowaniu.

-Mógłbyś na tym nieźle zarobić, Harry. Mam dobre kontakty w niezbyt świątobliwych domach wydawniczych.

Wyjąłem mój szkicownik z jego dłoni.

-Nie, dziękuję - odrzekłem krótko.

-Ale pamiętaj o tym, jeśli kiedy zmienisz zdanie.

Popatrzyłem na niego z ukosa i przyznam, że wtedy po raz pierwszy przyjrzałem mu się naprawdę dokładnie. Naturalnie nie ma potrzeby, bym ci go opisywał, ale teraz, gdy o nim piszę, widzę go tak wyraźnie jak tamtej nocy,

gdyśmy zawarli znajomość. Archibald był potężnie zbudowany, czyż nie? Nie tyle tłusty, ile mięsisty. Miał wielką głowę, szopę siwo-brązowych loków, rumiane policzki i te oczy, które nazwałem kiedyś psimi. Nosił całkiem

205

zwyczajne ubranie, bardzo stosowne na wyprawę w rejon Gulaszu, a po naszej efektownej ucieczce z Pawu — nieco przybrudzone. Zgubił gdzieś kapelusz, a ramiona marynarki pokrywała warstwa kurzu.

Niemal od razu nabrałem przeświadczenia, że Archibald, podobnie jak ja, ma w sobie coś z aktora. Nie dorównywał mi rzecz jasna kunsztem, ale bez wątpienia prowadził podwójne życie. Jak już wspominałem, droga pani, ty dostrzegałaś zapewne tylko jedną stronę jego egzystencji, ja zaś - tę drugą. Dla mnie był on mężczyzną pełną gębą, gotowym otwarcie mówić o swojej wizji świata. W domu, jak się domyślam, był idealnym dżentelmenem, ja zaś widziałem w nim człowieka nader poważnie traktującego rozkosze ziemskiej egzystencji.

Odmówiłem trzeciego drinka, za to on w szybkim tempie zamówił dla siebie trzy kolejne. Przez cały czas mówił, ani przez chwilę nie bełkocąc, a jego umysł pozostał bystry jak zawsze. Opowiadał mi o swym zamiłowaniu do seksu

i o przygodach w londyńskich — i nie tylko - palarniach opium. Nie krył niczego, a ja, o dziwo, nie czułem odrazy, jak to zwykle bywało, gdy miałem styczność ze zwierzęcymi ciętami otaczających mnie ludzi. Być może stało się tak dlatego, że nigdy jeszcze nikt nie przemawiał do mnie tak szczerze. A może dlatego, że postrzegałem Archibalda jako istotę pod wieloma względami wyższą od mas przeciętniaków, z którymi przyszło mi dzielić stęchłe powietrze Londynu.

Archibald był bowiem inteligentny... nie, był bardzo inteligentny, ambitny, dociekliwy, zachłanny oraz pełen energii. Nie mogę powiedzieć, że go kiedykolwiek lubiłem - bądźmy szczerzy, ja nawet nie wiem, co oznacza to słowo - ale, ku własnemu zdziwieniu, darzyłem go czymś na kształt niechętnego respektu. Był nieomalże pociągają-

206

jący, na swój zabawny sposób. Był człowiekiem kochającym świat, w pełni dopasowanym do własnej skóry oraz do miasta, w którym przyszło mu żyć. Archibald Thomson był tym, co pan Darwin nazwałby „stworzeniem, które odnalazło swoją niszę”.

Ale ty mnie znasz, moja pani. Gdy tylko pożegnaliśmy się na rogu ulicy, całkiem o nim zapomniałem. Wróciłem

do mego mieszkania, poświęciłem kilka cichych chwil na czyszczenie noży i oliwienie piły, po czym przejrzałem uważnie szkice wykonane wczesnym wieczorem.

Zdziwiłem się nieco następnego dnia, gdy przed nocą zawitałem znowu do Pawu i powitał mnie młody sługa. Wręczył mi kremową kopertę z napisem „Harry Tumbiril”, sporządzonym dobrze wyćwiczoną w kaligrafii, bez wątpienia męską ręką. W środku znalazłem krótki liścik od Archibalda, który zapraszał mnie na lunch następnego dnia w redakcji „Clariona” przy Pall Mail.

Ulica ta, przebiegająca ledwie dziesięć kilometrów od mojego nowego domu w Whitechapel, należała do zupełnie odmiennego świata, który zapamiętałem przed laty z moich podróży z ojcem. Można było odnieść wrażenie, że całe bogactwo i wyrafinowanie, wszystko, co ludzie uznają za czyste, cnotliwe i dobre, zostało przedziwnym sposobem wyssane z East Endu i zdeponowane w zachodniej części miasta, tworząc atmosferę przesłodzonego samozadowolenia.

Nawet słońce po wielu dniach wyszło zza chmur, gdy się tam pojawiłem. Bóg zaiste jest kapitalistą, pomyślałem, stając przed świeżo malowanymi, szkarłatnymi drzwiami redakcji i ciągnąc za sznurek dzwonka. Służący wpuścił

mnie po chwili i poprowadził na górę szerokimi schodami.
207

Słyszałem już dźwięki dobiegające z góry: rozkazujące głosy ludzi, brzęk dzwonków, tupot nóg. Weszliśmy na zalane słońcem półpiętro, a potem, za kolejnymi drzwiami, znalazłem przestronną salę pełną ludzi siedzących za biurkami.

Klekot maszyn do pisania nie ustawał ani na chwilę, powietrze pachniało dymem papierosowym i potem, a najświeższe wiadomości przekazywane podniesionym głosem krążyły po sali niemal jak materialny przedmiot odbijany przez kolejnych graczy. Nie przystając ani na chwilę, sługa pomaszerował ku kolejnemu, nieco mniejszemu pomieszczeniu. Jego ściana była ze szkła, więc mimo zamkniętych drzwi widziałem Archibalda siedzącego po drugiej stronie. Trzymał przy uchu osobliwe urządzenie. Po chwili obrócił się ku nam i skinął ręką. Służący ukłonił się i zniknął bez słowa.

Archibald wskazał mi miejsce, a potem zignorował mnie całkowicie, by kontynuować przemowę do owego urządzenia, które przyciskał do ucha i ust. I nagle zrozumiałem, co to takiego: czytałem o tym w „Timesie”. Po chwili rozmowa dobiegła końca. Rzucił krótkie „do widze-

nia" i odłożył czarny, cylindryczny przedmiot na płaskie, kanciaste pudełko stojące przed nim na biurku.

-Przekłęte draństwo - powiedział z pasją, podając mi rękę. — Aleksandra Grahama Bella należałoby pojąć o świcie i rozstrzelać — dodał. — To telefon, Tumbril. Widziałeś kiedyś taki aparat?

Pokręciłem głową.

-Nie.

-Zazwyczaj nic przezeń nie słyhać. A kiedy już coś słyszę, to wyłącznie żądania finansowe od moich sponso-
rów. Jesteśmy chyba jedynymi użytkownikami tego drań-
stwa... Milionerzy i udręczeni wydawcy gazet! A mimo

208

wszystko uważam, że to przejaw postępu. Podobno pewnego dnia będą takie urządzenia w każdym domu. - Archibald zaśmiał się krótko. - Chodźmy, Harry. Zjemy lunch; padam z głodu. Co powiesz na Reform Club?

Spacer nie był długi. Archibald maszerował w takim tempie, jakby sekundy płynęły zwawiej, niż powinny; jakby starał się zmieścić w jednym dniu więcej wydarzeń, niż to możliwe albo rozsądne. W klubie skinął głową na portiera, wręczył mu szylinga, a potem dyskretnie wprowadził mnie do chłodnego, przestronnego wnętrza.

Gdy wspinaliśmy się po imponujących marmurowych stopniach, z jednej z sal na pierwszym piętrze dobiegały głosy — najpierw śmiechy, a potem brzęczenie sztućców. Kelner w białym krawacie i fraku czekał na nas u szczytu schodów. Wprowadził nas do sali z ogromnymi oknami, za którymi rozciągał się widok na St James's Park. Zajęliśmy miejsca przy stoliku w głębi, tuż przy oknie, a Archibald zamówił butelkę clareta.

- To całkiem przyzwoite miejsce, Harry - powiedział. — Mają tu niezłą kartę win.

Rozejrzałem się po wytwornie urządzonej wnętrze, napawając się wonią bogactwa i wpływów. Przywykłem do takich miejsc, w Oksfordzie bowiem zadawałem się z ludźmi znacznie lepiej urodzonymi ode mnie. Reform Club nie mógł mi zaoferować niczego, czego nie doświadczylibym wcześniej w Oxford Union czy High Table w Christ Church. Widziałem natomiast, że Archibald jest zakochany w tym miejscu. Był bystrym i wykształconym człowiekiem, ale majątek zdobył stosunkowo niedawno, dzięki mozolnej wspinaczce po śliskim maszcie fortuny — własnym sumptem dołączył do tych, którzy rządzą tym krajem. Wyznał mi kiedyś, że w Cambridge musiał się trzymać na uboczu, a żył wyłącznie dzięki marnej rencie, którą

wyplacał mu ojciec, będący wówczas w trudnej sytuacji finansowej.

-Nie rozglądaj się, ale wiedz, że mamy tu dziś całym nieprzeciętne towarzystwo — stwierdził rzeczowo Archibald.

Spojrzałem na niego pytająco.

-Sama śmietanka wielkich i zacnych. Tam na przykład siedzi powieściopisarz Henry James. — Dyskretnie skinął głową, wskazując na punkt gdzieś za moim lewym ramieniem. - I Henry Irving, aktor. Przereklamowany, jeśli chcesz znać moje zdanie. I proszę, proszę, cóż za niespodzianka... jest i Dilke.

Znowu posłałem mu zdziwione spojrzenie.

-Charles Dilke. Ten polityk.

Skinąłem głową i wbiłem wzrok w menu.

-Zdumiewające, że ma czelność pojawić się tu w tak krótkim czasie od ostatniego skandalu. No cóż... O mój Boże!

Uniosłem głowę, marszcząc brwi.

-Co znowu, Archibaldzie? Królowa przyszła?

-Prawie, Harry. To Gladstone. Na Boga, wygląda absolutnie prehistorycznie.

Odwróciłem się tym razem i ujrzałem sędziwego mężczyznę siedzącego przy narożnym stoliku. Jadł bułkę tak maleńkimi kęsami, że nie byłem w stanie wyobrazić sobie, kiedy ją wreszcie skończy, nie mówiąc o tym, by zabrał się do konsumowania zupy. Gdy popatrzyłem znów na Archibalda, ten wciąż wpatrywał się w Gladstone'a jak urzeczony. Przestał, gdy zakaszlałem znacząco.

-Dlaczego zaprosiłeś mnie na lunch? - spytałem.

Właśnie miał odpowiedzieć, gdy zjawił się kelner, by przyjąć zamówienie. Zaraz potem sommelier na nowo napenił nasze kieliszki. Archibald uniósł swój.

210

-Za szczęśliwe spotkania - rzekł. Przez chwilę w milczeniu smakowaliśmy świetne wino. - Odrobinę za ostre w górnej strefie — zawyrokował po chwili. Spojrzałem na niego, podejrzewając, że żartuje, ale była to opinia absolutnie poważna. Poczułem falę mdłości; ustąpiła, gdy pociągnąłem zdrowy łyk wina.

-Doceniam twój gest — rzekłem. — Ale wciąż nie wiem, dlaczego mnie zaprosiłeś.

-To przecież jasne, Harry. Chcę ci zaproponować pracę.

Byłem szczerze zdziwiony, a widząc to, Archibald

parsknął śmiechem.

-To aż tak nieprawdopodobne?

Wolno pokręciłem głową.

-Pozwól, że ci wszystko wyjaśnię - ciągnął. — Chcę, żeby moja gazeta była nowoczesna. - Ostatnie słowo bardziej wysyczał, niż wypowiedział. - Ci ludzie - wskazał ręką na sławy ucztujące przy klubowych stolikach - w większości należą do minionej epoki. Są zakorzenieni w dziewiętnastym stuleciu, ja zaś jestem człowiekiem jutra. Ja już myślę tak jak ludzie dwudziestego wieku, Harry.

Przypatrywałem mu się bez słowa. Nie obchodziło mnie nawet jedno słowo z tego, co mówił, ale przecież nie straciłem zdolności udawania.

-Zamierzam być radykalny — kontynuował Archibald. - Nie tyle w sensie politycznym, choć moje przekonania wyraźnie ciążą w tę stronę. Myślę raczej o stylu „Clariona”, Harry. O tym, w jaki sposób uprawiamy dziennikarstwo. Chcę, żeby moja gazeta była uosobieniem nadchodzącej ery, a nie tubą czasu przeszłego.

-Wybacz mi, Archibaldzie - wtrąciłem - ale nie pojmuję, cóż to wszystko ma wspólnego ze mną.

Podano nam pierwsze danie w chwili, gdy czekałem na odpowiedź twojego męża.

-Widziałem twoje prace — rzekł wreszcie, jedząc ze smakiem. - Spodobały mi się. Masz jaja, Harry. Nie boisz się przedstawiania rzeczywistości. Chcę, żebyś był moim głównym ilustratorem.

-Przecież zatrudniasz już artystów.

-To prawda. Ale żaden z nich nie ma takiego oka jak ty.

-Pochlebiasz mi - skłamałem.

Spojrzał na mnie z zapalem, z tym swoim niedorzecznym entuzjazmem, i znowu zachciało mi się wymiotować.

-W porządku, Harry. Spróbuję wyrazić się jaśniej.

To miasto... - Urwał, otarł usta i wykonał szeroki gest w stronę widoków rozciągających się za oknami. - To miasto jest wyjątkowo ohydny miejscem. Każdego dnia donosimy o co najmniej jednej straszliwej zbrodni, o aktach przemocy dokonywanych we wszystkich warstwach społeczeństwa. Chcę, żeby nasi czytelnicy ujrzeli prawdę. Mam dość owijania w bawełnę, żonglowania eufemizmami i aluzjami.

-Czy nie obowiązują cię jakieś zasady, jakiś kodeks

zawodowy?

-Owszem, ale mamy też sporą swobodę, drogi przyjacielu. Jednak słowo pisane to jedno, ja zaś chcę uchwycić prawdziwą naturę współczesnego świata, korzystając z talentu ludzi takich jak ty. Wszyscy moi artyści są kompetentnymi rysownikami, ale żaden nie ma takiego wyczucia realizmu jak ty.

Nie byłem pewny, co powinienem rzec. Przyglądałem się więc Archibaldowi i nagle — po raz pierwszy - przyszło mi do głowy, że ten człowiek jest chyba szaleńcem.

212

Całkowicie zdolnym do samodzielnego funkcjonowania, mającym sporo do zaoferowania światu, ale jednak obłąkańcem, tracącym kontakt z rzeczywistością.

-A co z fotografią? - spytałem po długiej chwili milczenia. - Nie wydaje ci się, że to stosownie nowoczesny sposób działania?

Westchnął głośno, a potem z lekceważeniem potrząsnął głową.

-Widziałeś kiedy, ile czasu potrzebuje fotograf, żeby rozstawić swój sprzęt? A widziałeś jakość ich dzieł, kiedy już w ogóle powstaną? Nie, Harry, przyszłością są idee, a nie gadzety, takie jak choćby ten przeklęty telefon. Li-

czy się to, co jest tutaj - dodał, pukając się palcem w czoło. Policzki miał nadzwyczajnie rumiane, po trosze za sprawą clareta, a po trosze z podniecenia. - Właśnie tutaj. Oto, gdzie rodzi się przyszłość. Idee, Harry, tylko idee.

Zamierzałem właśnie zauważyć, że owe gadżety, o których wspomniał, także narodziły się z pewnych idei, lecz w tym momencie kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Archibald odwrócił się, zdziwiony, ale zaraz wyraźnie się rozluźnił. Przy naszym stole pojawił się główny kelner, w towarzystwie młodzieńca w tandetnym, źle dopasowanym surducie. Pośrodku podbródka chłopak miał kępkę rzadkich jeszcze włosów, do tego nadzwyczaj jasną skórę oraz małe, brązowe oczka.

-Sir, ten człowiek twierdzi, że ma dla pana wiadomość.

-Tak, dziękuję, Cartright - odpowiedział Archibald, wstając. — Zostaw nas teraz.

Kelner cofnął się o dwa kroki, odwrócił zamaszyście, przywołał jednego ze swych podwładnych i odmaszerował w kierunku kuchni.

-Harry - zwrócił się do mnie twój mąż, pani, odwra-

miejsce, na którym mógł na chwilę przysiąc. — To jeden z moich ludzi, James Shallworthy - wyjaśnił, po czym zwrócił się do przybysza: — Co nowego, Jim?

-Przepraszam, że...

Archibald znowu machnął lekceważąco ręką.

-Mów, co masz do powiedzenia.

-Sir, doszło do straszliwego morderstwa.

Twój mąż spojrzał na mnie przelotnie, a potem znowu wbił surowe spojrzenie w swego gońca.

-Gdzie?

-Niedaleko, w Charin' Cross, sir.

W istocie było to podwójne morderstwo. Z pewnością czytałaś o nim w gazecie, droga pani; w gazecie swego męża, mówiąc ściślej. Niełatwo zapomnieć o takim wydarzeniu. Zginęło dwoje ludzi: aktor Donald Peters oraz jego sceniczna partnerka i kochanka, Mildred Nantwich. Morderca, mąż Mildred, Norman Nantwich, został aresztowany jeszcze tego samego wieczoru; gdy zgłosił się na posterunek policji Charing Cross, by przyznać się do zbrodni, na jego dłoniach, twarzy i płaszczu wciąż jeszcze były ślady krwi.

Archibald odesłał swego pomocnika do redakcji, a sam zatrzymał dorożkę na Pall Mail. Po kilku minutach by-

liśmy już na miejscu zbrodni. Dokonano jej w garderobie Donalda Petersa w Toole's Theatre, przy ulicy Williama IV. U wejścia do teatru panował tumult - policja odsyłała do domu niezadowolonych widzów, którzy wściekle wymachiwali biletami, z oburzeniem komentując odwołanie popołudniowego przedstawienia.

-Wejdziemy tylnymi drzwiami - oznajmił mi Archi-

214

bald, gdy wyskoczyliśmy z powozu. — Świetnie znam właściciela, Johna Toole'a.

Archibald najwyraźniej znał też doskonale okolicę, już po paru bowiem chwilach byliśmy w budynku i nikt nawet nie próbował nas zatrzymać. Szliśmy labiryntem korytarzy i schodami w górę. U ich szczytu znajdował się kolejny korytarz, wiodący wprost do garderób aktorów. Usłyszeliśmy głosy dobiegające z jednego z pokojów po lewej, a zaraz potem wyszli stamtąd dwaj funkcjonariusze. Tuż za nimi pojawił się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna z potężnym, kręconym wąsem, obwisłymi policzkami i siwiejącymi skrońmi.

-To niedorzeczność! - mówił, a raczej warczał z cicha.

Archibald ruszył ku nim. Ja zostałem na miejscu i obserwowałem tę scenę, zaintrygowany.

-Toole, stary druhu - zagrział twój małżonek.

Dwaj policjanci i właściciel teatru odwrócili się jak na komendę.

-Thomson? - odpowiedział Toole. - Co, u diabła...?

Jeden z funkcjonariuszy zrobił krok naprzód, unosząc rękę, by powstrzymać nadchodzącego.

-Sir, obawiam się, że...

-Daj pan spokój — przerwał mu Archibald. - Jestem wydawcą gazety.

-Nic mnie nie obchodzi...

-Posłuchaj, Thomson, to naprawdę nie jest odpowiedni moment - wtrącił się Toole.

-Doszło tu do morderstwa, prawda?

-Owszem, ale... - bronił się właściciel.

-Sir — zaczął znowu policjant.

Przesunął się jeszcze trochę i położył dłoń na piersi Archibalda, który tylko na nią spojrzał spode łba, a następnie zmierzył Toole'a twardym wzrokiem.

215

— John, jeśli chcesz, by relację z tego zdarzenia napisał przyjaciel, to naprawdę sugeruję ci, żebyś mnie tam wpuścił.

Toole spojrzał mu w oczy. Stałem dość daleko, a mimo

to widziałem napięcie w twarzy właściciela teatru oraz dzikie błyski w jego oczach. Nie miałem wątpliwości, że z największym trudem powstrzymuje atak paniki. Wyczuwałem jego strach i muszę przyznać, że było to bardzo przyjemne.

— Panie posterunkowy - rzekł wreszcie Toole - zezwalam temu dżentelmenowi, by tu pozostał.

— Naprawdę nie o to chodzi, sir - zaczął policjant, ale Archibald był już w garderobie.

Ja zaś skorzystałem z zamieszania i stanąłem na progu tuż za nim. Kompletnie zignorowany przez wszystkich, wkroczyłem do środka.

Poczułem dreszcz i najwyraźniej wydałem z siebie jakiś dźwięk, właśnie wtedy bowiem Toole nagle mnie zauważył.

— A kim pan, u diabła, jest? - warknął.

— On pracuje dla mnie - pospieszył z odpowiedzią Archibald.

Nie słuchałem ich wcale; byłem zajęty chłonięciem widoku, który rozciągał się przed moimi oczami. A był to piękny widok. Obie ofiary zginęły od ciosów nożem. Kobieta leżała na mężczyźnie, a z jej pleców sterczała jeszcze rękojeść narzędzia zbrodni. Miała na sobie halkę,

całą w czerwonych plamach. Krew zbryzgała ściany, jej krople dostrzegłem też na lustrze nad toaletką - całkiem jakby malarz zanurzył pędzel w farbie i potrząsnął nim w przypadkowy sposób. Potrzebowałem jedynie chwili, by uwiecznić tę scenę w pamięci, nie pomijając żadnego detalu.

216

Toole już tylko kręcił głową.

-W porządku, Thomson - zawołał wreszcie. - Wystarczy tego dobrego, stary.

Jeden z policjantów chwycił mnie pod ramię; drugi, jak zauważyłem, złapał Archibalda.

-Naprawdę powinieneś ze mną porozmawiać, John - nie ustępował twój małżonek, prowadzony już w stronę drzwi.

Zdażyłem jeszcze zerknąć na Toole'a, gdy wypychano mnie na korytarz. Siedział skulony w kącie garderoby i szlochał bezgłośnie, kryjąc twarz w dłoniach.

Zapadał zmierzch, gdy wreszcie powróciłem do mojego mieszkania przy Wentworth Street. Zapaliłem jedyną lampę gazową, przysunąłem do niej stół i zabrałem się do szkicowania.

Tak byłem pochłonięty pracą, że całkiem straciłem

poczucie czasu. Gdy wreszcie sięgnąłem po zegarek, było już po północy. Dopiero wtedy tak naprawdę wróciłem do rzeczywistego świata i poczułem, jak bardzo jestem zmarnięty i głodny. A jednak nawet stan mojego ciała nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Wpatrzony w przestrzeń, raz jeszcze przeżywałem cudowną scenę z garderoby Toole's Theatre. Szkice, które wykonałem, były świetne; naprawdę byłem z nich zadowolony. Zacząłem rozmyślać o Archibaldzie i rozmowie, którą odbyliśmy w klubie. I nagle wszystko stało się jasne. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił mi poznać twojego łaskawego małżonka, droga pani. Cóż za zachwycający uśmiech losu sprawił, że dane mu było przejrzeć moje rysunki z Pawu i zachwycić się nimi. Cóż za wyborny splot wydarzeń kazał mu szukać do pracy w gazecie artysty, który tworzyłby

217

właśnie w takim stylu jak ja. Archibald całkiem nieświadomie zapewnił mi idealną sytuację; teraz bez trudu mogłem zrealizować moje plany. Musisz bowiem wiedzieć, że w ciągu owych dwóch dni, które dzieliły nasze pierwsze spotkanie od pamiętnego lunchu w Reform Clubie zdążyłem przygotować listę ofiar. Skatalogowałem każdy ich ruch, by się upewnić, że będą odpowiednimi modelkami do

moich dzieł. Teraz zaś, dzięki memu nowemu przyjacielowi, na wpół szalonemu wydawcy gazety, miałem perfekcyjne alibi, by znaleźć się w pobliżu miejsc zbrodni, które mogły - oczywiście całkiem przypadkowo - wydarzyć się w okolicy Whitechapel. Cóż za wyborna perspektywa!

ROZDZIAŁ 32

Londyn, poniedziałek, 26 stycznia, wieczór

Koncert thereminowy odbył się w jednej z mniejszych sal Barbicanu. Wszystkie miejsca zostały wyprzedane. W głębi duszy Pendragon dość sceptycznie podchodził do tego wydarzenia artystycznego, ale już po kilku minutach przekonał się, że jest całkiem przyjemnie. Słyszał wcześniej o thereminie, ale bardzo niewiele o nim wiedział. Kołatała mu się w pamięci myśl, że jest to bodaj jedyny instrument, na którym gra się bez jakiegokolwiek fizycznego kontaktu. Wykonawca przysuwał jedynie dłonie do dwóch anten, tym sposobem modulując wysokość i natężenie dźwięku. Nie chcąc jednak wyjść na ignoranta, Jack odrobił lekcje: poświęcił pięć minut jeszcze na posterunku, by poczytać, co mają do powiedzenia o thereminie redaktorzy Wikipedii. Tym sposobem dowiedział się, że powstanie tego instrumentu było w istocie skutkiem ubocznym finansowanych przez radzieckie władze prac nad nowymi czujnikami zbli-

zeniowymi. Theremin zdobył popularność w latach trzydziestych, a potem przestał być modny, choć Robert Moog, wynalazca syntezatora, twierdził, że to właśnie młodzieńcza fascynacja tym instrumentem była głównym powodem jego późniejszych twórczych poszukiwań.

Tego wieczoru na scenie pojawiła się jedna z najbardziej

219

znanych wykonawczyń, Françoise Guillaume z Francji. Poważnym argumentem na korzyść jej występu był fakt, iż była uderzająco piękna - miała długie, jasne loki oraz znakomitą figurę, doskonale widoczną nawet z ósmego rzędu. Wykonywała też cudownie eklektyczny repertuar, od Mozarta i Griega, przez Milesa Davisa, aż po Jimiego Hendriksa, a wszystkie utwory dały się bez trudu rozpoznać mimo pomysłowych aranżacji.

Wychodząc z sali koncertowej, Jack milczał - czekał, aż Gemma przerwie ciszę, ale ona wydawała się zagubiona w myślach. Spojrzała na niego dopiero wtedy, gdy proponował jej wino w małym barze przy Beech Street.

Postawiwszy kołnierze, by choć trochę osłonić się przed mroźnym wiatrem, ruszyli przez parking w stronę ulicy.

W barze zastali spory tłum gości, ale udało im się znaleźć w miarę zaciszny kąt, w którym przynajmniej słyszeli, co

do siebie mówią.

-I jak ci się podobało, Jack?

-Przyznam, że wcześniej byłem sceptycznie nastawiony, ale było naprawdę świetnie.

-To dobrze. Zdrowo jest od czasu do czasu wypełznąć ze swojej niszy.

Pendragon umoczył usta w winie.

-Kiedy będziesz miała tyle lat co ja, zaczniesz sobie cenić święty spokój.

-Co ty wygadujesz! „Kiedy będziesz miała tyle lat co ja”!

A ile mianowicie? Dopiero minąłeś czterdziestkę, prawda?

-O tak, Gemmo - przytaknął drwiącym tonem.

Spojrzała na niego całkiem poważnie.

-Tak naprawdę za kilka dni będą moje urodziny. Czterdzieste siódme. Boże!

-Cóż, wyglądasz mi na bardzo dobrze zakonserwowanego.

220

Uśmiechnął się i skinął głową w podziękowaniu.

-Jako artystka jestem zdecydowanie za tym, by ludzie jak najdłużej pozostawali młodzi. Przynajmniej w sensie duchowym.

-Żyjesz dla sztuki ciałem i duszą, prawda, Gemmo?

Spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem, ale przyznała po chwili:

-Rzeczywiście. - Napiła się wina i dodała: - Mówiąc najkrócej, sztuka jest najważniejszą rzeczą na świecie.

-Znałem kiedyś jedną malarzkę - rzekł Pendragon. - Była nawet moją dziewczyną, dawno temu, jeszcze w Oksfordzie. Powiedziała mi, że gdyby miała wybierać między Tycjanem a wynalazkiem koła, postawiłaby na Tycjana. Gemma upiła jeszcze łyk wina i odstawiła kieliszek na stolik.

-Zdecydowanie popieram w tym względzie twoją byłą dziewczynę - oświadczyła. - Bezwarunkowo. Chodzi o to, że koło pozwoliło światu pójść, a raczej pojechać, naprzód w sensie praktycznym, Tycjan zaś jest strawą dla duszy.

-Zgoda, tylko że trudno podziwiać dzieła sztuki, gdy się głoduje. Gdyby nie wynaleziono koła, nie zaszlibyśmy zbyt daleko jako gatunek, czyż nie?

-I co z tego? Z techniką jest jak z jajkiem i kurą. Ludzie wynajdują koło, więc cywilizacja idzie naprzód. Życie staje się bardziej wygodne. Wtedy na świecie pojawia się coraz więcej ludzi, którzy potrzebują żywności i środków transportu. I tak to się toczy w nieskończoność. A sztuka jest

ponad tym wszystkim.

Pendragon spojrział na nią w zamyśleniu, delikatnie mieszając wino w kieliszku.

-Tu idzie o poszukiwanie prawdy - ciągnęła Gemma. -

Każda forma sztuki ma wartość tylko wtedy, gdy autor sta-

221

ra się za jej pomocą oddać prawdę. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent z tego, co powstaje, nie ma żadnej wartości.

Brak w tym uczciwości, to tylko czysta rozrywka. Pomyśl

o tych wszystkich strasznych piosenkach pop, które się sły-

szy, z ich udawaną szczerością i erzacem emocji. Sztuka nie

polega na malowaniu ślicznych kociaczków; nie polega też

na opowiadaniu romantycznych historii, w których wyso-

ki, ciemnowłosego nieznajomego porywa w ramiona bohaterkę,

lecz traktuje ją podle. To nie jest Prawda. Tycjan jest praw-

dą. Dylan jest prawdą. Dostojewski jest prawdą.

-Zgoda - odparł Jack. - Ale co z ego artysty? Czyba na-

leży wziąć je pod uwagę? Moim zdaniem w każdym dziele

można znaleźć jakiś element ego twórcy.

-Naturalnie, Jack. Przecież rozmawiamy o istotach

ludzkich. A artyści, wyobraź sobie, zwykle są właśnie

ludźmi.

Jack się roześmiał.

-W porządku. Istnieje jednak i poważniejszy problem. Otóż prawda w dziele artysty nie może być czysta, ponieważ twórca nie zawsze postrzega ją i odwzorowuje wiernie. Może przecież mieć o niej wypaczone pojęcie. Co oznacza, że niekiedy płodem jego wysiłków jest pretensjonalny nonsens, nawet jeśli artysta starał się być uczciwy.

-Jasne - zgodziła się Gemma. - Ale dzieje się tak za sprawą innego imperatywu kierującego poczynaniami każdego twórcy.

Spojrzał na nią pytająco.

-Mówię o potrzebie innowacji. Artysta ma obowiązek poszukiwać prawdy, ale także prezentować ją na nowe sposoby.

-I właśnie to na przykład starali się czynić surrealiści?

-Nie tylko oni. Wszyscy artyści w dziejach.

222

-Zapewne, ale ja miałem na myśli sprawę, nad którą teraz pracuję, oraz artystów, których naśladuje sprawca... - Pendragon umilkł i ocknął się po chwili, zapatrzony w jakiś daleki punkt. - Przepraszam - powiedział, kręcąc głową. - Zacząłem głośno myśleć.

Gemma podarowała mu uśmiech.

-Myślę, że potrzebujemy więcej wina - powiedziała, unosząc pusty kieliszek.

ROZDZIAŁ 33

Brick Lane, wtorek, 27 stycznia, 7.30

Pendragon siedział w milczeniu, obserwując, jak superintendent Hughes przegląda najnowszy raport ze śledztwa. Po kilku chwilach uniosła głowę, położyła splecione dłonie na pliku kartek i westchnęła boleściwie.

-A zatem mamy potencjalnego mordercę, który od piętnastu lat nie żyje? Doskonale. Nie powinno być kłopotu z aresztowaniem.

Twarz Pendragona pozostała kompletnie bez wyrazu, gdy patrzył prosto w oczy przełożonej.

-Jakieś teorie? - spytała. - Cokolwiek?

-Och, teorii mamy pod dostatkiem, pani superintendent - odparł Pendragon. - Tyle że teorie pozostają jedynie teoriami, póki nie zostaną podparte jakimikolwiek faktami. Popatrzyła na niego bez słowa, niejako zmuszając go, by mówił dalej.

-Powinniśmy rozważyć trzy ewentualności. Po pierwsze: że doszło do pomyłki w badaniu DNA. Doktor Newman zapewnia mnie jednak, że nie ma takiej możliwości. Ustalono zgodność tak wielu markerów, że istnieje tylko

jedna szansa na sześć miliardów, iż znalezione DNA nie należy do zmarłej Juliette Kinnear. Po drugie: że kobieta, o której mówimy, nadal żyje. Natychmiast skontaktowa-

224

liśmy się z Riverwell w Essex i uzyskaliśmy odpowiedź pocztą elektroniczną: jedną stroną faktów i dat. Turner też powęszył jeszcze trochę. Wiemy już, że Juliette Kinnear utonęła podczas szpitalnej wycieczki do Maldon. Świadkiem incydentu był pielęgniarz z Riverwell, Nicolas Compton. Zwłoki znaleziono dwa dni później, zostały zidentyfikowane przez członka rodziny. Ciało dziewczyny spalono. Pełna dokumentacja policyjna sprawy nadal istnieje.

-W porządku - odpowiedziała zmęczonym głosem

Hughes. - Wolałabym, żeby trzecia opcja była sensowniejsza, Jack.

Pendragon przeciągnął dłonią po czole.

-Ja też bym wolał - odparł. - Ale jedyna konkluzja, do której zdołaliśmy dojść, jest taka, że sprawca podrzucił materiał do badań DNA.

-Podrzucił!

-Żeby nas zmylić. Nie byłby to pierwszy przypadek w historii.

-Owszem, nie pierwszy. Mówisz o przypadku Mettli-

na w Manchesterze, prawda?

Pendragon skinął głową.

-Tylko że tamta sprawa była zupełnie inna. Podrzuciono materiał genetyczny innego gangstera, byłego „przyjaciela” rzeczywistego sprawcy. Żyjącej osoby, która z łatwością mogła popełnić tamtą zbrodnię, gdyby nie popełnił jej prawdziwy sprawca, Johnny Mettlin. Poza tym to było osiem lat temu, gdy badania DNA nie były tak skuteczne jak dziś.

-Znam fakty, pani superintendent - odrzekł Pendragon. - Ale te dwie sprawy nie różnią się aż tak bardzo. Łatwo jest przechować włosy.

-Tak, tylko że właściciel tego DNA nie żyje od piętnastu lat, do cholery!

Tym razem Pendragon postanowił milczeć.

225

-Dobra - mruknęła Hughes po pełnych trzydziestu sekundach krępującej ciszy. - Co Newman sądzi o takim scenariuszu?

-Że wersja z podrzuceniem próbki materiału genetycznego nie jest wykluczona.

-Nie umiała stwierdzić, czy włos został w jakikolwiek sposób zakonserwowany?

-Nie. Poprosiłem ją o to od razu, gdy wykluczyłem

pierwsze dwie wersje.

-I co teraz? - Superintendent Hughes spojrzała bezradnie na Pendragona. - W niecały tydzień doszło do trzech morderstw. Mamy domniemanego sprawcę, który od dawna nie żyje. Ani jednego świadka. Niewiele dowodów kryminalistycznych. My w ogóle bardzo niewiele mamy, inspektorze.

-O drugiej jesteśmy z Turnerem umówieni z głównym zarządcą Riverwell, niejakim profesorem Martinsem. Musimy zdobyć więcej informacji o panie Kinnear.

-A co z działaniami na miejscu?

-Inspektor Towers i sierżant Vickers próbują zdobyć informacje o żurawiu wysięgnikowym wykorzystanym w sprawie numer dwa. Poszukują też nowej lokalizacji, do której sprawca przeniósł się po opuszczeniu magazynu przy West India Quay. Grant bada przeszłość zamordowanego księdza. Interesują nas zwłaszcza jego potencjalne związki z dwiema poprzednimi ofiarami.

Hughes spoglądała na blat swego biurka, miarowo kiwając głową.

-Poza tym, Sammy Samson węszy w okolicy.

-No to niech Bóg ma nas w opiece - odpowiedziała, unosząc głowę.

-To on doprowadził nas do magazynu, więc dzięki niemu mamy próbki DNA - przypomniał Pendragon.

226

-Rzeczywiście, chyba powinniśmy dziękować za te drobne przejawy bożej łaski, nieprawdaż? - odparła chłodno Hughes. - No cóż, proszę się u mnie zameldować, gdy tylko wrócicie z Essex.

Pendragon wstał i podszedł do drzwi. Gdy naciskał klamkę, usłyszał głos szefowej:

-Inspektorze... niech pan dla odmiany przywiezie mi dobre wieści, zgoda?

ROZDZIAŁ 34

Szpital Psychiatryczny Riverwell był niewielką, prywatną placówką, położoną niespełna pięć kilometrów w głąb lądu od nadmorskiego miasteczka Maldon. Jednorazowo mogło w nim przebywać nie więcej niż trzydziestu czterech przewlekle chorych pacjentów, którym - wedle deklaracji zawartych na stronie internetowej - zapewniano luksusową opiekę.

Jez Turner czytał właśnie błyszczący prospekt szpitala, gdy Pendragon zatrzymywał wóz przed strzeżoną bramą, stanowiącą część wykonanego z kutego żelaza, wysokiego na trzy metry, ozdobnego ogrodzenia otaczającego całą po-

siadłość. Gdy gwizdnął z cicha, główny inspektor oderwał wzrok od umundurowanego ochroniarza, który właśnie oglądał jego odznakę, stojąc tuż za uchylonym oknem wozu.

-Pan posłucha, szefie - powiedział sierżant. - Riverwell jest znanym w świecie ośrodkiem opieki nad pacjentami z chorobami średnimi i ciężkimi. Cena rocznego pobytu sięga siedemdziesięciu dwóch tysięcy.

Brew Pendragona uniosła się nieznacznie.

-To więcej, niż zarabiam tygodniowo - odparł kpiąco, a potem skinął głową ochroniarzowi i wprowadził wóz na teren ośrodka.

228

Budynek, który mieli przed sobą, wyglądał bardziej jak urokliwy hotel niż szpital psychiatryczny. Wzniesiono go z cegły i zwieńczono stromym dachem, pośrodku którego sterczał pękaty komin. Pendragon przypuszczał, że budowę zakończono na początku dwudziestego wieku, ale dostrzegł też dobudówki powstałe zdecydowanie później. Było ich tak wiele, że bez wątpienia mieściły teraz większość pomieszczeń szpitala. Bezpośrednie otoczenie gmachu było świetnie utrzymane i białe od szronu.

Przy głównym wejściu czekał na nich krągły mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w prążkowany garnitur, kami-

zelkę i szary krawat. Miał schludnie przystryżoną, białą brodę, małe, ciemne oczy oraz wąskie usta. Wyglądał jak Święty Mikołaj w wydaniu biznesowym.

- Witam - odezwał się dźwięcznym barytonem. - Jestem profesor Martins. Nigel Martins. - Postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę na powitanie najpierw do Pen-
dragona, a potem do Turnera. - Mam nadzieję, że mieli panowie udaną podróż. Nie jesteśmy wszak aż tak daleko od dźwięków Bow Bells, nieprawdaż, panie inspektorze? - dodał z uśmiechem.

Poprowadził policjantów przez przestronny hol, gdzie urodziwa blondynka siedząca przed płaskim ekranem Maca całkowicie ich zignorowała. Podłogę w dyskretnie oświetlonym pomieszczeniu okrywał elegancki, bladozielony dywan. Tapeta na ścianach także nie wyglądała na tanią. Metr od podłogi zdobiła ją lamperia, na suficie zaś przykuwały uwagę bogate sztukaterie. Mijając otwarte drzwi, ujrzeli kilkoro pacjentów, siedzących razem na dwóch kanapach przed starym, pękatym telewizorem ustawionym wysoko na półce w dalekim kącie pokoju. Na końcu korytarza skręcili w prawo, potem w lewo, aż wreszcie Martins zatrzymał się przed masywnymi dębowymi drzwiami, na których wi-

siała mosiężna plakietka z jego nazwiskiem. Wyjął pęk kluczy z kieszeni marynarki, otworzył zamek i pchnął drzwi, gestem zachęcając funkcjonariuszy, by weszli do środka. Sam podążył za nimi, by czym prędzej wskazać im miejsce na krytych skórą krzesłach.

-Proszę, panowie.

Odwrócił się, gdy na progu stanęła starsza pani w czarnej spódnicy i białej, przybranej koronką bluzce.

-Ach, Madeline. - Martins spojrzał pytająco na Pendragon i Turnera. - Herbaty?

Turner zerknął na szefa, który skinął głową.

-Bardzo proszę - odrzekł Pendragon. - Z mlekiem, bez cukru.

-Dla mnie to samo - dorzucił Turner

-Zatem rzeczy oczywiste mamy już za sobą - skomentował Martins, zasiadając w swoim fotelu. - Teraz więc... może zechciałby mi pan zdradzić, inspektorze, co panów do mnie sprowadza? Sekretarka wprowadzie wspominała w kilku słowach, ale...

-Prowadzimy sprawę wielokrotnego zabójstwa - odparł Pendragon, przechodząc wprost do rzeczy.

-Rozumiem. Cóż - westchnął Martins - naturalnie zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panom pomóc, ale

w jaki sposób owa sprawa może wiązać się z Riverwell?

-Czy pańska sekretarka nie wspomniała, że szczególnie interesuje nas pewna pacjentka, która przebywała tu w połowie lat pięćdziesiątych? Młoda kobieta, Juliette Kinneer.

-Nie wspomniała. Dobry Boże, Juliette Kinneer! Dawno już nie słyszałem tego nazwiska.

-Zatem już wtedy pan tu pracował?

-Tak. Przeniosłem się z Luton w pięćdziesiątym drugim roku. Juliette przyjechała tu... zdaje się, że w dzie-

230

pięćdziesiątym piątym. Zaraz zajrzemy do jej akt. - Wcisnął guzik telefonu. - Selino, czy mogłabyś znaleźć dokumentację Juliette Kinneer? Była naszą pacjentką w połowie lat pięćdziesiątych. Szukaj pod K. Jeśli możesz, wydrukuj nam dwie kopie i przynieś jak najszybciej. Dzięki. - Profesor spojrzał na Pendragona. - Naturalnie wie pan już, że Juliette nie żyje.

-To się stało podczas szpitalnej wycieczki, prawda? - wtrącił Turner.

Martins spojrzał na niego przelotnie, a potem ułożył się wygodniej w fotelu i złożył ręce na piersi.

-Tak - odparł. - To była straszna tragedia. Wydawało

nam się, że leczenie przynosi pożądany efekt. Do dziś nie rozumiemy, co się właściwie wydarzyło na przystani.

-Mógłby pan nam o tym opowiedzieć? - poprosił inspektor.

Przez chwilę Martins tylko mu się przyglądał, a potem skrzywił się lekko.

-Tak, oczywiście - rzekł wreszcie. - To był niezwykle dzień. Jeden z tych, których się nie zapomina.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Madeline z tacą.

Rozdała siedzącym filiżanki i wycofała się bez słowa.

-To był ciepły kwietniowy dzień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Juliette była tu już mniej więcej od roku. Kiedy przyjechała, była w fatalnym stanie.

Przez pierwsze trzy miesiące izolowaliśmy ją od pozostałych pacjentów. Cierpiała na anoreksję, była agresywna, nigdy się nie odzywała. Ale stopniowo udało nam się skłonić ją do jedzenia i z czasem zaczęła akceptować to miejsce. Brała dość silne leki, ale jej stan stale się poprawiał. A przynajmniej tak sądziliśmy.

-Mam wrażenie, że pokonała długą drogę. Skoro taka była sytuacja, kiedy ją tu przyjęto, a już po roku cieszyła

ką co prawda, bo tylko do Maldon, ale jednak - zauważył Pendragon.

-Jak już mówiłem, stan Juliette szybko się poprawiał, stąd i nasze zaufanie rosło.

-Jaki właściwie był cel tej wycieczki do miasta?

Martins wzruszył ramionami.

-Naszym zdaniem pacjenci powinni od czasu do czasu opuszczać mury Riverwell, jeśli tylko są do tego zdolni.

To element procesu ozdrowieńczego.

-Zapewne jednak panna Kinnear była wciąż daleka od wypisania ze szpitala?

-Naturalnie. Pojechała jednak z małą grupą i była pod stałym nadzorem.

-Ile osób pojechało na tę wycieczkę? - spytał Turner.

-Niech pomyślę - mruknął Martins. - Zdaje się, że sześciu pacjentów i trzy osoby z personelu szpitala.

-Pamięta pan nazwiska?

Martins wyrecytował nazwiska pracowników, a Turner zanotował je pilnie.

-Nie jestem pewny nazwisk pacjentów - dodał profesor. - Ale mogę to sprawdzić; odezwę się do panów.

Pendragon spojrział na listę sporządzoną przez sierżanta.

-Cała trójka opiekunów jeszcze tu pracuje?

-Nie. Stacy Franklin jest teraz starszą pielęgniarką w Londynie. Doktor Roger Napier, który kierował wycieczką, odszedł w dziewięćdziesiątym ósmym. Gdy ostatni raz o nim słyszałem, pracował w Melbourne. A trzeci z pracowników, Nick Compton, był wtedy młodszym pielęgniarzem. Niestety, zmarł kilka miesięcy po śmierci Juliette.

Dwaj policjanci wyglądali na mocno poruszonych tą nowiną.

232

-Jak to się stało? - spytał Pendragon.

-Samobójstwo. Nieszczęsny Nick... się powiesił.

-Poda mi pan więcej szczegółów, profesorze?

-To jeszcze pogłębiło nasze przygnębienie po pierwszej tragedii. Nick Compton od początku winił siebie za tamten wypadek. Był wtedy z Juliette. Zostali sami tylko na kilka minut, gdy...

-Z pewnością przeprowadzono śledztwo w tamtej sprawie?

-Oczywiście, inspektorze - odparł profesor z lekka urażony. - Bardzo wnikliwe śledztwo, jeśli chodzi o ścisłość. I mogę panu przedstawić pełną dokumentację.

-Na pewno się przyda.

-Naturalnie postawa doktora Napiera również została objęta drobiazgowym dochodzeniem. Był najstarszym rangą członkiem personelu, a Juliette była jego pacjentką. Poszukiwano śladów jakichkolwiek zaniedbań z jego strony, ale w końcu został uznany za absolutnie niewinnego. Złożył bardzo szczegółowy raport z wydarzeń poprzedzających wypadek. Jedną z jego pacjentek... Helen Weatherington, o ile pamiętam, źle się poczuła. Dwoje pielęgniarzy było za-

jętych innymi uczestniczkami wycieczki, więc Napier sam zaprowadził ją do łazienki. W tym czasie Nick Compton pilnował Juliette, która powiedziała mu, że chce pospacerować wzdłuż przystani jachtowej. Było dość późno i zaczęło padać. Nick chciał ją odwieść od tego zamiaru, ale w tym momencie zapanował chaos. Nick był niedoświadczony i łatwo dał się przekonać. Juliette była dziewczyną o silnej woli i nieprzeciętnej inteligencji.

-Przeskoczyła przez barierkę?

-Tak. Wezwano policję. Nick wskoczył do wody, żeby spróbować ją odnaleźć, i sam omal nie utonął. A ona przeżyła na dobre.

233

-Jednak później odnaleziono ciało? - skomentował

Turner.

-Tak. - Profesor Martins wyraźnie pobladł. - W stanie daleko posuniętego rozkładu.

Wszyscy trzej spojrzeli na drzwi, od strony których dobiegło ciche pukanie. Selina weszła do gabinetu i złożyła na biurku plik papierów.

-Dzięki.

Martins nawet na nią nie spojrział. Podał Pendragonowi tuzin zadrukowanych kartek. Było wśród nich zdjęcie Juliette Kinnear, zrobione może rok przed jej śmiercią. Wyglądała szczuplej niż na fotografii znalezionej przez Turnera. Inspektor przez moment przeglądał wydruki, a Turner zerkał na nie ponad jego ramieniem.

-Juliette była dość wyjątkową dziewczyną - rzekł po chwili profesor. - Nie tylko obiecującą malarką. Próbowła swoich sił także w pisarstwie i muzyce. Wszechstronny talent.

-Orientuje się pan, jakie wydarzenie wywołało u niej załamanie psychiczne? A może był to długotrwały, stopniowy proces?

-Cóż, inspektorze, to dość złożona kwestia. W przypadku Juliette doszliśmy do wniosku, że przyczyny załamania narastały przez dłuższy czas niezauważone. Aż w końcu,

że się tak wyrażę, pękła tama. To raczej typowy scenariusz.

-Mógłby pan to wyjaśnić?

-Juliette była utalentowaną malarką, co do tego nie ma wątpliwości, ale chyba nie aż tak dobrą, jak jej się wydawało. W konsekwencji nie spotykała się z uznaniem, na które w swoim mniemaniu zasługiwała. Eksperymentowała z narkotykami; podczas terapii grupowej udało nam się wydobyć od niej trochę szczegółów. Wierzyła, że może rozwijać swoje zdolności artystyczne i że osiągnie sukces,
234

przyjmując odpowiedni koktajl środków stymulujących. Gdy te próby spełzły na niczym, zaczęła tracić równowagę psychiczną, a proces ten postępował tym szybciej, że nie odstawiła narkotyków. Mieszkała z ojcem, Johnem Kinnearem, w Ashcombe Manor opodal Braintree, mniej więcej szesnaście kilometrów stąd. Ojciec już nie żyje, a matka zmarła jeszcze wcześniej, gdy Juliette miała czternaście czy piętnaście lat. John nie ożenił się ponownie. - Martins umilkł na chwilę, a potem dodał: - To rodzina producentów herbatników.

-Tak, wiem - odpowiedział Pendragon.

-Gdy rozmawiałem z panem Kinnearem w sprawie przyjęcia Juliette do szpitala, przypomniał sobie, że jego

córka niekiedy zamykała się na kilka dni. Nic wtedy nie jadła, z nikim nie rozmawiała, tylko malowała i malowała, a potem niszczyła płótna w napadzie szału. Wywołała nawet mały pożar w domu, gdy usiłowała spalić w swojej sypialni jedną z serii obrazów.

-I nikt nie uznał tego za osobliwe? - spytał Turner.

-I owszem. Tyle że John Kinnear obawiał się skandalu, który wybuchłby niechybnie, gdyby ujawniono przed światem stan psychiczny Juliette. Martwił się o kondycję swojej firmy.

Inspektor uniósł brwi.

-Naturalnie - powiedział z cichym westchnieniem.

-Punktem przełomowym był jej atak na ogrodnika.

Pendragon właśnie skończył czytać fragment raportu poświęcony temu zdarzeniu, toteż nie był szczególnie zaskoczony. Uniósł jednak głowę i spojrzał w oczy profesora.

-Na ile poważny był ten incydent?

Martins przełknął ślinę i na chwilę odwrócił głowę.

-Zaatakowała nieszczęśnika nożem, inspektorze.

Inspektor zajrzał znowu do raportu.

235

-Nie było dochodzenia w tej sprawie - dodał Martins, uprzedzając jego pytanie. - John Kinnear zdołał ukłębć

jej łeb.

Turner spojrział na Pendragona, który przyglądał się profesorowi z wyrazem absolutnej obojętności na twarzy.

-Siła pieniądza - wyjaśnił rzeczowo Martins.

-Zapłacił ogrodnikowi?

Profesor skinął głową i wzruszył ramionami.

-Dobrze, że chociaż zrozumiał powagę sytuacji: jego córka była poważnie chora i wymagała izolacji.

-A co z ogrodnikiem?

-Macintyre, Jimmy Macintyre. Przez krótki czas po owym ataku był naszym pacjentem. Jeszcze żyje, mieszka sam w domku w Braintree, niedaleko Ashcombe Manor.

-Poproszę o jego adres, jeśli pan go jeszcze ma.

Martins skinął głową, pochylił się nad biurkiem i złożył ręce nad raportem.

-Panie inspektorze, ja nadal nie widzę związku między sprawą Juliette Kinnear a śledztwem, które panowie prowadzą.

-Będziemy pana informować o wszelkich postępach w dochodzeniu, profesorze - odparł służbiście Pendragon, wstając. - Dziękuję za pański czas i współpracę. Rozumiem, że możemy to zatrzymać? - spytał, machając raportem. I zanim Martins zdążył odpowiedzieć, odwrócił się w stronę

drzwi. - A jeśli chodzi o adres pana Macintyre'a... Domyślałem się, że pańska sekretarka znajdzie go w komputerze?

ROZDZIAŁ 35

-Cholernie dziwne - stwierdził Turner, gdy maszerowali przez zwirowy podjazd w stronę samochodu.

-Co konkretnie?

-Prawdę mówiąc, wszystko, od początku do końca. Na przykład to, w jaki sposób Kinnearowie zdołali wyciszyć sprawę poważnej napaści.

-Siła pieniądza, jak powiedział Martins.

Pendragon rzucił Turnerowi kluczyki.

-Co teraz? - spytał sierżant.

-Złożymy wizytę Jimmy'emu Macintyre'owi.

Lokalna droga prowadząca na północny zachód, w stronę Braintree, była oblodzona i niebezpieczna. Jechali więc wolno; zatrzymali się też na późny lunch w pubie Knight and Garter. Jedzenie było zaskakująco dobre: podano im tradycyjne angielskie kanapki i piwo, a nie koreańskie czy etiopskie specjały, oferowane przez tak liczne puby przejęte przez duże browary.

Bez większych kłopotów odnaleźli adres uzyskany z archiwum Riverwell i zatrzymali wóz przed maleńkim domkiem z cegły, krytym dachówką. Frontowe drzwi straszyły

wyblakłym różem niegdyś czerwonej farby. Na dachu wi-
dać było resztki śniegu, a na szybach okiennych wykwitły

237

mrozu. Ogród był zaniedbany, pełen chwastów. Zbliżyw-
szy się do drzwi, policjanci zauważyli w nich duże pęk-
nięcie. Zamiast skrzynki na listy ziała w nich prostokątna
dziura.

Pendragon nacisnął dzwonek, ale dom pozostał cichy.

Turner cofnął się na ścieżkę i zadarł głowę ku oknom na
piętrze. Nie dostrzegł żadnych świateł; zasłony były szcel-
nie zasunięte. Pendragon zapukał do drzwi. Bez rezultatu.
Cofnął się, by dołączyć do Turnera. Po chwili sierżant po-
nownie spróbował uruchomić dzwonek. Wreszcie usłyszeli
dobiegające z holu szuranie stóp.

-Kto tam? - spytał drżący głos, należący zapewne do
staruszka.

-Policja, sir. Czy to pan Macintyre?

Cisza.

A potem ciche chrząknięcie.

-Czego panowie chcą?

-Jestem detektyw główny inspektor Pendragon. Chcie-
libyśmy zabrać panu pięć minut.

-Po co?

-Żeby zadać kilka pytań na temat Juliette Kinnear. Tej kobiety, która pana zaatakowała.

Dłuższa chwila ciszy.

-Panie Macintyre?

-Odejdźcie.

-Sir, chcemy tylko zadać kilka...

-Powiedziałem: odejdźcie.

Pendragon spojrział na Turnera, a ten bez słowa wzruszył ramionami.

-Przyjechaliśmy z daleka, proszę pana - powiedział łagodnie Pendragon, podejmując ostatnią próbę. - Chętnie napilibyśmy się herbaty.

Cisza.

238

-Sir?

Cisza.

Pendragon westchnął i ruszył w stronę ścieżki. Sierżant jeszcze przez sekundę stał przy drzwiach, a potem także się wycofał. Zdążyli dotrzeć do końca ścieżki, gdy usłyszeli jakiś dźwięk. Pendragon odwrócił się i spostrzegł, że drzwi są uchylone. W mrocznym wnętrzu widać było postać Macintyre'a, który przywoływał ich ruchem ręki.

Jimmy Macintyre wciąż jeszcze stał u drzwi, gdy poli-

cjanci weszli do ciemnego holu.

- Prosto i w prawo - powiedział.

Mroczne wnętrze domu stało się jeszcze mroczniejsze, gdy Macintyre zamknął drzwi frontowe. Jedynym źródłem światła była czerwona poświata bijąca od okien zasłoniętych kotarami z cienkiego, purpurowego materiału. W domu czuć było woń gnijącego jedzenia i moczu. Funkcję dywanu pełniła ścieżka ułożona ze starych, brudnych i podartych gazet, łącząca hol z tym, co miało uchodzić za salon. W mroku z trudem dostrzegli nadpruty fotel, z obu wytartych podłokietników sterczała gąbka. Obok niego stało krzesło kuchenne z metalową ramą.

- Weź no sobie krzesło stamtąd, młodzieńcze - powiedział Macintyre do Turnera, zajmując miejsce w fotelu. Sierżant usłuchał, choć zanim usiadł na bliźniaczym, wątlým metalowym krześle, musiał uprzątnąć zeń stertę starych gazet. Pendragon usadowił się po lewej stronie gospodarza.

Po chwili ich oczy przywykły do ciemności i zaczęli różniać inne detale wnętrza. Macintyre poruszył się nerwowo w fotelu. Laska, której używał, stała oparta o jego lewą nogę.

- No to co chcecie wiedzieć? - spytał, wpatrując się we

własne kolana, a potem nagle chrapliwie się rozkaszał.

239

-Jedziemy prosto ze szpitala Riverwell - zaczął Pen-
dragon.

-Ach tak. Czyli wiecie, że dziewczyna Kinnearów daw-
no nie żyje.

-Tak, panie Macintyre. Mniej więcej wiemy, co zaszło
i jak zniknęła w dziewięćdziesiątym szóstym, podczas wy-
cieczki.

Macintyre znowu się rozkaszał.

-Dowiedzieliśmy się też, że Juliette Kinnear zaatak-
owała pana, co było głównym powodem późniejszego za-
mknięcia jej w szpitalu.

Stary nie odpowiedział. Wciąż wpatrywał się w swoje
kolana, a policjanci widzieli tylko niewyraźny zarys jego
postaci.

-Dla wielu ludzi rok tysiąc dziewięćset dziewięćdzie-
siąty piąty był dawno temu - rzekł wreszcie Macintyre gło-
sem bliskim szeptu. - Ale nie dla mnie. To był trzynasty
listopada dziewięćdziesiątego piątego roku, a ja mam wra-
żenie, jakby to było wczoraj.

-Będzie pan w stanie opowiedzieć nam o tym? - spytał
Turner, usiłując dostrzec coś w notatniku, który trzymał kil-

ka centymetrów od twarzy. Po chwili zrezygnował jednak i położył go na kolanie. Zastanawiał się, czy nie poprosić o włączenie światła, ale doszedł do wniosku, że gospodarz mógłby się niepotrzebnie zirytować.

-Nie rozmawiałem o tym z nikim, odkąd odszedłem z pracy u Kinnearów.

-Zapłacili panu?

-O tak. I nie widziałem wielkiego sensu w toczeniu wojny przeciwko nim - odpowiedział cicho starzec, wciąż nie unosząc głowy. - Dziewczynę oddali do szpitala. Mieli nadzieję, że da się ją jeszcze wyleczyć. A ja wiedziałem, że w moim interesie będzie przejść na „wcześniejszą emery-

240

ture", że się tak wyrażę, i trzymać gębę na kłódkę. Oficjalnie nie zostałem poraniony nożem, tylko miałem bliżej nieokreślony wypadek w pobliżu rezydencji.

-Rozumiem - odparł Pendragon. - Czuje się pan na siłach opowiedzieć nam więcej o samym ataku? Na przykład o tym, co mogło go sprowokować?

Macintyre nagle uniósł głowę.

-Sprowokować? Nic go nie sprowokowało - wycedził. - Ja nic nie zrobiłem. Absolutnie nic. Dziewczyna Kinnearów była szalona; nie potrzebowała żadnej prowokacji.

Inspektor pozwolił, by staruszek sam się uspokoił i podjął przerwana opowieść wtedy, gdy uzna to za stosowne.

-Pracowałem przy rabacie z kwiatami; jesień była wtedy wyjątkowo łagodna. Dla ogrodnika to pracowity czas: trzeba sprzątać liście, przekopywać ziemię... Tak czy owak, pracowałem sobie za szklarnią. A tę dziewczynę znałem dobrze. Przychodziła do mnie czasem i gadaliśmy sobie. Zawsze była trochę dziwna. Lubiła malować w ogrodzie. Wariackie były te jej obrazki, jeśli mam być szczerzy. Malowała dom czy ogród, ale na płótnie nic nie wyglądało tak, jak powinno. Taka nowoczesność chyba. Niektórzy uważali, że jest całkiem niezła w tym, co robi, ale ja nigdy tak nie sądziłem. W tamtą niedzielę też wyszła do ogrodu i usiadła na murku, jak to często robiła. Przyszło mi do głowy, że trochę dziwnie wygląda. Miała takie ogromne źrenice... Teraz oczywiście wiem, że coś brała. I nagle spytała: „Mac, czy mogłabym cię namalować?” Roześmiałem się. „A po cóż, u diabła, miałabyś to robić?”, odpowiedziałem. „Zresztą i tak nie wyglądałabym tak jak w rzeczywistości, gdy już byś skończyła”. Teraz to ona się zaśmiała. I zeskoczyła z murka.

Macintyre umilkł.

Turner zerknął na Pendragona, lecz choć jego oczy przy-

wykły już do ciemności, ledwie mógł dostrzec zarys postaci szefa, który cierpliwie czekał.

-W ostatniej chwili dostrzegłem błysk czegoś w jej ręku. Nie wiedziałem oczywiście, że to nóż do chleba. Bo chyba trudno się tego spodziewać, co? - Głos Macintyre'a stał się niemal niesłyszalny. Stary musiał zdać sobie z tego sprawę, bo poruszył się niespokojnie w fotelu i odchrząknął głośno. - Czternaście ran - powiedział spokojnie. - Straciłem litry krwi, zanim goniec przypadkowo znalazł mnie na ścieżce. Nikt w całym domu nie usłyszał moich krzyków. - Macintyre zawiesił głos. Policjanci słyszeli teraz jego ciężki oddech. - Sierzancie? - rzekł po chwili. Turner widział tylko ciemną plamę jego twarzy, ale czuł, że stary spogląda na niego. - Mógłby pan, proszę, rozsunąć troszkę te zasłony? Turner spojrzał przelotnie na inspektora, ale nie był w stanie odczytać wyrazu jego twarzy. Wstał, wyciągnął ręce przed siebie jak starzec i ruszył w kierunku czerwonej poświaty okna. Po chwili poczuł pod palcami jakby woskowaną powierzchnię materiału. Zatrzymał się, odnalazł krawędź zasłony i szarpnął w prawo. Światło dnia zalało pokój. Turner odwrócił się na pięcie, osłaniając oczy dłonią. Widział, że i Pendragon uniósł rękę

do skroni, a potem opuścił ją, by spojrzeć na straszliwie okaleczoną twarz Jimmy'ego Macintyre'a.

-Czternaście ran - powtórzył starzec. Jego górna warga była przecięta blizną, biegnącą aż do miejsca, w którym dawniej znajdowało się lewe oko i wykrzywiającą jego oblicze w coś na kształt lubieżnego grymasu. - I wszystkie na twarzy.

ROZDZIAŁ 36

Do pani Soni Thomson

15 października 1888 r.

A teraz, Soniu... Mam nadzieję, droga pani, że wybaczysz mi tę poufałość. Pozwalam sobie na nią, bo czuję, że poznaliśmy się już całkiem dobrze. Tak wiele dowiedziałem się o tobie od twego gadatliwego małżonka, a z drugiej strony ja ujawniłem przed tobą więcej prawdy o sobie niż przed kimkolwiek innym. Tak czy inaczej, pozwól, że opowiem ci teraz o tym, jak wreszcie przystąpiłem do realizacji moich pomysłów.

Niemal zawsze przed rozpoczęciem nowej pracy następuje moment lęku, krótki dreszcz niepewności. Czy nadal potrafię to robić? Czy jeszcze umiem tworzyć? Z całą pewnością nie jestem jedynym malarzem ani pisarzem, który doświadczył czegoś takiego. Lecz choć zabrzmiało to

dziwnie, rankiem trzydziestego pierwszego sierpnia tego roku, niespełna dwa miesiące temu, w ogóle nie czułem tej tremy. Tak bardzo zaangażowałem się w swoje plany, tak bardzo podniecała mnie myśl o rychłym rozpoczęciu pracy nad arcydziełem, że nie doświadczyłem nawet w najmniejszym stopniu nerwowości, której należało się spodziewać.

Przejrzałem moje notatki i wstępne szkice. Pierwsza ofiara: Mary Ann Nichols. Czterdzieści trzy wiosny, sto 243

pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, ciemne włosy, szare oczy. Matka czworga dzieci. W separacji z mężem Williamem. Dobrze znana w okolicy jako „panna młoda” bez stałego adresu. Zerknąłem na zegarek. Była 1.34 nad ranem. Włożyłem płaszcz, zabrałem torbę i wyszedłem na zalewane deszczem ulice.

Otaczała mnie cisza, gdy szedłem w stronę Pawu. Występy muzyków dobiegły końca, ale burdel działał w najlepsze. Wolno wszedłem schodami na górę i zatrzymałem się w przedsionku. I tu było cicho i pusto. Usiadłem, sięgnąłem po gazetę i zacząłem czytać. Znałem rozkład zajęć mojej ofiary i wiedziałem, czego należy się spodziewać.

o 2.15 wyszła z jednego z pokoi w korytarzu po mojej

lewej stronie. Uniosłem głowę, gdy mnie mijiała. Była niższa, niż ją pamiętałem; wyglądała na chorą i niedożywioną. Spojrzała na mnie lubieżnie i zatrzymała się tuż obok.

— Na dziś skończyłam, skarbie - powiedziała z uśmiechem. Jej blade wargi rozsunęły się, odsłaniając krzywe siekacze oraz brak dwóch zębów, po jednym u dołu i u góry. — Ale dla ciebie, kochasiu, mogłabym znaleźć jeszcze chwilę... jesteś zainteresowany?

Pokręciłem głową i znowu pochyliłem się nad gazetą.

— Jak chcesz.

Ruszyła w kierunku schodów, a ja usłyszałem dzwonięcie monet, które Mary Ann wesoło podrzucała w górę. Była najwyraźniej zadowolona z owoców pracy tego wieczoru. Może udało jej się zarobić tyle, że wystarczy na czteropensowy nocleg w pensjonacie przy Thrawl Street 18, gdzie często bywała?

Odczekałem chwilę, zanim po cichu złożyłem gazetę, wstałem i ruszyłem za nią po schodach. Wyszędłszy na Whitechapel Road, dostrzegłem moją zdobycz w chwili, gdy znikła za rogiem wąskiego zaułka. Domyślałem

244

się, dokąd zdążyła. Przyspieszyłem kroku i wychylnąłem zza rogu w samą porę, by zobaczyć, jak znika za wąskimi

drzwiami podłego baru, należącego do twardego Irlandczyka nazwiskiem O'Connor, którego miałem nieszczęście poznać wcześniej, gdy rozpoznawałem teren.

Postanowiłem zaczekać w zaułku, przyczajony w ciemności. Nie było innego wyjścia z knajpy O'Connora, zatem miałem pewność, że Mary Ann nie wyśliźnie się niezauważona. Na szczęście deszcz ustał, ja zaś byłem tak podniecony tym, co miało nastąpić, że czas płynął mi niezwykle szybko. Mniej więcej po półgodzinie kobieta wyszła z baru, uwieszona ramienia jakiegoś mężczyzny, zanosząc się pijackim chichotem. Jej towarzysz wyglądał na trzeźwiejszego, ale i z lekka wystraszonego. Był młody i blady; miał wielkie, niespokojne oczy. Patrzyłem, jak skręcają w najbliższą ulicę, oddalając się od Whitechapel Road. Trzymając się cienia, podążyłem za nimi cicho jak mysz. Wkrótce zagłębiliśmy się w labirynt zaułków tak wąskich, że przypominały tunele wśród gęstej i wysokiej, chaotycznej zabudowy. Spędziłem w East Endzie już kilka tygodni, ale wciąż nie mogłem się przyzwycząić do potwornego smrodu, który tam panował. W tych ciasnych uliczkach, po których płynęły strugi ścieków, pośród czających się w mroku szczurów wielkości kotów, fetor był niemal powalający.

Panowała tam także nieprzenikniona ciemność, jedynym źródłem światła był bowiem wiszący wysoko księżyc. Lecz i on był owej nocy jedynie wątłym półkolem w kolorze niezdrowej żółci, po części przesłoniętym chmurami. Podniecenie wyostrzyło mi zmysły, a doświadczenia poprzednich nocnych spacerów dodały odwagi. Do moich uszu docierały pojedyncze słowa — para wciąż szła ledwie kilka metrów przede mną.

245

Wreszcie się zatrzymali, a ja uczyniłem to samo. Posłyszałem teraz szelest ubrań i z plamy głębokiej ciemności, w której się zaszyłem, widziałem dwa niewyraźne kształty. Mary Ann stała wsparta o ścianę, z rękami uniesionymi nad spuszczoną głową. Rozległy się stłumione jęki, potem słowa zachęty ze strony kobiety i wreszcie jakby basowy warkot. Znowu zaszeleściły ubrania, znowu chichot i znowu odgłos kroków, tym razem cichnący. Bezszelestnie zsunąłem torbę z ramienia, położyłem na ziemi i wyjąłem dwudziestocentymetrowe ostrze.

Chmura przesłaniająca księżyc pękła i na krótką chwilę do ciemnego zaułka wpłynął żółtawy blask. Zobaczyłem kobietę poprawiającą spódnicę. Uniosła głowę, gdy snop księżycowego światła wydobył z mroku błyszczące

od deszczu mury. Dostrzegłem profil jej bladej, kostropatej twarzy. Nie miała pojęcia, że jestem w pobliżu, póki nie pochwyciłem jej od tyłu. Lewą dłoń zacisnąłem na jej gardle, odchyliłem jej głowę do tyłu i przycisnąłem klingę wielkiego noża do miękkiej skóry. Pociągnąłem od lewej do prawej, jednocześnie cofając ostrze ku sobie, aż przecięło wszystkie tkanki i zatrzymało się na którymś z kręgów.

Nie pamiętam, w jaki sposób powróciłem z Buck's Row, zaułka, w którym uśmierciłem pierwszą kurwę, do mojego mieszkania przy Wentworth Street. Choćbym próbował z całych sił, nie potrafię przywołać żadnej sceny od chwili, gdy ciało Mary Ann osunęło się w błoto, do momentu, gdy zacząłem myć ręce i twarz w misce wody, którą przezornie przygotowałem sobie jeszcze przed wyjściem z domu kilka godzin wcześniej. Pamiętam za to własne odbicie w małym, wyszczerbionym lusterku, którego używałem

246

zwykle podczas golenia, a które jak zawsze stało tuż za miską. Moje dość jasne włosy kleiły się do czoła, a policzki były mocno zarumienione. Patrzyłem sobie w oczy nienaturalnie rozszerzonymi, czarnymi źrenicami. Spojrzałem w misę poczerwieniałej wody i na krótką chwilę

zniknąłem z tej brudnej, ciasnej izby nad sklepem z ziarnem w Whitechapel. Znowu byłem małym chłopcem, pochylonym nad biurkiem w gabinecie ojca, unieruchomionym z czerwoną chustką matki tuż przy mojej twarzy. Spojrzałem w lustro raz jeszcze i uśmiechnąłem się tak szeroko jak kot z Cheshire.

Nie mogłem zasnąć. Siedziałem przy oknie, nasłuchując w skupieniu odgłosów z sąsiedztwa - miasto budziło się z wolna, a ja czekałem na pierwsze oznaki tego, że ktoś odnalazł ciało prostytutki. Mniej więcej o szóstej usłyszałem jakiś tumult, a potem przenikliwy odgłos policyjnego gwizdka. Spojrzałem w lustro, poprawiłem krawat, włożyłem kapelusz, wcisnąłem szkicownik pod ramię i wyszedłem na ulicę.

Dwaj mężczyźni w czarnych garniturach przykucnęli obok ciała, a policjant stał ledwie o kilkanaście centymetrów od głowy zamordowanej kobiety. Funkcjonariusz odwrócił się ku mnie, gdy skręciłem w Buck's Lane; dwaj pozostali uczynili to samo, gdy zbliżyłem się do zwłok Mary Ann.

-Czym mogę panu służyć? - spytał policjant. - To jest miejsce zbrodni. Żaden z moich ludzi nie próbował pana zatrzymać?

Podałem mu złożoną kartkę papieru. Był to list polecający od Archibalda.

-Jestem artystą zatrudnionym w tej gazecie — wyjaśniłem. — Nazywam się Harry Tumbril.

Policjant spojrział na list i prychnął ze złością.

247

— W porządku - mruknął po chwili. - Tylko niech się pan nie pałęta pod nogami.

Skinąłem głową i odsunąłem się nieco, by mieć lepszy widok na miejsce zbrodni. Dwaj mężczyźni zdążyli już przewrócić zwłoki na plecy. W porannym blasku słońca rana na szyi była wręcz nienaturalnie czerwona. Krew wokół niej zdążyła już zakrzepnąć, tworząc gruby strup, ciągnący się w dół niczym karmazynowa lina albo dziwaczny naszyjnik. Spódnica była zadarta do góry, a bielizna zsunięta. Dostrzegłem też dwa głębokie nacięcia na korpusie Mary Ann.

-Od jak dawna nie żyje? - policjant zwrócił się do jednego z mężczyzn w czerni.

— Powiedziałbym, że od paru godzin. Sztywna jak deska.

Otworzyłem szkicownik i zacząłem rysować.

-Mój Boże! Cóż za nieszczęsna młoda kobieta! - wy-

krzyknął Archibald, trzymając mój szkicownik w wyciągniętej ręce. Staliśmy w jego gabinecie przy Pall Mail. - Co powiedziawszy, muszę stwierdzić, że wykonałeś wspaniałą robotę, Harry - dodał, po czym zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Na jego twarzy malował się wyraz uznania. - Tylko... no, nie wiem, stary. Cholernie trudno sobie wyobrazić, jaki łajdak mógł zrobić coś takiego, nie sądzisz?

Skinąłem głową. Zaczynałem czuć zmęczenie. Spojrzałem na zegar ścienny - zbliżało się południe. Nie spałem od ponad dwudziestu czterech godzin. Podniecenie, które odczuwałem i które dawało mi energię przez tak długi czas, zaczęło mijać. Wciąż byłem owładnięty wielką radością, to pewne, ale ustawało już owo przyspieszone bi-

248

cie serca, które czułem wtedy przy Buck's Row, gdy stojąc tuż obok durnych gliniarzy dyskutujących o przyczynie śmierci, szkicowałem moją ofiarę.

-Słuchaj, a może wpadlibyśmy do Reform Clubu na kieliszek lub dwa?

Pokręciłem głową.

-Nie dzisiaj, dziękuję, Archibaldzie. Muszę przyznać, że jestem bardzo zmęczony.

Zmarszczył brwi, ale zaraz uśmiechnął się do mnie.

-To całkiem zrozumiałe - rzekł, kładąc dłoń na moim ramieniu. Wzdrygnąłem się mimowolnie, ale on chyba tego nie zauważył. Uścisnął moje niechętne ciało i dodał: - Lepiej wróć już do domu, Harry. Wypocznij porządnie. Postaram się, żeby twoje prace trafiły do wieczornego wydania.

Naprawdę byłem niesamowicie zmęczony. Gdy dowlokłem się na Wentworth Street, wręcz zwałem się na łóżko i zapadłem w głęboki sen pozbawiony jakichkolwiek wizji. Gdy się ocknąłem, na zewnątrz było już ciemno i cicho. Sięgnąłem po zegarek i ze zdumieniem spostrzegłem, że dochodzi dwudziesta druga.

Jeśli pozwolisz, Soniu, nim dokończę moją opowieść, wyjaśnię ci teraz kilka zagadnień z dziedziny sztuki - musisz bowiem wiedzieć co nieco o tym, w jaki sposób pracuje artysta. Zdałem sobie bowiem sprawę z tego, że pędzę naprzód z moją historią, a ty jesteś tylko prostą kobietą i nie posiadasz żadnej wiedzy na ten temat.

Podstawową sprawą dla artysty jest struktura. Chcę przez to powiedzieć, że aby z powodzeniem zrealizować dzieło, trzeba korzystać z pewnych zasad, wskazówek. Słowem, trzeba przestrzegać dyscypliny. Bez niej nie ma

mowy o prawdziwej sztuce, pojawia się bezwartościowa anarchia. Powiedziałbym nawet, że tym, co odróżnia

249

prawdziwego artystę - takiego jak ja - od marnego wyrobnika, jest jego podejście do każdej pracy: przyjęty rygor oraz inteligencja. I tak właśnie podszedłem do mojego arcydzieła. Zanim jeszcze po raz pierwszy użyłem noża, postanowiłem, że zabiję cztery kobiety, i szczegółowo zaplanowałem całą kampanię. Miałem gotową listę nazwisk przyszłych ofiar oraz niemałe dossier na ich temat; poświęciłem parę tygodni na zbieranie informacji. Znałem ich rozkład zajęć i przyzwyczajenia. Znałem ich towarzystwo i sporo wiedziałem o sytuacji życiowej każdej z czterech pań. Wiedziałem też dokładnie, jak przedstawię ich ciała na płótnie i na jakie detale zwrócę szczególną uwagę. I wreszcie — z góry dobrałem kolory, których zamierzałem użyć. Przygotowałem farby i płótna. Wiedziałem nieomylnie, co robię.

Co powiedziawszy, czym prędzej dodać muszę, że sztuka - czy to malarstwo czy rzeźba, czy muzyka, czy nawet pisarstwo - nie jest procesem automatycznym. Nie jest czymś sztywnym, nieelastycznym. Przeciwnie, jest organiczna, żywa, wiecznie zmienna i nieprzewidywalna.

Czynnik nieprzewidywalności jest w istocie tym, co czyni tworzenie procesu tak satysfakcjonującym. Miałem więc swoje plany... a potem nastąpiła chwila, w której stopniały i zostały zmyte przez niepowstrzymaną siłę spontaniczności. Być może po prostu przytłoczył mnie rozkoszny dreszcz tego, co rozpocząłem. Może zacząłem rozluźniać nieco ścisłą dotąd kontrolę nad procesem twórczym. Prosty fakt jest taki, że ocknąłem się w mej zapchlonej izbie z przemożnym pragnieniem, by znowu zabić... i to natychmiast.

Starannie rozważyłem kwestię przebrania. Była ona tak istotna nie tylko ze względu na moje bezpieczeństwo,

250

ale przede wszystkim dlatego, że chciałem od początku do końca zaspokoić moją artystyczną wrażliwość. Włożyłem więc czarną perukę, dokładnie zakrywając moje włosy. Obszarpany cylinder zastąpiłem modną, brązową czapką z dwoma daszkami. Użyłem podkładu, by nieco przyciemnić moją naturalnie bladą twarz, oraz z wielką delikatnością dokleiłem sobie szpakowatą bródkę i wąsy. Spędziłem przed lusterkiem i nad miednicą jeszcze kilka chwil, zmieniając linię zarostu pod dolną wargą oraz poprawiając czapkę nad czołem. Wreszcie uśmiechnąłem się do siebie, gotów na wszystko.

Elizabeth Stride miała być moją drugą ofiarą. Miała czterdzieści siedem lat, metr pięćdziesiąt wzrostu oraz bujne ciało. Jako matka trojga dzieci, była wręcz stereotypowym przykładem dziwki z Whitechapel. Zawsze chętna do wypitki, porzucona przez męża, mieszkała w nędznej chacie w Spitalfield. Ja zaś wiedziałem, gdzie znajdę ją tej nocy: tam, gdzie zawsze bywała we wtorki i czwartki o tej porze, czyli na rogu Hanbury Street i Spital Street. Poszedłem więc Osborn Street na północ. Powóz, który mnie wyprzedził, oblał mi buty wodą z kałuży, ale ja nawet nie zwróciłem na to uwagi. Skręciwszy w Hanbury Street, spostrzegłem Elizabeth w odległości czterdziestu pięciu metrów. Trzymała w rękach małą torebkę, miarowo kołysząc nią to w lewo, to w prawo. Zbliżyłem się nieco i usłyszałem jej głos. Podśpiewywała sobie tę idiotyczną piosenkę, którą zapamiętałem z Pawu:

Och, panie konduktorze, cóż ja począć mam?
Wiozą mnie do Crewe, a chcę do Birmingham!
Lub do Londynu wrócę, tak szybko jak się da,
To właśnie, konduktorze, głupiutka, słodka ja!

251

-Dobry wieczór - powiedziałem.

Wystraszyła się; widocznie podszedłem do niej znacz-

nie ciszej, niż mi się zdawało. Zaraz jednak spostrzegłem, że jest pijana, a także poczułem woń ginu w jej oddechu. Odepchnęła się od ściany i obdarzyła mnie profesjonalnie wyuzdanym uśmiechem - do tego była zdolna bez względu na to, ile wchłonęła alkoholu.

-O, dobry wieczór panu - wybełkotała. - Co mogę dla pana zrobić?

Uśmiechnąłem się przelotnie, acz zachęcająco.

-Cóż, wyobraźnię to ja mam bujną.

-No to cudnie — odrzekła, po czym złapała mnie za rękę i pociągnęła jeszcze kilka kroków dalej. Znaleźliśmy się w bocznej alejce cuchnącej rybami i kapustą. - Tutaj - powiedziała Elizabeth i poczułem, że puszcza moje palce. W półmroku ledwie widziałem jej postać, ale po chwili blask lampy palącej się gdzieś za oknem wyłuskał jej sylwetkę z ciemności.

Poczułem na twarzy pierwsze krople deszczu.

-Tutaj, kochasiu - odezwała się znowu.

Tym razem poczułem jej dotyk w okolicy krocza. Wstrzymałem oddech, walcząc z nagłym napadem mdłości. Prawą rękę wsunąłem zaś za pazuchę, by wyjąć mój ulubiony nóż.

Elizabeth zerknęła w dół i dostrzegła błysk stali.

-O nie! - wymamrotała, lecz zaraz umilkła i zamarła, lewą ręką bowiem zatkałem jej usta, a prawą wsunąłem ostrze pomiędzy jej nogi.

Cofnąłem je po chwili, obróciłem kobietę plecami do siebie, przyłożyłem nóż do gardła i pociągnąłem. Pozwoliłem, by osunęła się na mnie; czułem jej rozkosznie ciepłą krew na palcach i nadgarstku.

Miałem mnóstwo czasu, a od wielu dni wiedziałem też

252

dokładnie, co zamierzam zrobić z materiałem leżącym u moich stóp. Realizacja potrwała zresztą krócej, niż się spodziewałem. Wykonałem nacięcia na twarzy Elizabeth, rysując trójkąty na obu jej policzkach. Potem zabrałem się do tułowia: otworzyłem brzuch i wydobyłem macicę. Spory kawałek jelita zarzuciłem na jej lewe ramię; wyciąłem też prawą nerkę, którą schowałem do kieszeni. To uczyniwszy, rozejrzałem się uważnie. Nie zauważyłem i nie usłyszałem nikogo. Wyprostowałem się i przeciągnąłem, by ulżyć sobie w bólu pleców. Sięgnąłem do kieszeni po kawałek kredy i podszedłem do ceglanej ściany o kilka metrów od miejsca, w którym spoczywały stopy Elizabeth Stride. Bez pośpiechu nakreśliłem na niej - z błędem zresztą - kilka słów: „Żydzi są ludźmi, których nie będzie się winić

za nic". Cofnąłem się parę kroków i przyjrzałem uważnie memu dziełu w bladym świetle księżyca.

Chwilę później byłem już na Osborn Street. Opuściłem czapkę nisko na oczy i żwawo pomaszerowałem mokrym chodnikiem na południe, ku Whitechapel Road. Dwie minuty później byłem już na rogu Wentworth Street i skręcałem w stronę mojego mieszkania - dzieliło mnie odeń nie więcej niż dwadzieścia metrów.

I wtedy ujrzałem dwóch policjantów idących z przeciwnika. Nie wiem dlaczego, ale zareagowałem nerwowo — może miało to coś wspólnego z tym, że właśnie zamordowałem kobietę i rozprułem jej brzuch. A może z tym, że niosłem w kieszeni jej nerkę, z której sączyła się krew i wsiąkała w materiał mego płaszcza. Tak czy owak, w możliwie naturalny sposób zawróciłem w miejscu i ruszyłem z powrotem ku Osborn Street, a potem, przepuściwszy jadące ulicą powozy, przebiegłem na drugą stronę i dopiero wtedy odważyłem się spojrzeć za siebie. Policjantów już nie zobaczyłem.

253

Byłem na Old Montague Street. Znałem dobrze te strony z moich przygotowań. Dwadzieścia metrów za ruchliwym skrzyżowaniem Osborn Street z ulicą, na której się

znajdowałem, łączyła się wąska alejka prowadząca do Finch Street. Skoczyłem więc w mrok gęsty jak atrament, pozwalając, by odgłosy nocnych libacji, rzenie koni i chlupot wody na bruku pozostały daleko za moimi plecami. Wystarczyło, że uszedłem dziesięć metrów w głąb tego zaułka, abym przestał widzieć wyciągniętą przed siebie rękę. Przykucnąłem pod ścianą po lewej stronie, wyjąłem zakrwawiony nóż i pospiesznie wygrzebałem nim dziurę w mokrej glebie. Rozgarnąłem ziemię palcami, a potem wyłowilem z kieszeni szarą nerkę, podobną do pulchnej, surowej kiełbaski. Rzuciłem ją do dołka i zasypałem, palcami ugniatając grunt. Zatarłszy ślady kopania, wytarłem dłonie i wstałem.

Ruszyłem w powrotną drogę, naprowadzany coraz szerszą smugą księżycowego światła wdzierającego się pomiędzy mury. Wychodząc na powrót na Osborn Street, głowę trzymałem nisko. Nagle wystraszył mnie głos:

- Uważaj!

Zadarłem głowę i ujrzałem jadącą wprost na mnie dorózkę. Zareagowałem ze zdumiewającą zwinnością, uskakując na bok w samą porę. Kopyta rozpedzonych koni ominęły mnie o kilka centymetrów. Brudna woda zbryzgała moje spodnie i buty, a ja sam omal się nie przewróciłem

o wysoki krawężnik.

A teraz pozwól, droga pani, że zadam ci pytanie. Czy wierzysz w przypadek? Ja zawsze wierzyłem. Zmienna to siła, ale dla mnie całkowicie realna. Zresztą bez względu na to, czy wierzysz, że jest on częścią Natury, ja sam doświadczyłem mocy przypadku właśnie w tamtej chwili, gdy odzyskałem równowagę po spotkaniu z rozpędzo-

254

ną dorożką, której woźnica posłał mi jeszcze wiązaną przekleństw. Otóż trzecia kobieta z mojej listy, Catherine Eddowes, stała dokładnie naprzeciwko mnie, po przeciwnej stronie ulicy, jak zawsze szukając klientów.

Catherine, jak być może pamiętasz, pracowała w Pa-
wie. Ona to właśnie była kobietą, z którą zabawiał się twój mąż owej nocy, gdy go poznałem. Teraz miała na sobie zielono-czarną suknię, a długie i piękne, ciemno-rude włosy skrywała pod czarnym czepkiem obramowanym zielonym aksamitem. Widać było, że jest pijana - kołysała się nieustannie, zaczepiając przechodniów. Gdy spotkała ją odmowa, Catherine głośno klęła mężczyznę. Może i lepiej się stało, że jej głos nie niósł się zbyt daleko, bo z powodu braku niemal wszystkich górnych zębów okrutnie sepleniała.

Niespiesznie przeszedłem na drugą stronę ulicy i zatrzymałem się kilka metrów od dziwki; nawet z tej odległości czułem smród wódki. Subtelnym skinieniem głową dałem jej do zrozumienia, że powinna pójść za mną do wąskiego zaułka zaczynającego się parę metrów dalej - jednego z tysięcy ciemnych i wąskich szlaków dzielących rejon Whitechapel.

- Zaraz, mój panie - dobiegło mnie z tyłu seplenienie Catherine Eddowes. - Najpierw pokaż mi forszę.

Odwróciłem się wolno i czekałem, aż zbliży się do mnie, cuchnąca alkoholem. Spojrzałem na jej brudną twarz i na niesforny kosmyk włosów, który wysunął się spod czepka i zwisał jej nad okiem. Zdmuchnęła go na bok, a ja uśmiechnąłem się lekko, wyjąłem z kieszeni szyling i podałem go jej na otwartej dłoni. Spojrzała na mnie ukradkiem i porwała monetę, a zaraz potem chwyciła mnie za kołnierz. Chichocąc, zaparła się o śliskie kamienie i pociągnęła mnie ku sobie.

255

- Za tyle należy się specjalne traktowanie - wysepleniła szeptem i spróbowała ukucnąć przede mną.

- Nie — syknąłem. - Wstawaj! — rozkazałem i jednym szarpnięciem poderwałem ją i obróciłem twarzą do

ściany.

-Jak sobie życzysz, skar...

Rozległ się charakterystyczny bulgot, gdy ostrze zagłębiło się w jej gardło. Krew trysnęła na ścianę mocnym strumieniem. Kilka kropeł poczułem na twarzy i w oczach. Zakląłem i pozwoliłem, by ciało prostytutki upadło u moich stóp. Czepek przesunął się na bok. Pochyliłem się i obróciłem jej twarz ku sobie. Oczy już się zaszklily, a usta poruszały się bezgłośnie. I wtedy kątem oka dostrzegłem światło. Odwróciłem się gwałtownie i ujrzałem policjanta z latarnią w wyciągniętej ręce. Jej blask oświetlał jego twarz - wysokie kości policzkowe i krzaczaste brwi - a także hełm ze srebrną odznaką i fałdy płaszcza zwisające z uniesionego ramienia. Zauważyłem mnie. Rzuciłem się do ucieczki.

Zaułek kończył się niezbyt wysokim ceglany murem.

Było tak ciemno, że zauważyłem go w ostatniej chwili.

W normalnych okolicznościach wspinaczka po mokrych ceglach nie byłaby łatwa, ale ja miałem w sobie tyle energii, że moje serce biło jak oszalałe, a mięśnie były nienaturalnie napięte. Usłyszałem dźwięk gwizdka, szczególnie przenikliwy w wąskim tunelu między budynkami.

Służbowa latarnia podskakiwała miarowo przy każdym

kroku, rzucając stożek światła to w jedną, to w drugą stronę. Widziałem doskonale, jak policjant zatrzymał się na chwilę przy zwłokach, a sekundę później byłem już po drugiej stronie muru. Usłyszałem zbliżające się kroki. Ścigał mnie, był już przy murze!

-Stać! - wrzasnął. - Stać! Morderca!

256

I znowu zadał w gwizdek. Tym razem dźwięk był dwukrotnie głośniejszy. Posłyszałem dalekie głosy i tupot nóg. Jacyś ludzie naradzali się i już zaczęli poszukiwania. Nie czekając dłużej, pognałem w ciemność.

Coś trzasnęło mi pod stopą. Zachwiałem się, ale zdołałem utrzymać równowagę. Moje wyciągnięte do przodu ramiona trafiły na coś dużego i drewnianego - jakąś beczkę. Przewróciła się na bok i z klekotem potoczyła w mrok. Znowu gwizdek. Puściłem się biegiem i minąłem wąski wylot zaułka.

Ulicą szła grupa rozkrzyczanych jegomości. Byli bardzo mocno pijani; wszyscy, co do jednego, kiwali się na boki. Dałem susa tuż obok nich; wciąż jeszcze nie zdawali sobie sprawy, że w bocznej alejce narasta tumult. Wsunąłem się w wąski otwór drzwi i zaczerpnąłem tchu. Miałem wrażenie, że był to pierwszy głęboki oddech, od-

kąd poderznąłem gardło Catherine Eddowes. Zauważyłem krew na mojej koszuli. Ciaśniej opatuliłem się marynarką, by ukryć plamę, a potem otarłem chustką krople krwi z twarzy. Dotknąłem językiem jednej z nich i przeszył mnie przyjemny dreszcz, gdy poczułem metaliczny smak, doprawiony aromatem tego, co zwykli śmiertelnicy zapewne nazwaliby grzechem. Ty jednak, moja pani, wiesz już zapewne doskonale, że lekce sobie ważę wszystkie te pruderyjne tabu.

Nie miałem wiele czasu do stracenia. Wyjrzałem z kryjówki i zauważyłem, że w pobliżu pojawiło się trochę ludzi. Postanowiłem przejść na drugą stronę ulicy i już miałem skrócić w wąską przecznicę, gdy znowu usłyszałem ten przekłety dźwięk piekielnego narzędzia - policyjnego gwizdka. Mimowolnie odwróciłem się w stronę, z której dochodził, i oto stanęliśmy naprzeciwko siebie, oddzieleni jedynie długością alejki. Patrzył prosto na mnie. Za-

257

uważyłem ruch jego ust i już wiedziałem, że za sekundę krzyknie.

— Morderca! - ryknął potężnie, bez trudu zagłuszając szuranie butów pijaków i głupkowate chichoty ich towarzyszek. Ja zaś otrząsnąłem się zaraz i pognałem na zła-

manie karku w głąb bocznej uliczki.

Była ciemna, jak wszystkie pozostałe alejki, zaułki i przesmyki między murami domów w tej cuchnącej dzielnicy. Czuję, że zaczynam mieć dość tych stron... i diabelskiej gorliwości miejscowych stróżów prawa! Wąski pas światła przede mną podpowiedział mi, że zbliżam się do większego ciągu komunikacyjnego, lecz tym razem nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. I nagle wypadłem wprost na Whitechapel Road. Zerknąłem przez ramię za siebie i przeraziłem się: w mroku kołysały się już dwie policyjne latarnie. Zbliżały się w szybkim tempie.

Pobiegłem na lewo, minąłem sklep i zamknięte na łańcuch drzwi, lecz tuż obok nich zauważyłem otwarte przejście, a nad nim szyld z napisem: Kolej Metropolitalna, Whitechapel i Mile End. Wskoczyłem do środka, przeskoczyłem nad bramką broniącą wstępu na stację i dudniąc butami o posadzkę, puściłem się tunelem w kierunku peronu.

Nigdy wcześniej nie byłem na stacji kolei podziemnej i zapewne w innych okolicznościach byłbym zafascynowany tym miejscem. Teraz jednak sprawy wyglądały inaczej. Nie zwalniając kroku, biegłem po peronie, rozpychając na boki nielicznych pasażerów czekających na pociąg. Nagle

rozległ się najgłośniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek sły-
szałem. Przez chwilę zdawało mi się, że oto ziemia się za-
pada i zaraz mnie pochłonie, bo jakimś niepojętym i nie-
fortunnym zbiegiem okoliczności postanowiłem szukać
schronienia w tym podziemnym świecie akurat w chwili,
258

gdy przystanek Whitechapel miał się rozpaść w proch
i pył. Nie stało się jednak nic tak dramatycznego - to tyl-
ko pociąg z hukiem wtoczył się na stację. Niczym głośno
ryczący demon wprost ze stronic horroru wystrzelił z tu-
nelu w blask światła, buchając na wszystkie strony dy-
mem i parą.

Nie miałem pojęcia, czy ambitni funkcjonariusze Wy-
działu H Policji Metropolitalnej jeszcze kontynuują pościg,
ale też wcale nie zamierzałem czekać, by się o tym prze-
konać. Pociąg zatrzymał się wreszcie, a ja wskoczyłem do
najbliższego wagonu - tak się złożyło, że pierwszej klasy.
Był pusty, więc z uczuciem przemożnej ulgi opadłem ciężko
na najbliższe siedzenie. Po chwili opanowałem przyspie-
szone bicie serca, odetchnąłem kilkakrotnie i rozejrzałem
się po nowym dla mnie miejscu. Było tam naprawdę piękn-
ie: mosiężne okucia, lustra na ścianach, gazowe lampy
na końcu każdego rzędu siedzeń... I wtedy usłyszałem,

że ktoś otwiera drzwi na samym końcu wagonu.

Sądziłem, że tej nocy nic już mnie nie zaskoczy, lecz gdy spostrzegłem granatową pelerynę policjanta w szczelinie otwierających się do środka drzwi, a zaraz potem jego kopulasty hełm, byłem w szoku. Zerwałem się z wygodnego, krytego zieloną skórą siedziska i korytarzem między rzędami foteli pognałem w stronę przeciwnego końca wagonu. Dopadłem drzwi i szarpnąłem za uchwyt. Ustały. Skoczyłem naprzód i znalazłem się w chmurze dymu, smagany zimnym powietrzem i ogłuszony hukiem pędzącego pociągu, na wąskiej metalowej kładce między dwoma wagonami. Zatrzasnąłem za sobą drzwi, przeskoczyłem nad sprzęgiem i otworzyłem sąsiedni wagon. W tym momencie pociąg przyhamował i omal nie upadłem na twarz, w locie zamykając za sobą drzwi. Zostałem tam tylko dwoje pasażerów. Pobiegłem przed siebie, nie ogląda-

259

jąc się nawet na dźwięk otwieranych drzwi. Odpychałem się rękami od oparcí foteli, by zachować równowagę i zyskać jeszcze większą prędkość. W zasadzie nie myślałem o tym, dokąd tak biegnę i co chcę tym sposobem osiągnąć.

Stałem na kolejnym pomoście między wagonami

i spojrzałem w dół, na błyskawicznie przemykające pod mną podkłady toru. Wyczułem, że pociąg zaczyna zwalniać. Odwróciłem się, by zajrzeć do wagonu, z którego właśnie uciekłem. Dwaj policjanci wciąż biegli za mną, asekurując się rękami, podobnie jak sam to czyniłem, by nie upaść w kołyszącym się na boki pojeździe.

Wyciągnąłem rękę w stronę klamki u drzwi kolejnego wagonu. Nacisnąłem i pociągnąłem. Nie otworzyły się. Poczulem na kręgosłupie dreszcz podniecenia i uśmiechnąłem się. Tak, naprawdę nieźle się bawiłem. Ale co teraz zrobić? Mogłem zawrócić i zaatakować policjantów, ale to byłoby ryzykowne. Dwóch na jednego. Ja miałem nóż, a oni pałki. Zapewne miałem parę procent szans, ale powiem ci szczerze, moja droga pani, że w tym momencie zaczynałem już podejrzewać, że szczęście mnie opuściło. Spojrzałem w dół, na dno tunelu. Pociąg mocno już zwolnił bieg; w oddali dostrzegłem światło kolejnej stacji. Popatrzyłem na ściany tunelu. Po obu stronach pociągu miałem niespełna metr wolnej przestrzeni. Czy to wystarczy? Gdybym skoczył, mógłbym zostać wciągnięty pod koła pędzącego pociągu. Gdybym tego nie zrobił, musiałbym wdać się w walkę i niemal na pewno przegrać. Poczulem szybsze bicie serca. Nigdy jeszcze nie byłem w tak niebez-

piecznej sytuacji i wyznam, że było to uczucie odurzające. Wiedziałem, że jeśli przeżyję, właśnie tę chwilę będę przeżywał w pamięci w nieskończoność.

Odetchnąłem głęboko i spojrzałem na funkcjonariuszy. Pierwszy z nich - byłem pewny, że to ten sam, który na-
260

tknął się na zwłoki Catherine Eddowes - był już niemal u drzwi. Na jego twarzy, wykrzywionej grymasem gorliwości, perlił się pot. W uniesionej ręce ścisnął mocno pałkę. Po raz ostatni spojrzałem w dół, na przemykające w szalonym tempie dno tunelu. Coraz mniej widziałem w kłębach dymu; moje uszy wypełniał ryk pędzącego pociągu. Zrobiłem krok naprzód i skoczyłem.

ROZDZIAŁ 37

Essex, wtorek, 27 stycznia, wczesny wieczór

Pendragon i Turner prawie nie rozmawiali, odkąd opuścili Braintree i wyruszyli w drogę powrotną do Londynu. Sierżant prowadził, a inspektor zatelefonował na posterunek, gdy tylko odjechali sprzed walącego się domku Macintyre'a. Hughes była na spotkaniu; Rob Grant wysłuchał Pendragona i zanotował tyle szczegółów, ile detektyw był skłonny ujawnić.

Zachmurzyło się i wkrótce znowu zaczął padać śnieg, ale jego płatki znikwały natychmiast, gdy tylko dotknęły asfaltu dwujezdniowej drogi wiodącej na południe. Obaj policjanci pogrążyli się w zadumie, analizując pytania, na które na razie nie byli w stanie znaleźć odpowiedzi. Każdy na swój sposób starał się znaleźć jakiś sens w gmatwaninie wątków ujawnionych tego dnia, który zdawał się trwać wiecznie, choć była dopiero siedemnasta.

Z zamyślenia wyrwał ich brutalnie sygnał samochodowego telefonu.

- Pendragon - powiedział inspektor, wcisnąwszy zielony klawisz na konsoli pod deską rozdzielczą.

Spodziewał się usłyszeć głos Hughes, toteż - podobnie jak Turner - zdziwił się, gdy z głośnika odezwała się sierżant Roz Mackleby.

262

-Sir, jak daleko jesteście od posterunku?

Pendragon potrzebował chwili na odpowiedź.

-Mniej więcej dwadzieścia minut, jeśli nie trafimy na korki. A dlaczego?

-Jest ze mną inspektor Towers - odpowiedziała Mackleby. - Pani superintendent jedzie za nami, w drugim wozie. Właśnie wjeżdżamy na Johnson Road. Mamy kolejne

morderstwo.

Każdego innego dnia mieszkanie przy Johnson Road w Stepney zostałyby uznane za piękne, niczym żywcem przeniesione ze stronicy czasopisma promującego luksusowy styl życia. Tego dnia jednak przypominało raczej komnatę z samego dna piekła.

Mundurowy strzegł frontowych drzwi - nieco wykrzywionych po siłowym otwarciu - dzielących marmurową klatkę schodową od apartamentu. Zamek był zmiażdżony. Konstabl skinął głową na widok Pendragona i Turnera, a potem powrócił do przerwanej czynności: wpatrywania się w przeciwległą ścianę. Weszli do przestronnego holu i podążyli za głosami dochodzącymi z salonu. Hughes zauważyła Pendragona, zbliżyła się pospiesznie i wzięła go na stronę.

-Jack - powiedziała. Jego przybycie najwyraźniej przyniosło jej ulgę. - To naprawdę nieprzyjemna sytuacja.

Główny inspektor zmarszczył brwi.

-One nigdy nie bywają przyjemne. Co tu mamy?

-Zdecydowanie czwartą ofiarę. Ten sam modus operandi. Ofiarą jest Chrissy Chapman, dość dobrze znana malarka, jak mi się wydaje.

Pendragon spojrział na nią w lekkim oszołomieniu.

-Rzeczywiście. Bardzo znana.

263

-To jeszcze nie wszystko. Policję wezwał Francis Arcade. Kiedy przyjechaliśmy, siedział naprzeciwko zwłok, wpatrując się w nie. Ledwie nas zauważył, kiedy wyważaliśmy drzwi.

-Arcade? Gdzie on teraz jest?

-W sypialni, pod strażą. Wyłączył się całkowicie, jest jak w transie.

Pendragon odchylił głowę, krzywiąc się z niesmakiem.

-Cała ta sprawa jest coraz bardziej niedorzeczna - powiedział, odwracając się w stronę holu.

Hughes ujęła go delikatnie pod ramię.

-Jack - dodała, szukając wzrokiem jego oczu. - Na zwłokach jest mnóstwo odcisków palców Arcade'a.

Fotograf kręcił się wokół dwóch eleganckich sof, próbując znaleźć najdogodniejszą pozycję do sfotografowania miejsca zbrodni. Technik w plastikowym kombinezonie właśnie zmiatał pędzelkiem proszek, poszukując odcisków na niskiej orzechowej ławie stojącej obok. Ofiara, Chrissy Chapman, siedziała na śnieżnobiałej kanapie. Miała na sobie czarny top i apaszkę niedbale owiniętą wokół szyi. Jej ciemna grzywka została przycięta; pukle włosów leżały

jeszcze na apaszcze i siedzisku kanapy. Twarz była potwornie zniekształcona, ciało rozcięte pod linią włosów, delikatne kości strzaskane... ale skóra nienaruszona i pokryta warstwą różu na policzkach i skroniach. Fragmenty twarzy, także oczy, zostały przemieszczone na jedną stronę; nos pozostał pośrodku, a na ustach lśniła gruba powłoka szminki. Pendragon poczuł na plecach lodowaty dreszcz. Turner stanął u jego boku i inspektor wyczuł, że i on zadrżał na widok tej szokującej sceny.

-Jezu, kurwa, Chryste - powiedział wolno sierżant i z otwartymi ustami spojrzał na swego szefa.

Pendragon milczał. Podszedł nieco bliżej, by przyjrzeć

264

się makabrycznej inscenizacji obrazu Picassa, przedstawiającego jego żonę, Olgę Chołową. Scena wydawała się tak niewiarygodnie dziwna, że trudno było uwierzyć w jej istnienie. A jednak dziewczyna, której martwe ciało siedziało teraz na kanapie, jeszcze niedawno była żywą istotą ludzką, którą następnie okaleczono w trudny do pojęcia, diabelski wręcz sposób. Odebrać komuś życie to jedno, pomyślał Pendragon, ale coś takiego... to zupełnie inna liga. Odwrócił się i dostrzegł jakiś ruch przy drzwiach sypialni. Inspektor Ken Towers wyszedł do holu.

-Sir - powiedział. Wyglądał na zmęczonego i rozdrażnionego. - Ten cały Arcade... Mamy go w sypialni, ale nie powiedział jeszcze ani słowa.

-Dzięki. - Pendragon pstryknął palcami na wysokości twarzy Turnera, by wyrwać go z transu. - Niech pan jedzie prosto do mieszkania Arcade'a, sierżancie.

-Już je przeszukaliśmy, sir.

-Wiem o tym, Turner. A teraz trzeba je przeszukać ponownie. Niech pan weźmie kogoś ze sobą. To ma być naprawdę gruntowna robota. Chcę wiedzieć o każdym podejrzanym detalu. O wszystkim. Po powrocie na posterunek natychmiast zameldujecie się u mnie.

Turner skinął głową i ruszył w stronę frontowych drzwi.

Sypialnia była wielka i jaskrawo oświetlona przez liczne halogenowe lampki umocowane w suficie. Za otwartymi żaluzjami widać było ogromne okno, zajmujące niemal całą ścianę równoległą do łóżka. Całe wnętrze wykończono w dość surowym stylu: białe ściany, biała pościel, biały dywan na podłodze z polerowanego betonu. Naprzeciwko łóżka wisiało na ścianie zabytkowe francuskie lustro w bogato zdobionej oprawie - jedyne w całej sypialni odstępstwo od reguły prostych linii i białych powierzchni. Francis Arcade siedział na krześle w najdalszym kącie pokoju. Tuż

przy nim stali dwaj mundurowi. Pendragon ruchem głowy rozkazał im wyjść. Spojrzeli niepewnie po sobie.

-Wszystko w porządku, konstablu Flint - rzekł pewnym tonem inspektor. - Superintendent Hughes jest już w drodze na posterunek. Teraz ja tu dowodzę, więc spadajcie.

Zamknawszy drzwi za funkcjonariuszami, podszedł do Arcade'a. Młody malarz wciąż siedział nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń, prawie nie mrugając powiekami. Jego otwarte dłonie spoczywały bezradnie na kolanach. Był niedomyty, sądząc po zapachu. Pendragon przysiadł na rogu łóżka, metr od niego, pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

-Francis, chcesz mi opowiedzieć, co się tutaj stało?

Pozbawiona wyrazu maska, którą była teraz twarz Arcade'a, nawet nie drgnęła. Pendragon czekał cierpliwie przez dwie minuty.

-Możliwe, że lepiej się poczujesz, jeśli to zrobisz.

Brak reakcji.

Inspektor przyjrzał się twarzy Arcade'a. Chłopak wyglądał jeszcze bardziej gotycko niż zazwyczaj. Nie golił się od wielu dni, a pod oczami miał głębokie cienie. Tłuste włosy

spływały z jego głowy jak bezkształtna masa. Coś tu jest nie tak, pomyślał Pendragon. Arcade z całą pewnością nie zabił Berricka i Thurska. Tłumy ludzi widziały go w czasie, gdy popełniono tamte morderstwa. I z całą pewnością nie zabił tego księdza, Michaela O'Leary'ego, ponieważ był w tym czasie w rękach policji. Zatem dlaczego miałby uśmiercić tę kobietę? Czyżby zechciał naśladować mordercę? Kolejny rozpaczliwy krzyk: „Spójrzcie na mnie!”? Jakoś trudno w to uwierzyć.

-Dlaczego ją zabiłeś? - spytał Pendragon najzupełniej obojętnym tonem.

266

Arcade drgnął po raz pierwszy. Uniósł głowę i spojrzał na policjanta całkiem przytomnie.

-Nie zabiłem Chrissy - wycedził. - Kochałem ją.

Pendragon dał się zaskoczyć jego reakcją, ale nie dał tego po sobie poznać.

-To, że ją kochałeś, nie oznacza jeszcze, że jej nie zabiłeś.

-Nie zabiłem jej! - wrzasnął zniecierpliwiony Arcade i zerwał się na równe nogi, przewracając przy tym krzesło.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do sypialni wpadł konstabl z pałką w dłoni. Pendragon spojrzał karcąco na Arcade'a, który potulnie wrócił do poprzedniej pozycji

i wbił wzrok w podłogę. Inspektor uniósł rękę, spoglądając na policjanta.

-Wszystko gra - powiedział, a potem odczekał, aż funkcjonariusz zamknie za sobą drzwi. Wtedy dopiero potarł czoło, czując nagle, jak strasznie jest zmęczony.

-W porządku, Francis. Może zaczniemy od początku? Chłopak zadarł głowę. Po jego lewym policzku płynął strumyk łez.

-To on ją zabił.

-Kto?

-Ten łajdak Hickle.

-Hickle?

-Chłopak Chrissy, Geoff Hickle. Doktor Geoff Hickle. Zabił ją i zmasakrował.

-Zaraz, zaraz, Francis. Nie tak prędko. Dlaczego sądzisz, że doktor Hickle zamordował pannę Chapman?

-Z zazdrości. Z zazdrości o nią... i o mnie.

-Na jakiej podstawie...

-Po prostu wiem - przerwał Pendragonowi Arcade, patrząc mu prosto w oczy.

-W porządku, ale cofnijmy się jeszcze trochę. Co tu w ogóle robiłeś?

-A dlaczego nie miałbym tu przychodzić? Ja kocham... kochałem Chrissy, a ona mnie. Doktorek pewnie ratował komuś życie w szpitalu Royal London, a ja przyszedłem z wizytą.

-Dzwoniła do ciebie?

-Nie. I właśnie o to chodzi, inspektorze. Miała zadzwonić wczoraj wieczorem, ale nie zrobiła tego. Martwiłem się, ale nie chciałem jej się wydać narwany. Poza tym, mogłem się tu pokazywać tylko wtedy, gdy doktor Doolittle był w pracy. Wytrzymałem może do czwartej, a potem nie mogłem już znieść czekania. Chrissy nie odbierała komórki. Sygnał trwał w nieskończoność... Sprawdziłem szybko w szpitalu, czy Hickle tam jest. I był, podobno od ósmej rano. Dlatego przyjechałem.

-Masz klucz.

-Tak. Ale lepiej, żeby doktor House o tym nie wiedział. - Arcade wykrzywił usta w mrocznej karykaturze uśmiechu.

-I tak znalazłeś pannę Chapman?

Arcade odwrócił głowę i zapatrzył się na ścianę po przeciwnej stronie łóżka.

-Tak.

-Co wtedy zrobiłeś? Twoje odciski palców są na jej ciele.

Malarz popatrzył Pendragonowi w oczy.

-Nie mogłem... - Na policzku błysnęła kolejna łza. -

I nadal nie mogę w to uwierzyć... - Z trudem przełknął ślinę. - Usiadłem obok niej. Dotknąłem twarzy. Była zimna. A potem usiadłem naprzeciwko, na drugiej sofie, i tylko patrzyłem. Pewnie zadzwoniłem też po was, ale tego już nie pamiętam.

-Od dawna znałeś pannę Chapman?

Arcade jakby nie usłyszał albo nie zrozumiał pytania.

Ocknął się dopiero po chwili.

268

- Eee... mniej więcej od dwóch lat. Zawsze powtarzała, że odejdzie od Hickle'a, ale on jakby miał nad nią władzę. Za każdym razem, gdy zdawało mi się, że udaje mi się wyrwać ją z jego łap, wracała do niego.

Pendragon skinął głową, przyglądając się młodemu artyście i zastanawiając, czy ta frustracja mogła być na tyle silna, że popchnęła go do morderstwa. Widywał już w swojej karierze zbrodnie popełnione w afekcie, których powodem były brudne miłosne trójkąty i tłumione obsesje, a także załamania, które zmieniały się w eksplozje przemocy i zniszczenia. Czy cały ten związek mógł być jedynie iluzją w oczach Arcade'a? Może chłopak oszalał, odrzucony

przez kobietę, którą kochał, i skierował swoją wściekłość przeciwko światu?

Za drzwiami rozległ się głośny łoskot, a zaraz potem gwar kilku podniesionych głosów. Arcade nawet nie drgnął, za to Pendragon poderwał się i skoczył w stronę salonu. Otworzywszy drzwi, ujrzał wysoką kobietę w sztucznym futrze, nieruchomą i zapatrzoną w makabryczną scenę zbrodni. Twarz Gemmy Locke była biała jak kreda. Po chwili ukryła twarz w dłoniach. Zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Wolno opadła na krzesło, a pomiędzy okrytych rękawiczkami palców dobiegł cichy, przeciągły jęk.

ROZDZIAŁ 38

Pendragon przykucnął obok Gemmy Locke i podał jej szklanekę wody, którą przyniósł z kuchni mieszkania Chrisy Chapman.

-Naturalnie nie muszę pytać, czy dobrze się znalazł - powiedział łagodnie, przyglądając się, jak Gemma pije wodę małymi łykami.

Po chwili oddała szklanekę, a Pendragon wręczył ją stojącemu opodal konstablowi. Teraz dopiero wstał i przyciągnął bliżej jedno z krzesel. Zerknął w stronę sypialni w samą porę, by zobaczyć, jak policjanci wyprowadzają skutego kajdankami Arcade'a. Młody mężczyzna całkowi-

cie go zignorował i jak w transie minął siedzącą Gemmę Locke.

-Byłyśmy z Chrissy najlepszymi przyjaciółkami, inspektorze. Znałyśmy się od tak dawna... odkąd przyjechałam do Londynu. - Gemma potrząsnęła głową i zamknęła oczy. Jej twarz wykrzywił grymas bólu. - Ja... ja nie mogę tego przyjąć do wiadomości. To jakieś szaleństwo. Kto miałby... Dlaczego?

-Jaka była panna Chapman?

-Kochana. Wszyscy uwielbiali Chrissy, Jack. I właśnie dlatego to takie... niedorzeczne!

-Nic ci nie wiadomo, by miała wrogów?

270

Gemma Locke odetchnęła głęboko i znowu pokręciła głową.

-Nie. Chrissy miała przed sobą wielką przyszłość. Była najlepsza z nas wszystkich, najbardziej utalentowana z całego pokolenia.

-A co mi powiesz o jej życiu prywatnym? Czy serio traktowała związek z tym lekarzem Geoffem Hickle'em, chirurgiem z Royal London?

Skinęła głową.

-Tak. Byli razem już od... tak, chyba od roku. Tylko że

ich związek pomału zaczynał się psuć.

-Tak? - Jedna brew Pendragona uniosła się nieznacznie.

-Pewnie wkrótce i tak się o wszystkim dowiesz. A poza tym Francis Arcade nękał Chrissy.

-Nękał? A ja sądziłem, że było między nimi coś poważnego.

Gemma Locke spojrzała na niego sceptycznie.

-Nie bardzo, Jack. Po pierwsze, Chrissy była od niego o dziesięć lat starsza, a po drugie, Francis... no cóż, łagodnie mówiąc, nie dorównywał jej. Jestem pewna, że jego zdaniem coś ich łączyło, ale możesz mi wierzyć, że prawda była inna.

-Zatem na czym polegał problem z doktorem Hickle'em?

-Klasyczna sprawa. Geoff jest poważną figurą w swoim świecie, specjalistą od poparzeń w najlepszym londyńskim szpitalu. Uważa się za wybitnego czarusa i istnego bohatera medycyny. Duże, duże ego... a nawet wielkie. Źle znosił zainteresowanie mediów osobą Chrissy. Czuł, że żyje w jej cieniu, a to nie bardzo pasowało mu do własnego wizerunku.

-Ach tak. To rzeczywiście może prowadzić do konfliktu.

-Mimo to muszę przyznać, że nie widzę go w roli mordercy.

-Nikt nie sugeruje czegoś takiego - odparł inspektor. -
Posłuchaj, Gemmo, obawiam się, że nie możesz tu zostać.
Technicy będą tu zaglądać w każdy kąt. - Pomógł jej wstać
i poprowadził wokół kanapy. Przez cały czas starannie unikała widoku zwłok.

-Lepiej się czujesz? - spytał, gdy znaleźli się w holu.

Gemma wzięła głęboki wdech i spojrzała w sufit.

-Tak, nic mi nie będzie.

Kilka chwil później byli już na parkingu przed budynkiem. Zbliżała się noc i temperatura zaczęła spadać. Pendragon spojrzął na zegarek. Było po dziewiętnastej. Odprowadził Gemmę do samochodu.

-Chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać - powiedział, gdy sięgnęła do torebki po kluczyki. - Mam coraz więcej pytań... A odpowiedzi niestety nie.

-Jasne. Wystarczy, że zadzwonisz.

Pendragon postawił kołnierz, gotów odmaszerować.

-A ty dokąd?

-Na posterunek.

-Wskakuj, podwiozę cię.

Ruch był spory; wielu ludzi wracało do domów po wie-

czornych zakupach, kierując się głównie na zachód. Na mroźną, szarą połąć Stepney, upstrzoną kolorowymi neonami, z wolna opadała mgła. W samochodzie rozbrzmiewały ciche dźwięki muzyki Monteverdiego, mgliście znanej Pendragonowi. Nie odzywali się przez kilka minut, zajęci niewesołymi myślami. Wreszcie inspektor oderwał wzrok od ceglanych murów pokrytych graffiti.

-Jak dobrze znałaś Juliette Kinnear? - spytał.

Gemma Locke lekko pochyliła głowę, nie spuszczać

272

z oczu ulicy. Zatrzymali się na czerwonym świetle i wtedy dopiero spojrzęła na Pendragona.

-Wcale jej nie znałam. Pojawiła się na rynku, zanim nastał mój czas. - Gemma zerknęła przelotnie na jezdnię. - Ale pamiętam, że napadła kogoś i wylądowała w szpitalu psychiatrycznym.

-I popełniła samobójstwo.

-O, właśnie. - Gemma zerknęła na inspektora i ruszyła dalej przez Mile End Road. - Teraz sobie przypominam. Byłam wtedy w Atenach. Wybrałam się na wyprawę Inter-Rail, pociągami po Europie. Który to był rok... 1996?

-Tak jest.

-Pamiętam, że dowiedziałam się o wszystkim dopiero

tydzień po jej śmierci. Nocowałam w hostelu młodzieżowym i miałam do czytania jedynie dobrze już zszarganą Jackie Collins, którą ktoś zostawił, oraz „Daily Mail” sprzed tygodnia. I wybrałam gazetę!

Pendragon ujrzał po prawej stronie zjazd na Brick Lane.

Samochód zatrzymał się przed kolejnymi światłami.

-A znasz kogoś, kto znał osobiście Juliette Kinnear?

Gemma zmarszczyła brwi.

-Chyba nie, Jack. Jak mówiłam, to była wcześniejsza epoka. Przyjechałam do Londynu dopiero w dziewięćdziesiątym ósmym. Chociaż... tak, jest ktoś taki. Jackson Price powinien ją znać. Już wtedy zaczęli z Kingsleyem zdobywać sławę w środowisku. Ale Juliette Kinnear nigdy nie odniosła sukcesu. Zawsze myślałam o niej: biedna dziewczyna z bogatego domu.

Pendragon wzruszył ramionami.

-Jak zawsze, sprzeczne opinie. Niektórzy twierdzą, że była wybitnym talentem, a jej życie skończyło się tragicznie i przedwcześnie. Inni uważają, że wcale nie była taka dobra, jak jej się zdawało, i że skończyła ze sobą tylko dlatego, że miała dość bycia niezauważaną.

-Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę -
podsumowała Gemma, skręcając w Brick Lane i zwalniając

przed bramą policyjnego parkingu. Zatrzymali się u podnóża schodów, przed samym wejściem na posterunek. Gdy odwróciła twarz w stronę Pendragona, zobaczył w jej oczach łzy.

-Proszę cię, znajdź tego, kto popełnił tę straszną zbrodnię. .. Dobrze, Jack?

Pendragon przesunął palcami lewej ręki po czole.

-Dzięki za podwiezienie - powiedział, a potem wyskoczył z wozu. - Zadzwoń do ciebie.

Był w połowie schodów, gdy zadzwonił telefon. Na ekranie widać było napis „Numer zastrzeżony”.

-Halo?

-Proszę z głównym inspektorem Pendragonem.

-Sammy! Już prawie spisałem cię na straty.

-Tego akurat nigdy nie powinieneś robić, drogi chłopcze. Jestem z natury słowny.

-Zatem słucham.

-Rembrandt Industries. Szczerze mówiąc, nie dałbym rady napisać o tej firmie artykułu do Encyclopaedia Britannica, ale chyba znalazłem coś, co ci się przyda.

-Wal.

-Popytałem paru moich dawnych wspólników. Jeden z nich powiedział, że miał do czynienia z Rembrandtem,

ale wcale nie był z tego zadowolony. Jest właścicielem wielu nieruchomości w East Endzie i kiedyś wynajął mu magazyn w Leytonstone. Rembrandt podpisał umowę na trzy miesiące, wpłacił symboliczny depozyt, a po tygodniu zwi-

274
nął żagle, nie płacąc czynszu. Mój znajomy dodał jednak, że interesy nie idą aż tak źle, bo od tamtej pory udało mu się wynająć dwa inne lokale, które od Bóg wie kiedy stały puste, firmie Titus Inc. Titus dla odmiany zapłacił z góry za oba pomieszczenia, jedno w Whitechapel, a drugie w Bermondsey. A ja właśnie miałem do ciebie zadzwonić, żeby zameldować o tym pierwszym, w Leytonstone, bo nie zainteresowały mnie zbytnio te dwa pozostałe.

Pendragon był już w swoim gabinecie. Wyjął z szuflady biurka notatnik i długopis.

-Więc dlaczego nie zadzwoniłeś?

-Bo o wszystkim dowiedziałem się dziś wieczorem, może godzinę temu, a potem... zboczyłem z trasy.

-Tak. Byłem w Duke of Norfolk. Ale... cicho sza, Pendragon! Dobrze się stało.

-Naprawdę?

-Tak, Jack. Kiedy usłyszysz, jak błysnąłem rozumem, zgodzisz się na pewno, że powinienem zarobić podwójną

stawkę.

-Czyżby?

-Tak.

-Do rzeczy, Sammy.

-Wszystko w swoim czasie, inspektorze. Otóż siedziałem sobie wygodnie, pijąc kolejnego drinka, gdy nagle przyszło olśnienie. Rembrandt miał syna. Namalował go nawet jako mnicha; to zresztą dość sławny portret. Ów syn miał na imię Titus.

-Skąd, u licha, bierzesz takie wiadomości?

-W końcu uczyłem się w Eton, inspektorze - odpowiedział lekko urażony Sammy.

-W porządku. Dżentelmen, i do tego uczony.

W słuchawce zapadła cisza.

- Tak?

275

-No więc? - spytał wreszcie Sammy.

-Więc dzięki - odpowiedział Pendragon. - Mógłbyś mi podać adresy tych trzech miejsc?

-A mógłbyś mi dać podwójną stawkę?

Pendragon westchnął i rozejrzył się po pokoju.

-Tak. Myślę, że na nią zapracowałeś.

-Wiedziałem, że podzielisz moje zdanie - ucieszył się Sammy Samson.

ROZDZIAŁ 39

Turner otworzył drzwi mieszkania Francisa Arcade'a przy Glynnis Road. Sierżant Roz Mackleby weszła do środka tuż za nim. Gdy wcisnął włącznik, pokój zalala potężna fala żółtego światła. Mackleby natychmiast zajrzała do łazienki i kuchni - woleli uniknąć przykrych niespodzianek. Sprawdzenie wszystkich kątów potrwało tylko parę sekund. Byli sami.

- Ja zacznę tutaj - powiedział Turner. - Ty zostań w kuchni i łazience. Tylko pamiętaj, Roz, wszystkie zakamarki. Nie chcę stąd wyjść z pustymi rękami.

Pokój malarza był równie nieprzytulny i zagracony jak podczas pierwszej wizyty przed czterema dniami. Te same płótna podpierały ściany, ale sztalugi były puste: obraz, nad którym pracował wtedy Arcade, zapewne dołączył do pozostałych, od których niczym się nie różnił. Pod ścianą stał regał z książkami. Turner podszedł do niego i rozpoczął drobiazgowo przeszukiwanie, poczynając od lewego górnego narożnika. Wyjął pierwszą książkę i przejrzał od początku do końca, odłożył na miejsce i sięgnął po kolejną.

Po paru minutach, gdy był mniej więcej w połowie księ-

gozbioru, sierżant Mackleby wyszła z łazienki.

277

-Nic - oznajmiła. Po chwili zatrzymała się przy drzwiach kuchni. - A czego właściwie szukamy?

-Szczerze mówiąc, sam nie bardzo wiem. Ale będę wiedział, gdy tylko to znajdziemy.

-Dzięki za konkretną odpowiedź - odparowała Roz i zniknęła w maleńkim pomieszczeniu.

Jez skończył przeglądanie książek, niczego nie znalazłszy. Na podłodze stały puszki z farbą i pojemniki z brudnymi pędzlami. W jednym z kątów leżało zwinięte, spryskane farbą prześcieradło, a obok niego sterta starych gazet. Turner obejrzał starannie wszystkie puszki i wyjął kolejno każdy z zanurzonych w rozcieńczalniku pędzli. W końcu wylał także sam płyn do zapasowego pojemnika, obserwując, jak resztki farby wirują i z wolna tworzą brudny, szarobrązowy osad. Pojemniki nie kryły w sobie żadnych sekretów. Podszedł do okna. Wystrzępione zasłony były rozsunięte na boki. Za oknem widać było, jak płatki śniegu wolno dryfują w dół, muskają szybę i topią się na parapecie. Ulica, okoliczne budynki oraz niebo miały kolor osadu z farb. Turner zmrużył oczy i w szklanej tafli dostrzegł odbicie swojej twarzy i wnętrza pokoju. Spojrzał w prawo. Płótno, naciąg-

nięte na ramę o boku mniej więcej sześćdziesięciu centymetrów, stało na podłodze, oparte o nogi sztalugi, zwrócone czarną plamą farby w stronę okna. Turner przyjrzał mu się bliżej i stwierdził, że drewniana rama jest dość delikatnej konstrukcji. Przykucnął, uniósł obraz, obrócił go w rękach i przesunął palcem po krawędzi listwy, w miejscu, gdzie kończyło się płótno. Niczego nie wyczuł.

Odłożył obraz na miejsce i sięgnął po kolejny. Słyszał, jak Roz Mackleby krząta się po kuchni, otwiera i zamyka szafki oraz szeleści opakowaniami płatków śniadaniowych. Badając siódmy obraz, Turner wyczuł palcem metalowy przedmiot wetknięty między drewnianą listwę a płótno.

278

Wsunął dwa palce w szczelinę i wydobył z ukrycia mały przedmiot: pendrive z końcówką USB, mniejszy od jego kciuka. Uniósł go do światła i odczytał napis z boku obudowy: Cisco.Inc. 4 Gb.

-Tak! - powiedział, uśmiechając się do siebie.

-Dobra, możemy zaczynać - rzekł Jez Turner, uderzając po raz ostatni w klawiaturę komputera w gabinecie Pendragona. Główny inspektor stał nad nim, wpatrując się intensywnie w ekran. Komputer odczytał dane z karty pamięci i wyświetlił dwa pliki: jeden o nazwie „ms”, a drugi zaty-

tułowany „śledztwa”. Turner najechał kursorem na „ms” i dwukrotnie kliknął lewym przyciskiem.

-No tak, naturalnie zabezpieczony hasłem.

-Przecież znasz hasło, którego użył Thursk - powiedział Pendragon.

-Tak, ale czy i tutaj zadziała? - odparł Turner i wpisał z klawiatury: NTo658. Plik otworzył się bez problemu. - Bardzo niedbale - mruknął sierżant.

U szczytu pierwszej strony widniał nagłówek: „Zagubiona dziewczyna: życie w demi-mond” oraz nazwisko autora: Noel Thursk. Pendragon spojrział na dolny pasek danych: dokument liczył ponad piętnaście tysięcy słów.

-Kto by pomyślał - rzekł triumfalnie sierżant. - Zatem pan Thursk coś jednak naskrobał.

Pendragon zignorował ten komentarz i przewinął tekst w dół. Po chwili kliknął na ikonie drukowania.

-W porządku, a co mamy w drugim pliku?

Drugi plik dał się otworzyć za pomocą identycznego hasła, a było to archiwum zawierające zdjęcia w formacie jpg, ułożone rosnąco numerami. Turner przewinął listę. Archiwum zawierało czterdzieści pięć obrazków.

279

-Zacznijmy od początku - powiedział Pendragon.

Turner kliknął dwukrotnie w pierwszy plik.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie przedstawiające martwego Kingsleya Berricka jako mężczyznę z obrazu Magritte'a. Pendragon sięgnął po mysz i otworzył kolejny plik. Na monitorze ukazało się spłaszczone ciało Noela Thurska zawieszony na konarze drzewa. Plik numer trzy zawierał podobnie makabryczną podobiznę ojca Michaela O'Leary'ego.

Turner spojrzał na szefa. Zobaczył w jego oczach błyski: inspektor z odległości kilkunastu centymetrów wodził wzrokiem po ekranie, przyglądając się detalom fotografii.

-Nie wiedziałem, że materiały policji czy techników kryminalistycznych zostały już odtajnione.

-Nie zostały, Turner.

Czwarty plik ukazywał wnętrze magazynu przy West India Quay. Kolejny był zbliżeniem na walec, szósty zaś - na prasę do metalu.

-Czyżby trofea? - spytał chłodno Turner.

Pendragon wyprostował się i złożył ręce na piersi, nadal wpatrzony w monitor.

-Nie - odparł, a zaskoczony Turner obrócił się z krzesłem w jego stronę. - To coś zupełnie innego, sierżancie. I nie puścimy na ten temat pary z gęby, dopóki nie będziemy gotowy, czy to jasne?

-Tak jest, szefie.

ROZDZIAŁ 40

Do pani Soni Thomson

16 października 1888 r.

Był najwyższy czas na interludium. Pomyślałem sobie, że spisałem się nadzwyczaj dobrze. Owszem, zdarzyły się niebezpieczne momenty, zwłaszcza w noc podwójnego morderstwa. Gdy tuż przed skokiem patrzyłem na białka oczu ścigającego mnie policjanta, przez ulotną chwilę prawie wierzyłem, że to już kres mojej drogi, że moja czaszka zaraz roztrzaska się o ścianę tunelu, a ciało zmiażdżą stalowe koła podziemnego pociągu. Tak się jednak nie stało. Wyszedłem z tej opresji bez szwanku, jeśli nie liczyć lekko skręconej kostki, paru siniaków i zadrapań.

Potrzebowałem jednak odpoczynku i, szczerze mówiąc, miałem ochotę w spokoju poobserwować reperkusje moich przygód. Wszystko to, ma się rozumieć, było częścią procesu twórczego. Gdy zaczynałem pracę nad obrazem — bazując na swoich doświadczeniach i na niemal doskonałej pamięci - że się tak wyrażę... wahałem powietrze. Starałem się wyczuć narastającą panikę, zwierzęcy strach durnego stada, pośród którego żyłem. I rozkoszować się nimi. Gazety naturalnie pełne były takich emocji, ja zaś ode-

grałem swoją rolę w ich propagowaniu, oferując Archibaldowi stosownie udramatyzowane podobizny okaleczonych zwłok. Z wielkim rozbawieniem czytałem nieprecyzyjne

281

i wręcz fałszywe relacje o tym, co nazwano wkrótce „morderstwami w Whitechapel”. Doczekałem się nawet naśladowcy. Jakiś skończony amator rozprawił się z kurwą, niejaką Ann Chapman. Byłem zirytowany, gdy doszły mnie słuchy o tym zdarzeniu, ale po jakimś czasie uświadomiłem sobie tę prostą prawdę, że naśladownictwo jest najwyższą formą pochlebstwa. Pojawiły się też, co oczywiste, próby zafałszowania rzeczywistości autorstwa niżej podpisanego. Szczególnie dumny byłem z tego, co nabazgrałem na ścianie nad ciałem Elizabeth Stride, a także z faktu, że usunąłem jej nerkę, którą zresztą odkopałem później i wykorzystałem do produkcji moich farb. Wiadomość zawierała bowiem subtelną sugestię, że w zbrodnię mogą być zamieszani wolnomularze, jako znani miłośnicy tajemnych rytuałów. Umieściłem ją dla zabawy, by nieco więcej pracy miał Old Bill, jak miejscowa społeczność nazywa szlachetnych stróżów prawa.

Powoli zacieśniano krąg podejrzanych. Pewien nie-szczęśnik, zatrudniony w pobliskiej rzeźni, miał pecha,

widziano go bo w pobliżu miejsca, w którym marny koniec spotkał Catherine. Nadano mu przydomek „Skórzany Fartuch”, bo taki właśnie strój nosił w pracy. Zabrano go na przesłuchanie i zatrzymano w areszcie przez kilka dni. W końcu jednak trzeba było go wypuścić, policja bowiem nie miała żadnych dowodów na poparcie oskarżeń. Muszę stwierdzić z wielką satysfakcją, że policja w ogóle wykazała się zdumiewającą nieskutecznością. Dobrze wybrałem teatr moich działań, nieprawdaż, Soniu? Bo kogóż, u licha, obchodzi los paru ohydnych, pijanych dziwek? Moje prace powstawały w tej części Londynu, która dla większości mieszkańców była niczym terytorium barbarzyńców. Owszem, zamożni dżentelmeni lubili czasem zapuszczać się w te strony, by umoczyć palec w smole piekielnej, że się tak wyrażę, lub zgoła coś innego w nader niebezpiecznych miejscach, ale to przecież naturalna kolej rzeczy. Moje ofiary należały do tej grupy ludzkich istot, które dawno już przekroczyły granicę. Gdyby Londyn został sportretowany przez Hieronima Boscha, Whitechapel zapewne stałoby się najniższym kręgiem piekła, miejscem pełnym ognia, siarki oraz kotłów, do których wpadają ciała ludzi niepotrzeb-

282

lec w smole piekielnej, że się tak wyrażę, lub zgoła coś innego w nader niebezpiecznych miejscach, ale to przecież naturalna kolej rzeczy. Moje ofiary należały do tej grupy ludzkich istot, które dawno już przekroczyły granicę. Gdyby Londyn został sportretowany przez Hieronima Boscha, Whitechapel zapewne stałoby się najniższym kręgiem piekła, miejscem pełnym ognia, siarki oraz kotłów, do których wpadają ciała ludzi niepotrzeb-

nych, by skończyć w otchłani nicości. Dlaczego więc jakiś sędzia czy komisarz policji, a może profesor uniwersytetu czy biskup miałby przejmować się tym, co się tam działo?

Centralną postacią śledztwa był inspektor Frederick Abberline i muszę wyznać, że jeszcze nigdy nie spotkałem pełniejszego uosobienia policyjnej tępoty. Wdzięczny jestem losowi, droga pani, choć może i trochę zirytowany, że nie trafił mi się ciekawszy i trudniejszy przeciwnik. Policja nie zainteresowała się mną ani na chwilę, a podczas owych dwóch tygodni, które spędziłem, malując, przyczajony w swoim mieszkaniu, wzywano na przesłuchania dosłownie tuziny nic nieznaczących osób.

I właśnie wtedy uznałem, że należy wznieść zabawę na nieco wyższy poziom. Zacząłem pisać listy do gazet i do policji. W pierwszym z nich, napisanym czerwonym atramentem - tak, przyznaję, było to cokolwiek melodramatyczne - wprowadziłem do obiegu przydomek, który po wsze czasy kojarzony będzie z moim wielkim dziełem: Kuba Rozpruwacz.

Mogę powiedzieć z absolutną szczerością, że nie wiem, skąd wzięłem ten pomysł. Po prostu spontanicznie podpisałem się w taki sposób pod listem do Centralnej Agen-

cji Informacyjnej. Ubawiłem się przy tym setnie. Celowo
zamąciłem treść pisma, używając języka niewykształco-
283

nego prostaka, choć przecież niepozbawionego poczucia
humoru. Tu i tam rozsiewałem w kolejnych listach małe
podpowiedzi, by wzbudzić w biednych policjantach choć
trochę ducha walki. Na nic jednak moje wysiłki. Wyrob-
nicy zawsze pozostaną wyrobnikami.

Wiele czasu podczas owych dwutygodniowych wakacji
spędziłem z twoim poczciwym mężem, moja pani. Ciekawy
był to jegomość. Im lepiej go poznawałem, tym większą wy-
dawał mi się zagadką. Najbardziej uderzające było to, że
był zarazem człowiekiem wyrafinowanego i niedorzecznie
kiepskiego gustu. Powiesz być może, że wielu mężczyzn
dzieli tę przywarę, lecz u starego Archibalda dychotomia
ta przybrała skrajną postać. Z jednej strony, uwielbiał po-
jawiać się w Reform Clubie i innych tego typu bastionach
pretensjonalności i blasku. Wyznawał wielkie ideały, prze-
jawiał nawet pewną artystyczną uczciwość. Chciał czegoś
dowieść, zostawić po sobie ślad, dokonać czegoś godnego,
szlachetnego. Krótko mówiąc, gorąco pragnął zachęcić lu-
dzi do myślenia i to w nim podziwiam. Lecz jednocześnie
istniała zgoła odmienna strona jego duszy, gustująca -

w sposób nienasycony - w najniższych rozkoszach żywota. Archibald bezgranicznie pasjonował się światem najpodlejszych burdeli, najgorszych pubów i ostatnich mordow- ni. Zabierał mnie do najbardziej niebezpiecznych palarni opium w Londynie, o których istnieniu wiedziało bardzo niewielu ludzi, prowadzonych przez chińskie gangi - do brudnych, cuchnących szczurzych nor w pobliżu doków, gdzie powietrze tak było przesycone oparami opium, że nie trzeba było korzystać z fajki, by się odurzyć.

Podczas trzydniowego rajdu po najpodlejszych lokalach Limehouse razem byliśmy świadkami dwóch morderstw. W pierwszym przypadku dwaj chińscy handlarze opium pozbyli się człowieka, który groził, że wyda ich policji.

284

W drugim - zastrzelono młodego przemytnika. Były to epizody nadzwyczajnie zajmujące, ale muszę przyznać, że szczytowym punktem moich nocnych wypraw z Archibaldem były odwiedziny w Rezydencji Cudów - a trzeba ci wiedzieć, pani, że była to nazwa w dwójnasób kłamliwa, do rezydencji bowiem było owemu budynkowi daleko, a „eksponatom” w nim zgromadzonym z pewnością nie nadałbym miana cudów.

W istocie Rezydencja Cudów była kilkupokojowym przy-

bytkiem na tyłach sklepu, przy Whitechapel Road 259. Archibald poinformował mnie, że jeszcze dwa lata temu prezentowano tam publiczności słynnego dziwoląga Josepha Merricka zwanego Człowiekiem Słoniem - ponoć zmuszano go, by siedział w sklepowej witrynie, przyciągając tłumy ciekawskich. Dziś oczywiście nieszczęśnik ten przebywa w szpitalu, ale ty, jak większość kulturalnych ludzi w tym kraju, pewnie znasz jego historię z artykułu w „The Times”. Wprawdzie Merricka już w Rezydencji nie było, za to jego miejsce zajęły inne „ciekawostki”, choć może nienależące do tej samej ligi. Tego wieczoru, gdy zawitaliśmy tam z Archibaldem, dane nam było zobaczyć Olbrzymkę z Gór, kobietę mającą nie mniej niż dwieście czterdzieści centymetrów wzrostu. Była mniej więcej proporcjonalnie zbudowana, choć wszystko w jej ciele było nedorzecznie wydłużone, a głowa - niemal dwa razy większa od mojej.

W sąsiedniej izbie siedziały syjamskie bliźniaki - para starszych dżentelmenów złączonych bokami przez szeroki na piętnaście centymetrów pas różowego ciała. Podobno uczestniczyli w pokazach dziwolągów od niemal czterdziestu lat. Gdy już naśmialiśmy się z nich do woli, wyprowadzono ich, a w zamian pojawiła się Agatha, najbardziej

owłosiona kobieta na świecie. Dla mnie to właśnie ona była

285

najdziwniejszym stworzeniem w całej tej menażerii, gdyby nie gęste, czarne włosy istotnie pokrywające jej ciało od stóp do głów, byłaby bowiem zupełnie normalną osobą.

Widziałem, że Archibald jest poruszony jej widokiem.

I wiem nawet dlaczego. Chodziło o jej oczy. Miały idealny kształt, były wielkie i orzechowe, naprawdę piękne.

Lecz na uczucia twojego męża musiał podziałać fakt, iż owe piękne oczy spoglądały na niego ze środka wielkiej kuli włosów. A było to spojrzenie nieruchome, wcale nie błagalne, pełne niemal szlachetnej rezygnacji. Archibald był tym doświadczeniem głęboko zasmucony, podczas gdy ja czułem cudownie przyjemne dreszcze. Wzrok tej kobiety obudził we mnie bowiem wspomnienie Freda, tego chłopca, któremu przed tyloma laty pozwoliłem utonąć. Patrząc teraz na Agathę, odczuwałem nieomalże ekstazę; chciało mi się ryknąć śmiechem. Powstrzymało mnie przed tym jedynie przekonanie, że byłoby to czymś niestosownym. Naturalnie nie chodziło mi o uczucia otaczających mnie ludzi, te nie miały dla mnie znaczenia, ale naprawdę nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Nie w takim miejscu i nie w tym momencie.

Po jakimś czasie znudziło mnie towarzystwo Archibal-
da i poczułem, że zaniedbuję pracę. Zacząłem spędzać wie-
czory, a czasem i całe dni, w swoim pokoju, wypuszczając
się do miasta tylko po to, by z rozmaitych miejsc wysyłać
listy, a także kupować przybory malarskie. Z Archibal-
dem spotykałem się sporadycznie, ale nie zaprzestałem
dostarczania mu rysunków dla „Clariona”, choć czyniłem
to już bez dawnego zapału. Miałem wrażenie, że moje ma-
larstwo staje się dla mnie obsesją. Aż wreszcie, pewnego
wieczoru na początku tego miesiąca, nagle zrozumiałem:
pora pójść naprzód, pora sięgnąć po ostatnią ofiarę i roz-
począć ostatnią fazę mojego dzieła.

286

W ciągu ostatnich paru tygodni nastały chłody, a ja
odczułem je tej nocy tym bardziej, że większość czasu
spędzałem w mieszkaniu. Wiedziałem doskonale, dokąd
zmierzam i kim będzie moja ofiara. Szedłem szybkim
krokiem nie dłużej niż dwie minuty, by dotrzeć na Dor-
set Street opodal Commercial Road. Skręciłem w tę ulicę
i spojrzałem na zegarek. Była druga nad ranem i w okoli-
cy nie widać było żywego ducha. W połowie długości Dor-
set Street znalazłem łukowato wysklepione przejście, za
którym znajdowało się klaustrofobiczne, brukowane po-

dwórko otoczone chałupami. Mary Kelly, moja ostatnia ofiara, mieszkała pod numerem trzynastym.

Było bardzo ciemno, bo połówkę księżycą przesłaniała gruba chmura. Od strony podwórka widoczne były tylko dwa małe okna chaty numer trzynaście - dostrzegłem w nich nikły blask światła. Panowała cisza, jeśli nie liczyć bardzo dalekich, stłumionych dźwięków. Zbliżyłem się już na tyle, by dostrzec, że dwie szybki w oknie po prawej stronie są stłuczone. Byłem pewny, że Mary właśnie przyjmuje pod swym dachem mężczyznę, więc cofnąłem się w mrok i czekałem.

Czas włókł się niemiłosiernie. Nie mogłem poruszać się swobodnie po dziedzińcu, by nie robić hałasu, pod moje ubranie zaś z wolna zakradał się chłód. Wreszcie usłyszałem skrzypnięcie drzwi pod numerem trzynastym i jakaś postać wyszła w mroźną noc. Niewątpliwie męska sylwetka oddaliła się w kierunku Dorset Street. Podszedłem do drzwi i zapukałem cicho. Odpowiedzi nie było, więc zapukałem raz jeszcze. Otworzyły się ostrożnie, odsłaniając twarz młodej kobiety. Była wysoka, może o pięć centymetrów niższa ode mnie. Miała urodziwą, choć zaniedbaną twarz oraz długie, jasne włosy.

— Skończyłam na dziś, skarbie - powiedziała.

Dla niepoznaki spojrzałem na nią tak, jakbym był mocno zawiedziony, i niemal w tym samym momencie otworzyłem drzwi jednym potężnym pchnięciem. Pochwyciłem kobietę za twarz, zawlokłem w głąb izby i po drodze wyjąłem z kieszeni dwa kawałki szmaty, by z jednego z nich sporządzić knebel, a drugim spętać nadgarstki. Poprowadziłem ją w stronę łóżka i pchnąłem tak, że upadła na plecy. Wiła się i usiłowała krzyczeć mimo knebla. Wyjąłem z torby kawał solidnej liny i przywiązałem stopy dziwki do żelaznej poręczy w nogach łóżka. Spętane nadgarstki uniosłem jej nad głową, przeciągnąłem linę pod szmatą, a wolny koniec przywiązałem do wezgłowia.

Ignorując jej próby uwolnienia się, rozejrzałem się po izbie. Nawet jak na standardy Gulaszu, było to miejsce nieprawdopodobnie nędzne. Sterty brudnych ubrań leżały na podłodze i pod łóżkiem. Pościel była poplamiona i zszarzała. Źródłem mdłego światła, które wcześniej widziałem, była gazowa lampka w kącie. W ścianie przy drzwiach znajdował się kominek, ale pusty - a przecież w chacie panował lodowaty chłód.

W głębi izby stały dwa rozklekotane drewniane krzesła. Wyjąłem z torby pudełko zapalek, znalazłem na po-

dłódze resztki starej gazety i rozpałiłem w kominku. Zaraz też pochwyciłem jedno z krzeseł, owinąłem jego nogi jakimiś ohydnie brudnymi szmatami i z całej siły huknąłem o wezglowie łóżka. Rozpadło się z głuchym trzaskiem. Zerwałem zeń wtedy resztki szmat, a kawałki drewna połamałem na jeszcze mniejsze fragmenty i ułożyłem w zgrabny stosik — miałem już opał. Parę minut później płomienie trzaskały wesoło, a ja mogłem ogrzać sobie przy nich dłonie.

- Nadzwyczajnie zimny wieczór. Na pewno się ze mną zgodzisz, Mary - powiedziałem do spętanej kobiety.

288

Mimo knebla zdołała wydobyć z siebie jakiś nieartykułowany, gardłowy dźwięk, który oczywiście zignorowałem. Gdy uznałem, że moje dłonie są już dostatecznie ciepłe, zabrałem się do pracy.

Powróciwszy do mieszkania, nie ułożyłem się do snu, tylko zacząłem malować, póki to, czego dokonałem, miałem świeżo w pamięci. Wiedziałem też, że niedługo w najbliższej okolicy rozpęta się istne pandemonium i beczenie stada baranów z sąsiedztwa i tak nie pozwoli mi odpocząć. Jak zawsze straciłem poczucie czasu, ale zgodnie z moimi przewidywaniami przed południem, mniej więcej o je-

denastej, usłyszałem głosy policjantów pędzących na miejsce zbrodni oraz gorączkowe pokrzykiwania sklepikarzy na ulicy, tuż pod moim oknem. Ogarnęło mnie przepyszne poczucie anonimowego bycia w samym centrum wydarzeń. Nie odpowiadałem przed nikim, byłem Panem Wszechświata, bogiem, który pociąga za sznurki, każąc tańczyć małym ludzikom. Było to absolutnie odurzające doznanie.

Teraz dopiero spojrzałem na siebie i spostrzegłem, że moje ubranie jest umazane krwią, a w jednej z dziurek na guziki w mojej kamizelce wciąż tkwi kawałek mięsa. Rozebrałem się niezwłocznie, wepchnąłem ubranie do torby, wymyłem się starannie, obejrzałem dokładnie w lusterku nad misą każdy skrawek mego ciała i wreszcie włożyłem świeży strój. O 11.30 stałem już u wylotu Miller's Court, z dobrze skrywaną satysfakcją patrząc na histeryczną krzątanicę moich baranów i ich świetnie wyczuwalny strach.

Nim jednak dotarłem pod drzwi chaty Mary Kelly, moją uwagę przykuł pewien policjant. Stał plecami do

289

mnie, w cieniu. Mocno pochylony, hałaśliwie wymiotował pod ścianą domu. Wielkie nieba, pomyślałem, jacy ci ludzie

przewrażliwieni! A potem ruszyłem w stronę progu chaty. Z wnętrza wyłoniło się dwóch mężczyzn; w jednym z nich natychmiast rozpoznałem inspektora Abberline'a. Miał cerę ducha, krew bowiem całkiem odpłynęła z jego twarzy. Nagle uniósł głowę i spojrzał na mnie wilkiem. Spotkaliśmy się już wcześniej, dzień po tym, jak tak pracowicie zająłem się Elizabeth i Catherine.

-Pan Tumbril - zaskrzeczał. - Cóż za miłe spotkanie.

Uchyliłem czapki.

-Zdaje mi się, że nawet pan nie powinien tam wchodzić - poradził mi Abberline, lekkim ruchem głowy wskazując za siebie.

Funkcjonariusz, który skończył już wymiotować, wyłonił się z cienia, ocierając usta, i spojrzał na nas z zakłopotaniem. Właśnie miał coś powiedzieć, ale widząc wyraz twarzy Abberline'a, tylko poprawił bluzę munduru i oddalił się.

-Te sceny nigdy nie bywają przyjemne, inspektorze - odpowiedziałem tak uprzejmie, jak tylko umiałem. - Niestety, taka jest moja praca.

Abberline spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem, a potem bez jednego słowa pomaszerował przed siebie. Minąwszy mnie, wszedł w zaułek i oddalił się w kierunku

głównej ulicy.

W chacie wszystko wyglądało w zasadzie tak samo jak w chwili, gdy z niej nocą wychodziłem. Mary była otwarta od gardła po krocze. Większość jej organów została usunięta i rozłożona w różnych miejscach izby. Ogień wciąż płonął, a po ściankach kominka spływała oleista substancja - ludzki tłuszcz, który osadził się tam po odparowaniu w ogniu.

290

Lekarz i jego pomocnik byli zajęci badaniem zwłok. Zignorowali mnie całkowicie, mogłem więc przejść na drugą stronę izby, spokojnie wyjąć szkicownik i zabrać się do rysowania.

I właśnie w tym momencie w moim świecie dokonała się wielka zmiana. Przebiegłem wzrokiem po ruinie ciała Mary Kelly, śledząc czerwone i szarawe nacięcia na udach i na zmasakrowanej twarzy. Doprawdy trudno już było rozpoznać w niej istotę ludzką. Lecz ja dokładnie w tej chwili pojąłem nagle, że tracę czas. Nie było potrzeby rysowania, malowania, przedstawiania na płótnie. Oto moje dzieło sztuki leżało przede mną na łóżku, podobnie jak wcześniejsze, które stworzyłem i pozostawiłem na mokrej ziemi w ciemnych zaułkach. Co więcej, było to

dzieło na wielką skalę. Każde z morderstw samo w sobie było niezwykle piękne, lecz razem... Razem stanowiły Gestalt - arcydzieło. Drobni gracze, tacy Abberline'owie czy Archibaldowie, tępi policjanci, lekarze pochyleni nad trupami - wszyscy oni byli postaciami zaludniającymi moje skończone już dzieło, niczym anioły w rogu fresku Michała Anioła albo listowie wyznaczające granicę pejzażu. Moje dzieło było wspaniałe. Ja byłem wspaniały. Niczym w delirium schowałem szkicownik do torby, odwróciłem się i opuściłem Miller's Court 13. Nieświadom tego, co się dzieje wokół mnie, skręciłem w Dorset Street i krętymi uliczkami powróciłem do swego pokoju nad sklepem z ziarnem przy Wentworth Street. Przekręciłem klucz w bocznych drzwiach budynku, zamknąłem je za sobą i ruszyłem przed siebie wąskim korytarzem. Niespiesznie wspiąłem się po schodach na piętro, czując, że świat nie może już być lepszym miejscem. Przekonanie, że oto odkryłem nową formę percepcji, było wręcz przygniatające.

291

Gdy stanąłem u progu mojego mieszkania, zdało mi się, że z wnętrza dobiegł jakiś cichy dźwięk. Ostrożnie przekręciłem klucz i pchnąłem drzwi. Zostawiłem zaciągnię-

te zasłony, lecz teraz, krótko po południu, słońce świeciło tak mocno, że i w mojej izbie nie było ciemno. Wychodząc w pośpiechu, zostawiłem kolekcję zakrwawionych noży oraz piłę w otwartej skórzanej torbie, na którą rzuciłem dodatkowo zakrwawiony ręcznik. Wszystko to zaś leżało tuż pod sztalugami, na których spoczywał mój najnowszy obraz. A pośrodku pokoju, ledwie kilka kroków od torby i płótna, stał Archibald Thomson.

ROZDZIAŁ 41

Posterunek policji, Brick Lane, środa, 28 stycznia, 9.00

Pendragon spotkał Jimmy'ego Thatchera przed salą odpraw. Sierżant trzymał w dłoniach niski karton pełen kanapek i kubków z kawą, przyniesiony z pobliskiego sklepiku.

-Dobra robota - pochwalił go Pendragon, otwierając przed nim drzwi. Wszedł do sali o krok za nim, wybrał sobie z pudła kanapkę i kawę, po czym zajął miejsce w głębi sali, przy superintendent Hughes.

Cała ekipa była już na miejscu. Inspektor się rozejrzył i zauważył, jak bardzo zmęczeni są jego ludzie. Niektórzy z nich pracowali przez całą noc i skutki wysiłku były aż nadto widoczne. Pomyślał, że najlepiej będzie od razu przejść do rzeczy.

-No dobra - zaczął, wstając. Pochylił się i oparł o blat

biurka. - Mamy czwarte morderstwo i zatrzymaliśmy podejrzanego, ale ja mam wielkie wątpliwości co to tego, czy to on jest sprawcą.

-Dlaczego? - spytała Hughes, odwracając się ku niemu. - Francis Arcade został zatrzymany na miejscu zbrodni, a odciski jego palców znaleźliśmy na twarzy ofiary.

-To prawda. Lecz Arcade raczej nie mógł wcześniej zabić pierwszych dwóch ofiar. I z całą pewnością nie zabił O'Leary'ego, chyba że zdołał niezauważony wymknąć się

293

z celi, zamordować księdza, a następnie wśliznąć się z powrotem. ..

-Może pan sobie darować ten sarkazm, inspektorze. Pendragon sobie darował.

-Tak, Arcade istotnie mógł popełnić tę ostatnią zbrodnię - rzekł w miarę gładko. - Byłoby to morderstwo wzorowane na poprzednich...

-To możliwe - wyrwało się Grantowi.

Pendragon skinął głową i odczekał chwilę, zbierając myśli, zanim podjął przerwany wątek.

-Tak, to możliwe. Właśnie wracam z drugiego przesłuchania pana Arcade'a. Nie udało mi się wydobyć z niego ani jednego słowa. Znowu się zablokował. Powiedziałbym

nawet, że to stan graniczący z katatonią.

-Czyżby poczucie winy? Nagła świadomość popełnionego czynu? - zasugerowała Hughes.

-To możliwe, pani superintendent. Ale ja nie uważam, by Francis Arcade był zabójcą. A nawet... - Pendragon podniósł nieco głos, widząc, że szefowa znowu chce mu przerwać - ..nawet jeśli jest, jeśli rzeczywiście to on zamordował Chrissy Chapman, to kto zabił Kingsleya Berricka, Noela Thurska i Michaela O'Leary'ego?

W sali nastało ciężkie milczenie.

-Mamy więcej danych, niż potrzeba, by oskarżyć Arcade'a - nie ustępowała Hughes.

-Wiem, ale odradzałbym taki krok.

Spojrzała na niego wilkiem, a potem odwróciła głowę.

-Psycholog przyjedzie o dziesiątej. Musimy skłonić Arcade'a do mówienia. Nie uważam, by był zabójcą, ale jestem przekonany, że wie znacznie więcej o tym, co się dzieje, niż byłby skłonny przyznać. - Pendragon upił łyk kawy, przeciągnął się i zaczął się przechadzać przed tablicą elektroniczną oraz „gazetką ścienną” jak zwykle pełną

294

fotografii z miejsc zbrodni. - I tym sposobem zaczynamy od początku, ani trochę nie zbliżywszy się do rozwiąza-

nia tej sprawy - rzekł i jakby uderzony własną bezradnością, zatrzymał się i popatrzył na swoich ludzi. - Omówmy najnowsze fakty. Towers, Mackleby, czy udało wam się znaleźć coś na temat grzeszków Berricka? Jeżeli w ogóle je popełniał.

-Cóż, szefie - zaczęła Mackleby - Kingsley Berrick był wyjątkowo rozwiązłym gejem, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Mogę podać nazwiska co najmniej tuzina stałych partnerów, a wielu z nich zjawilo się na pamiętnym prywatnym wernisażu w galerii. Każdy jednak ma dobre alibi na czas, w którym zamordowano Berricka.

-A nasz zaprzyjaźniony eurodeputowany Hedridge?

-Ponad wszelką wątpliwość był kochankiem Berricka, nawet jeśli nie ma ochoty przyznać się do tego, ale i on jest czysty. Rozmawiał z żoną przez telefon zaraz po powrocie do domu; połączenie nawiązano trzy minuty po drugiej nad ranem, a trwało cztery minuty i trzysta sekund. Żona spędzała akurat kilka dni w Nowym Jorku. Poza tym w holu budynku, w którym mieszka Hedridge, jest monitoring. Widać, że pan polityk rzeczywiście pojawił się o pierwszej czterdzieści. Nikt nie wychodził z budynku aż do rana. Dopiero o szóstej czterdzieści trzy pojawiła się kobieta, która mieszka na tym samym piętrze co

Hedridge.

- Faktem jest natomiast, że Berrick miał kontakty z niektórymi z miejscowych gangsterów - dodał Towers. - Nie doszukałem się jednak niczego, co miałoby związek z naszą sprawą. Wydaje się, że lubił zażywać pewien znany boliwijski specyfik w proszku i właśnie tą drogą poznał pewnych ludzi. Poza tym w ograniczonym stopniu prał brudne pieniądze i ukrywał dochody, żeby uniknąć opodatkowania.

295

- A może ktoś go sprzątnął, bo nadepnął na odcisk niewłaściwej osobie? - spytał inspektor Grant.

- Nie. To bez sensu. A co z pozostałymi?

Grant skinął głową i pociągnął zdrowy łyk kawy.

- Co z żurawiem wysięgnikowym? - spytał Pendragon.

- Nie mamy żadnego innego materiału z monitoringu poza tym pierwszym.

- A sama maszyna?

- Niemal wszystkie takie żurawie w aglomeracji londyńskiej są własnością samorządów lokalnych albo prywatnych firm ogrodniczych specjalizujących się w pracach grubszego kalibru, na przykład wycince drzew i tym podobnych zajęciach. Tyle że żadnemu samorządowi i żadnej firmie nie zginął ostatnio żuraw wysięgnikowy.

-A co z firmami wynajmującymi sprzęt?

-W całym kraju są ich setki, ale w Londynie tylko trzy. Kazałem Vickersowi pogadać z odpowiednimi ludźmi i przejrzeć księgi. Okazuje się, że wszystkie trzy firmy łącznie wynajęły w ostatnich trzech tygodniach jedenaście maszyn tego typu...

-I wszystkie sprawdziłem - wtrącił znużony Vickers. - Potem sprawdziłem sprzedaż żurawi wysięgnikowych w całym kraju za ostatnie sześć miesięcy. - Sierżant westchnął ciężko. - Zawęziłem poszukiwania do maszyn w kolorach białym i zielonym, bo takie drobiny farby odkryli nasi technicy - dodał, po czym zajrzał do notesu. - Jak można się było spodziewać, nabywcami były wyłącznie firmy. Zatelefonowałem do wszystkich po kolei i prawie wszystko gra, choć... - przerzucił kilka stron notatnika i doczytał własne notatki - .. .choć jest jeden podejrzany przypadek.

-Tak? - zainteresował się Pendragon.

-Tak. Zielony żuraw wysięgnikowy, model Finch,

296

sprzedany w październiku zeszłego roku firmie Dada Ltd z siedzibą w Maidstone. Próbowałem się do niej dodzwonić, ale numer już nie istnieje. Napisałem więc e-mail i do-

stałem zwrot. Skrzynka nie działa.

-To będzie to - orzekł Pendragon. - Dada Ltd, mój Boże! Ależ się napracowałem... - Widząc zdziwione spojrzenie Hughes, pospieszył z wyjaśnieniem: - Zabójca założył co najmniej pół tuzina fikcyjnych firm, a każdej nadał nazwę związaną ze sztuką: Rembrandt, Gwasz... a teraz Dada. Trochę to nużące. - Spojrzał na Thatchera, który jak zawsze stał oparty swobodnie o ścianę na końcu sali. Sierżant wyprostował się odruchowo. - Chciałbym, żeby pan się przyjrzał jeszcze paru firmom. Mam też trzy adresy magazynów, które mogą mieć związek z tą sprawą. Po spotkaniu dostanie pan listę.

Sierżant skinął głową.

-Przejdźmy teraz do sprawy numer trzy. Ofiara: Michael O'Leary - ciągnął Pendragon. - Grant, dowiedział się pan czegoś ciekawego?

Inspektor Grant siedział przy jednym z biurk, także na tyłach sali. Wyprostował się nieco i odstawił kubek z kawą.

-Przesłuchaliśmy z Vickersem wszystkie osoby, o których wiemy, że miały coś wspólnego z księdzem - zaczął. - Kościelny Malcolm Connolly i wszyscy członkowie Rady Parafialnej mówią w zasadzie to samo: ojciec O'Leary był miłym, łagodnym facetem, uwielbianym przez

trzódkę.

-A czy udało się znaleźć jakiś związek między O'Learym a Berrickiem czy Thurskiem? - spytała Hughes.

-Absolutnie żadnego. Jestem praktycznie pewny, że nawet nie wiedzieli wzajemnie o swoim istnieniu.

-A co z tym starszym księdzem, który znalazł zwłoki?

Z ojcem Ahernem?

297

-A, tak: staruszek wyszedł już ze szpitala i wraca do sił we własnym domu, zresztą niedaleko kościoła. Ma ponad osiemdziesiąt lat i, co zrozumiałe, jest bardzo poruszony tym, co się stało, ale też mówił całkiem do rzeczy. Przypomniał sobie wszystkie wydarzenia sobotniego poranka i trzeba powiedzieć, że zgadza się to w pełni z tym, co mówili Connolly i spółka.

-Czy wiemy coś o wcześniejszym życiu O'Leary'ego? - indagowała Hughes.

-O, teraz będzie znacznie ciekawiej - ożywił się Grant.

Umilkł na chwilę, tocząc wzrokiem po twarzach zebranych, którzy przyglądali mu się z zainteresowaniem. - Powiem wam, że trochę niedobrze mi się robiło od słuchania tych wszystkich ludzi skupionych wokół kościoła, wychwalających ojca O'Leary'ego pod niebiosa. Choć oczywiście na-

leżało się po nich spodziewać takiej postawy. Tak czy inaczej, postanowiłem pogrzebać nieco głębiej. Zanim O'Leary objął parafię Świętego Alojzego, pełnił posługę u Świętego Łukasza w Croydon. Coś mnie tknęło, żeby się tam przejechać i pogawędzić z obecnym proboszczem, ojcem Jamesem Flanniganem. Bardzo przyjacielski facet, choć ojca O'Leary'ego znał raczej słabo. Za to bardzo się palił, żeby nam pomóc złapać tego, kto tak okropnie urządził jego koleżkę po fachu. Szczerze mówiąc, był wręcz gadatliwy. - Grant się uśmiechnął i pokręcił głową. - Albo tak go zauroczyła moja skromna osoba...

-Akurat - wtrącił Towers i spojrzał na pozostałych, kręcąc głową.

-Tak czy owak, gadatliwy ojciec Flannigan wyjawiał mi, że było kilka skarg na O'Leary'ego i to właśnie sprawiło, że przeniesiono go do Stepney. Nie chciał wchodzić w szczegóły, ale ja postanowiłem kopać jeszcze głębiej. Odkryłem, że także miejscowa policja otrzymała zgłoszenie, według

298

którego nasz duchowny dopuścił się „niestosownych czynów o charakterze seksualnym”.

-Naprawdę? - spytała Hughes, wyprężając się na krześle.

Pendragon znieruchomiał na chwilę.

-Wszczęto oficjalne śledztwo?

-Wygląda na to, że daremnie. Kościół jak zwykle zamiotł wszystko pod dywan. Policja z Surrey nie znalazła dowodów i trzeba było umorzyć sprawę.

-A potem O'Leary przeniósł się do East Endu - powiedział jakby do siebie Pendragon. - Jak długo pracował w Croydon?

Grant zajrzał do notatek.

-Przyjechał tam w dziewięćdziesiątym ósmym - odpowiedział i przewrócił jeszcze jedną kartkę. - Wcześniej służył w małej wiejskiej parafii w Essex, między Billercay a Braintree.

-Braintree? - powtórzyli chórem Pendragon i Turner.

Grant spojrział na nich, lekko przestraszony.

-Dużo czasu tam spędził?

Inspektor raz jeszcze pochylił się nad notatkami.

-Tak. Czternaście czy piętnaście lat.

Pendragon popatrzył w milczeniu na zebranych.

-O co chodzi? - spytała Hughes.

-Juliette Kinnear dorastała w Braintree.

-Pan znowu o niej, inspektorze? - westchnęła Hughes.

-Być może to właśnie jest motyw.

-Przecież ona nie żyje od piętnastu lat.

-Tak, wiem - odpowiedział Pendragon i usiadł obok niej. Złożywszy ramiona na piersi, powiódł wzrokiem po zmęczonych twarzach swoich podwładnych.

-Dobra - odezwała się superintendent, wstając z nową energią. - Musimy w końcu ruszyć z miejsca z tą sprawą.

299

Komandor już się niecierpliwi, zresztą podobnie jak ja. Rozumiem, że wszyscy tu ciężko pracują, ale jak dotąd bez skutku.

Pendragon nawet nie próbował jej przerwać, więc mówiła dalej:

-Musi istnieć jakiś związek między czterema ofiarami.

Czegoś nie dostrzegamy i musimy ustalić, co to takiego.

Jack? - Hughes spojrzała na Pendragona. - Jaki jest pański plan?

Pendragon wstał.

-Chcę, żeby wszyscy... naprawdę wszyscy... ludzie związani z Chrissy Chapman zostali szczegółowo przesłuchani. Chcę wiedzieć o wszelkich jej nietypowych relacjach z Berrickiem i Thurskiem. Oczywiście wiem, że dobrze ich obu znała, ale musi istnieć jeszcze jakiś podtekst. Coś, czego, jak zauważyła pani superintendent, zwyczajnie nie do-

strześliśmy. - Umilkł, by zaczerpnąć tchu, i przez chwilę wpatrywał się w podłogę. - Naprawdę nie chcę siać pesymizmu, ale mam wrażenie, że nasz zabójca jeszcze nie zakończył dzieła. Nie mam wątpliwości, że działa według starannie przygotowanego planu. Bardzo możliwe, że żuraw wisięgnikowy, którego szukamy, może być właśnie tym, który kupiła firma Dada Ltd. Transakcję zawarto w październiku. Jeśli to rzeczywiście ten, to powiedziałbym, że morderstwa przygotowano wręcz z niezwykłą starannością. Co zresztą miałyby sens, jeśli weźmiemy pod uwagę skomplikowany plan działania i troskę o najdrobniejsze detale. Musimy odnaleźć wspólny mianownik wszystkich czterech spraw. Nie chcę... powtarzam, nie chcę, żeby w nasze ręce trafiły kolejne zwłoki.

ROZDZIAŁ 42

Brick Lane, środa, 10.40

Za weneckim lustrem, w pokoju przesłuchań numer 3, siedziało przy stalowym stole dwoje ludzi. Wyjścia na korytarz strzegł nieruchomy policjant w mundurze. Na statywie w kącie pomieszczenia stała kamera wideo, a czerwona dioda sygnalizująca nagranie migiała miarowo. Jack Pendragon i Jez Turner czuwali w wąskim pokoju po drugiej stronie lustra. Główny inspektor skrzyżował ręce na piersi, inten-

sywnie wpatrując się w dwie postacie przy stole. Po lewej stronie siedział Francis Arcade, a naprzeciwko niego doktor Rose Tremlin, psycholog policyjny ze Scotland Yardu, która właśnie poprawiała okulary, by sprawdzić coś w pliku kartek, leżącym obok notatnika formatu A4. Była kobietą po czterdziestce, wysoką i szczupłą, a jej brązowe włosy przycięte były na modnego pazia. Miała na sobie czarne, szerokie spodnie oraz niezłą podróbkę zakietu Chanel. Na serdecznym palcu nosiła pierścionek z wielkim brylantem. Arcade siedział sztywno na swoim krześle. Wyglądał fatalnie. Przez większą część poranka gwałtownie wymiotował i teraz sprawiał wrażenie nie tylko skrajnie przygnębionego, ale i wycieńczonego. Patrzył prosto na Rose Tremlin, która od czasu do czasu unosiła głowę, by przemówić. Zadawała mu pytanie, a on wciąż spoglądał tępo przed siebie

301

i nie odpowiadał. Wtedy notowała coś pilnie, raz po raz poprawiając okulary, by po długiej chwili zadać kolejne pytanie. Nie tylko dla psycholożki, ale i dla dwóch policjantów czekających za szybą było to raczej nużące doświadczenie. Wreszcie, po kolejnych trzech pytaniach bez odpowiedzi, Rose zamknęła notatnik, położyła na nim plik kartek, wstała i bez słowa opuściła pokój przesłuchań.

-Obawiam się, że nic z niego nie wydobędę - powiedziała Pendragonowi, gdy otworzył przed nią drzwi pokoju obserwacyjnego i weszła do środka. - Przypuszczam, że jest jeszcze za wcześnie. On wciąż jest w szoku. Zamknął się w sobie.

-A nie sądzi pani, że może udawać? - spytał Turner.

-Nie sądzę - odpowiedziała Rose Tremlin z niezachwianą pewnością. - Co oczywiście nie znaczy, że jest niewinny. Niektórzy zabójcy reagują takim szokiem na popełnioną przez siebie zbrodnię. Jednak z drugiej strony, Arcade może być niewinnym świadkiem, który natknął się na okaleczone zwłoki ukochanej kobiety. Krótkoterminowe skutki takiego wstrząsu są niemal zawsze identyczne. Pendragon spojrział przez szybę na samotną postać w pokoju przesłuchań.

-Jakieś sugestie?

-Potrzeba mu czasu.

-Obawiam się, doktor Tremlin, że akurat tego dobra mamy w tej chwili poważny niedostatek.

Uniosła brwi.

-Wobec tego niewiele mogę pomóc. Proszę mnie zawiadomić, jeśli w jego stanie zajdzie jakakolwiek zmiana. Pendragon skinął głową, a Turner otworzył przed nią

drzwi. Jack nadal przyglądał się badawczo nieruchomej twarzy Arcade'a. Jedyнным dźwiękiem zakłócającym głęboką ciszę pokoju obserwacyjnego było tykanie ścienne-
302

go zegara. Pendragon spojrział na jego tarczę. Minęła 10.45. Ruszył w stronę drzwi, zanim jeszcze Turner zdążył je domknąć. Chwilę później był już przy wejściu do pokoju przesłuchań numer 3.

-Co pan zamierza? - spytał sierżant, widząc, że inspektor chwyta klamkę.

-Porozmawiać z nim - odparł krótko Pendragon. -
Niech pan zaczeka obok.

-Ale... czy nie mógłbym panu towarzyszyć?

-Nie. Porozmawiam z nim sam.

Pendragon odsunął krzesło, usiadł i z przyjemnością wyprostował nogi. Starał się wyglądać na zrelaksowanego. Arcade wciąż siedział nieruchomo, zapatrzony w ścianę.

-Francis - zaczął policjant. - Wiem, że to nie ty zabiłeś.

Młody malarz nie zareagował.

-Francis, spójrz na mnie. Chcę ci pomóc.

Nic.

Pendragon wbił wzrok w swoje palce, splecione na sta-

lowym blacie. Ogarnęło go przemożne zmęczenie. A potem nagle uniósł głowę, Arcade bowiem niespodziewanie przemówił.

-Kochałem Chrissy. Nie zabiłem jej.

Inspektor spojrział mu głęboko w oczy. Chłopak nareszcie oderwał wzrok od ściany i odwzajemnił spojrzenie. Po raz pierwszy od tygodnia, kiedy się poznali, Francis Arcade ukazywał światu swoje prawdziwe, nieprzesłonięte żadną maską oblicze. Pendragon wyobraził sobie dziecko ukryte tuż za fasadą starannie wyćwiczonej niefrasobliwości.

-W porządku - powiedział. - Ja o tym wiem, ale jeśli chcesz przekonać także moich przełożonych, będziesz musiał mi pomóc.

Arcade przez sekundę spoglądał na sufit, zbierając myśli.

303

-Wiedziałem, że ona jest w niebezpieczeństwie.

-Dlatego, że prowadziłeś własne śledztwo? To dlatego zdobyłeś zdjęcia z miejsc zbrodni...

Arcade był wyraźnie wystraszony, ale po chwili się rozluźnił.

-Tak się składa, że nieźle radzę sobie z komputerami, inspektorze. Włamanie do policyjnych plików nie jest aż takie trudne. Jak widzę, znalazł pan kartę pamięci?

Pendragon skinął głową.

-Mój sierżant znalazł, mówiąc ściślej. Tak czy inaczej, mamy ją, więc może zechciałbyś mi o tym opowiedzieć?

Arcade pokręcił głową i przez chwilę spoglądał na stół.

-Co za ulga - zaczął. - Pewnie wkrótce i tak musiałbym panu powiedzieć... Tak, prowadziłem swoje śledztwo w sprawie tych morderstw, a swoją drogą wiedziałem, że stanie się coś złego, zanim jeszcze zginął Berrick. Martwiłem się o mojego wuja.

-Twojego wuja?

Arcade westchnął.

-Tak. O Noela. Był moim wujem.

Tym razem zdziwił się Pendragon.

-Ale przecież dawałeś jasno do zrozumienia, że tak go nienawidzisz.

Arcade pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

-Cóż, widocznie jestem lepszym aktorem, niż mi się wydawało. Chciałem was zmylić, bo prowadziłem własne śledztwo. Nie chciałem, żebyście się wtrącali. Wolałem być podejrzanym.

-W porządku. Czy twój wuj także uważał, że sytuacja jest groźna?

-To dlatego wyczyścił swojego laptopa i przekazał mi

jedyny egzemplarz książki. Zdążył napisać tylko tuzin rozdziałów, ale badanie tematu doprowadził do końca.

304

-Zatem wiedział więcej, niż zdążył zawrzeć w tych piętnastu tysiącach słów?

-Znacznie więcej, inspektorze. Ale wszystko trzymał tu. - Arcade postukał się palcem w skroń.

-Zatem twierdzisz, Francis, że wiedziałeś o istnieniu kogoś, kto zamierza zamknąć usta twojemu wujowi?

-Tak, ale śmierć Berricka bardzo mnie zaskoczyła.

-Sądziłeś, że to Noel Thursk będzie pierwszą i być może ostatnią ofiarą?

Arcade skinął głową, nie patrząc na niego. Pendragon usłyszał, że kilka razy zaczerpnął głęboko powietrza.

-Potrzebowałem sporo czasu, żeby dopasować do siebie wszystkie fakty - rzekł malarz. - Udało mi się to, dopiero gdy zginął ksiądz. I wtedy naprawdę zacząłem się bać.

-Dlaczego?

-No, jak pan sądzi, inspektorze, dlaczego? Bo odkryłem prawdę: kto zabił trzy osoby i z jakiego powodu.

Pendragon spojrzał na niego w milczeniu.

-W porządku - rzekł po chwili. - Scena należy do ciebie, Francis.

-Mój wuj pisał jedynie o wczesnej fazie życia Juliette Kinnear, o jej pochodzeniu. Zacząłem więc podejrzewać, że wcale nie ta część sprawiła, że stał się dla kogoś niewygodny. Nie było tam żadnych pikantnych szczegółów. Noel nawet nie zaczął pisać o tym, jak Juliette zaatakowała ogrodnika. Ale pan już pewnie czytał początek, prawda? Pendragon skinął głową.

-Wuj nie oszczędzał natomiast londyńskiej sceny artystycznej z końca lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych, czyż nie?

-To prawda - zgodził się Pendragon. - Ale nikogo nie wymienił z nazwiska.

Arcade parsknął lekceważąco.

305

-Wcale nie musiał, inspektorze. Wszyscy, którzy uczestniczyli w tamtych wydarzeniach, i tak wiedzieliby doskonale, kto jest kim. I... - Uniósł rękę. - Wiem, co pan chce powiedzieć. „Co z tego? Skoro wszyscy tam byli i każdy wie, kto jest kim, ale nie wie tego nikt z zewnątrz, to w czym problem?”

Pendragon pochylił głowę, jakby chciał powiedzieć: otóż to, mów dalej.

-Możliwe, że mam nad panem pewną przewagę, in-

spektorze. Wuj mi ufał i dlatego wiedziałem, że zamierza w dalszej części książki ujawnić także nazwiska. To jasne, że ktoś podejrzewał taki ruch i postanowił zawczasu go uciszyć.

-Wierzysz zatem, że zabójcą jest ktoś, o kim w niejasny sposób wspomniano w pierwszej części książki?

-Wiem, że tak właśnie jest. A potwierdzeniem tej tezy było morderstwo numer trzy.

-Tak?

-Żałuję tylko, że tak późno uświadomiłem sobie, iż morderca kompletnie oszalał... i że moja Chrissy jest w niebezpieczeństwie. Ale ja tak bardzo skoncentrowałem się na sekwencji morderstw, że zdawało mi się, że już wiem, kto będzie następny, i nie miała to być Chrissy.

Arcade nagle ukrył twarz w dłoniach i zapłakał. Pendragon zaczekał, aż się uspokoi, nim powiedział:

-Przecież mówiłeś, że wiedziałeś o grożącym jej niebezpieczeństwie.

Ręce Arcade'a opadły bezwładnie, odsłaniając zaczerwienione oczy.

-Wiedziałem, gdy było już za późno.

Pendragon przysunął krzesło nieco bliżej stołu, pochylił się i oparł łokcie o metalowy blat.

-Oto twoja wielka chwila, Francis. Kto jest mordercą?

306

Arcade rozparł się na krześle i skrzyżował ramiona na piersi.

-Oczywiście ktoś, o kim jest mowa w pierwszej części książki Noela. Ktoś, kto ma wielki sekret do ukrycia. Ktoś, kto ma wiele do stracenia. Kto ma dość umiejętności, by dokonać serii tak niezwykłych morderstw. Wystarczająco sprytny, by stworzyć wrażenie, że to robota seryjnego mordercy z obsesją na punkcie sztuki. Na początku lat dziewięćdziesiątych ten ktoś był znany jako Jerome Travis. Był wtedy mniej więcej w takim wieku jak ja teraz. Studiował medycynę i znalazł świetny sposób na to, by nie żyć wyłącznie ze stypendium.

Pendragon pokręcił głową.

-Przecież pan wie, prawda, inspektorze?

-Francis, nie masz wrażenia, że popadłeś w obsesję?

-W obsesję?! - wybuchnął nagle młody malarz. - To nie jest obsesja. To jest prawda, inspektorze. I do końca życia będę nienawidził samego siebie za to, że zbyt późno to zrozumiałem i nie mogłem ocalić kobiety, którą kochałem.

Jedynej kobiety, którą kiedykolwiek kochałem i będę kochał.

-Ależ Francis, gdzie dowody na poparcie tej teorii? -
odpowiedział łagodnie Pendragon, starając się go uspokoić.
Młody artysta zacisnął dłonie na krawędzi stołu, oddychając głęboko. Inspektor czuł doskonale, jak ważna jest dla Arcade'a ta sprawa, jak bardzo stara się zachowywać racjonalnie i jak bardzo nie chce stworzyć wrażenia, że oszalał.
-W porządku - rzekł wreszcie malarz zaskakująco spokojnym tonem. - Teraz już pan zna powody, dla których uważam, że Jerome Travis vel doktor Geoff Hickle zamordował czworo ludzi.

ROZDZIAŁ 43

Doktor Geoff Hickle wyglądał na zmęczonego, ale był całkiem spokojny. Był wysoki i dobrze zbudowany. Jego włosy były gęste i kręcone na skroniach, a mocno przerzedzone na szczycie głowy. Cień ciemnego zarostu rysował się na brodzie i policzkach. Obrazu dopełniały duże, brązowe oczy, szerokie brwi, pełne, zmysłowe usta oraz zadbane zęby, najwyraźniej świeżo po kapitalnym remoncie. Zdziwiająco delikatną dłonią pogładził lewą stronę twarzy. Siedzieli w pokoju przesłuchań numer 3 - Hickle po jednej stronie stołu, a Pendragon i Turner po drugiej. Inspektor właśnie kończył nagrywanie wstępu, w którym podał datę i godzinę spotkania oraz dane obecnych.

-...a doktor Hickle odmówił skorzystania z prawa do obecności adwokata - powiedział i pozwolił, by na krótką chwilę zapanowała cisza. Wreszcie pochylił się nieco i położył dłonie na blacie. - Dziękuję, że pan przyszedł, doktorze Hickle. Domyślam się, że to dla pana wyjątkowo trudne chwile.

Hickle nieznacznie skłonił głowę.

-Jak długo znał pan pannę Chapman?

-Poznaliśmy się mniej więcej osiemnaście miesięcy temu. - Mówił przyjemnym, ciepłym barytonem.

308

-Jak się poznaliście?

-Och. - Hickle oklapł nieznacznie, ale zaraz się pozbierał i odetchnął głęboko. - Spotkałem Chrissy na wernisażu w Bath. Jej przyjaciel, rzeźbiarz Jimmy Portine delia Rosa, wystawiał swoje prace. Ja zaś byłem tam na konferencji i kolega zaciągnął mnie na imprezę... - Lekarz uśmiechnął się nieznacznie, błyskając białymi zębami. - Jak się pan zapewne domyśla, nie jestem wielkim miłośnikiem sztuki. Tak czy owak, Chrissy tam była i... od razu zaiskrzyło między nami.

-Czego dotyczyła konferencja?

-Słucham?

Turner spojrzał na szefa, ale ten całkiem go zignorował.

-Jaki był temat konferencji?

Hickle otworzył szerzej oczy i spojrzał najpierw w lewo, potem w prawo, jasno dając do zrozumienia, że uważa to pytanie za dziwaczne. A potem odchrząknął i odparł:

-E... Hasło przewodnie brzmiało: „Regeneracja skóry u pacjentów z poparzeniami trzeciego stopnia: analiza postoperacyjna”. Doktor Fiona Wood... słyszeli panowie o tej australijskiej badaczce?... To ona prowadziła konferencję. Pendragon pokiwał głową.

-Tak, doktor Wood - mruknął, a potem zapatrzył się na podłogę, nim po chwili spojrzał w oczy Hickle'a. - Pan jest specjalistą od poparzeń w London Hospital, czy to prawda?

-Tak jest - przytaknął lekarz.

-I był pan w pracy, w szpitalu, gdy zamordowano pannę Chapman?

-Nie wiem, inspektorze. Nikt mi jeszcze nie powiedział, kiedy dokładnie doszło do morderstwa.

-O, przepraszam - zmitygował się Pendragon i spojrzał na Turnera, który czym prędzej otworzył teczkę i przesunął ją w stronę szefa. Inspektor czytał przez chwilę krótki

309

raport z miejsca zbrodni, nadesłany przez Jonesa, nim zna-

lazł fragment dotyczący czasu zgonu ofiary. - Wczoraj rano. Między dziewiątą a dziesiątą. - Pendragon spojrział na przesłuchiwanego.

-Mój dyżur zaczął się o dziesiątej trzydzieści. Ale pan pewnie już zdążył to sprawdzić.

Pendragon zignorował ten komentarz.

-Proszę mi wybaczyć tak bezpośrednie pytanie, doktorze, ale może zechciałby pan powiedzieć nam, gdzie pan był wczoraj rano?

-Po raz ostatni widziałem Chrissy, gdy wychodziłem z mieszkania, zamierzałem pobiegać. Była jeszcze śpiąca, bo pracowała do późnej nocy w swojej pracowni. Było pewnie piętnaście po siódmej, może pół do ósmej. Zostawiłem ją w łóżku, a kiedy wróciłem, już jej nie było.

-Czy to nie dziwne?

-Nie - odparł Hickie, kręcąc lekko głową i patrząc Pendragonowi w oczy. - Ani trochę. Biegam na długich dystansach; nie było mnie przez godzinę. Pomyślałem, że Chrissy pojechała z powrotem do pracowni. Ona często traktuje... traktowała swoją pracę dość obsesyjnie; nie mogła się od niej oderwać. Uznałem, że to jeden z tych dni.

-Co pan wtedy zrobił?

-Wziąłem prysznic, zjadłem śniadanie, chwilę jeszcze

pokręciłem się po mieszkaniu... - Hickle wzruszył ramionami. - Poczytałem notatki, a potem pojechałem do pracy. Zdaje się, że wyszedłem z domu koło dziesiątej.

Pendragon usadowił się nieco wygodniej na krześle.

-W porządku, doktorze. A teraz proszę spróbować cofnąć się nieco dalej w czasie. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie pan był w środę rano?

Hickle spuścił głowę i zapatrzył się na blat stołu, a kiedy uniósł ją ponownie, zapytał:

310

-Zatem jestem podejrzany?

-Sądziłem, że pan wie.

-Świetnie - odparł wolno Hickie, głosem pozbawionym już choćby cienia poprzedniego ciepła. - W środę rano... Tak. W środy zaczynam wcześniej. Byłem w szpitalu już o piątej czterdzieści, bo o szóstej miałem zacząć.

-A wcześniej?

-Wcześniej? Spałem.

-W mieszkaniu panny Chapman czy w swoim?

-W swoim.

-W... - Pendragon znowu zajrzał do notatek - ...Wilmore Terrace? - dokończył, nie odrywając wzorku od papierów. - A następnego ranka? W czwartek?

-A o jakiej porze tym razem mówimy? O pierwszej nad ranem? O drugiej?

Inspektor popatrzył na niego bez śladu emocji.

-Między trzecią a piątą.

Hickle pochylił się nieco, spojrzawszy spod łba na Turnera, a potem zwrócił się do Pendragona:

-Spałem.

Sierżant chciał coś powiedzieć, ale Hickle wpadł mu w słowo:

-UChrissy.

-A w piątek wieczorem i w sobotę rano?

-Postanowiliśmy z Chrissy spędzić spokojny wieczór w domu. Ale oczywiście tego już nikt nie potwierdzi, prawda?

Pendragon popatrzył na niego z uwagą. Mężczyzna był poirytowany, a jednak potrafił zapanować nad sobą.

-Nie wygląda to najlepiej, prawda, doktorze? - spytał Pendragon.

-To nonsens, inspektorze. - Tym razem zęby Hickle'a błysnęły raczej groźnie. - Wielu ludzi w tym mieście nie

311

byłoby w stanie udowodnić, że byli w te cztery dni w tym czy innym miejscu. To oczywiście nie oznacza, że jestem

tym, kogo pan szuka.

-To prawda - zgodził się Pendragon. - Ale ja sądzę, że krąg podejrzanych znacząco się zawęzi, jeśli weźmiemy pod uwagę wyłącznie te osoby, które nie tylko nie mają alibi na cztery interesujące nas momenty, ale jednocześnie znały osobiście wszystkie cztery ofiary.

-Co takiego? - skrzywił się Hickle.

-Znał pan Kingsleya Berricka, Noela Thurska, ojca Michaela O'Leary'ego i, rzecz jasna, ostatnią z ofiar.

-Myli się pan, inspektorze. Pana Berricka spotkałem dokładnie raz. Niewykluczone też, że przedstawiono mnie Thurskowi, ale ta trzecia osoba... O'Leary? Nawet nie znałem tego nazwiska, póki nie przeczytałem o nim niedawno w gazecie.

-A jednak ci trzej znali pana, choć może nie jako Geoffa Hickle'a. Zapewne więcej powiedziałyby im nazwisko Travis. Jerome Travis.

Mężczyzna był ewidentnie zaskoczony.

-Ach tak. Zatem wracamy do moich występów z czasów studenckich? To okropnie dawno temu, inspektorze.

-Obawiam się, że to nie takie proste - wtrącił Turner, podając Pendragonowi drugą teczkę. - Chciałby pan, żebym nam wszystkim przybliżył wydarzenia z tych zamierzch-

łych czasów?

Hickle pochylił głowę w bok.

-Zapewne nie mam wyboru.

-Studiował pan medycynę w St Thomas od dziewięćdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego szóstego roku. Pochodzi pan z Essex.

Hickle uśmiechnął się lekko.

-Wiedzą panowie, co się mówi o chłopakach z Essex...

312

-Dorastał pan w Billericay. Mniej więcej w 1994 roku poznał pan Juliette Kinnear podczas letnich wakacji. Miała siedemnaście lat i próbowała wejść do środowiska artystów. Poprzez koneksje rodzinne poznała najważniejsze postaci londyńskiego rynku sztuki, w tym Kingsleya Berricka i Noela Thurska, który w tamtych czasach sam był początkującym malarzem.

-Bardzo zajmująca historia - powiedział Hickle. - Ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Chrissy?

Pendragon nie zareagował.

-Mniej więcej wtedy zrozumiał pan, że nadarzyła się okazja do godziwego zarobku. Miał pan dość skromnego studenckiego życia. Mama i tata mieszkali w czynszówce i raczej trudno było oczekiwać od nich wsparcia. I właśnie

w tym momencie poszczęściło się panu. Pan zawsze był człowiekiem wiary, prawda, doktorze?

Hickle skinął głową.

-Tak. To przestępstwo?

Pendragon spojrział na Turnera.

-Sierzancie, to pan wykonał większość roboty badawczej, może zechce pan kontynuować?

Turner odchrząknął, spojrział na leżące przed nim notatki, zaplótł dłonie i popatrzył Hickle'owi prosto w oczy.

-Wasza rodzina, od czasów pańskiego pradziadka, jest żarliwie katolicka i właśnie w kościele poznał pan miejscowego księdza ojca Michaela O'Leary'ego. Ojciec O'Leary jest zaś... o, przepraszam, był... dziwną postacią. Interesował się mianowicie młodymi chłopcami... Niby nic nadzwyczajnego. Ale przy okazji cenił sobie także miękkie narkotyki. Jeszcze nie wiemy, w jaki sposób to się stało, ale z czasem polubił też kokainę. A pan zapewne wie, doktorze Hickle, że kokaina jest droga. Chcąc więc sfinansować swoje hobby, nasz przyjaciel Michael O'Leary zaczął po cichu dorabiać

313

sobie jako diler. I wtedy poznał pana... a był to isticie niebiański związek. Bez podtekstów, ma się rozumieć.

-Proszę posłuchać - wtrącił Hickle, spoglądając naj-

pierw na Turnera, a potem na Pendragona. - W porządku, ja się przyznaję do przestępstw popełnionych... ile? Prawie dwadzieścia lat temu? Proszę wnieść oskarżenie i zrujnować mnie, jeśli to panom dobrze zrobi. Ale tym sposobem nie wskrzesimy Chrissy i nie odnajdziemy jej zabójcy.

Pendragon pochylił się nad papierami.

-Doktorze Hickle, sytuacja jest następująca: Pan znał wszystkie ofiary. Musiał pan jakoś odkryć, że Noel Thursk pisze książkę o pańskiej dawnej dziewczynie, Juliette. Zaniepokoił się pan trochę... a nawet bardzo, i całkiem słusznie, dzieło Thurska mogło bowiem zrujnować pańską karierę lekarską. I wtedy przyszło panu do głowy, że są inne osoby, które chętnie potwierdzą niewesołą historię przedstawioną przez Thurska. Ale najważniejszą informację, którą udało nam się znaleźć, mamy tutaj - dodał inspektor, przesuwając po stole kartkę. - Jako człowiek nauki z pewnością wie pan, co to jest i jak można zinterpretować te dane.

-To wynik badania DNA.

-Zgadza się. Mówiąc ściślej, to wynik badania próbki pobranej z włosa znalezionej przy maszynie, której użył pan do wykonania jednej ze swoich morderczych insceniżacji. A jest to DNA Juliette Kinnear.

-Co?!

-Pańskiej byłej dziewczyny, Juliette Kinnear.

-Przecież ona od dawna nie żyje. - Hickle wyglądał na kompletnie zdezorientowanego i na krótką chwilę Pendragona i Turnera ogarnęły poważne wątpliwości.

-Ale wcześniej byliście razem przez dwa lata, prawda?

To chyba wystarczająco długi czas, by zdobyć kilka włosów.

No, jak to było, kolego? Miała kaprys, postanowiła zmie-

314

nić fryzurę, a ty zatrzymałeś kosmyk na pamiątkę? A może

wymieniliście się pasemkami włosów w romantycznym

geście czułości?

Hickle poszarzał na twarzy

-To jakieś szaleństwo - wydusił wreszcie z siebie. - Co

to za wymysły?!

-Zaprzeczasz, że znałeś O'Leary'ego?

-Nie.

-Zaprzeczasz, że znałeś Berricka i Thurska?

-Nie.

-Zaprzeczasz, że byłeś związany z Juliette Kinnear? Za-

przeczasz, że w latach dziewięćdziesiątych sprzedawałeś

narkotyki artystom, których znałeś? Zaprzeczasz, że prze-

raziła cię wizja wydania książki Thurska?

-Nie... nie... Tak!

-Daj spokój, Geoff. A może powinienem powiedzieć:

Jerome?

-Dobra, ustalmy coś. Rzeczywiście, znałem tych ludzi.

Ale nie miałem pojęcia, że ten cały Noel Thursk pisze książkę. A jeśli chodzi o Juliette, to jakiś absurd. Owszem, jakiś czas chodziliśmy ze sobą, ale... DNA, włos... niech pan nie fantazjuje, inspektorze! - Nagle Hickle umilkł, a gdy się odezwał ponownie, w pełni panował nad emocjami. - Nic pan na mnie nie ma. Wszystko to są tylko poszlaki - dodał, spoglądając wściekle na Pendragona i celowo ignorując Turnera.

Inspektor odetchnął głęboko i spojrzał na leżące przed nim dokumenty.

-Ma pan całkowitą rację, doktorze Hickle. Ale te poszlaki wystarczą, by pobrać od pana odciski palców i poddać pana przymusowemu badaniu DNA. Wystarczą także, by zatrzymać pana w areszcie do czasu, aż znajdziemy niepodważalne dowody na to, że zabił pan czworo niewinnych ludzi. Wtedy już pan nie powie, że nic na pana nie mamy.

315

ROZDZIAŁ 44

-Mam wrażenie, Jack, że skacze pan od jednej koncep-

cji do następnej. - Superintendent Hughes przypatrywała mu się zza polaci swego nieskazitelnie czystego biurka. Tuż przed nią, na wypolerowanym orzechowym blacie leżał równiutko notatnik, a idealnie w połowie długości górnej krawędzi kartki - czarne pióro Mont Blanc. Złączone dłonie szefowej posterunku także spoczywały na biurku.

-To trochę nie fair - zaprotestował Pendragon.

-Nie?

-Nie.

Hughes założyła ręce.

-W porządku. Zatem co mamy? DNA martwej dziewczyny podrzucone dla zmyłki. Lekarza, który ponad piętnaście lat temu znał ofiary i zarobił co nieco, handlując ecstazy i kokainą.

-Nie ma żadnych dowodów ani świadków, którzy widieliby go w czasie, gdy popełniono morderstwa.

-To za mało, Jack.

Pendragon skierował wzrok ku zaciągniętym żaluzjom oraz rzędowi wypielegnowanych kaktusów na parapecie.

-Być może doktor Geoff Hickle był kiedyś studentem z mocno podejrzanym biznesplanem, ale teraz jest uczci-

316

wym obywatelem - ciągnęła Hughes. - O ile wiem, należy

do dwóch rządowych ciał doradczych, przewodniczy bardzo ważnej organizacji dobroczynnej i jest światowej renomy specjalistą od poparzeń.

-I dlatego tak bardzo mu zależy na chronieniu własnej reputacji. Ciężko pracował, żeby znaleźć się tu, gdzie teraz jest. Jak miałby znieść utratę tego wszystkiego, gdyby prawda o jego przeszłości wyszła na jaw?

-Nie ma pan żadnych dowodów.

-Wiem. - Pendragon spojrział prosto w oczy szefowej. - Proszę mi dać dwanaście godzin, a będę je miał. Przygwoździmy go.

Hughes pokręciła głową.

-Nie mogę.

Pendragon przesunął dłonią po czole i zapatrzył się w sufit.

-Musimy go zatrzymać na noc. Tyle chyba możemy zrobić?

-Cokolwiek powiemy lub zrobimy, otoczy się adwokatami i wyjdzie stąd w ciągu godziny - odrzekła Hughes. - Przykro mi, Jack, ale musi pan najpierw zebrać poważne dowody; dopiero wtedy poruszę niebo i ziemię, żeby panu pomóc. Ale wcześniej nie ma o czym mówić.

-Szefie - rzekł Turner, mężnie stawiając czoło wściekłe-

mu spojrzeniu Pendragona - może pan walić głową w mur do woli, ale zyska pan tylko jedno: potężny ból głowy.

-Kolejny przykład domowych mądrości, Turner? Złota myśl mamusi?

Sierżant umilkł i odwrócił głowę.

-Przepraszam - powiedział cicho inspektor. - To było nie na miejscu.

317

-Nie szkodzi, sir.

Siedzieli w gabinecie Pendragona, za zamkniętymi drzwiami. Dochodziła 21.15. Nocna zmiana pracowała już od dwóch godzin i chwilowo na posterunku panował względny spokój. Wichrzyciele, którzy wkrótce mieli załudnić pokoje zatrzymań, byli jeszcze zajęci upijaniem się w okolicznych pubach.

-Zaryzykuję kolejny opiernicz, sir. Może nie byłoby źle, gdybyśmy trochę się zdrzemnęli? Bo nie wiem jak pan, ale ja mam już serdecznie dość tego miejsca. - Turner westchnął ciężko. - Nasi ludzie nie doszli do niczego, szukając związków między przyjaciółmi i znajomymi ofiar. Wiem, że Jimmy sam przesłuchał czternastu znajomych Chrissy Chapman.

-A co z lokalami, o których mówił Sammy?

-Jimmy sprawdzi je jutro.

Pendragon odetchnął głęboko i potarł oczy.

-Tak, chyba ma pan rację, sierżancie. Sądzę, że zmiana dekoracji dobrze mi zrobi. - Wstał i w tym momencie obaj ujrzeli za otwartymi drzwiami superintendent Hughes prowadzącą doktora Hickle'a korytarzem w stronę głównego holu. Lekarz nie zauważył, że jest obserwowany.

-Turner, niech ktoś czuwa przed jego domem przez całą noc. Pan obejmie pierwszą wachtę. Powiem Vickersowi, żeby pana zmienił za dwie godziny.

Trzeba było trzech sygnałów telefonu, by wyrwać Pendragona z głębokiego snu, i jeszcze paru chwil, by oprzytomniał do reszty i zidentyfikował źródło dźwięku. Sięgnął po komórkę leżącą na szafce przy łóżku i zmrużył oczy, by odczytać numer i godzinę. Dopiero wtedy otworzył klapkę.

-Grant? - upewnił się. - Co się stało?

318

-Świr znowu zaatakował. Jesteśmy w drodze na miejsce ataku, czyli do magazynu w okolicy Commercial Road. - Pendragon słyszał w słuchawce bębnienie deszczu i skrzypienie walczących z nim wycieraczek, a po chwili także ciche cykanie migacza.

-Gdzie dokładnie?

-Thyme Street. Strefa przemysłowa, magazyn numer 415b.

-Jadę tam.

Trzy minuty później był już przed domem i odpalał silnik samochodu. Po śniegu nie było już śladu, za to deszcz wciąż padał. Chodniki były czyste, ale mokre. Bezksiężycową noc rozświetlały tylko neony, a kiedy wyjeżdżał ze swojej uliczki, nagle poczuł *déjà vu*: w podobnych okolicznościach rozpoczęła się jego przygoda przy Brick Lane, ledwie sześć miesięcy wcześniej. Przyjechawszy z Oksfordu, parę nocy spędził w hotelu. Zanim jeszcze rozpoczął się pierwszy dzień pracy, o 3.05 nad ranem zadzwonił do niego inspektor Grant, by zameldować, że jest w drodze na miejsce zbrodni przy Mile End Road. Była to brutalna pobudka: zamordowany robotnik został wepchnięty do przewodu wentylacyjnego budynku i wpadł przez strop wprost na parkiet nielegalnego klubu nocnego. Tak się zaczęło wyjątkowo intensywne śledztwo w sprawie niebezpiecznego psychopatycznego zabójcy-transwestyty oraz tajemniczego zabytkowego pierścienia, który niegdyś należał do Lukrecji Borgii.

Pendragon skręcił w lewo i mocno docisnął pedał gazu.

W środę tuż po drugiej nad ranem ulice były puste jak ni-

gdy. Zignorował światła na skrzyżowaniu i znowu skręcił w lewo, w New Road, tym razem wciskając gaz do dechy. Zwolnił dopiero przed skrętem w Commercial Road, ale zaraz znowu przyspieszył. Sześć minut po opuszczeniu miesz-

319

kania Pendragon dotarł do strefy przemysłowej. W dobrym tempie minął otwartą bramę, zwolnił i wreszcie zatrzymał wóz, by przeczytać listę adresów na wielkiej blaszanej tablicy. Odwrócił się w samą porę, by dostrzec karetkę jadącą z naprzeciwka w jego kierunku. Kogut na dachu błyskał miarowo; po chwili kierowca włączył także syrenę. Błoto spod kół zbryzgało szyby wozu patrolowego. Pendragon odczekał moment, by przepuścić ambulans, a potem z piskiem opon ruszył w dalszą drogę. Mundurowy zatrzymał go kawałek dalej, przy błyskających niebieskimi światłami wozach policyjnych i motocyklu, stojących przed magazynem po lewej stronie ulicy.

Podoficer przytrzymał drzwi samochodu, gdy inspektor wysiadał. Roletowa brama znajdowała się pośrodku frontowej ściany magazynu, a tuż obok niej lśnił elegancki, chromowany numer budynku. Z daleka widać było wnętrze hali, zalane mocnym, zimnym blaskiem świetlówek zawieszonych pod wysokim sufitem. Dopiero po dłuższej

chwili oczy inspektora przyzwyczyły się do światła. Turner już szedł mu na spotkanie.

-Szybki pan jest, szefie.

-Jak wygląda sytuacja? Właśnie widziałem karetkę.

-Tak; zdaje mi się, że tym razem uda się uratować ofiarę.

-Co?!

Pendragon nie patrzył na niego; błędził wzrokiem ponad ramieniem sierżanta, lustrując wnętrze magazynu. Przednia część była w zasadzie pusta - widać było jedynie pomalowaną, betonową posadzkę i nieliczne arkusze starych, porzuconych gazet, szargane wiatrem. W głębi hali stały dziesiątki kolumn złożonych z drewnianych skrzynek, skupione w dwóch grupach. Każda z kolumn składała się z pięciu skrzynek. Między dwiema grupami przebiegała ścieżka szeroka może na trzy metry. Pendragon posłyszał

320

głosy dobiegające zza skrzynek; ustawiony w hali potężny reflektor rzucał długie cienie, które tańczyły na suficie. Turner szedł pierwszy, wskazując drogę.

-Wezwanie dostaliśmy mniej więcej o pierwszej czterdzieści. Kobieta dzwoniła z telefonu komórkowego. Mamy ją tu. Nazywa się Vanessa French. Była w hysterii; twierdziła, że ktoś torturuje jej chłopaka, Gary'ego Townsenda.

Przyjechaliśmy jako pierwsi, z Thatcherem i Mackleby.
Zobaczyłem pannę French tu, przed budynkiem. Była roz-
trzęsiona; próbowała nad sobą zapanować, ale tak naprawdę
była w proszku. Mackleby została przy niej, a Jim i ja we-
szliśmy do środka. Usłyszeliśmy straszliwy skowyt. Do-
tarliśmy mniej więcej dotąd - tu Turner wskazał miejsce
na posadzce - i wtedy usłyszałem jakieś szelesty. Skoczy-
liśmy naprzód i zdążyłem jeszcze dostrzec postać w plasti-
kowym skafandrze ochronnym. Wie pan, w takim, jakich
używa się w laboratoriach biologicznych. Ofiara leżała na
ziemi. Ręce i nogi miała rozłożone na boki i unieruchomione
linami. Pobiegłem za typem w skafandrze.

-Domyślam się, że nie zdążył pan przyjrzeć mu się
bliżej?

-Nie, szefie. Musiał się dobrze orientować w terenie
i mieć zaplanowaną drogę ucieczki. Gdy dobiegłem na tyły
magazynu, drzwi były otwarte, ale nikogo już nie było.
Wreszcie wyszli spośród skrzynek i zatrzymali się
przed pustą przestrzenią o boku mniej więcej trzech me-
trów. W betonie były tu umocowane cztery metalowe pier-
ścienie, a do nich uwiązano kawałki sznura z widocznymi
ślądami cięcia. Na posadzce widniała kałuża, pod którą
beton najwyraźniej zaczynał się rozpuszczać. Otoczono

ją policyjną taśmą ostrzegawczą. Z boku stały dwie plastikowe baryłki. Pendragon dostrzegł na jednej z nich naklejkę z napisem „Żrące”. Dwaj mundurowi stali po pr-

321

wej, a przy nich Jimmy Thatcher i inspektor Rob Grant. Po lewej ustawiono dwa drewniane krzeselka. Na jednym z nich siedziała sierżant Roz Mackleby, a na drugim młoda kobieta otulona kocem oznaczonym symbolem ratownictwa medycznego.

W pamięci Pendragona automatycznie pojawił się obraz sceny ze Stepney Green sprzed sześciu dni: sierżant Mackleby pocieszała inną kobietę, siedząc na stopniu karetki, podczas gdy nieopodal zwisało z konaru drzewa straszliwie zniekształcone ciało.

Jack podszedł do kobiet.

-Panno French, jestem główny inspektor Jack Pendragon.

Vanessa French uniosła głowę, by na niego spojrzeć. Miała dwadzieścia parę lat i była wyraźnie niedożywiona, ale ładna. Sięgające ramion włosy miała rozpuszczone. Makiż raz rozmazał jej się od łez. Miała zdecydowane rysy twarzy oraz inteligentne oczy.

-Witam - powiedziała. - Inspektorze Pendragon, na-

prawdę wolałabym być teraz przy Garym.

-Rozumiem, ale lekarze zrobią dla niego wszystko, co w ich mocy, a panią możemy później zawieźć prosto do szpitala.

Przeniosła spojrzenie na betonową podłogę, a potem znowu na niego.

-Zgoda. Próbowałam już opisać, co się tu wydarzyło, ale przypuszczam, że i pan pewnie chciałby posłuchać.

Pendragon zdobył się na lekki, pocieszający uśmiech.

-Gdyby pani była tak miła.

-Od czego mam zacząć? Od momentu, kiedy wybuchnęłam histerycznym płaczem czy trochę wcześniej?

Pendragon nie odpowiedział, tylko skinął dłonią, najwyraźniej pozwalając, by panna French sama podjęła decyzję.

322

-Boże! Czuję się tak kompletnie, tak cholernie niepotrzebna. .. Powinnam była powstrzymać tego człowieka.

-Nie. Słusznie pani postąpiła.

Panna French wzięła głęboki wdech.

-Podejrzewałam, że Gary, czyli mój chłopak, Gary

Townsend, ma romans. Ostatnio tak często wychodził późnym wieczorem... Jest redaktorem w dziale sztuki „Daily Telegraph”. Owszem, ja dobrze wiem, że wychodzenie wie-

czorami należy do jego obowiązków, bo taką ma pracę, ale mimo wszystko zaczęłam go podejrzewać. Pojechałam więc za nim aż tutaj. - Przez chwilę sprawiała wrażenie mocno zakłopotanej. - Tak czy owak, dotarłam tu bodaj o pierwszej trzydziści. Roleta była opuszczona, ale boczne drzwi nie. Wśliznęłam się do środka i wtedy usłyszałam dziwne dźwięki dobiegające mniej więcej stąd, z głębi magazynu. Przekradłam się między stertami skrzyń i ukryłam się tam - ciągnęła, wskazując palcem miejsce. - I wtedy to zobaczyłam. .. - Urwała nagle, jakby zabrakło jej tchu, i zasłoniła usta dłonią. Mackleby nachyliła się ku niej, ale Vanessa French łagodnym ruchem odepchnęła jej rękę. - Nic mi nie jest - powiedziała i odetchnęła głęboko. - Gary był spętany, przywiązany do tych pierścieni. W półmroku nie widziałam wszystkiego dokładnie. Był tu ktoś ubrany w ochronny kombinezon i maskę. Pochylił się nad Garym i patrzył na niego, trzymając w rękach plastikowy kanister, z którego zdjął już zakrętkę. Gary starał się walczyć. Był zakneblowany, ale i tak słyszałam, że próbuje krzyczeć. To było straszne. - Umilkła znowu i wzdrygnęła się, jakby chciała fizycznie zrzucić z siebie ciężar strachu. - Człowiek w kombinezonie coś do niego mówił, ale dziwnie zniekształconym głosem. Czasem słyszy się takie przetworzone dźwięki

w piosenkach, wie pan, o czym mówię?

Pendragon zerknął na Mackleby, ale policjantka była

323

zbyt skupiona na słowach Vanessy French, by zauważyć to spojrzenie.

-Zrozumiałam tylko coś jakby „A teraz mój Edward Munch...” A potem na twarz Gary'ego poląła się ciecz z tego plastikowego pojemnika.

Vanessa umilkła i spojrzała błagalnie na Pendragona, a potem przycisnęła dłonie do twarzy i wolno zsunęła je w dół, po policzkach. Inspektor poczuł na plecach bardzo zimny dreszcz.

-Gary... Gary wrzeszczał. Wrzeszczał i wrzeszczał. -

Vanessa musiała wziąć parę głębokich wdechów. - A ja stałam jak skuta lodem, dosłownie... Wiem, że to brzmi jak fragment marnej powieści sensacyjnej, ale tak właśnie było. Czulałam się tak, jakby rozpadał się wokół mnie cały świat. Było mi niedobrze. A potem... uciekłam. - Umilkła, a Pendragon, który przyglądał się z uwagą jej twarzy, widział doskonale, jak wiele wysiłku kosztuje ją panowanie nad emocjami. - Wybiegłam na zewnątrz. Zwymiotowałam. Płakałam. Dosłownie lało mi się z oczu - pewnie od oparów chemikaliów... O Boże! - Panna French zasłoniła

usta dłońmi. - Proszę pomyśleć... pomyśleć, co Gary musiał. .. - Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, którą przerywał jedynie trzask migawki aparatu. Pendragon obejrzał się, szukając wzrokiem policyjnego fotografa. -I wtedy zadzwoniłam na policję...

-Dziękuję pani, Vanesso - przerwał jej Pendragon i pochylił się, by podać jej rękę. Drgnęła nieznacznie, gdy jej dotknął, a potem raz jeszcze oderwała wzrok od betonu i spojrzała mu twardo w oczy.

-Proszę, inspektorze, niech pan dopadnie tego skurwiała - wysyczała, a potem cofnęła rękę.

324

-Czyli niczego nie widzieliście, stojąc pod domem Hickle'a? - upewnił się Pendragon, gdy wsiadali z Turnermem do samochodu.

-Absolutnie nic. Vickers zjawił się mniej więcej o północy. A godzinę później dostaliśmy wezwanie tutaj... W drodze do magazynu dzwoniłem do Vickersa. Mówił, że nikt nie opuszczał budynku, w którym mieszka doktor.

Pendragon ostrożnie manewrował na krętej drodze przecinającej strefę przemysłową, aż dotarli głównej ulicy.

-Hickle mógł się jakoś wyśliznąć - zauważył.

-To możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne.

-Wobec tego, jeśli za sprawcę nadal uznajemy Hickle'a, to musi mieć współnika.

-Chyba że facet jest całkiem niewinny, szefie - odparł Turner.

ROZDZIAŁ 45

Do pani Soni Thomson

17 października 1888 r.

-A więc to ty! - wykrzyknął Archibald. Jego twarz była blada niczym świeży śnieg w mroźną zimę.

-Na to wygląda, stary druhu - odpowiedziałem, rzucając na łóżko torbę, w której przyniosłem swoje przybory do rysowania.

— To ty zabiłeś wszystkie te kobiety.

Patrzył na mnie tak nieruchomy jak figura woskowa, w szoku tak głębokim, że jego oczy nie wyrażały żadnych uczuć. Dostrzegłem tylko minimalne drżenie kąćka jego ust. Tik nerwowy, pomyślałem. Nigdy dotąd nie widziałem, by Archibald czymś się denerwował albo martwił - nawet podczas naszych najbardziej dramatycznych wypraw do palarni opium. Zawsze był spokojny i pewny siebie.

— A zatem już wiesz, Archibaldzie - rzekłem cicho. I wtedy, całkiem niespodziewanie, rzucił się na mnie

z zaciśniętymi pięściami.

Jak wiesz, mąż twój był osobnikiem mocno zbudowanym oraz silnym. Był jednak także co najmniej o piętnaście lat starszy ode mnie, a wygodne życie, które wiódł, także nie dawało mu przewagi. Zadał fatalnie niecelny

326

cios, a ja tylko wystawiłem nogę. Potknął się i wylądował na podłodze, tuż obok stołu, przy którym tak niedawno pisałem listy i planowałem moje arcydzieło. W jednej chwili siedziałem już na nim. Jedno szybkie uderzenie w kark wystarczyło, by stracił przytomność.

Ułożyłem go na plecach na łóżku i stanąłem obok, spoglądając na jego pulchne ciało. Gdy się odwracałem, wzrok mój spoczął na najnowszym obrazie. Stał na sztalugach, nietknięty naszą krótką walką. Podeszedłem bliżej, wpatrując się weń z zadowoleniem. Był naprawdę piękny i gdybym postanowił go dokończyć, w pełni zasługiwałby na każde słowo pochwały - a usłyszałyby ich niewątpliwie mnóstwo. Tak jednak nie miało się stać. Spuściłem głowę, przenosząc wzrok na moje przybory malarskie: kolekcję słoików z pędzlami sterczącymi na wszystkie strony, paletę farb i wielką butlę rozcieńczalnika. Sięgnąłem po nią, wyjąłem zatyczkę, odetchnąłem bogatą chemiczną

wonią i hojnie rozlałem całą zawartość flaszki po całym pokoju. Wreszcie z kieszeni płaszcza wyjąłem pudełko zapalek i zapaliwszy jedną z nich, patrzyłem przez chwilę na drżący płomyk.

Cisnąłem ją na dywan dwa metry od moich stóp. Rozcieńczalnik natychmiast zajął się ogniem. Podeszedłem do łóżka, uniosłem Archibalda i przerzuciłem go sobie przez lewe ramię. Zmierzając w kierunku drzwi, sięgnąłem po torbę z nożami i resztą ekwipunku, a potem szybkim krokiem ruszyłem ku schodom, moje mieszkanie na dobre zajęło się bowiem ogniem.

Zaplanowałem kilka dróg ucieczki i przygotowałem kilka kryjówek. W końcu jednym z najistotniejszych aspek-

327

tów każdego wielkiego dzieła jest planowanie, a już szczególnie trafna wydaje się ta teza w odniesieniu do tej formy sztuki, której uprawianiu się poświęciłem.

Bez trudu wyniosłem Archibalda z budynku i dalej, ulicą. W tej okolicy półprzytomni pijacy byli bardziej typowym widokiem niż trzeźwi dżentelmeni. Szybko zresztą, gdy nikt nie patrzył, skręciłem w zaułek i znaleźliśmy się w mroku, na tyłach jednego z najwyższych budynków stojących przy Whitechapel Road. Usłyszałem piski, gdy

kilka szczurów uciekło przed nami ze sterty śmieci. Usadziłem twojego męża, pani, pod ceglana ścianą kamienicy i zacząłem rozsuwać nogami leżące dokoła odpadki, aż wreszcie odsłoniłem brudne kamienie bruku. Ukucnąłem, by po omacku odnaleźć metalowy krąg studzienki kanalizacyjnej. Szarpnąłem go i uniosłem, a wtedy fetor ścieków buchnął prosto w ciasną przestrzeń zaułka. Oparłem się naglej potrzebie zwymiotowania, ale na krótką chwilę musiałem się odwrócić. Za stojącymi opodal pod ścianą zardzewiałymi beczkami ukryłem niedużą latarenkę. Wydobyłem ją teraz, otworzyłem okienko w bocznej ścianie obudowy i zapaliłem knot. Powróciwszy do otwartej studzienki, szarpnąłem Archibalda i przysunąłem go bliżej, ciągnąc za nogi.

Opuściłem się do włazu, korzystając z krótkiej metalowej drabinki. Sięgnąłem po torbę i cisnąłem ją do środka, a potem sam zszedłem głębiej. Kanał nie był głęboki. Nie mogłem stanąć całkiem prosto, za to zdołałem sięgnąć w górę, poza krawędź otworu, by wciągnąć doń najpierw nogi Archibalda, a potem całą resztę. Wyhamowałem jego upadek własnym ciałem, najlepiej jak się dało, podtrzymując go rękoma. Mimo to upadł twarzą w szlam na dnie i wtedy zaczął się budzić.

Nim jednak ocknął się całkowicie, porwałem go za

328

ręce, wykręciłem je do tyłu i solidnie związałem kawałkiem linki, którą - jak zawsze przezorny - nosiłem w torbie. Gdy skończyłem, wymierzyłem mu kilka policzków na rozbudzenie.

-A teraz, Archibaldzie, odwróć się - powiedziałem. - Idziemy w tym kierunku - dodałem, wskazując na czerń tunelu za jego plecami.

-O kurwa! - wykrzyknął. - Co za smród!

Teraz dopiero spojrzał w dół, na siebie, i zauważył w wąłym blasku latarenki, że jest pokryty ludzkimi odchodami.

-Ruszaj! - warknąłem.

Spojrzał na mnie bykiem.

-Zapłacisz za to, Tumbril. Zapłacisz.

Roześmiałem się.

-Archibaldzie, mój drogi przyjacielu, nie nazywam się Harry Tumbril, lecz William Sandler. A teraz powtarzam po raz ostatni: ruszaj!

Zgięty nieomalże wpeł Archibald zaczął iść w głąb tunelu. Po dwudziestu metrach kanał znacznie się poszerzył - miał teraz może trzy metry szerokości, zaokrąglone

ściany i ceglane sklepienie, które na szczęście znajdowało się tuż ponad naszymi głowami. W bocznej części tunelu biegła metalowa rura o średnicy mniej więcej ośmiu centymetrów, umocowana do ściany mocnymi stalowymi wspornikami. Raz jeszcze sprawdziłem węzły sznura na nadgarstkach Archibalda, a potem odwróciłem go twarzą ku mnie. Widać było, że jest przerażony, ale także rozwścieczony. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz ja miałem już tego dość. Uderzyłem go pięścią w twarz tak mocno, że zatoczył się do tyłu, uderzył głową w ścianę tunelu i upadł. Pochyliłem się nad nim i sprawdziłem, czy oddycha, a potem rozwiązałem mu ręce i zawiązałem

329

na nowo — tym razem mocując je do rury. Naciągnąłem mocno końcówki sznura i wstałem.

- Nie całkiem jak w Reform Clubie, nieprawdaż, Archie? - spytałem i wybuchnąłem śmiechem.

I tak oto, droga pani, zbliżam się do końca mojej opowieści. Wynająłem pokoje w Claridge's, zamieniając nędzę Whitechapel na luksus i przepych Mayfair. Szczerze mówiąc, miałem wrażenie, że jestem to sobie winien - była to skromna nagroda za stworzenie najbardziej rewolucyjnego dzieła sztuki od czasu, gdy Giotto jako pierwszy

spopularyzował zastosowanie perspektywy.

Hotel, jak należało się spodziewać, był nader przyjemny. Ciepła woda, luksusowa łazienka, miękka i czysta pościel. Nie jestem zbytnim hedonistą, ale zmiana na lepsze po tym, co przeżyłem przy Wentworth Street, była zaiste odczuwalna. Siedząc w apartamencie 325, raczyłem się lekturą „Timesa”, czytając niestworzone historie o smutnym kresie życia Mary Kelly. Na stronach czwartej i szóstej znalazłem dwa znacznie krótsze artykuły. Pierwszy z nich dotyczył strasznego pożaru w Whitechapel, który zniszczył dwa sklepy i pokoje gościnne nad nimi. W zgliszczach odnaleziono trzy zwęglone ciała i dziesiątki upieczonych żywcem kurczaków. Drugi artykuł opowiadał o pewnym wydawcy gazety, który zniknął bez śladu. Po raz ostatni widziany w Reform Clubie, Archibald Thomson nie powrócił do redakcji „Clariona” przy Pall Mail. Zawiadomiono policję i detektywi zdążyli już odwiedzić wszystkie miejsca, w których zwykle bywał - bez rezultatu. Pan Thomson, jak się zdawało, przepadł niczym kamień w wodę.

Rozkoszowałem się pobytem w Claridge's, ale już po

330

dwóch dniach miałem nowe zadania do wykonania. Prze-

de wszystkim nabyłem bilet pierwszej klasy do Nowego Jorku - w jedną stronę. Uprawniał mnie on do wejścia na pokład transatlantyku Oceanie, należącego do White Star Line i oferującego, jeśli wierzyć prospektowi, niedościgły luksus podróży morskiej. Już następnego dnia, szóstego października, miałem wyruszyć w dwutygodniowy rejs do Ameryki.

Późnym południem wróciłem do Whitechapel. Pod osłoną mroku zakradłem się raz jeszcze do zaułka, w którym znajdowała się studzienka, odnalazłem latarenkę ukrytą na dawnym miejscu za zardzewiałymi beczkami, a następnie powtórzyłem trasę, którą dwie noce wcześniej przebyłem w towarzystwie twojego małżonka. Znowu znalazłem się w wąskim tunelu, którego dnem płynął strumień ekskrementów, a na ściany wpełzała pleśń. Nieśpiesznie dotarłem do szerszego kanału. Wątle światelko latarni zatańczyło na odbarwionych ceglach, by po chwili wyłowić z mroku umęczoną postać Archibalda. Znalazłem go dokładnie tam, gdzie go zostawiłem.

Przykucnąłem przed nim i uniosłem mu głowę. Żył, ale był prawie nieprzytomny. Wyjąłem z torby butelkę wody i przycisnąłem ją do jego ust. Nie zareagował, więc zacząłem go policzkować i czyniłem to tak długo, aż wresz-

cie otworzył oczy. Spojrzał na mnie, ale nie byłem w stanie stwierdzić, czy mnie rozpoznaje. Znowu podałem mu butelkę i tym razem pociągnął łyk. Miałem wrażenie, że woda przywraca mu siły. Upił jeszcze trochę, stękając przy tym z cicha. Wreszcie spojrział na mnie nieco przytomniej.

- Przyniosłem ci coś, Archibaldzie - oznajmiłem. -

Wkrótce wyjeżdżam, ale przyszło mi do głowy, że warto będzie zostawić ci kilka drobiazgów, które nie pozwolą ci o mnie zapomnieć.

331

Znowu sięgnąłem do torby, tym razem po mój ulubiony nóż o dwudziestocentymetrowym ostrzu z najlepszej stali i rękojeści pokrytej cielecą skórą. Położyłem go na brudnej posadzce, mniej więcej metr od miejsca, w którym Archibald był uwiązany do metalowej rury. Teraz wyjąłem z torby pakunek owinięty kawałkiem materiału. Odwinąłem go zaraz i uniosłem zawartość pudełka na wysokość twarzy Archibalda, by w blasku latarenki dobrze się przyjrzał: był tam torcik owocowy, szynka, solidny kawał czekolady oraz otwarta butelka czerwonego wina. Całkiem przytomny, patrzył na to wszystko szeroko otwartymi oczami.

Postawiłem pudełko tuż obok noża - minimalnie poza

zasięgiem twojego męża, pani. Następnie postawiłem przy nim latarnię, by dobrze widział prezenty ode mnie, kiedy już odejdę. Wreszcie wstałem i spojrzałem mu w oczy. - Spróbuj dostrzec jasną stronę swego położenia, Archibaldzie - rzekłem. - Wkrótce będzie już po wszystkim. Trzymaj się.

I tak oto dotarliśmy do końca, droga Soniu. Muszę wyznać, że pisanie tych listów do ciebie było nadzwyczaj ciekawym doświadczeniem. Nie zamierzałem zdawać ci aż tak szczegółowej - i tak długiej - relacji, ale chyba trochę mnie poniosło. Rzekłbym nawet, że cała ta pisanina to swoiste katharsis, ale to mogłoby sugerować, że chciałem zrzucić z siebie jakiś ciężar, co, naturalnie, jest myślą wręcz niedorzeczną.

Uczyń, co zechcesz, z informacjami, które ci przekazałem. Wyobrażam sobie, że zapragniesz odnaleźć ciało Archibalda i zapewnić mu godny pochówek - jak sobie życzysz, pani. Dla mnie z pewnością nie jest to jeszcze kres

332

opowieści, ale na pewno finał tej jej części, w której zbiegły się nasze losy. Za kilka dni stanę w Nowym Jorku, a potem... kto wie? Nie mam jeszcze konkretnych planów. Cieszę się, że wyrwałem się z Londynu i choć nie wątpię,

że kiedyś jeszcze za nim zatęsknię, to jednak przeczuwam, że już nigdy nie wrócę do Anglii. Choć z drugiej strony - wszystko możliwe. Życie przecież przypomina sztukę. Pozwól umysłowi i woli hasać swobodnie, a któż może wiedzieć, dokąd cię los zaprowadzi? Żegnaj.

ROZDZIAŁ 46

London Hospital, czwartek, 29 stycznia, 9.14

Eksplozja była tak niewielka, że w ciasnym pokoiku tylko kilka butelek i pudeł spadło z półek, ale jednocześnie wystarczająco silna, by uruchomić system alarmowy i posłać chmurkę czarnego dymu przez półprzymknięte drzwi na korytarz. Przygotowanie ataku nie potrwało dłużej niż dziesięć minut: wy starczył krótki spacer korytarzem w jednorazowym zielonym stroju salowej, a potem jeszcze pięć kroków za drzwi oddziału intensywnej opieki medycznej. Niezbędne chemikalia były na miejscu, w składziku odwiedzanym tylko przez sprzątaczkę: kwas siarkowy, wybielacz, pasta do podłóg. Dodać odrobinę zmywacza do paznokci, prościutki układ elektryczny z małą baterią i fleszem ze starego aparatu fotograficznego i... bum!

Zadziałało idealnie. Huk, który dobiegł ze schowka, był odpowiednio głośny, podobnie jak przenikliwe tony tłuczenia szkła i łomot spadających pudeł. Sygnał alarmowy uru-

chomił się natychmiast, gdy tylko pojawił się dym. Dwie pielęgniarki siedzące przy biurku w przedsiionku oddziału intensywnej opieki medycznej natychmiast wybiegły na korytarz. Parę sekund później ich śladem podążył jedyny lekarz dyżurujący na tym oddziale. Nie było wielką sztuką

334

wykorzystać to zamieszanie, by wśliznąć się niezauważenie do długiej, wąskiej sali.

Najpierw należało uporać się z alarmem. Komputer na biurku sióstr pomrukiwał cicho. Wystarczyło nacisnąć kilka klawiszy, by wywołać program obsługujący osobiste sygnalizatory pielęgniarek i lekarzy. Zmiana trzech parametrów nie stanowiła problemu. Jedno naciśnięcie klawisza „Return” zakończyło sprawę.

Gary Townsend był nieprzytomny. Górna połowa jego ciała spoczywała pod przezroczystą pleksiglasową kopułą. Przez trzy plastikowe rurki dostarczano mu niezbędne lekarstwa. Monitor popiskiwał miarowo, a na ekranie widać było wszystkie parametry życiowe rannego. Jego twarz była potwornie zniekształconą masą - tak wyglądałaby zapewne twarz plastikowej laleczki, gdyby ktoś potraktował ją palnikiem. Niemal połowa włosów została rozpuszczona; pozostały nieliczne kępkę. Oczy były otoczone

zwałami nadtopionej skóry, a w policzkach ziały głębokie bruzdy, w których widać było fragmenty nagiej, białej kości. Na czole i szyi rannego ułożono opatrunki z gazy. Gary Townsend oddychał z widocznym wysiłkiem.

Kopuła dała się odchylić na metalowych zawiasach. Intryz rozejrzał się jeszcze, by mieć pewność, że nikt nie pojawił się w korytarzu, a potem zdjął osłonkę z igły. Z pewnym trudem odnalazł żyłę, a następnie szybkim ruchem wtłoczył w nią dawkę heroiny. Townsend nie żył już, gdy przezroczysta kopuła na powrót opadła na miejsce.

Morderca odwrócił się i spokojnym krokiem podszedł do drzwi, a potem oddalił się od miejsca swej małej akcji dywersyjnej. Skręcając w główny korytarz, monitorowany systemem kamer... spuścił głowę i zasłonił twarz teczką. Zadanie zostało wykonane.

335

ROZDZIAŁ 47

Brick Lane, Stepney, czwartek, 29 stycznia, 9.45

Pendragon zdołał złapać tylko parę godzin snu. O 3.30 nad ranem opuścił posterunek i zatelefonował do Vickersa, który zgodnie z planem wracał już na Brick Lane po skończonej warcie pod domem Hickle'a w Wilmore Terrace. Vickers zameldował, że nie zauważył niczego podejrzanego

i że służbę przejął Thatcher. Niespełna sześć godzin później główny inspektor był już z powrotem w swoim gabinecie i przepytował dwóch innych sierżantów, którzy także obserwowali budynek Hickle'a. Podejrzany nie pojawił się nawet na chwilę. Jack chciał też sprawdzić, jak Thatcher radzi sobie ze sprawdzaniem magazynów, których adresy podał Sammy, ale wiedział, że na ten meldunek trzeba będzie poczekać jeszcze parę godzin. Tymczasem więc zajął się parzeniem kawy.

Turner zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Wyglądał tak, jakby od tygodnia nie zmrużył oka.

-Mam wrażenie, że przydałaby się panu dawka mojej ekstramocnej włoskiej - rzekł Pendragon, gdy sierżant zajmował miejsce na krześle naprzeciwko biurka.

-Fantastycznie, sir, poproszę.

W tym momencie rozległo się kolejne pukanie do drzwi i nowo przyjęty sierżant Manners przekroczył próg gabinetu.

336

Pendragon odwrócił się plecami do ekspresu.

-Tak, sierżancie?

-Przepraszam, że niepokoję, sir, ale pomyślałem, że może chciałby pan wiedzieć: dziesięć minut temu kończy-

łem dyżur, kiedy dostałem wiadomość z London Hospital.

-Od kogo? - spytał Pendragon, unosząc brew.

-Od konsultanta z oddziału ratunkowego. Dziś wczesnym rankiem przyjęto kobietę, ofiarę napadu. Prosiła, żeby pana zawiadomić. Nazywa się Locke.

-Gemma Locke?

-Tak jest.

Pendragon obszedł biurko, ściskając kubek z kawą w lewej dłoni. Odczekał, aż Manners wyjdzie, a potem rozkazał:

-Turner, zostaje pan tutaj. Proszę sprawdzić te magazyny, do których Thatcher jeszcze nie dotarł.

-A dokąd pan się wybiera?

-Do London Hospital.

-Ależ szefie, kawa...

Pendragon nie zareagował. Wyszedł z gabinetu, zanim z ust Turnera wydostało się ciche:

-O kurwa...

London Hospital nigdy nie spał. O dziesiątej rano panował tam ogromny ruch. Karetki podjeżdżały pod główną bramę i odjeżdżały wąskim podjazdem łączącym gmach z Mile End Road. Hol pamiętał jeszcze czasy wiktoriańskie. Docierało tu niewiele naturalnego światła. Wyszczerbione marmurowe kolumny i odrapane ściany pokryte tablica-

mi ogłoszeń tylko potęgowały klaustrofobiczne doznania. W kącie, daleko od głównego wejścia, stała żalosna namiastka kiosku.

Pendragon przedstawił krótko swoją sprawę i błysnął

337

policyjną odznaką w stronę młodziutkiej dziewczyny za kontuarem, która natychmiast zabrała się do wprowadzania danych do komputera.

-Zgadza się, panna Locke - powiedziała, nie przerywając żucia gumy i ani przez chwilę nie patrząc Pendragonowi w oczy. - Tamtędy - dodała, wskazując na lewo. - Za drugimi podwójnymi drzwiami skręci pan w prawo.

Pendragon ruszył korytarzem w głąb szpitala, ignorując plakaty namawiające do rzucenia nikotynowego nałogu, stosowania kremów z filtrem UV oraz poddania się szczepieniu przeciwko grypie. Ze wszystkich stron dobiegały odgłosy ludzkiej aktywności. Gdzieś za drzwiami płakało dziecko. Lekarz w białym kitlu z kolekcją długopisów w kieszeni na lewej piersi minął Pendragona w pośpiechu. Z daleka dochodziły basowe pomruki wiertarek oraz głośne przekleństwa budowlańców. Inspektor pchnął drugie podwójne drzwi i zgodnie z radą dziewczyny skręcił w prawo, by znaleźć się w kolejnej, znacznie mniejszej recepcji. Zno-

wu okazał odznakę, a wtedy młody pielęgniarz wskazał mu miejsce za parawanem - drugie łóżko po lewej stronie sali.

-Jack Pendragon! - zawołała Gemma Locke i uśmiechnęła się szeroko, gdy inspektor niepewnie odchylił zasłonę. - Obiecałeś, że zadzwonisz.

Siedziała na brzegu łóżka, czytając czasopismo. Miała obandażowaną głowę i kilka sterylnych opatrunków policzku. Nawet teraz, bez makijażu, wyglądała nader atrakcyjnie. Spod dolnej krawędzi bandaża spowijającego jej głowę wystawała końcówka grzywki, a jej ciemne oczy płonęły, jak zawsze, żywym blaskiem.

-Przepraszam - odpowiedział Pendragon i nagle przypomniał sobie, że przyniósł kwiaty. Wręczył jej mały bukiet.

-Och, Jack! Jak miło z twojej strony.

-Widzę, że spotkała cię niemiła przygoda.

338

Gemma dotknęła bandaża i ruchem głowy wskazała na krzesło stojące obok łóżka. Jack usiadł posłusznie.

-Chyba nie jest aż tak źle, jak na to wygląda - powiedziała. - O ósmej rano byłam na badaniu i dowiedziałam się, że nic mi nie będzie. Pół godziny później dostałam zastrzyk przeciwbólowy - dodała, wskazując miejsce na ramieniu. - Lekarz powiedział, że ten lek uwalnia się powoli,

więc powinnam odpocząć jeszcze kilka godzin. Zabronił mi „obsługiwania maszyn” i poradził, żebym poczytała sobie książkę. Właśnie miałam wezwać taksówkę... Tak się cieszę, że cię widzę. Rozumiem, że dostałeś moją wiadomość.

-Tak.

-Pomyślałam, że powinnam zgłosić ten incydent, dlatego od razu zatelefonowałam do mojego ulubionego gliniarza. Dodajmy, że jesteś jedynym policjantem, którego znam! - Gemma uśmiechnęła się szeroko, a zaraz potem skrzywiła się z bólu. - Auu... Pamiętaj, Jack, nie pozwalaj mi się uśmiechać.

-Co się właściwie stało?

-Mniej więcej o pierwszej nad ranem szłam Stanton Street. Oczywiście, trzeba było wezwać taksówkę. Teraz każdy mi to powie.

-O pierwszej?

-Tak, Jack - odpowiedziała znużona i przewróciła oczami. - Jestem artystką. Nie obowiązują mnie godziny urzędowania.

-Zanotowano - odpowiedział z humorem Pendragon. - Jestem gliną. Też nie pracuję od dziewiątej do piątej. Mów dalej, proszę.

-Nie słyszałam, żeby ktoś się do mnie zbliżał. Poczułam tylko ból w głowie i jakby... nie wiem, jak to wyjaśnić... chyba zdziwienie. Tak, to chyba najlepsze słowo. Zdziwienie.

339

Co mogło tak zboleć? Rozumiesz... I to wszystko. Obudziłam się w szpitalnym łóżku, podobnym do tego.

-Domyślałam się, że zostałam też okradziona?

-O tak. Telefon, karty, trochę gotówki.

-Wiem, że pewnie już się domyślasz, ale muszę ci to powiedzieć jako pierwszy: trzeba było wziąć taksówkę.

-Spóźniłeś się, i to bardzo. Pierwszy był lekarz.

-Zatem możesz już wrócić do domu?

-Mogę.

-W takim razie ja sam wsadzę cię do taksówki.

-Zgoda - odpowiedziała. - Ale tylko pod warunkiem, że dasz się zaprosić na kawę u mnie.

Pendragon zerknął na zegarek.

-Ach...

-Inaczej nic z tego.

Apartament Gemmy Locke mieścił się na czternastym piętrze ekskluzywnego, nowiutkiego wieżowca w Wapping. Był bardzo nowoczesnie urządzone, ale też pełen zmiękczających surowy wystrój, typowo kobiecych dodatków.

Komfortowy i praktyczny. Trzydziestoparoletni, dobrze zarabiający mężczyzna zapewne zadowoliliby się czarną skórą i chromem na każdym kroku; Gemma wolała bardziej subtelną, kobiecą paletę barw i tekstur: umbrę paloną, kość słoniową i niemalowany tynk. Klimat wnętrza dobrze współgrał z miejskim pejzażem Docklands za wielkimi oknami. Widać było także Canary Wharf, a w oddali nawet długą i krętą wstęgę Tamizy. Gruba warstwa ciemnych chmur wisząca nad miastem zapowiadała kolejne opady śniegu.

-Domyślam się, że tu nie pracujesz - powiedział Pendragon, rozglądając się po pięknym wnętrzu.

340

-No, nie! - odpowiedziała Gemma. - Mam pracownię w Bermondsey. Lubię wyraźnie rozgraniczać pracę i dom. Gdybym tego nie robiła, wiecznie byłabym w pracy.

Pendragon uparł się, że sam zrobi kawę, by Gemma mogła od razu położyć się na jednej z masywnych kanap stojących w tej części przestronnego wnętrza, która służyła jako salon. Wszystko, czego potrzebował, znalazł tam, gdzie się spodziewał. Po chwili wrócił z tacą, którą położył na indyjskiej ławie ozdobionej masą perłową.

-Boli jeszcze?

-Nie bardzo - odrzekła. - Lekarz mówił, że po takim zastrzyku nawet napadnięty słoń poczułby się lepiej. Nie jestem tylko pewna, czy podobała mi się ta aluzja.

Pendragon parsknął śmiechem.

-Czy wszyscy gliniarze mają takie świetne poczucie humoru? - spytała, lekko wydymając usta.

-Niektórzy tak sądzą. Na przykład mój sierżant uważa, że jest niezmiernie dowcipny.

Skinęła głową i sięgnęła po kawę.

-Mmm... wspaniała.

-No dobrze, skoro już rozmawiamy - zaczął Pendragon - to może opowiesz mi co nieco o sobie? Uprzedzam, że w Internecie już sprawdzałem.

-O Boże!

-I muszę powiedzieć, że twoja strona internetowa robi wrażenie.

-W tych czasach to de rigeur.

-Też tak myślę. Ale informacje, które znalazłem, są raczej powierzchowne.

-A co chciałbyś wiedzieć? Czy to przesłuchanie?

Pendragon pokręcił głową i uśmiechnął się.

-Czysto osobisty program badawczy - odpowiedział i uniósł filiżankę do ust.

-Co za ulga - odparła drwiąco Gemma, patrząc na niego znad swojej kawy. - Tak naprawdę wszystko, co ciekawe, jest na stronie. Moje życie tak naprawdę zaczęło się, dopiero kiedy przyjechałam do Londynu, świeżo po studiach. Miałam dwadzieścia jeden lat.

-Czytałam, że studiowałaś na berlińskim Uniwersytecie Sztuki.

-Tak. Mój tata był pułkownikiem armii brytyjskiej, więc często się przeprowadzaliśmy. Mieszkaliśmy na Cyprze, w Gibraltarze, a nawet, niestety, w Belfaście. Miałam mniej więcej piętnaście lat, gdy przenieśliśmy się do Niemiec. Pułk taty stacjonował w Eberswalde, niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Berlina. Gdy miałam siedemnaście lat, ojciec dostał propozycję pracy za biurkiem i cała rodzina przeniosła się do Brukseli. Ja zostałam w Berlinie, bo właśnie dostałam się na studia. - Spojrzała na Pendragona z nagłą powagą. - Tata umarł prawie równo rok temu.

-Współczuję...

-Niepotrzebnie. Gdy byłam młoda, byliśmy sobie bardzo bliscy, ale z czasem oddaliliśmy się. W ostatnich dwóch czy trzech latach prawie się nie widzieliśmy, a potem... I może to właśnie jest najgorsze. Tak czy owak... - Gemma

urwała, by dokończyć kawę i odstawić filiżankę na tacę.

-A twoja przełomowa praca? Czyli...

-Autostrady i Krew.

-Wyznam bez bicia: nie bardzo zrozumiałem, o co chodzi. Ale bez wątpienia ciekawe - powiedział Pendragon.

W rzeczywistości w ogóle nie pojmował tego dzieła: było to prostopadłościennne pudło, wysokie na dwa metry i szerokie na metr, podzielone pionowo na pół. W jednej części nagranie wideo ukazywało dziesięciopasmową autostradę, sfilmowaną pewnie gdzieś w Ameryce, po której przesuwały się uporządkowane strumienie samochodowych świateł.

342

W prawej połówce pudła również trwała w nieskończoność prezentacja wideo: w wielokrotnym powiększeniu widać było pojedyncze krwinki obijające się o siebie w nieustannym ruchu.

-Rany! Fatalna recenzja.

Pendragon uniósł ręce.

-Nie, to nie tak. Obawiam się, że wyłazą tu moje braki.

Mam po prostu nieco staroświecki gust.

-Proszę cię, tylko nie wymawiaj przy mnie słowa „Monet”.

Inspektor zmarszczył brwi.

-Miej choć trochę wiary we mnie!

Gemma zaśmiała się i zaraz potem skrzywiła.

-Wiesz co? Przepraszam, ale sam nie wiem, co robię - powiedział Jack, wstając z fotela. - Przed chwilą wyszłaś ze szpitala, a ja wciągam cię w dyskusje o sztuce.

-Nie szkodzi... - zaczęła Gemma i urwała w pół zdania, by ziewnąć. - Ooo - zdziwiła się. Spróbowała podnieść się z kanapy, ale zachwiała się. Pendragon zdążył ją chwycić i ostrożnie posadzić.

-Przepraszam - wymamrotała, zamykając oczy. - Zdaje się, że lekarz wcale nie żartował, mówiąc o słońcu...

-Zamknę za sobą - obiecał Pendragon.

ROZDZIAŁ 48

Pendragon był już na dole, w holu apartamentowca, w którym mieszkała Gemma Locke, gdy zadzwonił Turner. Korek na Commercial Road sprawił, że podróż do szpitala potrwała pół godziny. Ta sama młoda kobieta, z którą inspektor rozmawiał wcześniej, skierowała go na oddział intensywnej opieki medycznej na trzecim piętrze. Turner czekał przy wahadłowych drzwiach oddziału.

Administracja szpitala chyba przesadnie zareagowała na domniemane zagrożenie. Czworo pacjentów z intensywnej terapii przeniesiono do innego budynku, a tuzin in-

nych z sąsiednich sal - do wszelkich wolnych pomieszczeń poza oddziałem. Byli wśród nich dwaj starszacy, których tymczasowo umieszczono w ciasnej kanciapie, zwykle służącej lekarzom do szybkich drzemek między dyżurami.

-Kto jeszcze przyjechał? - spytał Pendragon, widząc sierżanta Thatchera i inspektora Towersa zajętych przesłuchiowaniem niewielkiej grupki pracowników szpitala, zgromadzonych na korytarzu w pobliżu stanowiska pielęgniarek.

-Doktor Jones się spóźni, za to Colette Newman i jej asystent są już na oddziale.

-Co to za zapach?

344

-Nie wiem, sir, ale też zwróciłem na niego uwagę. Coś jakby spalona guma.

-Tak, i coś jeszcze... Tylko nie wiem co. Tak czy inaczej, gdzie jest wejście na oddział?

-Tam. - Turner wskazał na drzwi po lewej stronie, przy końcu korytarza.

Samotne łóżko szpitalne, na którym spoczywały zwłoki Gary'ego Townsenda, wydawało się nie pasować do reszty pomieszczenia. Kable i rurki zwisały smętnie przy trzech innych, pustych miejscach dla pacjentów. Maszyny, które

nadal były podłączone do ciała zmarłego, milczały. Monitor rejestrujący nierówny i słaby rytm serca Townsenda teraz wyświetlał linię prostą. Nieznany Pendragonowi technik kryminalistyczny w plastikowym kombinezonie poszukiwał właśnie odcisków palców na relingach oraz na rurach po lewej stronie łóżka. Doktor Newman przykucnęła obok, z próbką w jednej ręce i szczypcami w drugiej. Miała na dłoniach lateksowe rękawiczki, a na twarzy ochronne okulary laboratoryjne oraz papierową maskę. Odwróciła się ku nadchodzącym policjantom, zatkała próbkę i umieściła ją obok innych, w metalowym stojaku leżącym obok łóżka. Wstając, ściągnęła maskę na szyję.

-Przybywa nam nieboszczyków, inspektorze.

Pendragon spojrział na nią z bólem, a potem zbliżył się do łóżka i spojrział na zmasakrowaną twarz Townsenda. Westchnął głęboko i znowu odwrócił się ku doktor Newman.

-Jakieś odkrycia? - spytał z nadzieją.

-Jesteśmy tu ledwie od dziesięciu minut, ale wygląda na to, że mamy tu mnóstwo odcisków palców do zbadania... do tego trochę włosów... i płatki naskórka. Ale tego chyba można się spodziewać w takim miejscu, nieprawdaż?

-Jak szybko mogę się spodziewać pierwszych wyników badań? Przepraszam, że tak naciskam, pani doktor, ale...

-Niech pan nie przeprasza. A sprawę potraktujemy priorytetowo, bez obaw. A teraz, jeśli pan pozwoli...

-Jasne - mruknął skrzepowany Pendragon, a potem klepnął Turnera w ramię i bez słowa wskazał na drzwi.

Gdy wyszli na korytarz, Towers jeszcze rozmawiał z jedną z pielęgniarek; pozostali pracownicy szpitala już zdążyli się rozejść. Pendragon skinął na inspektora.

-Co macie? - spytał krótko.

-Oczywiście nikt niczego nie widział. Sprawca dokonał małej dywersji.

-Co takiego?

-Użył bomby domowej roboty. Słabej i prymitywnej, ale dostatecznie dobrej, by zadymić korytarz i skutecznie odstraszyć ludzi.

-To by wyjaśniało smród - wtrącił Turner.

-Siostra z oddziału intensywnej opieki medycznej, Agnes Daniels, stanowczo twierdzi, że tylko na kilka minut opuściła razem z koleżanką swój posterunek przy wejściu. Kiedy wróciła, usłyszała sygnał ostrzegawczy z kardiomonitora Gary'ego Townsenda. Doszło do zatrzymania akcji serca. Natychmiast wezwała lekarza, ale reanimacja się nie powiodła. Pacjent został uznany za zmarłego o dziewiątej

dwadzieścia cztery. Dopiero ponad godzinę później pani Daniels stwierdziła, że ktoś majstrował przy komputerze na jej stanowisku pracy. Wyłączono sygnalizatory, które zdalnie powiadamiają personel o nagłych zmianach w stanie zdrowia pacjenta. Szybko dodała dwa do dwóch i natychmiast zawiadomiła ochronę. Powiadomienie o przestępstwie dotarło na nasz posterunek trzydzieści pięć minut temu - zakończył, spoglądając na ekran notebooka.

-Coś nowego? Co poza tym?

-Pielęgniarka słyszała niewielki huk stamtąd - wyjaśnił Towers, wskazując na uchylone drzwi, odległe o kilka

346

metrów. Pendragon i Turner dostrzegli za nimi technika w plastikowym kombinezonie, który przykucnął, by zbadać jakiś przedmiot leżący na podłodze.

-Siostry wpadły w panikę - ciągnął Towers. - Wie pan, jak to jest, kiedy wszędzie się słyszy o terrorystach... Ale gdy tylko zdały sobie sprawę, że to bardziej zabawka niż bomba, uznały, że to jakieś cholerne durne smarkacze zakradły się na teren szpitala. Ochroniarze opanowali sytuację, więc w zasadzie nie trzeba było nas wzywać.

Pendragon pokiwał głową.

-No tak. Nikt nie lubi papierkowej roboty. Kto jeszcze

był w pobliżu w momencie eksplozji?

Towers szybko przejrzał notatki.

-Siostra z intensywnej opieki Agnes Daniels, i jej zastępczyni, Ungani Metubu. Obie były na oddziale... Dwie inne pielęgniarki, Consuela Manito i eee... Ari Hullano, siedziały tutaj, przy biurku. - Inspektor wskazał ręką na puste stanowisko pracy w głębi korytarza. - Poza tym młody lekarz przechodził tędy w drodze na oddział J; niejaki doktor Imhrim Atullah. O dziewiątej miał przyjść specjalista, ale się nie pojawił.

-A później?

-Nie sprawdziłem, sir.

-Zatem proszę sprawdzić, inspektorze! - warknął Pendragon, odprawiając go ruchem ręki. -I sprowadzić mi tu tę siostrę z intensywnej opieki... Agnes Davies... i to już!

-Daniels, szefie - wtrącił Turner i natychmiast pozawłował, bo Pendragon obrócił się i zmierzył go wściekłym spojrzeniem.

-Sir, czy mogę coś zaproponować? - wtrącił sierżant Thatcher, by jak najszybciej rozładować sytuację. - Może pogadam z personelem na dole, w głównym holu? Może koło dziewiątej rano ktoś zauważył coś niezwykłego.

-Tak, warto spróbować, sierzancie. A kiedy już pan to zrobi, proszę popytać także pacjentów, którzy kręcili się w pobliżu, albo przynajmniej byli przytomni, czy nie wydarzyło się nic niecodziennego. A pan, Turner - dodał Pendragon - niech skopiuje wszystkie nagrania ze szpitalnego monitoringu. Przynajmniej na niektórych korytarzach muszą być kamery, a na zewnątrz na pewno jest ich sporo. Proszę zabrać ten materiał na posterunek i przejrzeć sekunda po sekundzie. Interesuje nas przedział od dziewiątej do dziesiątej rano.

Pendragon odwrócił się i zobaczył nadchodzącego Towera. Towarzyszyła mu wysoka, smukła kobieta w granatowym uniformie. Pendragon nie umiał ocenić, czy jest bliżej czterdziestego piątego czy pięćdziesiątego piątego roku życia. Miała ciemne, dość głęboko osadzone oczy. Wyglądała na chorą lub co najmniej skrajnie przemęczoną.

-Siostra Daniels - przedstawił ją Towers.

Kobieta skinęła głową.

-O ile dobrze zrozumiałam, chciał się pan czegoś dowiedzieć o specjaliście. - Miała głęboki, nieomalże męski głos, równie zmęczony jak jej twarz.

-Tak, proszę mówić.

-Miał przyjść o dziewiątej, ale do tej pory się nie zja-

wił - wyjaśniła z nutą pogardy w głosie.

-Rozumiem. Poda mi pani nazwisko?

Zerknęła do grafiku podpiętego pod notatnik.

-Tak. Doktor Hickle. To on opiekował się Garym Townsendem. Ale to już pewnie nie ma wielkiego znaczenia.

ROZDZIAŁ 49

WHITECHAPEL, 6 PAŹDZIERNIKA 1888

— Ten cholerny wór jest coraz cięższy i cięższy - jęknął Eddie Morestone. -I przestańcie się wreszcie miotać, pieprzone łajdaki! - warknął, dźwigając worek o kilka centymetrów nad powierzchnią cuchnącej brei płynącej dnem kanału. W trzydziestym drugim roku życia Eddie był już starym człowiekiem. Życie śmieciarza nie było łatwe, ale pochodził z rodziny, która nie dała mu wielkiego wyboru. Ojciec i dwaj stryjowie byli wodnikami - poszukiwali wartościowych przedmiotów na nieprawdopodobnie zaśmieconych nabrzeżach i płyciznach Tamizy; niekiedy też wyciągali z nurtu trupy, by ułożyć je w łodzi czy na piaszczystym brzegu, poszukać czegoś, czego nie zdążyła zabrać rzeka: złotych zębów, pierścionków, krzyżyków... czegokolwiek, co dałoby się sprzedać. Eddie także pracował przez dwa lata na rzece, ale nienawidził wody, więc gdy przyjaciel zaproponował mu spółkę łowiecką -

chodziło o łapanie w kanałach East Endu szczurów, które nadawały się na przekąskę dla walczących psów - bez namysłu skorzystał z okazji.

Przyjaciel ów, Jimmy Grafter, zmarł zresztą przed pięcioma laty, na cholere - „to wada tej profesji”, żartował pono Eddie, gdy ktoś miał ochotę z nim rozmawiać, czyli

349

był w stanie znieść jego smród. Po śmierci Jimmy'ego znalazł sobie nowego partnera, Szybkiego Toma. Dzieciak miał dwanaście lat i w pełni zasługiwał na swój przydomek. Teraz zresztą to on był w tej spółce pierwszoplanową postacią; dni Eddiego w kanałach były policzone i obaj o tym wiedzieli.

-Tom, przyhamuj no na chwilkę, dobrze? — zawołał w ciemność przed sobą.

-Spiesz mi się do domu - burknął w odpowiedzi chłopak, nie zwalniając kroku.

On także dźwigał worek pełen niespokojnych gryzoni. Po chwili jednak, zdjęty litością, zatrzymał się, by Eddie mógł do niego dołączyć. Westchnął ciężko, patrząc, jak jego „wiekowy” towarzysz powłóczy nogami, z trudem łapiąc oddech. Tom niósł prócz worka jedyne źródło światła — małą lampkę umocowaną tuż przed jego nosem

i rzucającą ponure cienie na pokrytą ospowymi bliznami twarz.

-Dzięki, synu - wysapał Eddie.

I wtedy usłyszeli odgłos skrobania.

-No proszę — powiedział Tom. W masce brudu pokrywającej jego oblicze wykwitł nagle szeroki uśmiech. - Zda się, że duża sztuka.

-To stamtąd - odrzekł Eddie, ruchem głowy wskazując na tunel, który właśnie mijali po lewej.

Skradali się powoli i ostrożnie.

-Co, u...? - wykrzyknął nagle Tom.

-Co jest?

-To jakiś facet!

-Co?! - Eddie przecisnął się obok niego, rzucając po drodze worek i nie zwracając najmniejszej uwagi na gwałtowną szamotaninę uwięzionych w nim szczurów. — Ja pierdolę!

350

Tom pochylił się obok skulonej postaci.

-Związany, biedaczysko.

-Żyje?

-Nie wiem.

Eddie przykucnął obok i teraz dopiero zauważył nóż,

rozmiękle pudełko z resztkami masy przypominającej czekoladę i otwartą butelkę wina.

-Coś dziwnego się tu stało - zauważył. - Po co ten nóż? I butelka?

Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, Eddie odwrócił się i uniósł bezwładną głowę leżącego. Twarz Archibalda Thomsona była blada, a z ust, niczym gruby sznur, zwiślały zakrzepłe wymiociny, sięgając szyi i koszuli.

-Jeszcze dycha - powiedział Tom i z błyskiem w oku spojrzał na Eddiego. - Myślisz o tym co ja?

Eddie zmienił pozycję i potrząsnął nieprzytomnym mężczyzną, a potem spróbował siłą uchylić jego powieki. Archibald drgnął.

-To jakieś panisko - zauważył Tom, przyjrzawszy się bacznie odzieży Archibalda. - Sprawdź mu kieszenie, Ed. Eddie wcisnął dłoń do kieszeni marynarki i wyjął portfel.

-Nawet go nie okradli.

-E tam. Najpierw zajrzyj do środka.

Eddie wysunął z portfela kilka zmiętych banknotów.

-Chyba z pięć funtów albo i więcej.

Tom aż gwizdnął z wrażenia.

-Ładnie - mruknął, sięgając do kamizelki Archibalda

po zegarek. - Złoty łańcuszek i w ogóle... - dodał, mrugając porozumiewawczo do Eddiego. - No, dawaj. Zabieramy, co się nada, i zwiewamy. Nie zapomnij o nożu - dorzucił, kiwając głową. — Też może być coś wart.

-Czekaj.

351

Tora spojrział na niego z ukosa, mrużąc oczy.

-Myśl, Tommy, myśl! Nie sądzisz, że za takiego typa może być nagroda? To dżentelmen, przecież widać! Musi być wart szylinga albo i dwa. Na pewno ktoś będzie wdzięczny, że znaleźliśmy go żywego.

Tom spojrział na starego z powątpiewaniem.

Eddie widział doskonale wahanie dzieciaka.

-No i? - ponaglił go.

-Zgoda - rzekł Tom po długiej chwili milczenia. -

Ale forszę też bierzemy. Nie musimy być aż tacy szlachetni, co?

ROZDZIAŁ 50

Brick Lane, Stepney, czwartek, 29 stycznia, 14.05

-Jack, to jest pierwszy przełom w tej sprawie.

Pendragon nie podniecał się zbyt widocznym entuzjazmem superintendent Hughes. Właśnie wracał na posturunek; rozmawiali przez zestaw głośnomówiący.

-Nie widzę, żeby pan się specjalnie cieszył - skomentowała.

-Rzeczywiście, nie cieszę się. Jeśli Hickle jest taki sprytny, jak się wszystkim zdaje, już dawno jest bardzo daleko stąd. Ma nad nami prawie trzy godziny przewagi. Musiał to wszystko świetnie zaplanować ze swoim współnikiem.

-Jasne. Niestety, nie możemy wsiąść do wehikułu czasu. Ale są i dobre wieści: mamy poparcie z samej góry. Mogę zarządzić blokady dróg. Zamknąć porty. Przekazać nakaz aresztowania zarządom lotnisk. Ba, w razie potrzeby mogę nawet zamknąć lotniska!

Pięć minut później Jack zaparkował przed posterunkiem, a po kolejnych czterdziestu pięciu sekundach był już w gabinecie szefowej.

-Nasza ekipa lada chwila będzie w mieszkaniu Hickle'a - oznajmiła superintendent. - Jestem pewna, że tam go nie zastaniemy, ale mamy nakaz przeszukania. Zobaczymy, jakie brudne tajemnice próbował przed nami ukryć.

353

-Nasi ludzie niczego tam nie znajdą.

-Może i nie.

-A co z mieszkaniem Chrissy Chapman?

-Grant i Vickers są już w drodze.

-A my co będziemy robić?

-Czekać, Jack.

Pendragon zmusił się do tego, by usiąść do sterty papierów, które gromadził na biurku już od tygodnia, ale nie mógł skupić się na tej mozolnej pracy. Wreszcie telefon zadzwonił po raz pierwszy. Dowódca ekipy meldował, że Hickle'a nie ma w domu i - zgodnie z przewidywaniami Jacka - nie znaleziono w jego mieszkaniu niczego ciekawego.

Wkrótce potem zadzwonił inspektor Grant, który właśnie wracał z Vickersem z apartamentu Chrissy Chapman. I tam Hickle się nie pojawił, a samo mieszkanie było w dokładnie takim stanie, w jakim pozostawiono je poprzedniego dnia, gdy ekipa kryminalistyczna zakończyła swoją pracę, a sprzątaczkę doprowadziły je do porządku.

Pendragon zdążył tylko spojrzeć na zegar - była 18.03 - nim telefon odezwał się po raz trzeci.

-Inspektorze - odezwała się Colette Newman.

-Mam nadzieję, że ma pani dla mnie coś ciekawego, pani doktor.

-Na oddziale intensywnej opieki medycznej znaleźliśmy dosłownie dziesiątki różnych odcisków palców i sporo próbek DNA. Jest wśród nich kilka dobrych, wyraźnych

śladów Hickle'a, a także płatki naskórka i włosy zawierające jego DNA.

-Tak, to się nam przyda.

-Tak przypuszczam. Ale oczywiście zdaje pan so-

354

bie sprawę, że te dowody nie mają aż takiego znaczenia?

Hickle często bywał na tym oddziale. Byłoby dziwne, gdybyśmy nie znaleźli tam ani jego odcisków, ani śladów DNA.

-Jasne, że zdaję sobie sprawę, doktor Newman, ale przyda nam się każdy, nawet najmniej istotny trop. Dziękuję, że tak szybko udało się przebadać te ślady.

Chwilę później rozległo się pukanie. Zanim jeszcze otworzyły się drzwi, Pendragon rozpoznał przez matową szybę znajomą sylwetkę Turnera.

-Sierżancie - odezwał się na powitanie - dobrze widzę, że ma pan płytę DVD?

Turner pomachał nią triumfalnie.

-Powieм tylko, że nieźle musiałem się nagadać, żeby ją dostać.

Wyszli na korytarz i ruszyli w stronę trzecich drzwi po lewej stronie. W sali medialnej Turner włączył kilka urządzeń i postawił krzesło przed dwoma monitorami stojącymi na biurku. Pendragon zajął miejsce nieco dalej i w milcze-

niu obserwował, jak komputer ładuje system operacyjny, a analizator nagrań wideo wydaje serię elektronicznych dźwięków, czytając dane z płyty DVD. Turner szybko odnalazł interesujący go fragment zapisu.

- Jeszcze tego nie oglądałem - zastrzegł. - Wszystkie kamery szpitalne przekazują obraz do wspólnego centrum kontrolnego. Jest ich w sumie siedemnaście wewnątrz budynku i czternaście na zewnątrz. Operator przekazał mi wszystkie nagrania z interesującej nas godziny, wraz z numerami kamer, których zapisy mogą nam się najbardziej przydać. Są takie trzy w budynku i jedna przed wejściem. Mogę zaprogramować analizator tak, by przeszukiwał tylko te nagrania. Może zaczniemy od kamery ustawionej najbliższej oddziału intensywnej opieki medycznej, sir? - zaproponował Turner, obracając się na krześle.

355

Pendragon skinął głową.

- Chyba tak będzie najlepiej.

Palce sierżanta zatańczyły na panelu kontrolnym leżącym przed dwoma płaskimi monitorami. Na lewym pojawił się obraz z kamery przemysłowej. Kadr obejmował korytarz łączący główny budynek szpitala z okolicami stanowiska administracyjnego przy oddziale intensywnej opieki me-

dycznej. Jakieś postacie pojawiały się i znikwały: najpierw pielęgniarka, potem dwoje lekarzy. Pacjent z balkonikiem potrzebował kilku minut, by pokonać fragment korytarza obserwowany przez szerokokątny obiektyw kamery. Cyfry na zegarze w rogu ekranu zmieniały się leniwie. O 9.08 pojawiła się postać w zielonym, jednorazowym stroju salowej i czepku nasuniętym nisko na czoło. Gdy tylko „salowa” znalazła się w kadrze, uniosła teczkę, by zasłonić twarz. Po chwili zniknęła za drzwiami.

Minęło kilka minut. O 9.14 pojawiła się ponownie. I tym razem zasłoniła twarz teczką. Zdążyła oddalić się korytarzem na bezpieczną odległość i dokładnie wtedy wybuchła zaimprovizowana bomba. Z głośników analizatora dobiegł huk, a na ekranie pojawiła się chmura dymu, bijącego zza drzwi niedomkniętych przez „salową”. Kilkoro pracowników szpitala pobiegło w stronę źródła dymu. Jediną osobą w kadrze, która poruszała się w przeciwnym kierunku, była „salowa”, która rozglądając się ukradkiem, zmierzała wprost na oddział intensywnej opieki medycznej.

Zegar pokazywał 9.17, gdy zielona postać pojawiła się, po raz trzeci zasłaniając twarz teczką. Skręciwszy w prawo, z nisko spuszczoną głową ruszyła energicznym krokiem wprost ku kamerze. Od pierwszej chwili, gdy pojawi-

ła się na ekranie, było jasne, że to nie doktor Hickle. Osobie uwiecznionej na nagraniu brakowało tuszy i co najmniej piętnastu centymetrów wzrostu.

356

-Stop - powiedział Pendragon. Turner zatrzymał nagranie. - Zatem to jest współnik Hickle'a.

-Też tak sędzę, szefie.

-Muszę to sobie przemyśleć. A pan pewnie, podobnie jak ja, ma sporo papierkowej roboty?

Sierżant skinął głową.

-Turner, czy wychodząc, mógłby pan zgasić światło?

ROZDZIAŁ 51

Szpital dla obłąkanych Bethlem, St George's Fields

SoUTHWARK, listopad 1888 r.

Powóz minął imponującą bramę Bethlem Royal Hospital i Sonia Thomson usłyszała trzask bata, którym woźnica chciał zachęcić konie do szybszego biegu. Wcześniej nawet nie chciał słyszeć o kursie w to miejsce.

— Bedlam? - powtórzył, gdy podała adres. — A czego pani tam szuka?

Posłała mu wtedy spojrzenie tak lodowate, że bez słowa zachęty wymamrotał przeprosiny.

Podróż minęła jej w okamgnieniu. Wciąż jeszcze była

otępiała po lekturze serii listów, które otrzymała tego ranka. Przybyły pocztowym parowcem z Ameryki i układały się w jedną, długą opowieść. Chwilami była to historia rozwlekła i niejasna, ale to w niczym nie zmieniało jej szokującego wydźwięku. Czytając ją, Sonia Thomson była przerażona, choć chwilami budził się w niej także niepoohamowany gniew. Zawsze kochała swego męża, zawsze go szanowała, zawsze uważała go za błyskotliwego, zdeteminowanego, ciężko pracującego i oddanego, ale też była świadoma jego słabostek. Słabostek, które przejawiała większość mężczyzn. Jednakże barwny sposób, w jaki autor listów, niejaki William Sandler, opisał grzeszki Archibalda, jednocześnie ujawniając

358

tyle informacji o sobie i swych potwornych uczynkach... Nie, wobec tego wszystkiego nie mogła pozostać obojętna.

Właściwie nie miała jeszcze czasu, by w należyty sposób przetrwać rewelacje zawarte w listach, ale jakaś część jej umysłu - ta bardziej logiczna, wykształcona (Sonia pochodziła bowiem z rodziny o bogatych tradycjach uniwersyteckich) - pomału zaczynała formułować pierwsze trudne pytania. Najważniejsze z nich brzmiało: co powin-

nam zrobić z informacjami, które posiadałam. Z pewnością jest to szczerze wyznanie szaleńca, ale czy do końca prawdziwe? Czy autorem listów naprawdę jest Kuba Rozpruwacz? Jak można być tego pewnym? To prawda, że po śmierci Mary Kelly morderstwa w Whitechapel ustały. Ale co z dramatycznym opisem losów Archibalda w kanałach ściekowych? Jeśli śmieciarze, którym wypłaciła nagrodę, mówili prawdę, to bardzo możliwe, że wersja wydarzeń przedstawiona przez Williama Sandlera była prawdziwa. Ale nawet jeśli tak było, to jeszcze nie musiało oznaczać, że Sandler - albo Tumbril, bo pod takim nazwiskiem znał go Archibald - naprawdę jest Kubą Rozpruwaczem. Ta część opowieści zawartej w listach z powodzeniem mogła zostać zmyślona.

Lecz nie to najmocniej zaprzętało umysł Soni Thomson. Najbardziej palącym problemem nie było to, czy autor listów naprawdę jest tym, za kogo się podaje, ale to, co należało z nimi zrobić. Nie mogła ich opublikować, tym sposobem bowiem zrujnowałaby reputację swego męża. Niewielu ludzi znało prawdę o jego losie. W powszechnym mniemaniu wciąż jeszcze był nieszczęsną ofiarą porwania, porzuconą na pewną śmierć w cuchnących kanałach Londynu. „Clarion” informował obszernie o tym, jak re-

daktor naczelny wolno powraca do zdrowia po tak ciężkiej

359

przeprawie. Sonia nie zamierzała zrobić niczego, co mogłoby podważyć tę wersję. Cóż dobrego mogłoby wyniknąć z tego, że świat dowiedziałyby się, jak Kuba Rozpruwacz bez trudu omamił jej małżonka?

Dorożka zatrzymała się wreszcie, a Sonia zeskoczyła na żwirowy podjazd. Niespiesznie obesła powóz, zbliżyła się do schodów i tam spotkała doktora Irvina Braithwaite'a, który czekał na nią z ręką wyciągniętą na powitanie. Był wysokim i chudym mężczyzną, nawet dość atrakcyjnym na swój chłodny, naukowy sposób. Nosił się na czarno, a bujny, siwiejący wąs przydawał mu klasy. Był naczelnym lekarzem w tym szpitalu i już od dwóch miesięcy opiekował się jej mężem, wykazując w tej niełatwej misji niezmienną cierpliwość i troskę.

- Pani Thomson - rzekł, ściskając jej dłoń i kłaniając się bardzo nieznacznie. Jaki on staroświecki, pomyślała Sonia, odwzajemniając ukłon. - Proszę, chodźmy bez zwłoki zobaczyć się z pani mężem.

Minęli potężne, neoklasyczne kolumny portyku i przez wielki przedsionek wkroczyli do ogromnego holu, w którym każdy krok niósł się echem. Doktor Braithwaite po-

prowadził Sonię w lewo, przez podwójne drzwi, za którymi zaczynał się szeroki korytarz.

-Jak się czuje mój mąż? - spytała po chwili.

-Jesteśmy dobrej myśli - odpowiedział ostrożnie lekarz.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, a on celowo zignorował ten fakt.

-Szybko wrócił do sił po lobotomii i reaguje na leczenie kokainą. Jest teraz znacznie spokojniejszy i zastanawiam się nad zmianą leku na nowy: węglan litu. Niektórzy z przyjmujących go pacjentów poczynili wielkie postępy. O, już jesteśmy na miejscu.

360

Zatrzymali się przed metalowymi drzwiami. Braithwaite wyjął zza pazuchy klucz i przekręcił go w zamku.

- Jeśli pani pozwoli, pani Thomson, wejdę pierwszy.

Wolno otworzył drzwi i ostrożnie zajrzał do środka. Po chwili zrobił dwa kroki do wnętrza pokoju i dopiero wtedy skinął na Sonię, by podążyła za nim.

Było to niewielkie, ale zaskakująco wygodnie urządzone pomieszczenie. Za kratą okienną widać było zadbane ogrody przed frontową częścią gmachu. Umeblowanie stanowiły łóżko, stolik oraz dwa krzesła. Archibald siedział

sztynno na samym końcu posłania, wpatrzony w przestrzeń najzupełniej obojętnym wzrokiem. Miał na sobie ciemnobrązową podomkę oraz śnieżnobiałą koszulę nocną. Spoglądając na jego starannie zaczesane włosy, Sonia podeszła bliżej i ujęła go za rękę. Dłoń była lodowata. Archibald nawet nie spojrzał na swoją żonę. W powietrzu czuć było zapach karbolu.

Gdy przyjęto go do szpitala przy Mile End Road, Archibald był praktycznie nieprzytomny. W ciągu tygodnia jego stan zaczął się jednak poprawiać. Można było uznać, że pod pewnymi względami miał niewiarygodne szczęście. Szczury mocno pogryzły jego nogi, ale nie zaraziły go żadną śmiertelną chorobą. Był niedożywiony i odwodniony, ale stan ten, podobnie jak inne dolegliwości fizyczne, dość łatwo można było zmienić. Problemy zaczęły się w chwili, gdy odzyskał siły i zaczął przypominać sobie to, co go spotkało. Postradał zmysły praktycznie z dnia na dzień. Zaczął przemawiać bez ładu i składu, a potem także wykrzykiwać coś niezrozumiale. Od czasu do czasu udawało się wychwycić w tym jakieś słowa, ale nie układały się one w logiczną całość. Archibald stał się też skłonny do niekontrolowanej przemocy. Im gorszy był stan jego psychiki, tym trudniejsze było dalsze leczenie w zwykłym

szpitalu. To wtedy właśnie podjęto decyzję o przeniesieniu go do Bedlam — dla jego dobra, rzecz jasna.

Lekarze z tej instytucji robili, co mogli, by uspokoić Archibalda Thomsona. Wrzucali go do lodowatej wody, przywiązywali do łóżka i pozostawiali w samotności na dwadzieścia cztery godziny, przez dwie minuty obracali z ogromną prędkością na specjalnym fotelu... Ale sytuacja była coraz gorsza. Wreszcie, za zgodą Soni Thomson, dokonano zabiegu lobotomii. I rzeczywiście — to go uspokoiło. Archibald milczał już od pięciu tygodni. Ani razu nie poruszył kończyną z własnej woli. Wszystko trzeba było robić za niego.

Za namową doktora Braithwaite'a Sonia aż do tej chwili trzymała się z daleka. Co tydzień otrzymywała oficjalne listy, dzięki którym mogła śledzić postępy w leczeniu męża - lub ich brak. Co do joty wypełniała zalecenia lekarza. Wreszcie, zachęcona przez oksfordzkiego profesora medycyny, który blisko przyjaźnił się z jej ojcem, napisała do Braithwaite'a, informując go, że pojawi się w szpitalu za dwa dni. Lekarz nie miał wyboru - mógł jedynie zgodzić się z jej wolą.

- Zostawię państwa samych, pani Thomson - powie-

dział i odwrócił się w stronę drzwi. — Pielęgniarka będzie czuwała na zewnątrz, na wypadek gdyby pani czegoś potrzebowała. Przed wyjazdem proszę jeszcze do mnie zajrzeć, musimy porozmawiać.

Trzasnęły drzwi. Sonia odwróciła się i spojrzała na męża. Wpatrywał się w nią niewidzącymi oczami. Z trudem zebrała myśli. Przyjaciół rodziny, który doradził jej tę wizytę, mówił, że powinna po prostu mówić do Archibalda, jakby nic się nie stało. Lecz w tej chwili, gdy patrzyła na jego nieruchomą marmurową maskę twarzy, zdała sobie sprawę, że nie jest to takie proste.

362

-Pewnie chciałbyś wiedzieć, kochany, że wszyscy w redakcji myślą o tobie - zaczęła, powstrzymując łzy. - Są dla mnie bardzo mili. I... - Nie mogła dłużej. Zasłoniła twarz dłońmi i rozplakała się. Archibald nie zareagował. Po chwili opanowała się nieco, odchrząknęła i otarła oczy chustką. Wreszcie wyjęła z torebki plik papierów. - Dostałam dziś kilka listów, kochanie. Najdziwniejsze z nich napisał do mnie niejaki William Sandler. - Mówiąc to, Sonia obserwowała męża, wypatrując jakiegokolwiek reakcji na to nazwisko. - Możliwe, że znasz go jako Harry'ego... Harry'ego Tumbrila. Czy coś ci mówi to nazwisko?

Archibald wciąż spoglądał na nią w milczeniu.

Sonia poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

-Archibaldzie? Mężu? Czy te listy od niego w ogóle coś dla ciebie znaczą? - Pomachała plikiem kopert tuż przed jego oczami. Nie zareagował.

Stała przed nim i pochyliła się nieco. Chwyciwszy go za ramiona, potrząsnęła z całej siły.

-Archibaldzie! - krzyknęła, po czym rzuciła cały plik listów na łóżko, tuż obok niego. - Archie... Archie. - Upadła na kolana, szlochając. Po chwili uniosła twarz zalaną łzami, ujęła go pod brodę i potrząsnęła jego głową. - ARCHIE!

Usłyszała za plecami jakiś dźwięk. Drzwi pokoju uchyliły się nieco. Na progu stał zaniepokojony pielęgniarz.

-Czy wszystko...?

Zignorowała go i wymierzyła mężowi siarczysty policzek. Jego głowa odskoczyła na bok, ale nie przestał patrzeć tępo przed siebie.

-Pani Thomson!

Pielęgniarz podbiegł do niej i chwycił ją za ramię w chwili, gdy miała ponownie uderzyć Archibalda.

-Pani Thomson, proszę!

W drzwiach pojawił się kolejny pielęgniarz i bez namysłu wszedł do środka. Razem odciągnęli Sonię od nieruchomego małżonka i pomogli wyjść na korytarz. Właśnie mieli zamknąć za sobą drzwi, gdy rozległ się głos:

-Tumbril.

Sonia zamarła, a pielęgniarze mocniej zacisnęli dłonie na jej ramionach.

-Nie, proszę! - zawołała. - Przestańcie. Mój mąż do mnie przemówił.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

-Proszę... On coś powiedział. - Sonia uwolniła się z ich uścisku i wróciła do pokoju.

-Tumbril - powtórzył cicho. Usta się poruszały, ale reszta twarzy pozostała martwa, oczy były wpatrzone w jeden punkt.

Pielęgniarze znowu ujęli Sonię pod ramiona, tym razem delikatnie. Wyglądali na zahipnotyzowanych słowem wypowiedzianym przez milczącego dotychczas pacjenta.

-Tumbril - powtórzył Archibald. Maskę jego twarzy pozostała nieruchoma. - TUMBRIL!

Ogłuszający ryk rozniósł się w całym budynku. Sonia i pielęgniarze w osłupieniu przyglądali się bezradnie, jak podnosił się z łóżka, a następnie padał na twar-

dą posadzkę. Potężne uderzenie czołem o kamień także rozbrzmiało echem.

Doktor Braithwaite krzyczał coś niezrozumiale, biegnąc w asyście szpitalnego strażnika.

-Z drogi! - wrzasnął, odpychając Sonię i pielęgniarzy.

Przykucnął przy Archibaldzie i z pomocą strażnika delikatnie przewrócił go na plecy. Z krtani Soni wydobył się osobliwy dźwięk, jakby się dławiła. Pielęgniarze puścili ją i cofnęli się o krok.

Doktor Braithwaite sprawdził puls chorego i uniósł jed-

364

ną z jego powiek. Po chwili westchnął głęboko i wydawało się, że jakoś skurczył się w sobie. Wstał i podszedł do Soni.

— Obawiam się, że pani mąż nie żyje.

-NIE! - krzyknęła. - Nie! To niemo... NIE!

Rzuciła się na podłogę obok ciała męża, a potem uklęknęła, przytuliła do piersi jego zakrwawioną głowę i zaczęła kołysać się miarowo, szlochając rozpaczliwie. Czterej mężczyźni stali w milczeniu tuż obok, aż wreszcie Braithwaite przykucnął obok wdowy, łagodnie pomógł jej wstać i wyprowadził ją z pokoju.

ROZDZIAŁ 52

Brick Lane, Stepney, czwartek, 29 stycznia, 15.00

Pendragon siedział na obrotowym fotelu w głębi zaciemnionej sali medialnej, w której jedynym źródłem światła były czerwone diody sygnalizujące gotowość urządzeń do pracy oraz błękitnawa poświata monitora. Ułożył się wygodnie, oparłszy głowę o wysokie, kryte skórą oparcie, i przez kilka chwil rozkoszował się przywołaną w pamięci pierwszą częścią *The Inner Mounting Flame*, jednego z jego ulubionych utworów muzycznych.

Nagle przyszła mu do głowy niedorzeczna myśl: mocą wyobraźni cofnął się w czasie o dwadzieścia sześć lat, do swego wynajętego mieszkania w Oksfordzie. Tego lata zakończył studia i jeszcze nie zdecydował, co zrobi z własnym życiem, za to przeżył największy - jak dotąd - wstrząs. Odkrył mianowicie, że Cheryl, z którą chodził od dwóch lat, sypia z jego najlepszym przyjacielem z college'u, Garethem. Była siódma rano, gdy w końcu zjawiała się w mieszkaniu. Czekał na nią pół nocy. Bez słowa otworzył jej drzwi. Gdy chciała coś powiedzieć, położył palec na ustach i wskazał na krzesło stojące w salonie. Gdy podchodził do gramofonu, układał na nim płytę *The Inner Mounting Flame* i siadał na drugim krześle, dokładnie naprzeciwko Cheryl, jego umysł był jakby odrętwiały. A potem razem przesłuchali

całą pierwszą stroną albumu. Gdy tylko wybrzmiały ostatnie dźwięki, wstał i schował płytę do tekturowej koszulki, całkowicie ignorując Cheryl, która wołała go po imieniu. W milczeniu wyszedł do sypialni, dołączył album do reszty kolekcji i sięgnął po swoje dwie torby podróżne. Niosąc cały swój dobytek, bez słowa minął dziewczynę w salonie i wyszedł na ulicę.

Otrząsnąwszy się z nostalgii, Pendragon uniósł głowę i spojrzał na niebieskawo świecący monitor. W pamięci kołatało mu się jedno słowo: Eberswalde. Eberswalde... Miasto położone niedaleko Berlina. Tak, zdecydowanie słyszał już kiedyś tę nazwę. Tak, pomалу wracała mu pamięć. Eberswalde... Jego wuj Sid był kapralem w Pierwszej Dywizji Pancерnej. Stacjonował w Niemczech pod koniec lat pięćdziesiątych. Wuj Sid często raczył go historyjkami ze szczęśliwych lat spędzonych w armii. Jedną z jego ulubionych była ta, w której omal nie uznano go za dezertera, bo samowolnie przedłużył sobie weekend spędzony w Eberswalde. A w Eberswalde nigdy nie było bazy wojskowej.

Pendragon poczuł na plecach lodowaty dreszcz. Zerwał się z fotela, szarpnął drzwi sali medialnej i wybiegł na ko-

rytarz. Minał swój pusty gabinet i pobiegł dalej, prosto do sali odpraw. Tu także nikogo nie zastał. Wracając do punktu wyjścia, musiał przejść obok biurka w holu, przy którym dyżurowała Rosalind Mackleby.

-Nie widziała pani Turnera?

-Tu jestem, sir.

Pendragon obrócił się na pięcie i zobaczył Jeza, który szedł w jego stronę, żując kęs kanapki z szynką.

-Powiedzmy, że to późny lunch - dodał sierżant, unosząc w górę drugą połówkę, której jeszcze nie zdążył wyjąć z opakowania.

367

-Turner... czy może pan teraz odtworzyć ten film z imprezy u Berricka i Price'a?

-Jasne, ale...

-Teraz!

Pendragon usiadł na krześle przed monitorem. Patrząc niespokojnie na zgromadzony w sali medialnej sprzęt, gdy pojawił się Turner z płytą DVD w dłoni i ustami pełnymi jedzenia. Usiadł przy pulpicie i wsunął dysk do szczeliny najbliższego analizatora obrazu, jednego spośród wielu podobnych ustawionych na regale.

-Chwileczkę - powiedział i wcisnął kilka klawiszy. -

No to czego szukamy, szefie? - spytał, obracając się w stronę monitorów.

-Niech pan przeczuci mniej więcej do dziesiątej minuty - odparł ponuro Pendragon.

Turner nacisnął właściwy klawisz i obraz na ekranie rozmazał się. Po chwili nacisnął kolejno STOP i PLAY. Ujrzeni gości wernisazu sprzed ponad tygodnia. Kamera myszkowała po sali, która za kilka godzin miała się stać miejscem zbrodniczej inscenizacji.

-Jeszcze sześćdziesiąt sekund.

Sierżant znowu sięgnął do panelu kontrolnego. Film przyspieszył, ale nie tak bardzo jak poprzednio. Chwilę później nacisnął STOP i obraz zamarł w chwili, gdy w kadrze mieściła się mała grupka zajętych rozmową ludzi. Bokiem do operatora stali Kingsley Berrick i Noel Thursk, a między nimi, tyłem do kamery, Gemma Locke w mocno wyciętej, czarnej sukni koktajlowej.

-W porządku - rzekł Pendragon. - Można zrobić zbliżenie?

-Jasne. Na który fragment?

-Na Gemmę Locke.

Turner powiększył obraz i przesunął kadr nieco w lewo.

-Stop! - zawołał Pendragon.

Cały ekran wypełniały teraz ramiona oraz głowa Gemmy Locke.

-Dobra, Turner, teraz do przodu. Niech zacznie obracać głowę w lewo.

Analizator odtwarzał teraz po kilka klatek na sekundę.

-Stop! Da się oczyścić obraz?

-Tak.

Pozioma linia przebiegła przez ekran z góry na dół, zostawiając za sobą obraz dwukrotnie wyraźniejszy niż oryginał. Pendragon z bliska śledził jej ruch. Już prawie widział ciemny ślad na szyi Gemmy Locke.

-Zbliżenie - powiedział, wskazując miejsce na ekranie. - Da się jeszcze trochę czyściej?

-Spróbuję.

Obraz przesunął się po raz kolejny. Pozioma linia zjawiała się ponownie, malując na ekranie jeszcze większy i jeszcze wyraźniejszy portret długiej szyi Gemmy Locke. W samym środku widać było delikatnie zarysowaną bliznę - niewielki krąg i linię biegnącą pionowo w dół. Był to ślad po laserowym usunięciu tatuażu.

-Lepiej się nie da, bo... - Turner urwał, a potem bardzo wolno odwrócił się, by spojrzeć na Pendragona. - O kur-

wa! - powiedział z uczuciem.

ROZDZIAŁ 53

-Jest pan absolutnie pewny? - spytała superintendent Hughes, spoglądając na monitor w sali medialnej.

-Na sto dziesięć procent - odparł Pendragon, a potem opowiedział jej, jak Gemma Locke okłamała go, opowiadając o Eberswalde.

Hughes jeszcze przez sekundę wyglądała na nieprzekonaną. W skupieniu wpatrywała się w podłogę, nim wreszcie przeszła do trybu działania:

-Dobra. Zaraz wezwę oddział bojowy.

Pendragon skinął głową.

-Jako wsparcie, pani superintendent. Ja pójdę do niej pierwszy. Zna mnie. I nie spodziewa się wizyty.

-Inspektorze! Ta kobieta jest szalona i śmiertelnie niebezpieczna.

-Wiem. Pójdziemy we dwóch, z Turnerem. Będziemy uzbrojeni. Drużyna SWAT może czekać za ścianą, dziesięć sekund od nas.

-Dlaczego, Jack?

-Naprawdę nie mogę powiedzieć - odrzekł, wytrzymując jej badawcze spojrzenie.

-W porządku. A wie pan chociaż, gdzie jej szukać?

-O tak - odparł Pendragon, doskonale pamiętający

370

adres w Bermondsey, który podał mu Sammy Samson.

I nagle bardzo wyraźnie wyobraził sobie Gemmę Locke stojącą poprzedniego dnia w mieszkaniu... i tę jej twarz wprost z prerafaelickiego obrazu; perfekcyjne piękno zakłócone tylko pasmem bandażu otaczającym jej głowę. „Mam pracownię w Bermondsey”, powiedziała wtedy.

Lodowaty deszcz bombardował jezdnię tak intensywnymi strumieniami, że chwilami widoczność przed przednią szybą policyjnego wozu spadała do kilku metrów. Z nadrzecznego ciągu wiktoriańskich magazynów zbożowych opodal Tate Modern udało się wygospodarować dwadzieścia dwa lokale użytkowe. Do Gemmy Locke należał ten z numerem jedenastym, ostatni w długim szeregu. Była to dwupiętrowa kostka, mieszcząca w sobie co najmniej dwieście metrów kwadratowych powierzchni.

Dyskretnie ewakuowano wszystkich użytkowników sąsiednich biur i firm. Pendragon i Turner włożyli kevlarowe kamizelki i pasy z ekwipunkiem: standardowymi pistoletami policyjnymi Glock 17, pałkami i niewielkimi pojemnikami z gazem. W chwili, gdy pokonywali pieszo dystans dzielący ich samochód od tylnego wejścia do pracowni

Gemmy Locke, dziewięciu świetnie wyszkolonych funkcjonariuszy z Dowództwa Uzbrojenia Specjalistycznego, znanego jako Co19, ubranych w pancerze bojowe i uzbrojonych w pistolety maszynowe Heckler & Koch MP5 oraz pistolety Glock, zajęło pozycje w najbliższym sąsiedztwie budynku numer 11.

Pendragon szedł pierwszy. Trzymając się nisko na nogach, przebiegł przez asfaltową jezdnię i przystanął, przyciśnięty plecami do muru. Ściany budynków były nasiąknięte wodą i wydawały się o kilkanaście tonów ciem-

371

niejsze niż zwykle. Mieli przed sobą fragment uszkodzonej rynny, z której lała się metrowej szerokości kaskada lodowatej wody. Gdy Turner dobiegł do muru, Pendragon ruszył dalej, w stronę tylnych drzwi. Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zablokowane - bez oporu otworzyły się do środka.

Teraz, gdy nareszcie schronili się przed ulewą, mieli wrażenie, że otacza ich nienaturalna cisza, zakłócana jedynie dalekim i cichym bębnieniem kropel deszczu o dach budynku. Pendragon się rozejrzał. Znajdowali się w małym przedsionku, o boku może dwóch i pół metra. Drzwi w przeciwległej ścianie były uchylone. W powietrzu unosił

się mocny zapach chemikaliów: środka czyszczącego, farby i oleju lnianego. Jack zajrzał w szczelinę i ostrożnie pchnął drzwi do środka.

Ujrzał przestronne wnętrze, zdecydowanie większe od parteru przeciętnego domku na przedmieściach. Ściany były kremowobiałe, a na podłodze leżał ciemny dębowy parkiet wypolerowany na wysoki połysk. Dwa okazałe okna zostały szczelnie zasłonięte, tak by do środka nie wpadało naturalne światło. Trzy pozostałe ściany otaczała antresola ograniczona balustradą. Pośrodku wysoko wysklepionego stropu zwisał wielki zyrandol z dziesiątkami zapalonych świec, dających zaskakująco mocne światło. Było to jednak światło nietypowe, o chorym, nieco pomarańczowym odcieniu. Zapach chemikaliów był tu jeszcze silniejszy.

Minęła chwila, zanim dwaj policjanci dostrzegli postać siedzącą na krześle w dalekim kącie pokoju. Pendragon ruszył w jej stronę wolnym krokiem, na ugiętych nogach, rozglądając się dokoła dokładnie tak, jak go niegdyś wyszkolono. Glocka ścisnął w obu dłoniach, czujnie wpatrując się w półmrok panujący w kątach i próbując spodziewać się

niespodziewanego. Turner podązał za nim jak cień kilka

kroków w tyle.

Doktor Geoff Hickle był przywiązany do krzesła i nieprzytomny. Miał na sobie gruby, zielony płaszcz oraz futrzaną czapę w stylu rosyjskim. Pendragon już kiedyś widział to nakrycie głowy. Ciało lekarza wprawdzie umocowano do oparcia, ale jego głowa opadła bezwładnie ku przodowi. Piękne zęby zostały wybite, a w otwór po nich wetknięto fajkę. Odcięto też prawe ucho Hickle'a i ułożono na jego kolanach. Rana, opatrzona samoprzylepną gazą, była owinięta bandażem.

-Jasna dupa! - zawołał Turner, stając obok Pendragona.

Równie zszokowany Jack wyciągnął rękę, by dotknąć szyi ofiary. Wyczuł bardzo słaby puls.

-I jak wam się podoba mój van Gogh?

Pendragon i Turner obrócili się jednocześnie, mierząc z pistoletów w tę stronę, z której dobiegł głos.

-Ależ chłopcy, odłóżcie te pukawki.

Nad balustradą antresoli, trzy metry nad ich głowami, ukazała się twarz Gemmy Locke.

-Już do was schodzę. Nie mam broni.

To powiedziawszy, zniknęła im z oczu. Wciąż celowali w jej stronę, nasłuchując i śledząc jej ruch po odgłosach kroków na spiralnych schodach, ledwie widocznych w kącie

pokoju. Kilka sekund później wyłoniła się z mroku. Miała na sobie prześwitującą białą sukienkę, a luźno upięte włosy zwisały po bokach jej twarzy i szyi. Dotarłszy do podnóża schodów, ruszyła w stronę policjantów.

-Stój! - rozkazał Pendragon.

-Och, Jack, daj spokój. I naprawdę odłóżcie broń. Nie zamierzam nikogo skrzywdzić. To nie leży w mojej naturze - dodała i zaśmiała się piskliwie. Był to śmiech tak upiorny, że obaj jeszcze mocniej zacisnęli dłonie na rękojeściach

373

pistoletów. - No dobrze - powiedziała po chwili, poważniejąc nagle. - Możliwe, że niektórych potraktowałam dość surowo. Ale... - skrzywiła się z bólem -.. .byli dla mnie tacy... tacy niedobrzy, Jack. Bardzo, bardzo niedobrzy.

-Gemmo, musimy zawieźć doktora Hickle'a do szpitala. Koniec zabawy.

-Prawie koniec. To już ostatnie pociągnięcia pędzla; moje arcydzieło jest prawie skończone. A kiedy to się stanie, cały świat się dowie, jak wielką jestem artystką. - Gemma przybliżyła się o kilka kroków i stanęła, gdy Pendragon wykonał nieznaczny ruch pistoletem. Spuściła głowę. - No dobrze, widzę, że będę musiała co nieco wyjaśnić. - Uniosła głowę szybkim ruchem i zobaczyli lekki uśmiech na jej ustach. -

Będzie to nawet niezła próba przed wywiadami dla niezliczonych brukowców i serwisów informacyjnych. Wszyscy będą chcieli wysłuchać mojej historii. Ale od czego zacząć?

-Gemmo, proszę cię, przestań już. Musimy...

-Zamknij się. Zamknij się i słuchaj! - Oczy kobiety błyszczały w półmroku. Przełknęła ślinę i nieco się uspokoiła. - Zgoda, możesz nazywać mnie Gemmą. Dziś wolę to imię. Ale jak już zapewne wiesz, dawniej byłam Juliette Kinnear. Biedną małą Juliette. - Gemma spojrzała na doktora Hickle'a. - Został moją ostatnią ofiarą, ponieważ zламаł mi serce - wyjaśniła, po czym z wyrazem pogardy na twarzy odwróciła się plecami do policjantów. - Ale ty to rozumiesz, prawda? Zemsta była tylko małym dodatkiem do mojej pracy.

-Ale dlaczego zabiła pani tych wszystkich ludzi? - spytał Turner, nie przestając mierzyć do niej z pistoletu.

-Jestem artystką. To moje arcydzieło.

-Co takiego?

-Panna Locke wierzy, że tworzy prawdziwą sztukę, dokonując serii morderstw - wycedził przez zęby Pendragon.

374

-Jak możesz mówić o tym w taki sposób, Jack! Na Boga, okaż trochę szacunku! Bo przecież musisz przyznać, że to

cholernie imponujące prace. - Gemma machnęła ręką. -
Zacząło się od Juliette. No, niezupełnie: tak naprawdę zaczęło się od mojego ojca. Ale on był tylko bibliofilem. Miał cudowną bibliotekę, z której był naprawdę dumny. Bardzo wiele podróżował w interesach, sprzedając te swoje herbatniki! Matka umarła, gdy miałam czternaście lat. A ja, kiedy nie malowałam i nie wyjeżdżałam do Londynu z nim... -
zerknęła przelotnie na Hickle'a - spędzałam mnóstwo czasu w bibliotece. Aż pewnego dnia, a miałam wtedy może siedemnaście lat... Tak właśnie wtedy. Pamiętam, że akurat przeczytałam recenzję mojej pierwszej małej wystawy w Chelmsford. Bardzo niepochlebłą recenzję autorstwa młodego krytyka, niejakiego Gary'ego Townsenda...

-Townsenda?

Gemma Locke wzruszyła ramionami.

-Tak. Zdenerwowałam się tym niepowodzeniem. -

Westchnęła i przez chwilę podziwiała swój dębowy parkiet, zanim znowu spojrzała na Pendragona. - Wszystko tak starannie zaplanowałam. Pewnie już wiesz jak, Jack. Podałam Hickle'owi narkotyk, ale na tyle słaby, że był w stanie samodzielnie iść. Był tylko trochę zdezorientowany. Wymknęliśmy się tylnym wyjściem z jego wieżowca. A potem spotkałam się w magazynie z Townsendem. Zwabiłam go

tam obietnicą soczystej historyjki dla tego szmatławca, dla którego pracuje. Niestety, zjawiała się też ta jego głupiutka panienska. Udało mi się uciec, ale musiałam znaleźć jakiś sposób, żeby dopaść Townsenda w szpitalu, a jednocześnie uwolnić się od wszelkich podejrzeń. Zamarkowałam więc napaść na mnie, a potem zabiłam tego łajdaka i na dodatek udało mi się zwabić cię do szpitala, żebyś na własne oczy zobaczył, jakie ze mnie biedactwo. Dumna byłam z tego, jak

375

wypadłam w tej roli. Mówię zwłaszcza o tej scenie u mnie, kiedy udawałam, że zasypiam. Byłeś taki słodki.

-A co ma biblioteka pani ojca wspólnego z tą sprawą? -
wtrącił Turner.

-Otóż właśnie tam, sierżancie, znalazłam coś, co odmieniło moje życie. Pamiętnik. A właściwie kolekcję listów. Zaczęłam je czytać i w pewnym momencie ze zdumieniem stwierdziłam, że napisał je Kuba Rozpruwacz. - Gemma umilkła na moment. - Nie wierzysz mi, inspektorze? Cóż, to chyba zrozumiałe. Na szczęście twój stosunek do mojej prawdziwej historii nie ma najmniejszego znaczenia. Listy stały się dla mnie inspiracją. Ujawniły mi mianowicie, że Rozpruwacz był bardzo utalentowanym artystą, który dobierał swoje ofiary tak, by stworzyć arcydzieło. Arcydzieło,

którym była seria morderstw.

To odkrycie gruntownie mnie odmieniło, choć pierwsza próba zrealizowania koncepcji Rozpruwacza nie przebiegła tak udanie, jak sobie tego życzyłam. Jak wiesz, zaatakowałam naszego ogrodnika, Macintyre'a. Byłam naprawdę zadowolona z wyniku - powinieneś zobaczyć jego twarz, Jack. Ta kombinacja jasnej czerwieni, nieco ciemniejszych mięśni oraz bieli kości... Naprawdę piękne. Niestety, ta próba spowodowała na mnie spore kłopoty. Najwyraźniej nikt nie rozumiał, czego próbowałam dokonać.

-Zaatakowała pani człowieka, żeby go potem namalować? - spytał z niedowierzaniem Turner.

Gemma Locke spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

-Twój sierżant jest z tych powolnych, co, Jack? - Zachichotała.

Pendragon nie odpowiedział.

-Sam atak był dziełem sztuki, sierżancie. Nie musiałam uciekać się do tak prymitywnych technik jak malowanie.

376

Posunęłam się znacznie dalej. Ale, jak już mówiłam, rzecz cała nie skończyła się tak, jak sobie wymarzyłam: trafiłam do Riverwell. Faszrowali mnie tam prochami, traktowali

prądem i... na jakiś czas udało im się mnie zmienić. Tylko że nigdy nie przestałam myśleć o tym, żeby się stamtąd wydostać. Terapia stłumiła jedynie mój twórczy zapał. Tak czy inaczej, w Maldon zainscenizowałam własną śmierć. Pielęgniarz, Nick Compton, durzył się we mnie, a ja robiłam wszystko, żeby podsycić to uczucie. Pomógł mi zaaranżować samobójstwo na nabrzeżu. Ukryłam się pod belkami pomostu, a kiedy już wszyscy biegali w panice, wyszłam na brzeg i uciekłam.

-A ta dziewczyna, której zwłoki zidentyfikowano jako twoje?

-Zabiliśmy ją do spółki z Nickiem. W noc poprzedzającą wycieczkę do Maldon wymknęliśmy się ze szpitala. To była młoda prostytutka z Southendu. Nick miał mały ponton. Wrzuciliśmy ciało do morza opodal Maldon. Wiedzieliśmy, że przyływ wyrzuci je na brzeg, ale nie byliśmy pewni, jak szybko to nastąpi, i to był najbardziej ryzykowny punkt naszego planu. A jednak wszystko poszło jak z płatka. Ojciec był zbyt zrozpaczony, żeby pójść na identyfikację zwłok. Zamiast niego poszedł jego brat Lionel. Ale i tak nie miało to wielkiego znaczenia... Ryby z Morza Północnego uwielbiają ludzkie mięso - wyjaśniła z uśmiechem.

-A potem zabiłaś Nicka Comptona? - spytał Pendragon.

-Tak. Za dużo wiedział, a ja nie miałam już na niego takiego wpływu jak dawniej.

-Wtedy zniknęłaś.

-Sądzę, że raczej dokonałam transformacji. Przyjęłam łagodną postać, stałam się poczwarką, jak powiedziała by znawca motyli. Udało mi się wykraść pieniądze z kont ojca. Doszłam do wniosku, że i tak odziedziczyłabym kiedyś jego

377

majątek, więc po prostu wzięłam go sobie wcześniej. Wystarczyło na podróż do Stanów, na operację plastyczną, kolorowe szkła kontaktowe, kilka kompletów fałszywych dokumentów. .. ach, no i na usunięcie tatuażu. - Uśmiechnęła się, dotykając blizny na szyi. - Pod koniec 1998 roku przeniosłam się do Londynu i stopniowo odbudowałam swoją karierę pod nowym nazwiskiem. Chciałam sobie udowodnić, że potrafię odnieść sukces jako malarka. Że gdyby nie okradziono mnie z kariery, którą zaczęłam w młodości, byłabym dziś sławna. Może nawet najslawniejsza na świecie. Wiedziałam, że jestem aż tak dobra.

-A jednak po latach coś poszło nie tak. Coś, co sprawiło, że wróciłaś na ścieżkę morderstwa.

-Nie powiedziałabym, że „poszło nie tak” - odparła rzeczowo Gemma Locke. - Nie, po prostu nastąpiła zbież-

ność dwóch faktów. Po pierwsze, zaczęłam wątpić we własne możliwości. To była wina Townsenda. Ów młody pisarz, który kiedyś smarował paszkwile dla lokalnej gazetki w Chelmsford, był teraz redaktorem działu sztuki w dużej, ogólnokrajowej gazecie codziennej. Nie miał pojęcia, że Gemma Locke była niegdyś znana jako Juliette Kinnear. Pewnie nawet nie pamiętał, że kiedyś zmieszał z błotem prace młodej dziewczyny, wystawione w jakimś parszywym kościółku. Reakcja łańcuchowa w mojej głowie zaczęła się, gdy skrytykował moją ostatnią wystawę w White Cube. Zaczęłam doświadczać odmiennego stanu psychiki, który znałam już z przeszłości. To było jak wyzwolenie, radosne wyzwolenie, Jack. Znowu czułam się wolna, pełna twórczej energii i wiary w siebie. Byłam mu tak wdzięczna, że niemal zdecydowałam się darować mu życie. - Raz jeszcze zaśmiała się przenikliwym głosem i spojrzała najpierw na Pendragona, a potem na Turnera. - Ejże, chłopaki. Naprawdę nie widzicie w tym nic zabawnego? Nie? Cóż, no trudno,

378

taka jest prawda. Gdyby chodziło tylko o jedną nieprzychylną recenzję, może nie rozpocząłabym nowego arcydzieła, inspirowanego przez mojego dawnego mistrza, Kubę Rozpruwacza. Ale wkrótce potem odkryłam, że ten śmieszny

mały człowieczek, Noel Thursk, zamierza odkopać pewne fakty, które ja zdecydowanie wolałam zachować w tajemnicy. Wiedziałam od lat, że pracuje na tę idiotyczną książkę, ale aż do tej pory nie traktowałam poważnie tego zagrożenia. - Gemma rozłożyła ramiona, a potem oparła dłonie na biodrach. - Cóż, najwyraźniej był to znak opatrności. -A co z pozostałymi? - spytał Pendragon, świadom tego, że musi doprowadzić tę rozmowę do końca. -Dobre pytanie - pochwaliła go Gemma, wyraźnie zadowolona. - Zamierzałam odpowiedzieć na nie bardzo szeroko przedstawicielom mediów. Otóż z artystycznego punktu widzenia czułam, że potrzebuję sześciu inscenizacji. To kwestia symetrii. Kiedy spojrzysz się na te sceny jak na jedno dzieło, widać całe piękno kompozycji. Choć oczywiście ich bohaterowie znajdowali się od dawna na mojej czarnej liście. - Gemma uniosła dłoń i zaczęła wyliczać na palcach. - Kingsley Berrick. Zrobił wszystko, żeby mnie upokorzyć, a jednocześnie promował talenty znacznie mniejszego formatu. -Takie jak Chrissy Chapman? -Otóż to - rozpromieniła się Gemma Locke. - Jak moja najstarsza i najlepsza przyjaciółka. Naturalnie nie było jej winą to, że stała się ulubienicą Berricka. Ale z pewnością

jej winą było to, że omal za niego nie wyszła - wyjaśniła, gwałtownym ruchem głowy wskazując na żalostną, okaleczoną postać uwiązaną do krzesła. - Pomyślałam więc, że urządzę drogą Chrissy w taki sposób, by pasowała do innych inscenizacji... z odrobiną humoru, ma się rozumieć.

-Jestem pewny, że rodzina Chrissy Chapman pęka

379

ze śmiechu - wtrącił Turner, spoglądając nienawistnie na Gemmę.

-Ha! Miałeś wczoraj świętą rację, mój inspektorze. Twój sierżant naprawdę uważa, że jest zabawny.

-W jaki sposób udało ci się zabić pannę Chapman w... taki sposób? - odpowiedział Pendragon, starając się nie zdradzać emocji.

-O, nie było to łatwe, możesz mi wierzyć. Ale z drugiej strony, wielka sztuka nie powstaje z łatwością. Uczyłam się rzeźby pod kierunkiem rosyjskiego mistrza, Korentikowa, gdy na początku lat dziewięćdziesiątych mieszkałam w Londynie. W domowym zaciszu studiowałam też techniki chirurgii rekonstrukcyjnej. Internet to jednak wspałała sprawa. A jeśli chodzi o Chrissy... Przywiozłam ją tu wkrótce po tym, jak Hickie poszedł biegać. Twierdziłam, że mam dla niej niespodziankę. I chyba nie kłamałam, praw-

da? Zabiłam ją szybko, w taki sam sposób jak pozostałych. Następnie odsączyłam z jej ciała krew, pogruchotałam kości twarzy i za pomocą sporych ilości kleju, sztucznej skóry w sprayu oraz szybko schnącego gipsu zdołałam wykreować jej twarz na nowo, wedle własnego uznania.

-A ojciec O'Leary? - spytał lekko już znużony inspektor. Chciał zakończyć rozmowę, nie wyprowadzając morderczyni z równowagi. Lekcja numer jeden, pomyślał: psychopaci uwielbiają mówić o sobie.

Gemma spochmurniała.

-Ten rzekomy ksiądz molestował mnie kiedyś. - W marcie ciszy słychać było przez chwilę jej przyspieszony oddech. - Molestowanie seksualne, mój inspektorze, to najstar-

szą sztuczka w repertuarze wielu księży katolickich, niech im Bóg błogosławi. O'Leary pracował w mojej parafii. Rodzice byli bardzo religijni, zwłaszcza matka. Gdy miałam trzynaście lat, wysłali mnie do niego na dodatkowe lekcje

380

przygotowujące do bierzmowania. - Gemma znowu zachichotała. - Postarałam się, żeby czcigodny Michael O'Leary przypomniał sobie, kim jestem, zanim pozbawiłam go życia. Ale umarł zbyt szybko. Byłam dla niego zdecydowa-

nie zbyt miła - zakończyła, robiąc niespodziewanie szybki krok naprzód, w stronę Hickle'a.

-Stój! - warknął Pendragon.

Gemma znieruchomiała, a potem wolno obróciła się w stronę policjantów.

-Jack, zrozum, że muszę dokończyć moje...

-Niczego nie dokończysz.

Gemma Locke wsunęła dłoń do kieszeni sukienki.

-Nie ruszaj się!

-Nie mam tu spluwy, Jack.

-Wyjmij rękę z kieszeni, tylko powoli! - zawołał Turner.

Wyjęła. Ścisnęła w dłoni strzykawkę z igłą.

-Odlóż to - polecił Pendragon.

Zignorowała go i zrobiła kolejny krok w stronę nieprzytomnego lekarza. Huknął strzał. W tej samej chwili rozległ się krzyk Gemmy Locke. Strzykawka pofrunęła wysoko i spadła na podłogę kilka metrów dalej. Z rany na rękę morderczynie trysnęła krew. Gemma zachwiała się i upadła. Pendragon skoczył ku niej, celując w głowę. Kobieta leżała na boku, w pozycji embrionalnej, zaciskając dłoń na ranie. Na podłodze powoli rosła plama krwi.

-Turner... trzeba wezwać lekarza - rzucił Pendragon.

Pochylił się, wciąż mierząc w głowę Gemmy, i lekko

wykręcił jej rękę. Spojrzała na niego, a jej uśmiech pomału zmienił się w grymas triumfu.

-Doskonale, inspektorze. W podręcznikach sztuki pojawia się nowy rozdział, poświęcony wyłącznie mnie.

ROZDZIAŁ 54

Manhattan, grudzień 1888

Człowiek ten był znany pod wieloma nazwiskami. Dla jednych był Williamem Sandlerem, dla innych Harrym Tumbrilem, a także Cedrikiem O'Brienem, Normanem Heathcote'em oraz Grahamem Harrisem. I choć nikt nigdy nie poznał go pod tym imieniem, był także Kubą Rozpruwaczem. Tu, w Broadway Central Hotel, zameldował się jako Francis Bettleman, biznesmen z Anglii, pragnący zainwestować w firmę drogową na Brooklynie.

Opuścił Anglię już dwa miesiące temu i teraz aż się palił do pracy. Podczas podróży przez Atlantyk spędził długie godziny w swojej kabinie, obmyślając kolejne przedsięwzięcie. Lecz gdy w końcu dotarł do Nowego Jorku, na jakiś czas musiał zrezygnować z jego realizacji. Widywał wcześniej to miasto na obrazach i niezmiernie rzadko spotykanych fotografiach, ale rzeczywisty ogrom tego miejsca przytłoczył go do tego stopnia, że na jakiś czas całkiem stracił orientację.

Na zewnątrz Nowy Jork przypominał mu miniaturę Londynu. Był ponury, mroczny, brudny i zamieszkały stanowczo przez zbyt wielką rzeszę idiotów. Lecz pod wieloma względami było to miasto zupełnie mu obce. Nie było klaustrofobiczne jak Londyn - niebo nad nim wydawało

382

się potężne, podobnie jak niektóre budynki. Architekci z całego świata przyjeżdżali tu, by prężyć mięśnie swojego talentu; dla nich Nowy Jork był czystym płótnem. Podobnie jak dla Francisa Bettlemana, gdy już oswoił się nieco z niezwykłą naturą miasta. Dobrze jest znać swój teren łowiecki. Trzeba zaplanować drogi ucieczki, zrozumieć miejscowe zwyczaje. Człowiek nieprzygotowany łatwo może popełnić fatalny błąd. On zaś nawet nie brał pod uwagę takiej niedbałości. Był zawodowcem, wielkim artystą. Anglicy być może mogli już spać spokojni; największy zbrodniarz w historii ich kraju najwyraźniej zakończył już rzeź niewiniałek. Ale Nowy Świat miał wkrótce przyjąć do wiadomości jego obecność, a sama myśl o boskim smaku strachu i podejrzliwości sprawiała Francisowi Bettlemanowi niewysłowioną rozkosz.

Dzieło, które zamierzał tu stworzyć, miało być kolejnym kwartetem. Było coś nader przyjemnego w perfekcyj-

nej symetrii tej liczby. W ciągu ostatnich trzech nocy rozprawił się z pierwszymi dwiema kobietami. Zdumiewające było to, że choć znalazł się w Nowym Świecie, miejscowe owce i barany ani trochę nie różniły się od swych angielskich krewniaków. Wszyscy tu reagowali w identyczny sposób: głupie dziwki, policjanci, szarzy obywatele, grube ryby... i, rzecz jasna, pismacy. Było to dość rozczarowujące doświadczenie, choć może nie całkiem nieoczekiwane. W końcu ludzie są ludźmi. A owce — owcami.

Teraz, o dziewiętnastej, w mroźny grudniowy wieczór, Francis Bettleman był w drodze na spotkanie z Bessy Munroe, „śpiewaczką” z miejscowej tancbudy, ponoć z ambicjami aktorskimi, która przybyła do Nowego Jorku z zapomnianego przez Boga rolniczego miasteczka w głębi kraju. Bessy stała nieco wyżej w hierarchii miejscowych prostytutek niż dziewczęta, które pamiętał z Londynu.

383

Tydzień wcześniej poznał ją w Harry's Music Hall na Broadwayu, nieopodal hotelu, w którym się zatrzymał. Zapropowała mu wtedy swoje usługi, ale to nie był odpowiedni moment - Francis był wtedy zajęty planowaniem morderstw numer jeden i dwa - Julie Grovenor i Helen Fritze. Bessy miała zaś stać się numerem trzecim. Cze-

kał na nią aż do tej chwili.

Spojrząwszy na zegarek, Francis zatrzymał się w luksusowym foyer hotelu Broadway Central, skinął głową zastępcy kierownika siedzącemu za biurkiem i ruszył w stronę wielkich drzwi. I znowu doznał tego samego uczucia, które pojawiała się już kilkakrotnie w ciągu ostatniego tygodnia. Było to lekkie mrowienie na karku, nieomylny znak, że ktoś go obserwuje, śledzi. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Albo tylko wyobrażał sobie zagrożenie, albo ten, kto go obserwował, świetnie wykonywał swoją robotę.

Przed hotelem stał rząd dorożek. Francis wskoczył do pierwszej z brzegu, podał woźnicy adres i usiadł w wygodnym skórzanym fotelu. Wóz ruszył wyboistą ulicą i po paru minutach dotarł na miejsce. Francis zapłacił, zeskoczył na chodnik i pomaszerował prosto do „teatru muzycznego”.

Zamówił filiżankę kawy przy barze i czekał. Było trochę za wcześnie, ale jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z planem. Rozejrzał się, podziwiając mosiężne i marmurowe zdobienia sali. Czuł znajomą falę pewności siebie rozlewającą przyjemne ciepło w żyłach i dodającą energii.

I właśnie wtedy zjawiała się Bessy. Dostrzegłszy Francisa, ruszyła ku niemu. Była młodą kobietą o przeciętnej urodzie, zdaniem Francisa, ale urocza wiara w siebie, którą przejawiała, czyniła ją niemal atrakcyjną. Stwierdził

384
zresztą, że ową wiarę dzieliło z nią wielu Amerykanów, których poznał. Było tak, jakby wszyscy oni uważali się za część czegoś świeżego, nowego, świetnie się rozwijającego. To dawało im poczucie kierunku, wrażenie współudziału w dziele większym niż oni sami. Była to postawa śmieszna i pociągająca zarazem.

-Chodźmy gdzieś indziej - powiedział, dopijając kawę, gdy tylko zajęła miejsce obok niego przy barze.

Uśmiechnęła się tylko i pozwoliła, by poprowadził ją w stronę wyjścia.

-Na co ma pan ochotę, panie Bettelman? - spytała Bessy, chwytając go pod ramię.

Łagodnym ruchem odsunął jej rękę i zignorował jej zdziwione spojrzenie.

-Mam w pobliżu pokoje.

-Naprawdę? Wiedziałaam, że wyrafinowany z pana dżentelmen, panie Bettelman.

Dopiero idąc ulicą, Francis uświadomił sobie, że Bessy

jest lekko pijana. To powinno ułatwić sprawę, pomyślał.

-To tutaj - powiedział, wskazując na wąski zaułek po prawej, do którego się zbliżali. Spojrzała na niego, uśmiechnęła się krzywo i czknęła dyskretnie.

Bettleman zatrzymał się zniechęcony. Znowu to dziwne uczucie. Odwrócił się. Chodnikiem ruchliwej ulicy szedł za nimi spory tłum ludzi. Spróbował się wyłączyć, nie słyszeć otaczających go dźwięków. Czy powinien przerwać akcję? Jak gdyby nigdy nic powrócić do hotelu i zmienić plany? Wyjść na miasto następnej nocy? Poczul, że ogarnia go gniew. Nie. Nie pozwoli, by ktokolwiek nim sterował. Był przecież - on i tylko on — panem własnego przeznaczenia. Dowiódł tego już tyle razy. Nie zamierzał dać się zastraszyć temu miastu, tym ludziom. Był lepszy niż każdy z nich, nieskończenie lepszy.

385

-Co się stało? - spytała prostytutka, a potem, widząc jego rozterkę, zaczęła chichotać.

Francis spojrział na nią i ogarnęła go fala mdłości. Z trudem przełknął ślinę i głęboko odetchnął zimnym powietrzem.

-Nic - odpowiedział w końcu. — Absolutnie nic, Bessy. Chodźmy.

Wziął ją pod ramię i poprowadził w zaułek, z dala od gasnącego z każdym krokiem gwaru ulicy. Gdyby nie księżyc w pełni, roztaczający wysoko nad ich głowami swą stałą poświatę, zapewne nie widzieliby niczego na drodze.

-Dokąd idziemy? — spytała Betsy z nagłym niepokojem.

-Drzwi są tuż przed nami - odparł swobodnie Francis. Włożył rękę do kieszeni i zadzwonił pękiem kluczy. Uspokojona nieco, znowu zachichotała.

Gdy weszli dwadzieścia metrów w głąb uliczki, Francis poprowadził prostytutkę w lewo, a potem nagle obrócił ją ku sobie.

-Ależ panie Bettleman! - zawołała i zaraz dodała: — Nie możesz już wytrzymać, mój słodki?

Francis szybkim ruchem wsunął prawą rękę za pazuchę i wymacał rękojeść noża ukrytego pod podszewką. Chwycił ją mocno i wydobyl na zewnątrz, wciąż jeszcze pod osłoną płaszcza. Gdy spróbował unieść broń wyżej, klinga błysnęła odbitym światłem księżyca.

-Nie ruszaj się!

Głos, który Francis usłyszał tuż za sobą, należał do mężczyzny, Amerykanina. Zamarł w bezruchu. prostytutka spojrzała na niego i wrzasnęła dziko: Bettleman stał

przed nią z nożem w dłoni, a tuż za nim majaczyła postać o twarzy ukrytej w cieniu, za to z doskonale widocznym pistoletem w ręku.

386

-Rzuć nóż! Natychmiast!

Francis ani drgnął.

-Ostatnie ostrzeżenie, panie Bettleman. Rzuć nóż.

Broń upadła na bruk z metalicznym brzękiem.

-Teraz ty, młoda damo - dodał mężczyzna z pistoletem i wykonał energiczny ruch głową. - Jazda.

Nie potrzebowała lepszego zaproszenia: oddaliła się czym prędzej, przytulona do ściany budynku. Mężczyzna z pistoletem zdążył jeszcze chwycić ją za ramię, a wtedy dostrzegła błysk jego ciemnych oczu oraz szalik zasłaniający usta i nos. Mężczyzna miał na głowie melonik, mocno nasunięty na czoło.

-Powiedz komu chociaż jedno słowo, a znajdę cię - syknął mężczyzna, zanim ją wypuścił. — Odwróć się — zakomenderował, zwracając się do Bettlemana.

Anglik usłuchał, a wtedy nieznajomy zniemacka uderzył go kolbą w skroń. Bezwładne ciało runęło na ulicę.

Ocknąwszy się, ruszył głową i poczuł ostry ból w cie-

mieniu. Leżał z rozpostartymi nogami i ramionami, związany sznurem za kostki i nadgarstki. Sięgał wzrokiem w bok na tyle, by stwierdzić, że spoczywa na jakiejś platformie, a może na podłużnym stole. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było przestronne, wysoko sklepione. Światło dawały wysokie świece na smukłych kandelabrach, stojących w kątach pokoju. Za wielkim oknem w przeciwległej ścianie widać było zarys wysokich gmachów na tle ciemnego nieba, a nad nim jasną kulę księżyca.

-Zapewne dziwnie się pan czuje jako bezradny jeńiec, panie Bettleman.

387

Głos dobiegał z tyłu, ale Francis nie mógł odwrócić głowy na tyle, by dostrzec jego właściciela. Wydawało mu się jednak, że skądś go zna.

-Mam nadzieję, że się nie obrazisz za tę oficjalną formę: pan Bettleman. Dla mnie byłeś kiedyś Williamem Sandlerem, a wiem, że inni znali cię pod różnymi nazwiskami.

Mężczyzna zbliżył się o krok i wtedy Bettleman go rozpoznał.

-Oglebee! Co ty wyrabiasz, do diabła?

-Doskonale, Francis. W Oksfordzie posługiwałem się angielskim akcentem, by ukryć moje amerykańskie samogłoski, relikw młodości. Ale tu, w rodzinnych stronach, znowu mówię jak dawniej.

-Rozwiąż mnie, człowieku - zażądał Bettleman, daremnie próbując obrócić się na tyle, by spojrzeć w oczy Magnusa Oglebee, tajemniczego gospodarza pamiętnego wieczoru w Boars Hill.

-Niby dlaczego miałbym to zrobić? - spytał Oglebee, podchodząc jeszcze bliżej. Miał na sobie wytworny ciemny garnitur, a z kieszonki kamizelki zwisał złoty łańcuszek zegarka. Nosił też białą koszulę ze staromodną stójką oraz szary fular spięty szpilą z szafirem. Jego głowa wydawała się nieproporcjonalnie mała nad sterczącym, wykrochmalonym kołnierzykiem — wydawała się wręcz sztucznie skurczona. W małych, czarnych oczkach widać było iskry rozbawienia całą tą sytuacją.

-O co ci chodzi? - spytał Francis Bettleman. Nie potrafił zamaskować w głosie zjadliwej nuty. - Dobrze się bawisz, Oglebee?

-W pewnym sensie tak - odparł mężczyzna, przysiadając na krawędzi stołu. - Ale to nie tylko rozrywka, mój drogi.

-Zechcesz może wyjaśnić mi to bliżej? Bo trochę mnie irytuje ta sytuacja.

-Doprawdy, przyjacielu? - spytał drwiąco Oglebee.

-Nie jestem twoim przyjacielem — wycedził Bettlemen. Dłużej nie mógł panować nad gniewem. - Wyobraź sobie, że nie przepadam za ludźmi, którzy najpierw walą mnie w łeb, a potem pętają jak zwierzaka.

-Doskonale cię rozumiem - odparł Oglebee, a potem nieznacznie wzruszył ramionami, zeskokczył ze stołu i podszedł ku szeroko rozłożonym stopom Bettlemana. - Uważnie śledziłem twoje dokonania w Londynie - ciągnął. - I muszę powiedzieć: Brawo! To był niezwykle popis. Co więcej - Oglebee uśmiechnął się lekko — jestem nawet dumny, że przyjąłeś moją radę. Że być może to ja byłem dla ciebie natchnieniem. Zawsze przeczuwałem, że masz talent.

Bettleman kilkakrotnie odetchnął głęboko, by się uspokoić.

-Oglebee, proszę cię, czy mógłbyś mnie rozwiązać?

Chętnie z tobą pogawędzę, ale to nie jest całkiem...

-Nie. Nie mógłbym.

Bettleman zaczął się szarpać, ale zyskał tylko tyle, że

linki głębiej wpiły się w jego ciało.

-Oglebee! - ryknął. - Wypuść mnie! Bo przysięgam, że...

Magnus Oglebee znowu stanął u jego boku.

-Zadawanie ci bólu nie sprawia mi żadnej przyjemności — rzekł. - Ale spośród wszystkich ludzi właśnie ty jeden powinieneś doskonale rozumieć, że czasem jest to konieczne. Tu nie chodzi o jakąś idiotyczną zemstę w moim wykonaniu. To nonsens. Uważam, że wykonałeś świetną robotę. Chodzi o to, że... cóż, czas nie stoi w miejscu i to, czym się parałeś, jest... jak by to powiedzieć? Trochę staroświeckie.

389

Bettleman przestał walczyć i spojrzał na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

— Co takiego?

— Pozwól, że ci to wyjaśnię, Kubo. Mogę cię tak nazywać, prawda? To imię bardzo do ciebie pasuje; musiałeś je wybrać w przypiływie doskonałego humoru.

Bettleman spojrzał na niego z niemą furią w oczach.

— Gdy poznałem cię w Oksfordzie — ciągnął Oglebee — mój Boże, wydaje się, jakby to była prahistoria, a przecież minęło ledwie sześć miesięcy. Otóż powiedziałeś mi wtedy, że szukasz sensu, a potem odnalazłeś go w swoich

dzielach. Z początku sądziłeś naiwnie, że musisz uwieczniać na płótnie morderstwa, których dokonałeś. Dopiero z czasem zauważyłeś, że znacznie wyższą formą sztuki będzie potraktowanie całej serii morderstw jako jednego wielkiego dzieła. Był to śmiały i inteligentny krok naprzód. - Oglebee umilkł na chwilę i pochylił się nad twarzą leżącego. - Muszę przyznać, że trochę ci zazdrościłem tej płodności w tworzeniu. Ja sam nigdy nie miałem talentu artystycznego i, jak wyjaśniłem ci to w Oksfordzie, zrezygnowałem z prób wyrażania siebie poprzez morderstwo. Ale potem dokonałem niezwykle istotnego odkrycia. Bettleman spoglądał wprost w małą twarz Magnusa Oglebee, czując, że nieznane mu dotąd uczucie przerażenia zaczyna ścisnąć jego żołądek.

— Posłuchaj, stary - rzekł spokojnym, niemal melodyjnym głosem. - Może porozmawiamy o tym jak ludzie? Po męsku, przy brandy, co ty na to?

Oglebee nie zareagował. Wyprostował się i ruszył znowu ku spętanym nogom Bettlemana.

— Wiesz, w technicznej stronie tego, czym się teraz zajmuję, nie ma niczego nowego, ale zasady, koncepcja... Cóż! - Oglebee postukał się palcem w skroń. — Te zasady,

ta koncepcja, pasują idealnie do tego - wyjaśnił, szerokim ruchem ramion wskazując na rozciągającą się za oknem, imponującą panoramę Manhattanu. - Artystyczny duch, którego w sobie odkryłem, jest tak nowy, tak nowoczesny...

-Co ty wygadujesz?! - wrzasnął Bettleman.

-Może czyn będzie najlepszą formą wyjaśnienia - rzekł Oglebee i klasnął w dłonie.

Zniknął na chwilę z pola widzenia, a Bettleman daremnie wykręcał szyję - zbyt mocno przywiązano go do stołu. Nagle Oglebee pojawił się ponownie, tym razem u jego głowy. Francis nie mógł go zobaczyć wyraźnie, widział za to spore, ciemne pudło na chudych nóżkach, które stanęło tuż obok. Potrzebował chwili, by uświadomić sobie, że to aparat fotograficzny na drewnianym statywie. Poczul lekki ruch powietrza i gwałtownie odwróciwszy głowę, ujrzał kilka białych postaci. Wokół stołu ustawiły się cztery kobiety. Przypominały mu owe dziewczyny, które widział kiedyś w rezydencji pod Oksfordem: wysokie, zwiewne blondynki. Każda z nich nosiła włosy do pasa oraz delikatny wianek z białych kwiatków. Na znak dany przez Oglebee'ego zbliżyły się o krok i stanęły tuż obok Bettlemana, po dwie z każdej strony.

Oglebee zajął pozycję na lewo od aparatu, dokonując

ostatnich zmian w ustawieniach urządzenia. Gdy skończył, sięgnął po lampę błyskową na drewnianym trzonku.

-Widzisz, Kubo, ja nigdy nie umiałem malować, ale dzięki technice fotografii mogę, podobnie jak ty, nareszcie wyrażać siebie. Pomyślałem więc, że wzbogacę swoje dzieło nutą humoru. Cztery kobiety, jako symbol twoich czterech ofiar w Londynie. Ładna symetria, nie sądzisz? - Oglebee przesunął się tak, by stanąć za aparatem. Nieznacznie poprawił ustawienie jednej z nóg statywu, wyprostował się i wyciągnąwszy nad głową rękę z lam-

391

pą błyskową, wziął głęboki wdech. - Moje panie! - zawołał.

Dziewczęta obróciły się nieco, by patrzeć na Bettelmana. On także próbował skupić wzrok na ich twarzach. Strach i oszołomienie opanowały go bez reszty. Coraz silniejsze skurcze skręcały mu żołądek, aż wreszcie poczuł w gardle smak wymiocin. Nie zauważył ruchu rąk dziewcząt, nie dostrzegł też ostrzy, póki nie zawisły nad jego ciałem. Chciał krzyknąć, ale nie starczyło mu siły; szok sparaliżował wszystkie mięśnie.

- Na trzy - uprzedził Oglebee. — Raz, dwa, trzy...

Strzał flesza zalał pokój jaskrawym białym światłem.

ROZDZIAŁ 55

Stepney, niedziela, 1 lutego

Jack Pendragon od bardzo dawna nie czuł się tak zre-laksowany. Gdyby w ciągu ostatniego tygodnia znalazł choć chwilę na wyobrażenie sobie finału tej sprawy, którą brukowce zdążyły już nazwać Morderstwami Sztuki Nowoczesnej, zapewne byłyby to wizja szybkiego powrotu do stanu świętego spokoju. Rzeczywistość była jednak całkiem inna. W ciągu trzech dni, które minęły od aresztowania Gemmy Locke, Pendragon był obiektem nieustannego i nader pozytywnego zainteresowania mediów. Ku jego sporej satysfakcji jedyny głos krytyki pochodził od Freda Taylora z lokalnego szmatławca. Zresztą gdy reporter odmówił zmiany tonu po zatrzymaniu morderczyni, redaktor naczelny bez namysłu wysłał go na zaległy urlop.

Gemma Locke przechodziła teraz drobiazgowo badania psychologiczne. Geoff Hickle pomału wracał do siebie. Przyszyte ucho nieźle się przyjęło, ale z pewnością sporo czasu potrzeba było na przywrócenie dawnej świetności wybitym zębom. Dokładne przeszukanie mieszkania Gemmy Locke ujawniło, że istotnie posiadała kolekcję starych listów, których autor podawał się za Kubę Rozpruwacza. Pendragon miał je nawet przez chwilę w rękach, nim

powędrowały do torby na dowody rzeczowe. Gdy doktor

393

Newman skończyła je badać, Jack skontaktował się z profesorem Stokesem, znanym archeologiem i znawcą historii Londynu, zatrudnionym na co dzień w Queen Mary College. Sześć miesięcy wcześniej Stokes odegrał ważną rolę w rozwiązaniu przez Pendragona zagadki pierścienia należącego dawniej do rodziny Borgiów, a znalezione go na palcu szkieletu odkopanego na placu budowy opodal Mile End Road. Pendragon wiedział, że jeśli ktokolwiek potrafi potwierdzić autentyczność listów, to właśnie Stokes.

Uniósłszy głowę znad papierów rozłożonych na kuchennym stole, spojrzął najpierw na stertę książek i dokumentów piętrzącą się obok, a potem na salon swego mieszkania. Ściany wciąż były wielokolorowe - blade błękit dawnej farby tylko częściowo przesłoniła nowa farba; na szlifowanie czekały też listwy przypodłogowe. Na kanapie spoczywała masa wypranych ubrań, pilnie wymagających prasowania, w zlewie zaś - wieża brudnych naczyń. W ostatnich dniach całkiem zapomniał o domu, ale nie czuł z tego powodu specjalnych wyrzutów sumienia. W końcu miał na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Odnawianie mieszkania mogło poczekać na bardziej stosowną chwilę.

Wreszcie jego wzrok spoczął na kuchennym blacie i na samotnej kartce urodzinowej stojącej obok czajnika. Sięgnął po nią i otworzył. Wiadomość od jego syna Simona była krótka: Tato, wszystkiego dobrego. To znowu trzydzieste dru-

gie? - Kocham cię, Si. Pendragon odłożył kartkę na miejsce i spojrzał na swoje książki, myśląc, że być może po chaosie ostatnich dwóch tygodni nie byłoby źle spędzić urodziny w samotności, w ciszy i spokoju własnych czterech kątów. W tym momencie rozległ się dzwonek. Jack wstał od stołu i podszedł do domofonu.

- Jeśli to Świadkowie Jehowy, idźcie sobie. Nie powinniście siedzieć w kościele?

394

- Szefie, to ja.

- Turner? O co chodzi?

- Mogę wejść?

Chwilę później Pendragon otworzył drzwi swemu sierżantowi i wskazał mu miejsce na kanapie, uprzednio zabrawszy z niej ubrania, które ukrył w sypialni. Gdy wrócił do salonu, Jez właśnie przyglądał się na wpół odmalowanym ścianom.

- Wiem - westchnął Pendragon. - Paskudnie to wy-

gląda.

Turner się uśmiechnął.

-Myślę, że są powody tego stanu rzeczy.

-Owszem. Czym mogę służyć, sierżancie?

-Pomyślałem... skoro ma pan urodziny i w ogóle... że może mógłbym postawić panu drinka?

Pendragon pogładził dłonią czoło, a potem skrzyżował ramiona na piersi.

-Bardzo to miłe, ale...

-Pewnie nie chce pan już, żeby mu przypominano o urodzinach.

Tym razem uśmiechnął się Jack.

-I to od dawna. Ale jeśli chodzi o drinka, to...

-Obawiam się, że nie przyjmę odmowy, sir. Widzę, że znowu siedział pan w papierach; takie ostre teksty zawsze wzmagają pragnienie.

Jack parsknął śmiechem.

-To jest przymus!

-Jak tam, odkrył pan coś ciekawego w tych listach? - spytał sierżant, gdy schodzili po schodach do holu.

-Profesor Stokes potwierdził, że pochodzą z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, ale musi przeprowadzić dokładniejsze badania, żeby się przekonać, czy uda się usta-

lic coś więcej. Szczerze mówiąc, nie ma wielkich nadziei.

395

Razem stanęli przed budynkiem, smagani lodowatym popołudniowym wiatrem.

-Dobry Boże! - zawołał inspektor. Miał wrażenie, że zimne powietrze zrywa skórę z jego twarzy.

-Fakt, chłodnawo - zgodził się Turner, gdy przechodzili na drugą stronę ulicy. - Ale Stokes dał panu kopie listów, prawda? Większość z nich czytałem w piątek na posterunku.

-Dał. Ma specjalny skaner do kopiowania zabytkowych dokumentów bez uszkodzania ich. Był tak miły, że zrobił odbitki i dla mnie.

-To dlatego nie wyprasował pan prania!

Pendragon zerknął na sierżanta z ukosa.

-A także z powodu nieustannego wścibstwa mediów.

-Ach, nie ma to jak być celebrytą! - rzucił kpiąco Turner. - Ale co z tego wszystkiego wynika? Potrafi pan już odpowiedzieć na pytanie, które od ponad wieku dręczy wszystkich Rozpruwaczologów? Poznał pan jego tożsamość? - Turner wyglądał na autentycznie podekscytowanego.

-Wolne żarty. Sądzi pan, że szlibyśmy teraz do pubu,

gdybym dokonał takiego odkrycia?

-Raczej nie, sir. Zatem nic z tego?

-Niestety, nic się nie zgadza. Sądzę, że listy napisał ktoś w tamtych czasach, a wiele detali na temat morderstw musi pochodzić od kogoś znakomicie zorientowanego... może od samego Kuby Rozpruwacza. Ale niczego więcej nie można stwierdzić.

-Dlaczego?

-Dlatego, że te listy to irytująca mieszanka prawd i kłamstw. Nigdy nie istniało coś takiego, jak Fellwick Manor opodal Hemel Hempstead. Nie było też rodziny Sandlerów pasującej do opisu z listów. Żaden William Sandler nie
396

przyszedł na świat 10 kwietnia 1867 roku i nie było studenta o takim nazwisku w Exeter College w Oksfordzie, a przynajmniej nie między 1884 a 1886 rokiem. Z drugiej strony istniała i nadal istnieje Wentworth Street i naprawdę mieścił się przy niej sklep z ziarnem, który spłonął w październiku 1888 roku. Nie ma natomiast żadnego dowodu na to, że kiedykolwiek mieszkał tam jakiś Sandler czy Tumbril. Istniał statek Oceanic należący do White Star Line i rzeczywiście kursował w tamtych czasach po Atlantyku, ale nazwisko naszego bohatera nie figuruje na listach pasażerów

podróżujących do Nowego Jorku. A nawet jeśli ów człowiek dostał się do Ameryki, to zniknął bez śladu i wszelki śluch po nim zaginął.

-A co z tym redaktorem naczelnym? Jak mu było? Archibald Thomson?

-Naprawdę istniał ktoś taki i został porwany pod koniec 1888 roku. Przeżył tak głęboki szok, że wkrótce potem zmarł w Bedlam.

-Skąd pan o tym wie?

-Odpowiedź na to pytanie wiąże się z największą zagadką ze wszystkich, a mianowicie w jaki sposób listy wpadły w ręce Juliette Kinnear.

-Mówiła, że ojciec trzymał je w bibliotece.

-Tak, ale skąd je wziął?

Turner wzruszył ramionami.

-Kolekcjonował książki i rękopisy. Pewnie kupił na aukcji albo w jakimś antykwariacie.

Pendragon spojrział sceptycznie na swego sierżanta.

-Historia tych listów jest znacznie ciekawsza - rzekł. - Miałem je w domu cały dzień, zanim w końcu zauważyłem prawie zupełnie wyblakły dopisek na końcu jednego z nich, dokonany inną ręką: „Nie mam pojęcia, co zrobić z tymi okropieństwami. Nie mogę ich zniszczyć,

to byłoby złe. Zatem powierzam je tobie". I podpis: Sonia Thomson.

-Żona Archibalda? Ta, do której pisał Rozpruwacz?

-Tak jest. Wtedy zainteresowałem się genealogią rodziny Kinnearów. Okazuje się, że pradziadek Juliette David Kinnear był dyrektorem szpitala Bedlam w latach 1911-1914. Sonia Thomson musiała więc zostawić listy w szpitalu, powierzając je któremuś z przodków Davida Kinneara, który później wszedł w ich posiadanie, a założoną przez siebie bibliotekę zostawił potomnym, zarażając ich przy okazji swoją pasją.

Dotarli do drzwi pubu i Turner otworzył je, przepuszczając szefa. Weszli do głównej sali, a potem, wąskim korytarzem, do sali barowej z łóżkami. W chwili, gdy Pendragon minął próg, rozległy się głośne brawa i gwizdy, a zaraz potem chóralne: „Wszystkiego najlepszego!"

Oszołomiony rozejrzał się po sali. Byli tam wszyscy członkowie jego ekipy, a także Colette Newman i Neil Jones. Za nimi wisiał papierowy transparent z napisem „Wielu szczęśliwych powrotów, Jack". Jimmy Thatcher wystąpił naprzód, dmąc z całej siły w trąbkę i podając szefowi pintę bittera.

Pendragon był tak zaskoczony, że patrzył na to wszystko z otwartymi ustami i automatycznie przyjął poczęstunek. Pierwszy raz w życiu ktoś urządził dla niego przyjęcie-niespodziankę i nie bardzo wierzył własnym oczom - może dlatego, że nie uświadamiał sobie do tej pory, jak bardzo zamieszkał tutaj i jak mocno zżył się z tymi ludźmi. Przez chwilę zupełnie nie radził sobie z emocjami, ale wreszcie uniósł kufel w górę i uśmiechnął się od ucha do ucha. Superintendent Hughes stanęła przed nim z prezentem owiniętym w jaskrawy, czerwonopomarańczowy papier.

-To dla ciebie, Jack.

398

Pendragon spojrział na tajemniczy pakunek, a potem na zebranych.

-No dalej, szefie. Niech pan otworzy - zawołał inspektor Grant, stojący gdzieś z tyłu.

Wszyscy przysunęli się nieco bliżej.

Powiódł wzrokiem po uśmiechniętych twarzach.

-Dzięki - powiedział, rumieniąc się. - Nie spodziewałem się...

Rozwiązał wstążkę i ostrożnie rozchylił papier. W środku znajdowała się wielka księga w pstrokatej kolorowej oprawie, opatrzona tytułem SURREALIŚCI.

Pendragon wybuchnął śmiechem.